PAD

526

LISTOPAD.

Nota Wydawców. *Niektóre z pism Publicznych powziąwszy wiadomość, iż Księgarnia pod firmą: ś. p. Józefa Zawadzkiego, zamierza nowe wydanie tego znamienitego utworu, doradzały opuszczenie w niém przypisków autora, jako nie koniecznie do objaśnienia textu potrzebnych i pożytecznych. Wydawcy-Nakładcy, podzielając w zupełności zdanie tych pism, jakkolwiek nabyli na własność niniejszą powieść, nie mogli wszakże uczynić tego bez zgody autora jeszcze żyjącego, o którego nawet miejscu pobytu żadnéj nie posiadają wiadomości.*

LISTOPAD,

ROMANS HISTORYCZNY

Z DRUGIEJ POŁOWY XVIII WIEKU.

przez

Autora Pamiątek Starego Szlachcica Litewskiego.

WYDANIE NOWE POPRAWNE

we 2ch Tomach.

Ozdobione portretem na stali

XIĘCIA KAROLA (Panie Kochanku) RADZIWIŁŁA.

Nam cunctas nationes et urbes, singuli aut primores, aut populus regunt. Delecta ex his et consociata forma facilius laudari quam evenire, vel si evenit, haud diuturna esse potest. CORNELIUS TACITUS.

Fortuna variabilis, Deus admirabilis.

Słowa powiedziane Karolowi Gustawowi przy grobie Królów Polskich w Krakowie, przez jednego z Kanoników.

Tom I.

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1862.

Za pozwoleniem Cenzury, 2 Lipca 1862 roku. Wilno.

PRZEDMOWA.

„W żadnym okresie naszéj społeczności piśmiennictwo nie było tak rozpowszechnione jak teraz, a szczególna jego dążność okazuje się w wyszukiwaniu rzeczy przeszłych, nieodzównie zniszczonych, dla ożywienia w literaturze tego, co już przestało istnieć w życiu rzeczywistém. Stare społeczności, jak wszystko stare, niewiele mając ufności w tém co będzie, rade przypomnieć sobie to co było. Ta dążność jest prawą i nawet dobroczynną, bo w wystawieniu przeszłości można być prawdziwym; ale przesądzając o przyszłości, by wybadać zuchwale tajemnice, co je dla naszego dobra Opatrzność troskliwie zakrywa, pisarz objawia tylko swoję pychę, pychę jałową, z któréj ludzkość żadnéj nauki nie wyczerpnie. Mistrzynią życia

jest przeszłość; i Cycero, sam wyćwiczony w szkołach Filozofii starożytnéj, nie Filozofii, ale Historyi nadał zaszczytne nazwisko *Magistrae vitae.* Działania polityczne, wojenne, nawet szczegółowe narodowości, są to tylko fenomena przechodnie, a sam ród ludzki, nieuszkodzony w swoim bycie, pożera wieki, zawsze postępując do celu jemu zamierzonego od Najwyższéj Mądrości. Ale każdy z tych fenomenów, któremi ród ludzki zewnętrznie wyrażał swój byt, był tak pożytecznym, że z pamięci jego wygasnąć nie powinien, gdyż głęboką naukę przekazał. Podania zacierają się prawicą czasu, ale Opatrzność pobudziła w pisaniu najpotężniejsze narzędzie do przechowania tych zbawczych pamiątek. Pisarz, jeżeli jest sumiennym, może być dobroczyńcą nie tylko swojéj własnéj społeczności, ale nawet wszystkich społeczeństw, bo one wszystkie istnieją w nieprzerwanym z sobą związku.

Nie przywłaszczam sobie wysokiego zawodu literackiego, ale to pewna, że pisałem prawdę, przynajmniéj tak, jak ją pojmowałem, że miłuję i moich ziomków i wszystkich ludzi; że jako człowiek i chrześcianin potępiam wszystkie nienawiści, tak prywatne jako i narodowe; że miłując ludzi, nienawidzę tylko te ich wa-

dy, które, robiąc ich głuchemi na wszelkie nauki przeszłości, na ich przyszłość zgubne rzucają nasiona. Złe zasady są niebezpieczniejsze od złych uczynków, i tylko tym piérwszym odważyłem się wypowiedzieć wojnę. I w niniejszym romansie historycznym, który śmiem ogłaszać, wystawiłem dwie cywilizacye, walczące z sobą u nas od końca piérwszéj połowy zeszłego wieku, a z których jedna drugą wywłaszczyła; ale zdaje mi się, że winien jestem wytłómaczyć się z wyobrażeń, jakie mam o cywilizacyi.

Jeden wielki błąd, który podzielają nawet umysły wysokiéj wartości, jest uważanie Prawodawstwa, Literatury, Cywilizacyi, za jakieś rzeczy absolutne, dla których już są gotowe formy gdzieś istniejące, i te formy radziby wszędzie wprowadzać. Wszystkie te warunki, którémi narody objawiają swój byt, są zawsze stosunkowe, bo wyrażają żywioły rzeczywiście będące w ich społeczeństwie i tylko o tyle z niemi stosunkiem są doskonałe, o ile rzeczy ludzkie niemi być mogą. Gdyby żywioły wszystkich narodów były te same, bez wątpienia wszystkie cywilizacye byłyby jednostajne, czyli byłaby jedna powszechna cywilizacya. Ale gdyby cechy wszystkich odrębnych

cywilizacyj zniknęły, natenczas ród ludzki bez odcechowanéj fizyonomii, byłby potężną abstrakcyą, sztucznie przyprowadzoną do jakiegoś rzeczywistego bytu. Jego cywilizacya, bez ścierania się z innemi cywilizacyami, musiałaby się skamienić w formie statecznéj. Wypadki historyczne wyrażałyby się przez formy matematyczne, namiętności podlegałyby jakiejś rachubie, prawa moralne byłyby tylko teoryami dowcipu. Nie byłoby zapewne cofania, ale nie byłoby postępu, bo nie byłoby życia. Przeciwnie, każdy naród zachowując swoję fizyonomiją, wydaje ton odrębny w djapazonie rodu ludzkiego i staje się cząstką ogólnéj harmonii społeczeńskiéj; a byłabyż ta harmonija, gdyby każdy klawisz jeden i tenże sam ton wydawał?

Z tego poglądu systematyzując zdanie swoje o tych rzeczach, śmiało wyrzec można, że jakkolwiek cywilizacye narodów okazują się między sobą odmiennemi w kształtach swoich, każda z nich jest równą albo wyższą od innych, jeżeli postępowała z prawością, to jest, jeżeli prawda Religijna, która jéj dała początek, rozwinęła się właściwie w obyczajach, nałogach i wychowaniu członków ciała społecznego. Jeżeli błąd jest w samej zasadzie, jeżeli pierwiastkowa idea cywilizacyjna była fał-

szem, żadne nauki, żadne kombinacye mądrości ludzkiéj nie zastąpią prawdy, która już w zarodku swoim była oszpeconą. A jeżeli naród, zbliżony do dojrzałości, zbyteczną ufność pokładając w naukach, zniechęci sobie pierwiastkową zasadę swojego bytu, natenczas, pomimo świetnych zjawisk, jego cywilizacya będzie tylko pozorną 1).

Żaden naród Chrześciański, jeżeli szczerze wyznaje wiarę swoję, nie ma powodów zazdrościć innym narodóm jakichś świetnych zjawisk cywilizacyi, ani ubolewać nad sobą, że podobnych okazać nie może. Niech będzie cierpliwym, przyjdzie i nań koléj, jeżeli to jest zgodném z jego powołaniem 2). Niech tylko ma w pilném baczeniu, żeby ani w jego obyczajach, ani w jego prawodawstwie, ani w jego

---

1) I to jest ważne spostrzeżenie, że gdzie nauki są rzeczywiście do wysokiego stopnia posunięte, tam właśnie nie wiele im ufają. Przeciwnie tam im do zbytku wierzą, gdzie są w najnędzniejszym stanie. Ten, który był ogłoszony od wyroczni Delfickiéj za najmędrszego z Greków, mawiał: »Tyle tylko wiem, że nic niewiem« Jeżeli owszem kto plecie o odrodzeniu się w nauce, jeżeli oparty na téj swojéj nauce zarozumiale stanowi o ludziach i o rzeczach— można się założyć że nic nie umie, i że kilka formuł naukowych, których się nauczył bierze za samą naukę.

2) Każdy naród ma swoje przeznaczenie. Chcieć żeby każdy rozwijał kunszta i nauki ludzkie, jest równie rozsądnie jak wymagać od każdéj strefy iżby wydawała jedne i

działaniach, nic się nie zatarło takiego, co było pobudzoném ideą religijną narodu. Reformatorowie narodów, jeżeli nie okazali wyraźnych dowodów, że ich posłannictwo od Boga, jakkolwiek pomyślność oznaczyła ich zawód, więcéj szkody przynieśli swoim społecznościom niż rzeczywistych korzyści; bo nie przyśpieszyli rozwinięcia żywiołów w nich istniejących, a z obcych społeczeństw przenieśli gotowe wypadki, bez tych warunków czasu i miejsca, które je tam na jaw wyprowadzały; a tém obyczaje właściwe narodowi, Palladium jego bytu osłabili.

Pochop do cudzoziemszczyzny, burząc rodzime obyczaje, sprowadza nieodzowny upadek narodu, chyba, że w nim pozostało jeszcze tyle żywotności, że z jego łona wydobędzie się reakcya moralna przeciw wszystkiemu, co się tym rodzimym obyczajom sprzeciwia. Bo narody niczém innem nieumierają, tylko pogardzeniem wierzeń i obyczajów ojczystych. I same narody to czują. Przychodzi albowiem czas, choć za poźny, że obmierziwszy sobie tę samę cudzoziemszczyznę za którą dopiero się

---

te same rośliny. Rzymianie byli wielkim narodem, największym w starożytności, a nie mieli ani kunsztu, ani nauk; te wtedy dopiéro u nich zakwitły, kiedy już przestali być wielkim narodem.

ubiegały, przynajmniéj literaturą radeby zrobić kroki wsteczne w historyi. Szukając przeszłości, z bytu rzeczywistego zanurzają się w dawnych pomnikach, wygrzebują stare rękopisy, nowemi wydaniami ożywiają dzieła już zapomniane, dawnym kronikom dobierają rymy lub przynajmniéj miary nowożytne, i te w obieg puszczają pod nazwą poematów; zasilają się szczątkami podań gminnych, odgadują przeszłość, odtwarzają w poezyi sposób bytu, nieodzownie w rzeczywistości zginiony, a który nabywa wdzięków, jakich w téj rzeczywistości nie miał, bo, jak słusznie powiedział jeden głęboki krytyk, inna jest prawda historyczna, a inna poetyczna. I chociaż to, co w poezyi okazuje się tak piękném, tak uwielbienia godném, w rzeczywistości ani trwałości, ani szczęścia nie zapewniało, jednak ten powszechny ruch w Europie, by ją artystycznym sposobem wskrzesić 1), jest to ruch prawy i więcéj korzyści przyniesie, niż te wszystkie rozprawy filozoficzne i polityczne, któremi ludzie nie powołani odurzają łatwowiernych czy-

1) Co tylko piszą literaci, których dzieła chyżo się rozchodzą, można śmiało powiedzieć, że to jest wyrobem społeczeństwa w którém żyją: literatura jest zawsze odciskiem myśli społeczeńskiéj; inaczéj nie można wytłómaczyć jéj wziętości.

telników 1). Literatura mniéj więcéj przybiera wszędzie dążność arystokratyczną. Pisarze, zniechęceni obecném pokoleniem, odszukują zasług i dzielności przodków 2).

W naszéj społeczności kilku pisarzom udało się pomyślnie iść tą drogą. Niektóre Obra-

1) Żeby dać wyobrażenie do jakiego stopnia nasi pisarze nadużywają filozofii, przytoczę jeden świeży przykład. Jeden z nich, który wziął sobie za powinność o wszystkiém pisać, przetłómaczył na język polski broszurkę francuzką, dość powierzchownie wyłuszczającą systemat Hegla. Nic swojego nie dodał do téj broszurki oprócz dwóch przypisków, i każdy z nich jest błędem, nawet wedle téj nauki, którą chce obdarzyć ziomków. W jednym twierdzi, że człowiek jest *concretum*, ale rozłożywszy go na dwa pierwiastki składające jego jestestwo, to jest ciało i duszę, każdy z tych pierwiastków jest *abstractio*. A właśnie człowiek, (rozumie się nie Niemiec, ani Chińczyk, ale człowiek) sam przez się jest abstrakciją, trudniejszą do orzeczenia niż ciało lub dusza. Zapytuję autora co to jest człowiek? czy widział kiedy człowieka? niechże go orzecze, zrobi najważniejsze odkrycie filozoficzne. W drugim przypisku twierdzi, że same potrzeby ludzkie zdołałyby umową społeczną utworzyć moralność. Jak gdyby jakakolwiek umowa społeczna mogła nastąpić między ludźmi, którzy jeszcze mają wynaleść moralność; jak gdyby mogła istnieć społeczność bez jakiejś moralności. Z tego przypisku nie mogłem nic innego zrozumieć, tylko że autor uważa przeszkodę do zrobienia złego, za to samo co moralność.

2) Ci co u nas mienią się być demokratami, nie chcą być niczyjemi potomkami i odwołanie się do zasług przodków mają za największe absurdum. Śmiem ich zapytać: czy sumiennie mogą się przyznać, żeby ich indywidua były ulane z tego kruszcu, z którego wykowują się przodkowie? Jeżeli nie chcą być potomkami, a nie mogą być przodkami, czemże będą?

zy Litewskie Pana Chodźki służyć mogą za wzór tego rodzaju. Michał Grabowski unieśmiertelnił imię swoje Koliszczyzną i Stannicą Hulajpolską, teraz on pracuje nad dokończeniem swoich Tajkur, których dwa piérwsze tomiki dopiero na świat wydane, a z których wnosić możemy, że tém dziełem stanie wyżéj nad wszystko co dotąd w tym względzie znamy.

Listopad, który dziś pod sąd publiczności oddaję, należy do tegoż rodzaju literatury; mniemam, że i ta praca nie będzie bez pewnego pożytku. Wystawiłem w niéj wedle zdolności jaką mię Bóg obdarzył, epochę zaczynającą się w drugiéj połowie XVIII wieku, kiedy wyobrażenia francuzkie, zaraziwszy wyższe części naszego społeczeństwa, wywłaszczały dawną cywilizacyą z wyobrażeń chrześciańskich rozwiniętą; a obok tego jałowe usiłowanie ostatnich obrońców staréj narodowości. W jednéj rodzinie wystawiłem dwa typy dawnego i nowego ukształcenia, i ich przeznaczenie usiłowałem wyprowadzić z ich zasad. Oddadzą mi sprawiedliwość, że chociaż nie taję moich pociągów do cywilizacyi wywłaszczonéj, okazałem się sprawiedliwym i bezstronnym, gdyż jéj nie wywyższyłem przez poniżenie wyrazicieli cywilizacyi nowéj. W obu stronach zachowa-

łem równą szlachetność uczuć i postępków. W téj walce opinii, jak w jednym, tak w drugim obozie, zapaśnicy są pełni przymiotów. Żadną obłudą kunsztu nie chciałem popierać zasad, do których czuję się być skłonnym. Wystawiłem rzeczy jakiemi były: zwolennicy wiary są pełni ducha poświęcenia: ci co wyłącznie rozumowi ludzkiemu przyznają kierunek społeczeństwa, w niczém się nie omijają z prawidłami honoru. Jeszcze cóś dodam do tego.

W pismach przedstawujących rozmaite charaktery, jeżeli te charaktery są rzetelne, trudno żeby się nie spotykały w podobieństwie z charakterami osób istniejących, a chociaż takowe podobieństwa są wypadkowe, ci, którzy siebie poznają, zamiast nieprzyznawania się do tego co im krzywdę przynosi, częstokroć te igraszki kunsztu biorąc za przymówki do siebie, powstają na ich twórcę, jak na potwarcę i sami potwarcy, obwiniają go o myśli, których nigdy nie wyraził. Przypomnijmy sobie jaki to gwar był powstał na Jarosza Bejłę. Nie było skąpca, nie było piśmidlarza, nie było intryganta wyborowego, któryby siebie poznawszy w jego fantastycznych obrazach, nie wrzeszczał w niebogłosy, z umiarkowaniem zwy-

czajném ludzi osobiście obrażonych, nie wchodząc w to, że wrzaski ich cześć i sławę przynosiły autorowi, bo tém dowiedli, że jego obrazy musiały być trafne. Tego przynajmniéj autor *Listopada* lękać się nie powinien. Jego bohaterowie są z pewnego względu tak znakomici, że bez zarozumiałości nikt z nimi do podobieństwa się nie przyzna, a jednak osoby wchodzące do tego romansu historycznego są nierównie mniéj fantastyczne, aniżeli bohaterowie Jarosza Bejły.

Autor Pamiątek Starego Szlachcica.

W Petersburgu,
14 (26) Czerwca 1845.

I.

W s t ę p.

Wojciech Strawiński, dziedziczny sługa i przyjaciel Radziwiłłowskiego domu, prawnik i gospodarz zawołany, po ojcu innej spuścizny nie dostał, oprócz łaski nieświezkiego dworu. Ale to spuścizna była nie lada, bo co do majątku ojczystego, tak był odłużonym, że pan Wojciech od niego się odprzysiągł, zostawując go nieboszczykowskim wierzycielom, a sam do palestry wstąpiwszy i przy wsparciu Radziwiłłowskiém w niéj wsławiwszy się, przyszedł stopniami i do majątku i do niemałéj wziętości; biorąc zwłaszcza w dzierżawę rozmaitych panów dobra, extra kadencyj gospodarując, a w czasie kadencyj patronując, ile że był rachunkowym człowiekiem, bo oprócz wina na które nie żałował żeby mieć czém gości przyjąć, i jałmużny kwestarzom żeby ich modlitwy go nie opuszczały, innych wydatków tak dobrze jak nie znał; a ziemia rodziła, a panowie się kłócili. Więc lubo spełna nie miał lat czterdziestu, tak

pięknego grosza się dorobił, że kupił znaczne dobra w Słonimskim, tanio, bo były uwikłane procederem; ale wkrótce je odwikłał i nawet wycofywał siebie od Jurysteryi, żeby — jak mawiał — nie jeść po dwa grzyby w barszczu. Klient Radziwiłłowskiego domu, duszą i ciałem do niego przywiązany, a do tego mając odgłos poczciwego i rozumnego człowieka, nie było sprawy, nie było roboty w Słonimskim, na którąby nie dzwonił. A chociaż czwarty krzyżyk uzupełniał się na jego metryce, że rolnika i prawnika serce nie kamienne, zakochał się piérwszy raz w życiu, i jak się poźniej pokazało, ostatni, w panience dziwnéj piękności, nawet z siakim takim posażkiem, a krewnéj domu Massalskich, nieżyczliwego Radziwiłłóm. Ta ostatnia okoliczność nie była do smaku panu Wojciechowi. Wszakże powiedział sobie: »Cała rzecz aby ją dostać; a jak będzie moją, przerobię ją jakoś na swój kopyt. Co też tam kobiety, a zwłaszcza młode, mają rozumieć jaka partia sprawiedliwsza; to już do mnie należeć będzie.«

Ta panienka była sierotą, na opiece zostawioną xciu Biskupowi Massalskiemu, jako imienniczka i nawet daleka krewna, a ten ją zostawił na wychowaniu u komisarzowéj dóbr swoich dziedzicznych w Słonimskim, o których miedzę rozciągał się majątek naszego nieco podżyłego kawalera; i z tego powodu zawiązała się ich znajomość. Trzeba wiedzieć, że pani kommisarzowa była Francuzka rodem, wywieziona młodą z Paryża przez xiężnę Hetmanową Massalskę, i była ozdobą jéj dworu, gdzie nie bez zgorszenia poczciwych Litwinów, a nawet na przekor samemu xięciu Hetmanowi, cudzoziemszczyzna znacznie się przebijała. Xiążę Biskup będąc jeszcze *le Prince Abbé*, jak go matka nazywała, miał dla niéj

wielką przyjaźń, o której ludzie bardzo gadali. Koniec końców wydał ją za jednego ze swoich dworzan i dał mu kommis na dobra swoje słonimskie, a ztąd powierzył jéj swoją należącą. A kommisarzowa nie mało starania łożyła, żeby pannę Rozalią wyuczyć po francuzku, menueta z gawotem, grania na klawikorcie i innych rzeczy równie pożytecznych do pożycia domowego na wsi.

Jakkolwiek pan Wojciech to nad dokumentami ślęczył, to regestra ekonomiczne wertował, nic nie mogło jego myśli na długo oderwać od pięknéj Massalskiéj, ledwo siedmnasty roczek kończącéj. Wstydząc się w drażliwém przedsięwzięciu komukolwiek siebie powierzyć, po różnych przedwstępnych cirkumfibulacyach, na których od razu się poznała pani kommisarzowa, nakoniec nieco się zajękając, wypalił oświadczenie we wszelkiéj formie. Pani Kommisarzowa, w pięknéj nadziei wodzenia za nos wziętego w całym powiecie obywatela, tak jak własnego męża przez nią okulbaczonego, oświadczyła mu nawzajem, że chce być jego patronką przed xięciem Biskupem i panną Rozalią. A pan Wojciech przyklęknąwszy jakby przed cudownym obrazem, obie jéj rączki, chociaż w rękawiczkach, ucałował. Jak wprzódy, tak i odtąd z panną niewiele mówił, boćby i nie umiał do niej mówić, ale za to ledwo nie codziennie z jego majątku biegali posłańce, to z dubeltami, to z jabłkami, to z przepiórkami, to z innym jakim gościńcem. A często Francuzica i na lepsze goni, bo bywając u niego, a z nim o przyszłym postanowieniu rozmawiając, tak pięknie się przymówi to o udzielenie jéj przypłodku z obory, to o lichtarze srébrne, to o puhar ozdobiony starożytnemi talarami, to o koniki domorosłe do kolebki, że szlachcic, lubo piędzią mierżący swoje wydatki, ani się spo-

strzeże jak jego dobytek i sprzęty przenoszą się na grunt xiążąt Massalskich. Ile razy spostrzeże wjeżdżającą na swój dziedziniec kolebkę pani kommisarzowéj, cieszy się ale i drży razem; zawsze jednak miłość brała górę nad sknerstwem. Grzeczny i uprzejmy pokąd ją widzi, ledwo odjedzie, gdyrze a gdyrze, to na nią, to na czeladź, to nakoniec na siebie samego. »Już to prawda (mawia bywało sam sobie), że ta przeklęta Niemka djabelnie mnie kosztuje. Ale cóż na to poradzisz? Konkury są ospą; wcześniéj czy poźniéj przebyć ją trzeba. Ale co też ona u mnie nie nachwytała? Żebym część tego xiężóm oddał, od czyscaby moję duszę uwolnili. Ta baba w moim domu jak ogień pod łuczywem; niczego przed nią nie uchowasz. Niechże w nią piorun trzaśnie. Bylem się tylko z Rózią ożenił, natychmiast zerwę z tymi paskudnemi ludźmi. Niemca w domu ani na lekarstwo. A te dziury jakoś pozałatam, niechaj no. A najbardziéj mi żal tych parę koni wilczatych, które u mnie wydrwiła; za ich ojca wyliczyłem panu Sołohubowi dwa tysiące jak lodu. On zdechł u mnie, a jego potomstwo djabeł w spodnicy uchwycił. Oj to majster, chociaż bez pluder. Niech-że przynajmniéj kończy, bo daléj nie stanie dawać.« Chował potém szlachcic powabniejsze sprzęty, żeby pokusy nie było. Ale baba umiała sobie i na to poradzić. Nie ma nic do wzięcia z ruchomości, po prostu napiera się pieniędzy pożyczanym sposobem. Trudno jakie parę set tynfów nie wygodzić, rozumie się na wieczne nieoddanie. Aż na siłach opada szlachcic, przeklina chwile w któréj poznał pannę Rozalią. »Co też mnie ta dziewka kosztuje? Czy mnie jaki pacient przeklął, czy mnie Pan Bóg karze, że może w długiéj jurysteryi cóś się i przeskrobało; czy

mnie jaka czarownica zamówiła? ale sam siebie nie poznaję. Ja, głośny w całéj Litwie z mojéj ostrożności, ja, co sam sobie nie zawsze wierzę; a teraz mnie wodzą pięknemi słówkami, jak niedźwiedzia łańcuchem. Widzę jak na dłoni, że mnie zarzynają, a odczepić się nie mogę. Znalazł się przecie djabeł i na jurystę. A im ta dziewczyna drożéj mnie kosztuje, tym mi jest milszą.« I w saméj rzeczy to być inaczéj nie mogło. Ale wyznać trzeba, że Francuzica mu też szczerze pomagała, bo i pannie wmawiała, że dla niéj nic pomyślniejszego jak zostać panią Strawińską, że we własnym domu lepiéj jednemu mężowi się zasługiwać, niżeli w cudzym wszystkim. A i listy biegały od niéj do xięcia Biskupa. Nakoniec xiążę Biskup rad wzmocnić partię swoją obywatelem trzęsącym bez mała całkowitym powiatem, odrywając go od Radziwiłłowskiego stronnictwa, przysłał zezwolenie na to małżeństwo, oraz i opiekuńskie błogosławieństwo.

Tak tedy Pan Wojciech stanął u portu. Po weselu zawiozł młodą i piękną żoneczkę do wsi swojéj, gdzie już w istocie niczém się nie zajmował, tylko zbieraniem miłego grosiwa. A mając na sercu wyderkafy, wymożone na jego kawalerstwie, zerwał z domem pani kommisarzowéj. I lubo szczerze był przywiązany do żony, nie zważając na jéj łzy, zabronił jéj wszelkich stosunków z jéj mistrzynią.— Nie płacz moja Róziu, mówił do niéj, bo to naprożno, ani mnie obwiniaj o niewdzięczność, że domostwo moje odwracam od téj, co mi pomagała do twojéj przyjaźni. Odczytaj no moje regestra, a tam obaczysz, czy— jeżeli były jakie przysługi— wywiązałem się z nich po chudopacholsku, czy może po pańsku. Nie bój się, umiała ona pamiętać o sobie. Jurysta po sprawie,

a imość po odprawie z kwitkiem. Na sto katów zda się nam przyjaźń téj przybłędy, a z jéj gniewu żartuję. Nam się starać o łaskę poczciwych obywatelek, obywatelek z antenatów, a nie adwenów, co to ich z po za gór wywieziono, a o których poczciwości Król Dawid szeroko pisał. Tobie wiele rzeczy wiedzieć nie potrzeba; ale ja, stary lis, wiem gdzie raki zimują.— Rada, nie rada, Rózia milczeć musiała, bo sprawa była z Sarmatą. Nie dość na tem, pan Strawiński lubo skoligacony z xiążęcym domem Massalskich, bynajmniéj nie odmienił dawnego sposobu widzenia. Nie przestał siebie liczyć między sługami Radziwiłłowskiemi, bywając często w Nieświeżu u xięcia Hetmana i, na każdym sejmiku, jego stronę popierając. A lubo wychowanie pani Strawińskiéj było innego trybu niżeli jéj męża, jednak przez lat kilka pożycie tego stadła było szczęśliwe, ile że go Bóg pobłogosławił dwóma synami. Starszemu dano imię Ludwik, młodszemu Michał, imiona które oba przynieśli sobie. Ale po upłynieniu tych lat kilku, pan Wojciech obranym zostawszy deputatem słonimskim na trybunał litewski, zjechał z żoną i dziećmi do Wilna na jednoroczne mieszkanie. Tam na swoje nieszczęście znalazł nieprzyjaciółkę zawziętą w dopiero owdowiałéj kommisarzowéj, która już była osiadła w tém mieście. Jakkolwiek pan deputat zalecał żonie, by się nie wdawała w ścisłe stosunki z Francuzicą, trudno im było nie zbliżyć się w domach obcych, a zwłaszcza xięcia Biskupa, ugoszczanego od obojga małżonków, z powodu kolligacyi i wysokiego dostojeństwa gospodarza. Z tych przypadkowych, ale gęstych spotkań umiała korzystać zajadła cudzoziemka, by deputatowi ukuć biedę, która resztę dni jego goryczą i sromem zatruła.

W tym właśnie czasie hrabia Mycielski, kasztelanic poznański, zjechał do Wilna na sprawę bardzo ważną z xięciem Hetmanem Radziwiłłem, która to sprawa poźniéj zgodnym sposobem się skończyła. Ale wówczas hrabia musiał jéj attentować w trybunale, gdzie pan Strawiński, jako deputat zasiadał. Hrabia Mycielski był kawalerem wielkiego świata, nosił się po francuzku, po polsku mówił złamanym językiem, tańczył menueta z wielką zgrabnością, nazywając polski taniec processią w ordynkach, a mazur karczemną biesiadą. Ale co poczciwych Litwinów szczególnie w nim zastanawiało, to że w obu uszach nosił zausznice jak kobieta. Poznawszy się hrabia z deputatostwem u xięcia Biskupa, zaczął bywać w ich domu, otwartym dla wszystkich, a tym bardziéj dla pacientów. Dobroduszny gospodarz myślał, że on u niego bywa, jedynie z powodu sprawy; a jemu nie tyle ona była w głowie, ile nadobna gospodyni, z którą był rad najczęściéj się spotykać, by sobie drogę do jéj serca torować. I to mu tym łatwiéj przychodziło, że mógł z nią rozmawiać w przytomności męża, bez obawy być od niego rozumianym. Trzeba wiedzieć, że za Króla Sasa, chociaż bywały zgorszenia w stolicy, na prowincii szlachta zamieszkała, twardo trzymała się obyczajów przodków; niewierność małżeńska była rzeczą niesłychaną. Każdy się żenił żeby żyć z przyjacielem dozgonnym jak Bóg przykazał, i nikomu przez myśl nie przechodziło żeby siebie od własnéj żony pilnować. Bez wątpienia pani deputatowa nie od razu zboczyła z gościnca wiary i poczciwości szlacheckiéj, ale ciągle narażona na natarczywości gacha gładkiego, zakochanego i wyćwiczonego w nauce bałamucenia kobiet, a do tego popartego od zręcznéj cudzoziemki, skwapliwéj do szko-

dzenia niewdzięcznemu wedle niej deputatowi, nakoniec upadła w przekonaniu. U kommisarzowej bywały potajemne schadzki i wszystkie ich następstwa. Nie trudno było oszukać męża, zajętego pracowitém urzędowaniem, a zaślepionego w przywiązaniu i ufności dla żony. Aż dnia jednego, właśnie kiedy na sessyi pan deputat zatapiał się nad induktem pana Puciaty, najsłynniejszego wtedy mecenasa wileńskiego, jego połowica, zabrawszy swojego ulubionego Ludwisia, przeniosła się do domu dawnej przyjaciółki; a ztamtąd napisała do męża, że z nim mieszkać nie może, że jemu samemu wiadomo, że bez istotnej skłonności, a jedynie z musu za niego poszła, zatém żeby się zgodził z wolą Pana Boga i więcej o niej nie myślał. A hrabia coraz mocniej zakochany i obowiązany poświęceniem kochanki, popierać zaczął sprawę rozwodową, rzecz za Królów Sasów prawie bez przykładu, a którą panowanie Poniatowskiego rozpowszechniło w narodzie.

Opierał się jak mógł i umiał poczciwy deputat. wzywał na pomoc wszystkich praw Boskich i ludzkich, by mu żonę i syna oddano. Podawał wniesienia, żeby żonę do końca sprawy osadzono w klasztorze, azali się nie opamięta. Ostrém piórem w repozwie okazywał jak w czas, bo po spłodzeniu dwójga dzieci opatrzyła się, że nie z dobréj woli wiarę jemu przysięgła. Przypozywał panią kommisarzowę, z nastawaniem na jéj cześć i gardło, bo domagał się w ognistych pismach by do niej, jako zwodnicy, zastosowano artykuł XXXI. Rozdziału XIV. Statutu Litewskiego. Wszystko napróżno. Xiążę Biskup rad upokorzyć Radziwiłłów stronnika, który pomimo kolligacii, jemu się nie dawał powodować; a widząc być dla siebie większym zaszczytem mieć krewną hrabinę,

niż prostą szlachciankę, dekret rozwodowy wydał, ale taki, że hrabia Mycielski sam dla siebie lepszego nie mógłby napisać. Nakazano panu Strawińskiemu wrócić żonie nie tylko posag, ale nawet reformę. Wszelkie koszta prawne na niego nabiczowano, a nawet w brew pospolitemu zwyczajowi, który w takich razach ojcom przyporucza pieczę nad dziećmi płci mężkiej, przysądzono matce opiekę nad synem Ludwikiem, młodszego Michała ojcu zostawując. A w kilka dni po ogłoszeniu dekretu rozwodowego, mając gotowy indult, pani Strawińska została hrabiną Mycielską, i ulubionego synka z sobą zabrawszy, wyjechała z mężem do Wielkiej Polski.

II.

Wychowanie Staropolskie.

Pan Strawiński skrzywdzony, skończywszy urzędowanie, wrócił na wieś, przeklinając xięcia Biskupa z całym konsystorzem, a jeszcze więcéj tych, co po francuzku mówią, po francuzku się ubierają, i kulczyki noszą. Jednak w nieszczęściu swojém od samego xięcia Hetmana był pocieszony, a nawet za jego wstawieniem, otrzymał od Króla przywiléj na strażnikowstwo słonimskie. Osiadłszy na wsi, pierwszą rzecz co zrobił, synowi swemu Michasiowi, który rok piąty zaczynał, a który przy matce nosił długie włosy w pierścienie spadające, głowę kazał podgolić, ale tak, że tylko trochę włosów zostawił mu na ciemięczku, żeby był prawdziwym Polaczkiem, bez tych wymysłów zagranicznych, które do niczego dobrego nie prowadzą; a przyjąwszy dyrektora za sześćdziesiąt

tynfów na rok, kazał mu uczyć panicza katechizmu, czytać, pisać, i początków łaciny, zalecając mu nadewszystko żeby batoga nieoszczędzał, dodając :— Sam Bóg przykazał, żeby dzieci znały karność, szlachcic niepowinien być rospieszczonym, xiążę Biskup wileński, że go matka pieściła, na jakie ladaco wyszedł, do farmazonów przystał, a młody xiążę Karol Radziwiłł, żę niezważając na płacz matki, xiążę Hetman często go batożył, to też dziś wzorem dla wszystkich młodych panów, to też i dla ojczyzny z niego pociecha: wiem że mi starszego rozpaskudzą, niechże ten przynajmniej na człowieka wyjdzie. Bij waść ile się wsypie, byle swawoli niedopuszczać, bo ja tak chcę, i za to waści płacę.— A klawikort i inne sprzęty żonine, kazał wynieść na górę do szpichlerza, żeby już jemu żony nic nie przypominało. Odtąd prawnictwu i rolnictwu oddany wyłącznie, byle w Słonimie przypadła jaka sprawa xięcia Biskupa lub jakiego biskupiego adherenta, choć darmo przeciwko niej za kratami staje; a jako dobry katolik, mając siebie za żonatego, bo niewierzył by jakikolwiek konsystorz, mógł rozerwać związek Boski, ani mu przez głowę przeszło, probować powtórnego małżeństwa. W nieszczęściu swojém nie pozostał bez pociechy, miał albowiem doświadczonego przyjaciela w Jenerale Kunickim, możnym właścicielu województwa mińskiego, kilku laty od niego starszym, któremu we wszystkiém wierzył; powtóre zajmował się zbieraniem pieniędzy, ostatnia namiętność człowieka; a największą dla siebie znajdował pociechę, w coraz ściślejszém spełnianiu obrządków religijnych. Syna miłował, i ciągle powtarzał, że tylko dla niego pracuje i tak ślęczy nad gospodarką, a w rzeczy samej, więcej się zajmował swojem gumnem niż jego osobą. On w domu;

a syn z dyrektorem na folwarku nad elementarzem płacze, albo się bawi w piekarni z czeladzią podstarościego. Tyle go widzi, jak przychodzi na godzinki, lub różaniec do ojca z całą czeladzią, a z resztą o niego ani pyta. Ale gdy już ósmy rok skończył się Michasiowi, wziął go na examin, a przekonawszy się, że tyle umie, co i jego dyrektor, tego w nagrodę postąpił na pisarka browarnego, i zaczął nieco myśleć o dalszém wychowaniu syna. Że właśnie wyprawiał do Warszawy swojego rachmistrza, z gorzałką, słoniną i masłem, powierzył mu i Michasia z zaleceniem, by go ulokował w Collegium Nobilium jezuickim, i zapłacił za niego co zażąda xiądz rektor. A do xiędza rektora dołączył dwa listy: jeden od siebie, drugi od ojca prowincyała litewskiego, swojego bliskiego krewnego. To zdarzenie zbliżyło do siebie braci od lat kilku rozłączonych, bo obaj znaleźli siebie w konwikcie. Od roku już w nim mieszkał Ludwiś, oddany tam przez ojczyma, który doczekawszy się własnych dziatek, uważał jego pobyt w domu, być mniéj potrzebnym dla matki. Tak bracia odnowili znajomość, a idąc za przyrodzonym krwi popędem, najściślejszą zawiązali przyjaźń, ćwicząc się razem w naukach z najświetniejszą młodzieżą narodu. Była to rzecz pocieszna, widok dwóch braci, nawet nieco podobnych do siebie, w zupełnie odmiennéj odzieży. Ludwiś upudrowany, w trzewikach, w sukni francuzkiéj, w niemieckich pluderkach, wraz z kilku paniczami piérwszego tonu, a Michaś, z massą uczniów, w kontusiku, w żółtych botach z czupryną wysoko podgoloną. Ale ta różnica w powierzchowności nie stawała na zawadzie miłości braterskiéj. Owszem Michaś szczególnie się przywiązał do starszego brata, i nieraz w zatargach szkolnych ratował go od natarczy-

wości kontusikowych kolegów, niebardzo przychylnych fraczkowemu paniczowi. I tak żyli z sobą bracia rok jeden i drugi póki ich ojciec nie zawitał do Warszawy, z powodu jakiegoś interesu xięcia Hetmana. Po kilkudniowym pobycie, w którym pan strażnik, jak mógł wywiązywał się z obowiązków na niego włożonych, przyszło mu na myśl dowiedzieć się, co też porabia syn jego w konwikcie, i nie bez zadziwienia znalazł ich obydwóch, a chociaż się skrzywił, widząc w starszym zupełnego niemczyka, Ludwiś był tak piękny i zgrabny, że miłość własna rodzicielska, nie mogła nie być zaspokojoną. Z jakąś czułością uściskał dzieci, dając im wspólne błogosławieństwo, zdawał się nawet być więcéj zajętym starszym, gdyż dla niego zdobył się na wspaniałomyślność niezwyczajną i dał mu dwa talary bite, a Michasiowi tylko jednego. Ale w pieszczotach swoich, tarmosząc Ludwisiowi fryzurę, spostrzegł na nieszczęście, że oba uszy były ozdobione kulczykami. Na ten widok strażnik tak się oburzył, że odskoczywszy od syna jak oparzony, wymówił xiędzu rektorowi, że takiego bezprawia dopuszcza obywatelskim synom, i niesłuchając usprawiedliwienia, natychmiast odebrał Michała z konwiktu, obojętnie patrząc na szlochy chłopca przy rozstaniu się z bratem. Wywiózł go tedy z Warszawy do domu, a ztamtąd odwiózł do konwiktu nieświezkiego, zalecając by go uczono tylko łaciny, niewdając się w żadne niemieczyzny warszawskie, o co aż nadto mógł być spokojnym, gdyż i bez tych jego przestróg, po kollegiach prowincyonalnych Jezuici niczego więcéj nie uczyli. Syna ulokowawszy, jeszcze długi czas potém, w Słonimie i w przyjacielskich domach strażnik z ferworem powstając na obyczaje stolicy, nie omieszkiwał powtarzać: — Cóż pano-

wie powiecie, kiedy w téj Sodomie, nawet Jezuici poczciwości swojéj zachować nie mogą: czy-by kto uwierzył, że w ich tamecznym konwikcie, smarkacze farmazońskie znaki noszą, a oni, jak-by o tém niewiedzieli— o tempora, o mores!— Nie na tym koniec, jeździł od domu do domu po całym powiecie, nawiedzając zwłaszcza wdowy wychowujące córki, i zaklinał je, by odstręczały córki od wszystkich wymysłów niemieckich, jako uczenia się po francuzku, grania na klawikorcie, i używania larendogry 1) świeżo do Litwy przez farmazonów wprowadzonéj, któréj flaszeczka po pięć tynfów kosztuje, zamiast wody różanéj, w domu robionéj. któréj wonia jest prawdziwie szlachecka, miła Najświętszéj Pannie, i wszystkim Świętym. A że był wziętym, i we wszystkich okolicznościach prawnych i ekonomicznych miał w całym powiecie *vocem decisivam*, więc i to jego missionarstwo nie było ziarnem o kamień rzuconém, ale owszem zbawienne skutki otrzymywało. Tak tedy Michasia tranzlokowawszy do Nieświeża, tyle tylko myśli o nim, że kiedy podstarości przypomni mu, że po jutrze Święty Ignacy, a więc po panicza posłać trzeba, każe cztery konie założyć do bryki, w któréj naładowawszy kilka korcy legominy, faskę masła, dzieżkę twarogu i kilka ok słoniny, to wszystko wręcza pod regestrem staremu kredencerzowi, który był przy nim chłopcem, kiedy sam jeszcze do szkół chodził i wyprawia go do Nieświeża z zaleceniem ażeby panicza mu w całości przywiózł. Kiedy chłopiec przyjedzie, daje mu błogosławieństwo, potém każe podstarościnie by go miała na oku, i nie spyta co się

1) *Eau de la Reine de Hongrie*, pod tym nazwiskiem zjawiła się woda Kolońska w Europie.

z nim dzieje, póki mu podstarości nie przypomni, że wakacye się kończą i że za tydzień trzeba panicza odesłać do Nieświeża; dopiéro każe podstarościnie zrobić przegląd jego garderoby, szczupłéj a jednak znacznie nadszarzanéj, uszyć mu z domowego płótna trochę bielizny; ze swojego starego kontusza przerobi na niego kontusinę, nagdyrze że sam tyle nie zaważy, ile go kosztuje, popробuje go w palcaty w samą wigilię odjazdu, a widząc że chłopczyna niezgorzéj się składa, daje mu parę tynfów na pierniki. Nazajutrz nowe gdyraniny odliczając podstarościemu dwieście tynfów za rok szkolny zawsze z góry opłacany. I to wszystko wraz z Michasiem powierza już nie kredencerzowi, ale samemu podstarościemu, którego żona pod wielkim sekretem, opatrzyła brykę łubianém pudłem, napełnioném sucharkami, jabłecznym sérem, suszonemi gruszkami, powidłami i innemi przysmaczkami wiejskiemi. A p. strażnik stojąc na ganku jeszcze święty krzyżyk dodaje, kiedy już bryka niknie w chmurach kurzawy.

III.

Palestra.

Michał po sześcioletnich mozołach konwiktu nieświezkiego, do którego wstępując miał już dobre początki, wszystkiego się nauczył, czego się tam nauczyć można było. Umiał po łacinie, jak Jezuita, teologią moralną jak kanonik katedralny, modlił się z rubrycelli i ze wszystkiemi jéj tajemnicami był spoufalony, a swojego Dekoloniusa umiał na pamięć, wiedząc na palcach co to jest metaphora, hyperbola, praetermissio i tropy; po polsku i po łacinie pisał expedite; a nadewszystko umiał z ludźmi obcować, to jest wiedział *cui honor, cui decus, cui vectigal*. Wszystkie odcienia grzeczności były mu tak wiadome, że inaczéj mówił do podkomorzego, inaczéj do innego urzędnika, inaczéj do szlachcica niezaszczyconego urzędem. Jeszcze to w mowie, te wszystkie odcienia nie były tyle widoczne, chociaż prawdziwy znawca, do razu umiał je oceniać, ale

w listach, całkowita jego mądrość w tym względzie się okazywała. Strażnik ile razy go użyje do jakiéj korrespondencyi, aż się nieposiada z radości. Bywało mawia do swojego przyjaciela Kunickiego:— Mości Generale, można mnie chłopca pozazdrościć, ja stary lepiéj nie napiszę, a jak wie komu wątróbkę trzeba doczepić, a sentencyę łacińską dodać, na pamięć jego listów nauczyć się można. I do korda gracz, czasem go probuję w palcaty dla agitacyi, ledwo nie mojéj siły parobek, a p. Generał wie, że nie dla saméj ozdoby karabelę noszę. Już to prawda, że jego wychowanie nie mało mnie kosztowało, ale cieszę się, że przynajmniéj grosz w szkodę nie poszedł. Brakuje mu tylko obeznać się z prawem, tego mu tylko niedostaje, trzeba go oddać do palestry, niech się uczy służyć obywatelom, ażeby poźniéj mógł jeść swój własny chleb. Jużem mu wyrobił sowity poczet, w chorągwi hetmańskiéj jest towarzyszem pancernym i to poważnego znaku 1), niech-że się jeszcze wtrawia do kratek.— Nazajutrz pojechał z synem do Słonima, i zajechawszy do swojego dworku, tyle tylko w nim zabawił, ile mu potrzeba było czasu do zrzucenia kapoty podróżnéj, a przyodziania porządnego kontusza, nieubogiego żupana, i opasania siebie złotolitym pasem, niezapomniawszy szabli; tęż metamorfozę odbył i p. Michał; oba pokolenia ugalowane, że aż miło było na nie spoglądać, puściły się piechotą do dworku p. regenta ziemskiego Wojszwiły, zawołanego jurysty, a który kiedyś

1) Poważne znaki, były chorągwie królewskie, królewiczowskie, prymasowskie i hetmańskie, kiedy pytano towarzysza w jakiéj chorągwi WPan służysz? odpowiadał— służę z Królem, z Hetmanem, lub z takim rotmistrzem, w którego chorągwi zostawał.

dependował u p. strażnika. Szli w tym porządku— ojciec naprzód, syn o trzy kroki w tyle, a o dziesiątek kroków za niemi węgrzynek p. straźnika z plikiem papierów, pod pachą. Zastali p. regenta na ganku we wszelkiéj gotowości do przyjęcia dostojnego gościa. Po wielu ceremonialnych i etykietalnych ukłonach, pan straźnik wziąwszy swoje dokumenta z rąk węgrzynka, wszedł do izby przed regentem, po którym dopiero odważył się próg przestąpić p. strażnikowicz; obydwa usiedli, a pan Michał, pomimo usilnych próśb gospodarza, oglądając się na ojca, stojąc im assystował. Pan regent zadzwonił, a w chwil kilka potém, weszła stara klucznica, trzymając tacę srébrną, a na niéj dwie butelki wytrawnego Pikardu i jeden wcale nie wielki kieliszek, na którym był rznięty z jednéj strony Orzeł Polski z Pogonią Litewską, a na drugiéj sentencya: »*Paulatim summa petuntur*« jakoby dla ostrzeżenia, żeby szczupła objętość kielicha nikogo nie gorszyła. Zaczęła się percepta wina, a expens słów; preliminaria ważniejszéj rozmowy, gdy pan strażnik rozwinąwszy plik, wydobył z niego zabrudzony zgrzybiałością dokument:— Patrz mości regencie jaka to teraz sprawiedliwość między ludźmi— ten rozbojnik Massalski, który *via facti*, młyn mnie podtopił, a z którym nie mogę doczekać się sprawy, tak mnie urywa szpagaty na akcessoriach: w manifeście swoim śmie mówić, że mój młyn młodszy, a więc starszemu miejsca ustąpić musi— i p. Szukszta za jurystę uchodzi!— a to chyba w Statucie tatarskim wynaleźli ten piękny axiomat— to już starszemu każdego batożyć wolno, dla tego tylko że poźniéj się urodził, ale i w Statucie tatarskim moje na wierzchu— oto ryjąc się po moim archiwum, uważaj kochany regencie, jakiego dokumentu się doryłem— jak wół

dekret działowy *anno domini* 1589 między dwóma braćmi Słuszkami, dziedzicami niegdyś dóbr i moich i xięcia Biskupa. Wyraźnie stoi dukt: od rudy nazwanéj Tumiele, aż do wąwozu Suchojeża, ciągnąć się ma linia graniczna dwóch sched— dotąd stoją kopce, a właśnie na téj rudzie postawiłem młyn; już ci ja się zdaję na sąd choćby cygański; jeżeli *anno domini* 1589, już było to nazwisko Tumiele, oczewiście musiał być kiedyś i młyn. więc z mojéj strony, to nie jest *de nova radice constructio*, ale *renovatio*, cóż na to powiedzieć?— A to prześliczny dokument.— Pszeniczka dla nas rośnie, nieprawda?— Nie ma złego, co-by na dobre niewyszło, jak my teraz dobrze wychodzimy na tém, że xiążę Biskup na przewłoki się puszczał, tym dał p. strażnikowi dobrodziejowi czas lepiéj się przygotować.— Ot wiesz co mój regencie. nie ma jak przerzucać stare dokumenta. bo i zabawić się można i nauczyć; namalujemy porządny regestrzyk pretensyj, nieprawda! bo ja *cum plenissima fiducia* oddaję się jego łaskawéj przyjaźni.— O to pokój mości strażniku, na następnéj kadencyi damy się we znaki JW. Pasterzowi, już pan Szukszta wszystkie skoki wyczerpał, żeby puścić interes na delatę, rad nierad na Święto-Michalskiéj kadencyi będzie musiał się sądzić, albo opaskudzi swojego pryncypała kondemnatą.— Panie regencie dobrodzieju, wierz mi, że cudzego nie pragnę, nawet o swojebym mniéj dbał, gdyby nie ambicja, niech próg swojego młyna zniżę, ale za wyrokiem sądowym, a u nas podkomorzowie są ludzie, którym zaufać można śmiało. Tego tylko żądam dla siebie, a co się tyczy bonifikaty, lukrów, luitów, przezysków prawnych, to wszystko z całego serca panu regentowi odstępuję. Miło mi będzie, choć tym przysłużyć się

mojemu dawnemu dependentowi, a sam widzisz, że mój interes czysty, a sprawa z niecnotą dwónastéj próby. I tak rozprawiali obaj prawnicy, często odświeżając gardło rubinowym napojem. Nastąpiło milczenie niekrótkie, gdyż regent był istotą wiele myślącą, wiele piszącą, ale mało mówiącą, wyjąwszy przed kratami; tam aż do zbytku argumentował, w domu zaś pisał, modlił się i pił: więc kiedy strażnik milczał, on wcale się nietroszczył podsycaniem rozmowy, ale machinalnie nalewał wino w próżny kieliszek, a cały jego umysł był zajęty, a raczéj zatopiony w rozmaitych kombinacjach strategicznych, co je miał rozwinąć w sprawie dawnego mecenasa, zagrzany ustępstwem przezysków, na których kwotę spoglądał mikroskopicznym okiem łakomstwa. Zatopiony w dumaniu, ledwo się ocknął, kiedy strażnik tubalnym swoim głosem odezwał się:— mój regencie, Bóg świadek, że już mnie obrzydła ta sprawa moja z niegodziwym Biskupem, niechże ona sobie idzie na wolę Bożę, pod przyjacielską opieką WPana, a teraz mam pomówić o innéj rzeczy, nierównie dla mnie ważniejszéj, bo tu idzie o los mojego dziecka, co go widzisz przed sobą; stosownie do naszéj umowy weźmiesz go do siebie dla zmazania naszego rachunku.

—Ja zrobiłem z Wpana jurystę. zrób nim mojego chłopca, a będzie między nami kwita. Składam panu regentowi *plenissimam potestatem paternam;* jak dobry ojciec miéj baczność, żeby się nie zwałał, a pracował, a gdyby paniczowi jakie fąfry przyszły do głowy, to chociaż drymblas retorykę skończył, od czegoż kobierzec i plecionka bóćkowska? Przypomnij no sobie kochany regencie, że jak nieboszczka koniuszyna WPana do mnie przywiozła, że byłeś u niéj rozpieszczonym, z po-

czątku parę razy okuńkiem mnie stanąłeś, ale jakem ci porządną łaźnię sprawił, w gołąbka się przemieniłeś; teraz, żeś na człowieka całą gębą wyszedł— dziękujesz mi za korrektę, otoż odwdzięcz się na moim synu; on w domu nie był rozpieszczonym, bo był dzieckiem kiedy jego matka mnie porzuciła z łaski tego Massalskiego, z którego dobrami, widać że za grzechy moje sąsiaduję bo niedość że mnie zgubił i w sławie i w pożyciu domowém, ale jeszcze na własność krwawą pracą zarobioną nastaje. Tyle mi tylko pozostało, że przynajmniéj tego chłopca wychowanie od nikogo nie było mieszane, WPan go weź na examin, obaczysz że do pióra zdatny, a czego mu niedostaje przy WPanu się douczy— a dobywszy z kieszeni od hajdawerów woreczek, oddał go Michałowi mówiąc:— Oto nasz sto tynfów, jest to waścine półroczne postanowienie, jużem waści od stóp do głowy oporządził, więc to powinno wystarczyć, tym więcéj, że to wszystko moja łaska; waść niemasz nic swojego; matka wszystko z sobą zabrała, nawet reformę swojego posagu gotówką odebrała, co ja ją aż krwawą pracą i odejmując sobie kęs od gęby ledwo zdołałem odłatać; upominałem się żeby choć cokolwiek dla waści zostawiła, ale ten Massalski, co go chyba przez sen ojciec święty biskupem zrobił, bo on w P. Boga nie wierzy, wszystko czego tylko żądała i nie żądała przysądził jéj na złość Bogu i naszemu Statutowi. Waść niemało korzystałeś z mojéj łaski, starajże mi się z czasem to wynagrodzić. Odtąd będziesz na chlebie P. regenta, mojego dobrodzieja, a pamiętaj byś go darmo nie jadł. Słyszałeś jakem zlał na niego moją ojcowską władzę. Jak mu będziesz posłusznym, jak on, wyjdziesz na człowieka, a jak będziesz bąki strzelał zamiast pilnowa-

nia dokumentów, to się dowiesz jaki batog lepiéj spleciony, jezuicki czy jurystowski. Jak będę uważał że waść się dobrze sprawujesz, będę mógł coś waści wyświadczyć; jednak nie spuszczaj się na to i staraj się żyjąc z własnéj pracy, nikomu nie być ciężarem.— Tę naukę dobrze przyjął strażnikowicz, bo wychowaniem swojém był do niéj przygotowany. Ani mu przeszło przez głowę, rościć sobie jakie prawo do własności ojca, będąc przekonanym, że przyjąwszy od niego życie i wychowanie chrześciańskie, niczém tego w zupełności odwdzięczyć nie może. Nadto czuł, że mając głowę i ręce, winien pracą wywiązywać się ojcu swojemu. Padł mu do nóg, dziękując za staranie około jego niemowlęctwa i młodości, za świeże obdarzenie odzieżą i groszem, dodając, że przy łasce Bożéj a posłuszeństwie P. regentowi, pochlebia sobie, że będzie kiedyś pociechą i pomocą ojca. A strażnik takim sposobem ulokowawszy syna, odjechał go z powierzchownością zimną, jednak z sercem nieco rozczuloném.

IV.

Michał zostaje Jurystą.

Michał z taką pilnością wziął się do pracy, że po upłynieniu kilku miesięcy, już był, jak to mówią, prawą ręką regenta. Obeznał się z prawem i procedurą, summarjusze układał, najlepszy porządek wprowadził w kancelaryi swojego mecenasa, tak, że jak regent zapotrzebuje jakiego dokumentu, tylko okiem rzuci na summariusz, a już wie gdzie go znaleźć; nawet zaczął *merita* pisywać, aż się rozpływał regent, a strażnik mógł się o tém własnemi oczyma przekonać, bo xiążę Karol Radziwiłł, jeszcze miecznik litewski, ale wkrótce potém Wojewoda wileński, świeżo odziedziczywszy majątki, po śmierci ojca na niego spadłe, dopiéro zawiązawszy bandę Albeńską, między jej członkami pomieścił jenerała Kunickiego i naszego strażnika. Piérwszemu powierzył kierunek swojéj partyi w województwie mińskiem, a nie-

mniej szacując strażnika, a przytém znając jego osobistą nienawiść do xięcia Biskupa Massalskiego, najgłówniejszego przeciwnika Radziwiłłowskiego domu, jemu powierzył stér téj partyi w powiecie słonimskim; ztąd częściéj przesiadywał w Słonimie i miał zręczność oszacowania postępków synowskich, tyle pochlebnych dla rodzicielskiego serca. Z tém wszystkiém poczciwy Michał cierpiał niedostatek, a żarliwa jego praca, jeszcze losu ułagodzić nie mogła. Synowi możnego obywatela, trzęsącego całym powiatem, a niebędącemu jeszcze jurystą przysięgłym, szlachta nieśmiała dawać nagród pieniężnych, odwdzięczając się czapką za rozmaite posługi, jako kwerendy, pisanie manifestów i tak daléj, a tu trzeba było utrzymać się na równi z kolegami, synami mniéj możnych obywatelów, a którzy jednak mieli od rodziców obszerniejszą sustentacją. Trzeba było odziewać się po ludzku, przyjąć lampeczką nawiedzających przyjaciół, na swoje imieniny dobrze obrus oblać, a na to wszystko dwieście tynfów na rok, żeby miał łeb Salomonowy, niedałby sobie rady. Pomimo najskrzętniejszéj rachunkowości, wpadł w długi, jakkolwiek niewielkie, ale które do tego stopnia mu dokuczyły, że bądź-cobądź, za radą i zezwoleniem P. regenta, postanowił udać się do ojca, azaliż go nie raczy wesprzeć. Okoliczność ku temu była trafna, albowiem na ostatniéj kadencyi attentował sprawy ojca z P. Mohyłą, wielkim pieniaczem i klientem xięcia Biskupa, i nic pewniejszego, że staraniem swojém tę sprawę wygrał, gdyż właśnie podczas téj kadencyi, ciężka choroba przykuła P. strażnika do łóżka na wsi. Pojechał Michał na wieś do ojca, i kiedy do niéj wjeżdżał, zdaleka ujrzał ojca przechadzającego się po wygonie z swoim rządzcą. Wyskoczył z wózka, rzucił się ojcu

do nóg i klęcząc wręczył mu extrakt dekretu, wskazującego P. Mohyłę na wieżę i grzywny za porąb lasu, bo o to była sprawa. Strażnik bardzo się okazał uradowanym, podniósł syna, piérwszy raz w życiu w czoło go pocałował, z ciągłą uprzejmością do niego mówił, a nawet w czasie wieczerzy, za jego zdrowie w ręce swojego rządzcy lampeczkę starego lipcu wypróżnił.

Co tak, to ale, mój Michasiu, wszyscy o tobie najlepiéj mówią, a sam uważam, że mówią prawdę, kiedyż przysięgę wykonasz i będziesz formalnym jurystą, jakim jest P. regent Wojszwiłło, a jakim był niegdyś jego mecenas, a WPana ojciec przez lat dwadzieścia z górą. To to były dobre czasy! ale i teraz kto ma głowę i serce, da sobie rady. Obaczysz jak pieniążki będą płynąć, i nam będziesz mógł pomagać.— Pokornie dziękuję Jmci dobrodziejowi za dobrą wróżbę, i ja puszczam wodze nadziei, jednakże będąc w wielkiéj i naglącéj potrzebie, ośmielam się kołatać do łaski Jmci dobrodzieja.— O ho, czy czasem do kieszeni mojéj WPan niezazierasz? wolałbyś czém lepszém swoje oczy zatrudniać, bo nic nie znajdziesz w mojéj kieszeni. WPan chciałbyś i być młodym i mieć pieniądze, a tu na jedném poprzestać trzeba. Oj żebym mógł mieć WPana młodość, oddałbym chętnie tych kilka groszy, które zapracowałem, a których nie najwięcéj jest.— Ten rok tylko dla mnie przyciężki, ale na następnych roczkach stawać będę za inkarceratami, jeżeli mi się uda, po kadencyi przysięgę wykonam, a obywatele będą mi powierzać formalnie swoje interesa, i za nie płacić *deservitam mercerdem*, nie tak, jak dzisiaj, co się pięknie kłaniają za moję pracę, a w to niewchodzą, że wiatrem żyć nie można.

A jak się nie uda, rzekł strażnik ?— Za cóż-by mi się

nie miało udać, wszak kilka moich merytów P. regent za swoje wyczytał w ziemstwie, a przez nie na sławie nie ucierpiał. Sam Jmć dobrodziej wiesz, że o tych merytach źle nie mówiono— Naprzykład, wiele byś WPan zażądał?— Żebym miał teraz trzy tysiące, to by mi los stanowiło.— Tu się strażnik zerwał od stołu i szybko zaczął chodzić po izbie.— Trzy tysiące, trzy tysiące, ani się zająknął panicz, o to mi gracz, a co to waść, chcesz majątek wziąść w dzierżawę, a wykaraskać się od jurysteryi; trzy tysiące, jaki mi hojny, a zkąd ja wezmę trzy tysiące, a kto ma trzy tysiące, a na co WPanu trzy tysiące?— Ja niemam prawa takiego daru żądać, proszę tylko Jmci dobrodzieja o pożyczenie mi téj summy, a za rok, da Bóg doczekać, mam nadzieję najskrupulatniéj uiścić się na terminie.— Nadzieję, nadzieję: o podobnéj ewikcyi Statut Litewski nie wspomina, wszelako powiedz no waszeć, jaka też tam przecie nadzieja, niech i ja się o niéj dowiem.— Mam deklarację P. regenta, że jak tylko przysięgę wykonam na jurystę, suscepta zaraz mi będzie oddana, otoż i kawał chleba uczciwy; a prócz tego liczę jak na cztéry tuze w tryszaku, na kilku możnych obywatelów, co mi swoje sprawy powierzą, z oznaczeniem rocznéj kapitulacyi. Sam Jmć dobrodziéj osądź, czy jest *pignus responsionis* na trzy tysiące.— Tu strażnik usiadł na nowo za stołem, a dzwoniąc widelcem po lampeczce.— Àbo jest, abo nie jest, na dwoje babka wróży; tać to jest coś w tém co waść mówisz, tylko że nie bez ale; jak zostawszy jurystą pójdziesz na swój chleb, wydatki jak rzęsisty deszcz spadną na waściną głowę, wszakże pod gołém niebem nie rozłożysz szatry jak cygan, ani pieczone gołąbki padną do gąbki, trzeba będzie pomyśleć o chacie, o spiżarni,

o usłudze, a to wszystko darmo nie przychodzi— Mam nadzeję, że Jmć dobrodziej pozwalając chodzić koło jego interesów, pozwolisz mi także swojego dworku i jakiéj fury zboża na piérwszy początek.— Otoż to nadzieja bardzo ślizka, ja niemam takich spraw, żebym za ich atentowanie darmo oddawał mój dworek. Bagatela, dom w Słonimie, kuchnia, wozownia, lodownia, piwnica murowana, śpichrz, to mam oddać, bo to borowiki samo z siebie wyrosły, nic nie kosztują. Dworek darmo i jeszcze zboża furami, gwałtu! A to piękny świat dzisiejszy, jeszcze interesów nie zaczepił, a już z góry obdziera; dworek to mało, jeszcze zboża furami, może owsa, może słoniny i masła? Drzyj łyko, kiedy drzesz, szkoda tylko, że się drzeć nie daje; a na co ten dworek, a na co takie dodatki do niego?— Ja Jmci dobrodziejowi darmo służyć będę jak każesz i póki każesz, jako jemu i teraz służę. Pan regent na piśmie przyzna, że w sprawie z P. Mohyłą, pióra w kałamarzu nieumoczył, jenom ja wszystko robił, bo to była moja powinność, a tuszę że przy miłosierdziu Bożém, całe życie jéj dopełniać będę. Pochlebiałem sobie, że wyproszę wsparcie Jmci dobrodzieja dla siebie, a chociaż w tem nieznajduję jego łaski, lubo smutny odchodzę, przeto mniéj gorliwie jemu służyć nie będę.— A w jakiéj gorącéj wodzie kąpany; już niełaska! kto waści powiedział, że ze mną niebędzie roboty; poczekaj, daj no odetchnąć, jużci mojego dworku nie odmawiam, byleś go sam ze swego utrzymywał, a mnie się nigdy nienaprzykrzał o żadne reperacje; dodam ci stroża ze wsi, byle zostawał odtąd na twoim koszcie, a co się tyczy opału, w tém twoja głowa, o tém i słyszeć niechcę. Notabene ile razy przyjadę do Słonima, żeby zawsze dla mnie była izba czy-

sta, a w zimie ciepła, uważasz panie Michale, a co do pieniędzy, da Bóg doczekać, sam zjadę na roczki, jeżeli mi się waść spiszesz, pieniądze będą, a ja kontentować się będę waścinym podpisem. Mam w Bogu nadzieję, że uzbieram do roczków trzy tysiące; trzy tysiące! a jak to coraz drożéj wszystko kosztuje. Oj te dzieci, z niemi dobrze, dopóki kieszeni nieprzerosną. Tać to prawda, że gdy syn na swój chleb idzie trudno mu nie dać pomocy. Dobrze że przynajmniej pożyczanym sposobem, inny może darmicą chciałby zachwycić sumkę, taki to teraz świat, a chłopiec pracuje, wiem o tém z boku; no, no, dam, dam, bądź spokojny, byleś mi się przed kratami popisał, i byleś ósmy procent zapłacił; *clara pacta, claros faciuntur amicos.* Wszak sam uważasz Michasiu, że na dość ślizką ewikcję pożyczam.

Michał pełen dobrych nadziei, odjechał ojca, który nazajutrz jeszcze rozmawiając z swoim totumfackim i plebanem unickim, ciągle w różanym humorze, nieszczędził pochwał dla syna. W saméj istocie, po téj walce między sknerstwem a miłością rodzicielską, ostatnia odniosła uroczyste zwycięztwo, i tego podziwiać nietrzeba. W naszym narodzie, ludzie skąpi, są pospolicie wzorowéj poczciwości, bo nic błędniejszego, jak uważać skępstwo rzeczą nieodłączną od chciwości; przeciwnie marnotrawcy, ludzie zwykle podli i nikczemni, są zawsze chciwi. Ciągle potrzebni, ciągle łakną, by mieć czém zaspokoić te potrzeby, które pożerają majątek, a potém cześć, wstyd, sumienie; a jednak nigdy zaspokojonemi być nie mogą. Marnotrawca niema téj niezależności, wielkiéj rękojmi cnoty, a którą i ubogi człowiek zabezpieczyć sobie może. Skąpiec, jeżeli jest poczciwym, o ile dba o swoją własność, o tyle mniéj jest żądny cudzéj; nawet uwa-

żałem że u podobnych skępców, ta ich zapobiegliwość nie tyle pochodzi z cielesnego przywiązania do pieniędzy, ile z jakiegoś moralnego przekonania, że są poniekąd odpowiedzialni przed Bogiem z majątku co od Niego otrzymali, by ten wzrastał i kwitnął za ich pracą i staraniem. Z tego rzędu ludzi był i nasz strażnik. Przywiązany do tego majątku co go utworzył i wypielęgnował, chętniej by zezwolił na wyzucie siebie z niego, niż na jego podwojenie z obrazą Boga i sumienia. Gdyrał często na syna, ale miłował go szczerze i poważnie, bo to przywiązanie na szacunku było oparte. Zresztą Michał był powtórzeniem ojca, aż do najdrobniejszych szczegółów; jedne wyobrażenia polityczne, taż sama pobożna poczciwość, takież przywiązanie do ojczystych obyczajów, taż wzgarda dla wszelkiej cudzoziemczyzny, taż nienawiść zbytku we wszystkiem, oprócz w okazaniu gościnności.

Roczki nastąpiły: nasz strażnik stosownie do obietnicy zjechał do Słonima, gdzie zjazd był niemały. Michał z dziesiątek razy stawał za inkarceratami, i wymową tak wszystkich zachwycił, że aż rosło serce staremu; o niczém nie mówiono w Słonimie, tylko o rozumie strażnikowicza, szczególnie podczas ustępów brzmiały jego pochwały.— Co to, zagaił P. Korbutt, podstoli słonimski, wielomówny starzec, a niegdyś zawołany mecenas, nasz pan Michał półarkuszowe perjody wypowiada jakby z niechcenia, za dawnych czasów nawet dłuższych niezdarzało mi się słyszeć, wszak to około sześciudziesiąt lat jakem wstąpił do palestry, jeszcze to ja pamiętam kiedy tędy przejeżdżał Król Sas, jadąc do Birżów dla widzenia się z Piotrem Wielkim. Dependowałem wtedy u nieboszczyka Mitarnawskiego, co to go nazywano Demostenesem sło-

nimskim. Pan Mitarnawski bywało jak znajdzie w Cyceronie jaki długi perjod, zaraz go przepolszczy i do swojego induktu doczepi, że aż miło słuchać. Świeć Panie nad jego duszą, to był wielki mąż, niedbający o majątek, a tylko żyjący dla sławy, a korrespondencję miał z całym światem. Nie było dnia, żeby po kilka listów własną ręką nienapisał, a każdy jego list zaczynał się od litery Z. To był tak rozumny człowiek, że kiedy kaznodzieja z ambony jego postrzeże, zawsze się zmiesza. Ja tego może nie doczekam, ale pamiętajcie moje słowa, obaczycie, że pan Michał będzie drugim Mitarnawskim.—

— A uważaliście, odezwał się pan Godziemba, komornik graniczny, jak to pan Michał w sprawie tego diaczka co cerkiew okradł, zręcznie zastosował tę sentencję Tacyta, *quid leges sine moribus?*

A Vicesgerent Rymunt:— abo jak on to *acuminose* porównał tych co zbyt literze prawa dufają, niezgłębiając jego ducha, do tego królewica, co rozjazdem chciał komory nakrywać. W jego induktach wszystkiego dostaniesz, jakby w nowych Atenach. Jest tam i pismo święte i Tacyt i Dekoloniusz i Kochanowski, nawet bajki któremi piastunki dzieci usypiają. A każda rzecz na swojém miejscu, jakby dla niego stworzona. W młodéj dziecinie, nauka słynie. Młodyć strażnikowicz prawda, ale już jeden z pierwszych naszych prawników.

A strażnik to wszystko słysząc, z radości niczego wymówić nie może, tylko jedną ręką pieści wąsa, a drugą bije się po bokach. Przy końcu kadencyi P. Michał przysięgę wykonał i został przyjęty do grona słonimskiej palestry. Wszystko co widział i słyszał P. strażnik, tak jemu pochlebiało, że kiedy syn przysięgę wykonał, roz-

płakał się z radości. *In gratiam* synowskiego zaszczytu, sprawił wielką ucztę, na którą całą publiczność słonimską zaprosił, i tam odliczył nie trzy, ale cztéry tysiące: tysiąc złotych w darze, a trzy za jego obligiem, ale po siódmym, czy ósmym kielichu, jak się rozochocił, wyjął oblig z zanadrza i rozdarł go, mówiąc: synu, kwituję ciebie z twojego długu, byleś mnie nigdy nie kwitował ze swojego przywiązania. Michał padł do nóg ojcu, który podniosłszy go, wziął w swoje objęcia. Ojciec i syn splotli się ramionami, zaczęli się całować, i serdecznie się popłakali. Cała szlachta to widząc, także w płacz; ale jakoś tę rzewliwość, zapito.

Tak pan Michał na wstępie swojego zawodu, okrzyczany mężem wysokiego światła i wielkiéj wymowy, wkrótce stanął na piérwszym szczeblu palestry słonimskiéj. Najmożniejszych obywateli interesa zwaliły się na niego, tak że i sława go wieńczyła, i pieniądze poczciwie zarobione do niego płynęły. Nie tylko że swojego smacznego chleba sam nie jadał, że nikogo u siebie nie przyjął bez napojenia go z serdecznością szlachecką, ale chociaż ubogich wdów i sierot sprawy promował z tąkąż samą gorliwością, jakiéj nieoszczędzał w sprawach najmożniejszych obywateli powiatu, jednak nie tylko że na wszystko mu wystarczało, ale nawet zaczął zbierać kapitaliki, które oddawał xięciu Wojewodzie, a które co roku wzrastały z wielką radością ojca, który o wszystkiém wiedział, gdyż P. Michał nic nie robił bez jego rady i błogosławieństwa.

V.

Wychowanie Zagraniczne.

Ludwik inną poszedł koleją. Po odjeździe Michała z konwiktu warszawskiego, więcéj roku w nim niepozostał, hrabia Mycielski, mając stosunki pokrewieństwa z Królem Stanisławem Leszczyńskim, wyrobiwszy pasierbowi kawalerstwo Maltańskie, zawiózł go do Lotaryngii, i tam umieścił w szkole rycerskiéj, świeżo przez tego Króla założonéj w Lunewilu. Tam przyjął wychowanie starowne, a z nim ten polor, który dworzan francuzkich, od wszystkich innych odznaczał. Gdy wyszedł z korpusu, Król wyrobił mu stopień kapitana w jednym półku zagranicznym na żołdzie Francyi, a przeznaczonym na wojnę przeciwko Prusakom. Ludwik młody, zgrabny, waleczny, nadzwyczajnéj urody, łatwo pozyskał szacunek i zaufanie swoich wodzów. W bitwie pod Minden, pod okiem naczelnego wodza, kula na wylot twarz mu przestrzeli-

ła. Blizna z rany pozostała, nie tylko że go nieoszpeciła, ale nawet go robiła powabniejszym, wdzięk rycerski mieszcząc na jego obliczu. Marszałek de Broglie, polubiwszy Ludwika, odesłał przez niego do Wersalu kilka znamion pod Klostercamp zdobytych z najchlubniejszém jego zalecaniem. Przedstawiony królowi, otrzymał zaszczyt jeżdżenia w karetach królewskich 1), a tym samym pozwolenie uczęszczania do dworu. Ledwo się pokazał na Wersalskich assamblach, tak zajął wszystkich urodą i dowcipem, że damy dworu wkrótce inaczéj go nienazywały, tylko *le beau comte polonais*, a co go podniosło do najwyższego szczytu wziętości, to że gdy w przytomności Ludwika XV. tańcował z margrabiną de Pompadour menueta, *Menuet de la Reine*, Król ten głośno się odezwał, że równego tancerza niema w całym dworze. Wiadomo jest jakie było znaczenie takiéj pochwały w owym czasie, kiedy jedno pochlebne słówko w ustach Króla, wyżéj było cenione, niż odgłos sławy odbity od całéj Europy. I w saméj rzeczy, czego mu niewyrobili wodzowie, świadki i sędziowie jego waleczności, menuet zgrabnie tańcowany mu wyjednał. Albowiem w kilka dni potém margrabina mu wyrobiła Ś. Ludwika krzyżyk i stopień podpółkownika, do tego sześć tysięcy franków dożywotniéj pensyi i appartament w Wersalu. Ludwik oddany zbytkom wielkiego świata i szczęśliwym zalotom z najpowabniejszemi i najsłynniejszemi ozdobami świetnego dworu, nadto był rozpieszczonym teraźniejszością, by aż o przyszłości miał myśleć. Niemając in-

---

Wiadomy jest ten rodzaj zaszczytu, którego otrzymać nie można było, aż dowiodłszy przynajmniéj trzysta lat szlachectwa.

podolskich, drugi Stanisław Poniatowski, stolnik wielki litewski: nawet temu ostatniemu zrobił wielką przysługę, gdyż niemającemu o czém do Polski powracać, pożyczył na słowo 1,000 luidorów, nie domyślając się zapewne na jak wielką lichwę je umieścił. Wkrótce potém inny zalotnik zdołał go wyrugować z serca margrabiny, czém utracił niewyczerpaną skarbnicę dostarczającą na jego zbytki. Gdy tak fortuna odwróciła się od niego, nie było środków do utrzymania tonu raz przyjętego, a przy najlepszych chęciach, już-by nieumiał poprzestać na pensyi, dla innego aż nadto dostatecznej. Tak dola jego zaczęła się pochmurzać. W tych tedy alternatach nadziei i rozpaczy, doszła do niego wieść, że stolnik Poniatowski, silny wsparciem potężném, otwarcie idzie do dopiero zawakowanej korony polskiej. Ludwik niewiele myśląc, sprzedawszy swoje meble, ekwipaże i srebra, a tém jako człowiek nieposzlakowanego honoru opłaciwszy swoje długi, opuścił Wersal i Paryż, by szczęścia probować w téj Polsce, zkąd go dzieckiem wywieziono. Wyjechał z kosztowną garderobą i mnóstwem drogocennych rupieci, szczątkami faworów fortuny, sypiących się na niego przez lat kilka. Lubo był zupełnie zfrancuział, nie był jednak zerwał wszystkich stosunków z ojczyzną. Co roku przynajmniej pisał do ojca list etykietalny, do ojczyma częściej, zwłaszcza po śmierci matki, niemniej do Michała, zachowując w troskliwej pamięci zadatki miłości braterskiej, co je odbierał w konwikcie warszawskim. Do ojca i brata pisywał po polsku, gdyż na dworze Króla Leszczyńskiego ten język był w używaniu; nawet ten Król przestrzegał, by młodzież polska, ćwicząca się w jego szkole rycerskiej, między sobą wyłącznie ojczystej mowy używała. Strażnik odpisywał mu, zawsze zapraszając go

do powrotu, żeby mu w gospodarstwie pomagał, a nakoniec napisał do niego razu jednego, że mu wyrobił miejsce u xięcia Wojewody wileńskiego, i że właściwiej dobremu szlachcicowi służyć panu z panów, niż za górami świecić baki niemcom paryzkim. Od brata częste odbierał odezwy, a chociaż przez odmienne wychowanie, nie mogło być w ich wyobrażeniach żadnych styczności, miłowali się jednak wzajemnie i jeden o drugim myśleć nie mógł bez westchnienia.

Przybywszy do Warszawy, trafił Ludwik na sam dzień ogłoszenia Królem Stanisława Poniatowskiego, i był jednym z piérwszych, co swojemu panu złożyli hołd poddaństwa. Król go przyjął jako dawnego przyjaciela, i sam go przedstawił damom swojego dworu, a xiążę Adam przymusił go, by przyjął pomieszkanie w jego pałacu. Wykwintność jego ubioru, mądrość jego fryzury, bo jednego z najgłośniejszych fryzyerów paryzkich z sobą wywiózł, to wymawianie zagraniczne w mowie polskiéj, te krzyże obce na piersiach, ta blizna na twarzy, odgłos jego bitw pojedyńczych, szczęścia do kobiet, faworów pani de Pompadour i panny Gaussin, to wszystko dało mu najwyższą powagę w stolicy zepsutéj i już nawykającéj szydzić z ojczystych obyczajów. Król, miłośnik zapalony wszelkiéj cudzoziemczyzny, chcąc go nazawsze przywiązać do siebie, w kilka dni po jego przybyciu, konferował mu wakujące starostwo wieluńskie, a xiążę Adam, wstawieniem się swojém do ojca, xięcia Wojewody ruskiego i stryja, Kanclerza litewskiego, wyrobił mu kommandorję poznańską. Tak na wstępie do ojczyzny przywitały go i urząd i kilkadziesiąt tysięcy intraty. Nic więc dziwnego, że szczerze przywiązał się do strony, do któréj samém wychowaniem nie mógł nie czuć

pociągu, a cóż dopiero, kiedy ona go jeszcze obsypywała łaskami, i że kiedy strażnik z Michałem pod znamionami xięcia Karola Radziwiłła, walczyli przeciw Stanisławowi, Ludwik, głowa gabinetu królewskiego, i radą i piórem popierał partję, będącą u całej jego rodziny w nienawiści. Zapisane są dokładnie w historyi, wypadki w Polsce, wydarzone po śmierci Augusta III. Naród po każdém bezkrólewiu musiał opłakiwać konwulsję bezrządu. I wtedy na dwa stronnictwa się podzielił: jedno z nich prowadzili wujowie królewscy, na czele drugiego stał xiążę Karol Radziwiłł. Zbliżała się chwila przed którą narody gasnące już ani umieją, ani mogą sobą władać. W takich okolicznościach, samo z siebie, władza do obcych przechodzi.

Xiążę Prymas Łubieński i xiążę Kanclerz litewski, jedyne organa legalne, któremi naród do obcych rządów mógł przemawiać, usilnemi prośbami wyjednali od sąsiednich mocarstw, wprowadzenie ich wojska, dla utrzymania przeciw wszelkim fakcjom, swobodnej elekcyi Piasta. Napróżno xiążę Karol Radziwiłł opierał się; Stanisław August jednomyślnie obranym został od tych wszystkich, co zebrani byli pod Wolą, a pobudzony przez wujów swoich, ludzi mściwych. długi czas nieprzestawał ścigać naczelnika zwyciężonego stronnictwa. W stosunkach dyplomatycznych, król nieprzestawał wystawiać xięcia przed dworami sprzymierzonemi z Polską, jako barbarzyńca uciskającego spokojnych obywatelów, za pomocą utworzonej zgrai, która go otacza, zgrai, złożonej z wichrzycieli opierających się wszelkiemu porządkowi. Tak xięcia oczerniwszy, a odjąwszy mu wszelką nadzieję wsparcia, nawet od dworu z nim związkami krwi połączonego, stronnictwo króla, zemstę swoją nad nim, do

ostatniego kresu posunęło. Wyzuty z urzędów, z majątku, najpotężniejszy, najpopularniejszy magnat, został banitą i tułaczem, i może-by nim był do końca żywota swojego, gdyby Stanisław August, którego całkowite panowanie było pasmem intryg, sam siebie w nich nie był uwikłał. Zdało mu się, że zdoła poróżnić między sobą mocarstwa, które jego królestwo okrążały. Najpotężniejszemu z nich, lubo wszelkiemi czynnościami i oświadczeniami okazywał najuniżeńszą powolność, przecie się naraził: usiłował albowiem wejść w ścisłe stosunki z innym mocarstwem i zawiązał tajemne układy, by otrzymać rękę tamecznej królewny, lecz nie tylko że ta nadzieja spełzła na niczém, jeszcze zdradzonym został przed potęgą, któréj wszystko był winien. Ale na tém najlepiéj wyszedł xiążę wojewoda, bo mocarstwo oburzone niewdzięcznością i chytrością Króla, dopuściło Radziwiłłowskim przyjaciałom zawiązać konfederację w Radomiu. Ta konfederacja, silna taką pomocą, uchyliła dekret wskazujący xięcia na banicję, powróciła mu urzędy i dobra, i ogłosiła go swoim marszałkiem, a Rzeczypospolitéj alianci, uznawszy w téj konfederacyi, wkrótce zamienionéj w sejm, pełność władz narodowych, odnowili z nią alians, a jéj marszałkowi powierzyli nawet dowództwo wojsk swoich, konsystujących bądź w Polsce bądź w Litwie.

VI.

Zaręczyny.

Nim te szczęśliwe koleje nastąpiły, kiedy to jeszcze xiążę Wojewoda wileński pierwszy raz rozpoczynał wojnę domową, żaden Albeńczyk, ani wiekiem, ani słabością się nie wymawiał od współdziałania. Generał Kunicki z synem jedynakiem, pan strażnik ze swoim Michałem, i tylu innych, równych im wiekiem i zasługami, siedli na koń, każdy, wedle dawnego obyczaju, przyprowadziwszy ile mógł ludzi zbrojnych. To wszystko, luboć nie w najlepszym porządku, biło się z walecznością słowiańską pod dowództwem xięcia Wojewody. Ale z jednej strony, przemagające i siłą i karnością wojsko przeciwne, z drugiéj rozdwojenie narodu, bo Król, tém samém że był Królem, miał silne i legalne stronnictwo, a rząd trzymając przy sobie, pole obszerne do rozsiewania niezgód między konfederatami: nic dziwnego więc, że xiążę po-

konanym został. Zwyciężony pod Nieświeżem, a dłużej nie mogąc się utrzymać na Litwie, przebojem poszedł przez Wołyń i Ukrainę na Wołoszczyznę, w nadziei skłonienia Porty Ottomańskiej do wojny.

Ten jego pochód w częstych bitwach, przez kraje tak otwarte, czeka na dziejopisarza, a ten przekona może, że ów xiążę *Panie Kochanku*, co go ludzie olśnięci ogładą ośmnastego wieku, mieli co najwięcej za cnotliwego dziwaka, był jednak bohaterem w nieszczęśliwym okresie, kiedy żadne ofiary na nic się nie przydawały. Wszystkie rachunki go zawiodły, zamiast posiłków Tureckich zastaje morowe powietrze na Wołoszczyźnie, dokąd się dostał niesłychaną przytomnością i cudami odwagi swojej, i szlachty od niego nieodstępnej. Widział z boleścią duszy, że jego szeregi rozrzadzone orężem, jeszcze więcej morem zdrobniały. Wtenczas właśnie przyszła z Warszawy amnestya powszechna dla wszystkich przeciwników królewskich, z której jeden tylko xiążę Wojewoda był wyłączony. Xiążę mimo siebie puszczając, co się jego osoby dotykało, uradowany że zemsta ocaliła jego stronników, sam ich namówił by się nie opierali losowi, przekonawszy ich, że w każdym względzie muszą być nieczynni. Wyprawił ich tedy do ojczyzny, a sam z kilku przyjaciołmi, którzy go odstąpić nie chcieli, rozpoczął po Europie te peregrynacye, którym dopiero Konfederacya Radomska położyła koniec.

Powrócili więc do domów swoich poczciwi Litwini, a z niemi generał Kunicki i nasz strażnik. Pierwszy już bez syna, bo tego stracił w przeprawie przez Dniestr; drugi, przebywszy morowe powietrze, z swoim nieodstępnym towarzyszem Michałem. Banicya xięcia, nieczynność na jego partyi wymuszona, potęga partyi jemu

przeciwnej, więcej mu się uczuć dały, niż widok własnego domu w popiół obróconego, gospodarstwa zrabowanego, i znacznej części poddaństwa rozpędzonego. Zagrzebał się na wsi, odosobnił się od tych z któremi najściślejszą przyjaźnią nie był związany, odbudował sobie domek szlachecki, opatrzył go powoli w potrzebne sprzęty, poddaństwo zbiegłe wróciło do dobrego pana 1), wszystko w gospodarstwie do dawnych karbów się skierowało, bo Michał od powrotu z wojaczki mieszkał przy ojcu, a generał tak był do strażnika przywiązany, że mając znaczne dobra w Mińskim, a jedną tylko wioskę w Słonimskim, w niej często przesiadywał, żeby być zbliżonym do przyjaciela.

Tęsknili wprawdzie za xięciem przyjaciele i słudzy Radziwiłłowskiego domu, ale osierociała banda Albeńska nie samą tylko tęsknotą dowodziła swoje przywiązanie. Albeńczycy tak czynnie się zajęli opatrywaniem jego potrzeb, że miasta zagraniczne gdzie przebywał pojąć nie mogły, z czego emigrant, którego całkowity majątek uległ konfiskacie, podsycał życie uderzającego zbytku, nigdzie niepotrzebując kredytu, a wszystko brzęczącą monetą opłacając. I ztąd powstały gadki o dwónastu Apostołach naturalnej wielkości szczerozłotych o jakimś dukacie Radziwiłłowskim wielkości kamienia młyńskiego, i t. d. a rzeczywiste jego skarby, były serca przyjacielskie. Bo kiedy jego dobra zabrane zostały na skarb Rzeczypospo-

1) Zawsze mówiąc o pożogach bezkrólewiów, zapominają o tém, że nasi ojcowie ani mebłów palisandrowych, ani zwierciadeł sążnistych, ani porcelanowych naczyń nieznali; rabunek, lub pożar szlachcica nie mógł zniszczyć. Właśnie w czasie kiedy każdy został niewolnikiem swoich sprzętów, najwięcéj rozprawiają o wolności.

litej, puszczono je w dzierżawę przez licytacyę. Albeńczyki te dobra między siebie rozebrali, za bardzo małą kwotę, bo nikt bez narażenia zdrowia, nie mógłby podniesieniem ceny ich podkupywać— żadna potęga ludzka nie zdołałaby go uczynić bezpiecznym na Litwie. Każdy dzierżawca Albeńczyk miał dwie percepty; jedną grosza skarbowego, drugą grosza Radziwiłłowskiego. Ci w obliczu rządu dzierżawcy, byli rzeczywiście skrupulatnemi administratorami xięcia Wojewody; co półrocza wyprawiali jednego ze swoich, ze znacznemi summami, ich pracą i przemysłem przysporzonemi, a ten szukał go w Stambule, Wenecyi, Rzymie i powracał na Litwę, przywożąc bandzie podziękowanie i pozdrowienie Radziwiłłowskie.

Michał, wsławiwszy się w wojnie, wrócony do ojczystéj zagrody, nie wrócił do jurysteryi, ale jak przywiązany syn osiadł przy ojcu, gdzie, podpora jego starości, zajął się i domem i całkowitém gospodarstwem, a jako prawy Albeńczyk zalicytowawszy dzierżawę wszystkich dóbr Radziwiłłowskich w Słonimskim, z równą gorliwością i dla xięcia i dla ojca pracował. Jaki grosz w ojcowiznie uzbiera, oddaje go ojcu, a ten tylko pieniądze liczy, klassyfikuje, zawiązuje w worki. Ciernie gospodarstwa zachował dla siebie, a róże ofiarował ojcu— stary dziwił się, że nigdy majątek tyle mu nieprzynosił— wylanie syna i przyjaźń generała Kunickiego były mu najdroższe skarby.

Generał, po utracie syna, sprowadził pozostałą córkę, która od śmierci matki wychowywała się w Wilnie przy ciotce, by mieć z niéj pociechę i pomoc. Zosia była dziewczyną nadzwyczajnéj piękności i najlepszego serca. Chociaż przy ciotce, kobiecie nieco światowéj, przyjęła wychowanie wykwintne, umiała we wszystkiém

stosować się do woli ojca, starego Sarmaty w całém znaczeniu wyrazu.

Pod kierunkiem panny łowczanki, staréj panny, bliskiéj krewnéj generała. Zosia wprawiła się do gospodarstwa niewieściego. Trudniła się ogrodem, rozdawała prządkom przędziwo, nauczyła się pędzić wódki i smażyć konfitury, to wszystko zadość czyniąc woli ojcą. A chociaż miała [kilkadziesiąt xiążek francuzkich i klawikort, brała się do nich wtedy tylko, kiedy ojciec wyruszy na polowanie, bo on to nazywał błazeństwem, bynajmniéj niezdobiącém szlacheckiego stanu.

Z drugiéj strony Michał, pobożny, cnotliwy, pilny, nie tylko że był pociechą swojego ojca, ale i generał patrząc na jego postępki, przywiązał się do niego jak do własnego syna.

Bywało starcy kiedy się z sobą rozgadają, strażnik miawia:— Już to prawda, szanowny mój jenerale, że mój Michaś nie mało mnie kosztował, ale też mi się udał. To człowiek *de jure et de hajda* całą gębą. Czy pójść na niedźwiedzia w ostępie, czy dać konferencyę prawną, czy Bośniaków 1) prowadzić gdzie kule świszczą, jednem słowem do wszystkiego. A jaki rolnik— on mnie cuda robi w gospodarstwie, ani się pytam co się u mnie dzieje, tylko do gotowego przychodzę. Młody, do pracy zdatny, a mnie staremu czas odpocząć. Bogu niech będzie chwała, że mam przynajmniéj je-

---

1) Zamożny szlachcic nigdy nie wyjeżdżał w podróż bez assystencyi uzbrojonych jeżdzców, w ilości stosownéj do jego możności. Na Rusi takowi jeżdzcy byli Kozaki, w innych częściach Rpltéj nazywano ich Bośniakami, Kozacy mieli piki, Bośniaki proporce.

dnego dla wyręczenia siebie. Starszy ladaco, ani do mnie zawitał, jak słychać zupełnie zniemczał, zwyczajnie poszedł po matce. Przystał duszą i ciałem do psiarni pana stolnika, niech nim szczuje naszych, ani chcę o nim wiedzieć. Chwyta tłuste królewszczyzny, na zdrowie mu, bo po mojéj śmierci złamanego halerza nie dostanie, co się zapracowało, to wszystko dla Michasia. Tak Bóg przykazał, bo Michaś nie mało przyczynił się do wzrostu mojego mająteczku, *a ubi officium, ibi beneficium.*

A generał:— uważasz kochany strażniku, że coś Michał ma się do mojéj Zosi, dałby Bóg, żebyśmy mogli połączyć się w dzieciach naszych.—

—Po zbawieniu duszy niczego tyle niepragnę, mój generale. Mam w Bogu nadzieję, że to się jakoś ułoży, i że te poczciwe dzieci będą z sobą mieszkały, bo to jedno dla drugiego stworzone.—

I tak ci sędziwi mężowie układali powoli postanowienie miłych i cnotliwych dziatek.

Michał szczerze się przywiązał do Zosi, a ona chociaż nie doświadczała tego gwałtownego i burzliwego uczucia, co go nazywają miłością, oddawać umiała sprawiedliwość cnotom młodziana, szanowała go, i przeczuwała nawet, że z nikim nie może być równie szczęśliwą.

Michał ją kochał wszystkiemi zdolnościami duszy. Codziennie oglądając, ledwo ją z oczów tracił, jéj obraz nie przestawał pieścić jego zadumań.

Sam przed sobą nieumiał by wytłomaczyć swojego uczucia. Myślał, że ma dla niéj najtkliwszą przyjaźń, najszczerszy szacunek, a skromna jego wyobraźnia, nie była zdolną innych obrazów przed nim wystawiać, bo niewinna jego dusza, ani chwili się nie mogła odłączyć

od hartu jéj nadanego, stateczném dopełnianiem przepisów religijnych.

Pobożność stawała na straży, we wszystkich jego stosunkach z Zosią. Nigdy jéj o miłości swojéj nie wspominał, za nic-by się nie odważył przerywać jéj samotności: jeżeli kiedy wszedł do jéj pokoju, to chyba za wyraźnym rozkazem generała i wtedy tylko, kiedy panna łowczanka była przytomną, bo inaczéj, byłoby to przeciwne obyczajom ówczesnym, a dla ludzi pobożnych 1) obyczaje narodowe są jakoby drugą religią, niemal równie jak pierwsza obowiązujące. Gdyby taki, którego uczucia z serca do rozumu się przeniosły, podsłuchał ich rozmowy z sobą, bez wątpienia znalazł-by w nich obfitą osnowę do szyderstw pełnych dowcipu; bo chociaż każde słowo Michała, zdradzało jego przywiązanie, nie można było tych słów użyć do romansu sentymentalnego.

Niewinność ma zawsze coś dziecinnego 2), ich rozmowy były też najczęściej dziecinne.

---

1) Gdzie narodowość jest silna, tam wolnomyślenie religijne szerzyć się nie będzie. Rossya i Anglija nadstawiały ucha dźwiękom cywilizacyi XVIII wieku wychodzącym z Paryża. Ta ogłada im się podobała, i nawet ją ile możności przyswajały. Jednak bezbożność francuzka nigdy u nich rozprzestrzenić się nie mogła. A to są właśnie jedyne europejskie narody, których ciągłe otarcie się z innemi ludami, w niczém nie zwątliło fizyonomii rodziméj. Jest to koło, które bez żadnéj wyłączności dopełnia swoich praw. Człowiek narodowy, nie przestanie miłować swojéj religii, a człowiek pobożny nie przestanie miłować swojéj narodowości. To widzimy zawsze i wszędzie.

2) W Niemieckim języku jest wyborny wyraz *kindlich*, który w żadnym języku przełożyć się nie da.

Michał zwykle małomówny, kiedy się rozgada, o czém że z nią rozmawiał?— Oto o ostatnim odpuście na którym się znajdował; o kapnikach, których ducha pokuty podziwiał; o gospodarstwie kobiecem; o przygodach myśliwskich z generałem doświadczonych. Czasem wspominał o ostatniej wojnie, jak pod Zelwą konia pod sobą stracił, konia, który się urodził u generała, a którego w darze od niego otrzymał. Jak generał go oddając; powiedział mu: «WPan na nim niczego się nie bój, bo to fortunat, ma strzałkę na czole.« Otoż, kiedy zabitym został w przytomności generała, który przykrywał odwrót z pod Zelwy, na odpoczynku wyrwał się przed nim, jako teraz widzi, że co ludzie mówią o fortunatach to są bajki 1); jak generał go ofuknął, mówiąc: »A co wasan pleciesz; to co mówią ludzie jest prawdą. Gdyby ten koń nie był fortunatem, to może-by sam uszedł ale WPan byś ziemię gryzł; a że to jaja zawsze chcą mieć więcej rozumu niż kury!«

Raz opowiadał Zosi, jak jego ojciec na Wołoszczyźnie był zapadł na morowe powietrze.— Miarkuj pani, jakie było moje położenie. Ojciec stary, zapowietrzony, opuszczony od sług, że ja jeden musiałem mu usługiwać. Ale jak pomyślę, że jego pielęgnując mogę się sam zarazić, a wtedy on zostanie bez żadnej posługi, tak serce mi się kraje, że łzy z oczów płyną jakby z krynicy. Wszak pani wiesz, że on był dla mnie i oj-

---

1) Ludzie szczególnie narodowi, jakkolwiek wysokim będzie stopień ich ukształcenia, zawsze mieć będą skłonność do mistycyzmu, przesądów, zabobonności. Używam wyrazów któremi obdarzają tych, co swoich uczuć pod żaden racyonalizm poddawać niechcą. Niezdarzyło mi się spotkać kosmopolitę, który-by nie był wielce racyonalnym.

cem i matką. Otoż jednéj nocy, patrząc na biednego ojca, zacząłem się modlić do Najświętszéj Panny Ostrobramskiéj, ale tak, że mi się zdawało, że na Nią samą patrzałem. Do niéj, jako do matki cierpiących udałem się. »O Matko najświętsza zawołałem, niech świat opuszczam w połowicy dni moich, ale niech kochany ojciec wróci jeszcze do zdrowia.« Ledwom to wymówił, duch we mnie wstąpił, i byłem jak pewnym, że ojciec wyzdrowieje; i od dwóch tygodni piérwszy raz smaczno zasnąłem. Nazajutrz ojciec już mnie poznał, co godzina było lepiéj, cudownie wrócił do życia. A że modlitwa moja do N. Panny była we środę, odtąd każdą środę suszę.

Piękna Zosia rozczulała się nad pobożnością synowską Michała, ale rada była, żeby jéj cóś więcéj, o niéj saméj mówił, o swoich uczuciach dla niéj, by ją czasem pochwalił, by do jéj wdzięków cóś przemówił, jak to nie raz czytała w romansach francuzkich. Mawiała sama do siebie: Michał poczciwy, do mnie przywiązany, ale jaka różnica między nim, a bohaterami pani Lafayette i pani de Tencin; jaka szkoda, że nie czyta romansów; żeby przynajmniéj mówił po francuzku. Tak to młodzi oczekiwali swojego przeznaczenia, a starzy je układali.

Nakoniec generał w domu swoim ugoszczając przyjaciela i jego syna, po rozmowie niekrótkiéj ze strażnikiem, w czasie któréj Michał z Zosią i panną łowczanką przechadzali się po sadzie, posłał po nich, a gdy przyszli:— panie Michale, powiedział, nie ma gadania, pan strażnik prosił mnie o rękę Zosi dla WPana, ja na to zezwalam, macie przyjaźń wzajemną, niepozostaje wam

jak ją sobie zaprzysiądz dożywotnie. Zosiu, oto jest twój przyszły mąż.

Michał nic nie powiedział, ale padł do nóg generałowi, i strażnik klęknął obok syna, i kolano przyjaciela ucałował.

Generał otarłszy kilka łez chustką.— Cóż to Zosiu, o ciebie chodzi, a ty milczysz?

Zosia uklękła przed ojcem, i drżącym głosem odezwała się:— miły ojcze, niech się stanie wola twoja, ale jakże mi żal opuszczać dom rodzicielski, tak prędko po mojem przybyciu do niego, niechże nasz ślub przed półtora rokiem nie następuje, żebym się mogła jeszcze ojcem nacieszyć.

— A na co te dylacye Zosiu, co ma być nieodmiennie, niech się stanie jak najprędzej. My starzy czekać nie lubiemy, bo bardzośmy niepewni azaliż się doczekamy.

Zosia zaczęła rzewnie płakać, a piękne swoje oczy obracając do Michała, tak go zachwyciła, że zaraz całkowite znaczenie jéj spójrzenia zrozumiał, i powtórnie ukląkłszy przed generałem rzekł:— dziś jeszcze chciałbym zostać małżonkiem generałówny, chociażbym miał nazajutrz umrzeć. Ale niech w dniu tym tak dla mnie uroczystym, prośba moja otrze łzy generałówny: ponieważ jéj wolą jest, by moje szczęście do półtora roku było odłożone, niechże jeszcze przez ten czas zasługuję na jéj wzajemność.

— Ta, ta, ta, waść jak widzę miękkiego serca. Co waści patronować za moją córką, my się z nią trochę dawniéj znamy. A że jurysta zawsze jurystą. Za sześć niedziel będzie wasz ślub, bo ja na te kobiece fąfry nie uważam.

— Panie generale dobrodzieju, na co się mam narążać pannie generałównie, jéj wola jest dla mnie świętą, bylebym otrzymał jéj słowo, cierpliwie czekać będę.

A na to strażnik.— No generale, niech i tak będzie. Młode kobietki mają swoje rachunki, a my starzy nie suszmy sobie mozgownicy nad ich dociekaniem. Generałówneczka całe życie będzie musiała dopełniać woli Michała, niechaj sobie zdrowa, teraz przynajmniéj, na swojém postawi. Da Bóg może sama ten termin zbliży, jak obaczy że na nią nie nalegamy. Wszak my z sobą wszyscy prawie nierozłącznie żyjemy. Pamiętasz generale, że z moją żoną w tydzień po jéj deklaracyi, nastąpił i ślub za indultem, to też wyszedłem na tym pośpiechu jak Zabłocki na mydle. *Festina lente*, bo kiedy jednemi końmi daleka podróż się odbywa, prędzéj zajedzie się do mety zaczynając stępą, niż z kopyta pędząc czwałem.

— Kiedyście się wszyscy na mnie usadzili, niechże będzie jak sobie chce. Dziewczyna nas wszystkich w pole wyprowadziła. Hulaj sobie babulu przez te półtora roku, ale potém panie Michale, weź-że ją dobrze w kluby i pamiętaj że *uxor sub potestate mariti*, *nec nolle, nec velle.* A po téj rozmowie państwo młodzi zamienili z sobą pierścionki i zaręczyny się odbyły.

Można powiedzieć, że ten rok, z pomiędzy wszystkich, był najszczęśliwszym dla strażnika. W nim albowiem zaręczył syna z majętną córką najściślejszego przyjaciela, a kilka miesięcy wprzódy, nastąpił był tryumfalny powrót xcia Wojewody wileńskiego do ojczyzny.

VII.

Zjazd Przyjaciół.

Po zaręczynach, piérwsza czynność generała i strażnika była donieść wszystkim krewnym i przyjaciołom o postanowieniu ich dzieci. Nieomieszkali też zakomunikować wiadomości o ich szczęściu i dostojnemu ich domów protektorowi xięciu Karolowi Radziwiłłowi, znajdującemu się na ten czas w Warszawie, gdzie sejmowi przewodniczył.

Xiążę odpisał obudwóm starym i zasłużonym stronnikom, oświadczając radość swoją z połączenia dwóch domów, zawsze jemu życzliwych: a będąc ich statecznym przyjacielem, ośmiela się państwu młodym posłać pamiątkę, swoich dobrych dla nich życzeń, upraszając rodziców by im to raczyli wręczyć w dniu jego imienin.

Dla Zosi były kulczyki brylantowe nie małéj warto-

ści, a dla Michała przywilej Królewski, na świeżo zawakowany, urząd wojskiego słonimskiego.

Podczas gdy starzy wyprawiali do Warszawy umyślnego z listem do xięcia Wojewody, Michał przez niego pisał do brata, towarzysza niemowlęctwa i lat dziecinnych. W liście swoim oznajmił mu swoje zaręczyny, rozszerzył się nieco w opisie cnot, przymiotów i znakomitego ukształcenia swojéj narzeczonéj, a zakończył prosząc o affekt braterski dla przyszłéj żony, i o zachowanie onego nadal i dla siebie.

Pan starosta wieluński odpisał w wyrazach najtkliwszych, wynurzając radość swoją z postanowienia brata; że dyrekcya gabinetu królewskiego, na niego włożona, niedozwala mu wydalić się z Warszawy; że posadę swoją, z innych względów ponętną, w téj chwili poczytuje być nieszczęściem, kiedy mu staje na przeszkodzie uściskać drugiego brata i ucałować rączki przyszłéj siostry, z oświadczeniem wdzięczności, iż raczy osobą swoją zwiększać zaszczyty ich domu; a że niemogąc przybyć do rodzicielskich progów, co sobie zamawia na dzień ślubu, posyła mu przynajmniéj swój obraz pędzla Bacciarellego, upraszając by go raczył uprzejmie przyjąć, na pamiątkę swojego przywiązania.

Do tego listu dołączył jeszcze drugi dla Zosi, w języku francuzkim, prosząc o jéj przyjaźń dla siebie, i o łaskawe przyjęcie małego upominku, który ośmiela się jéj przesłać, jako dowód pamięci i miłości braterskiéj.

A ten upominek był, jak to Francuzi nazywają, *une parure complète*, z brylantów i topazów brezylijskich, sporządzony w Paryżu, wedle ostatniéj mody.

Trzeci list, pełen uszanowania napisał do ojca, win-

szując mu nowej podpory, nabytej w osobie przyszłej synowy.

Expedycya od xięcia przyszła do strażnika razem z posyłką starszego syna, właśnie w czasie zjazdu krewnych i przyjaciół przybywających z całego powiatu, nawet z powiatów ościennych i dalszych, dla podzielania radości dwóch starców, powszechnie szanowanych.

Dary xięcia i pana starosty zostały wręczone Zosi.

Kólce xięcia niemogły być dość odchwalone, ale bisiory starosty tak były bogate, tak gustowne, że na usilne nalegania obywatelek tam obecnych, Zosia musiała się w nie ustroić, i tak ozdobiona resztę dnia ich bawić.

Strażnik z tego niebardzo był rad, bo coś czmychał, mrucząc— Xięcia zausznice, to ale klejnot, a te niemieckie fatałaszki wcale mi się nie podobają. Tylko że u kobiet zwyczajnie, nowe sitko na kołku.

Michał wręczył ojcu list brata, strażnik go odczytał cicho i dość obojętnie, potém położył go na stole, a na nim swoje okulary.

Kiedy przynieśli obraz brata, który w pełniejszym wieku nie był mu znany, Michał nie mógł się nim nacieszyć, a goście tak jednéj, jako i drugiéj płci odzywali się— Co za piękny młodzian! Co za oko! Co za łagodność w téj twarzy! brak mu tylko mowy! A ubior jaki bogaty! A orderowy pan, jak widzim?— Zosia się nie odzywała, ale często wzrok swój kierowała ku wizerunkowi Ludwika, a pokilkakrotnie odczytywała list jego, i w jakieś pomimowolne wpadała zamyślenie.

Strażnik czmychał, a czmychał, a nakoniec odezwał się z kwaśnym uśmiechem:— Jak uważam, pan starosta wieluński na nas nieco łaskawszy, bo chociaż sam nie raczy zjechać, dla zabrania z nami znajomości, przy-

najmniéj obraz swój posyła jakby jaki królewic: że teraz nasza na wierzchu, idzie koza do woza, a czemu o nas niepamiętał, kiedy my się tułali za granicą?— Ojcze dobrodzieju, odrzekł Michał, czyż w czasie wojny Ludwik ciągle się do nas nie zgłaszał? Czy co kwartał do nas niepisuje? I czy ta jego pamięć w najdroższéj chwili mojego życia, nie zasługuje na moją wdzięczność? Mógł-że on przysłać dla mnie droższy upominek od swojego obrazu? A jaka wspaniałość w tem oku, jaka słodycz w tych ustach, nigdybym go nie poznał, chociaż jego rysy dziecinne zawsze mi stoją przed oczyma.

Jak tam sobie chcesz panie Michale, chwal sobie te zniewieściałe rysy, niemieckiemi konceptami ozdobione. Waćpana matka się kłania, bo do niéj wąsy na parysowatéj twarzy, i kontusz, kryjący poczciwe serce, niemiały szczęścia. Pokornie dziękuję za te kuse suknie, i te kołtunowate czupryny, krochmalem osypane. Dobre to dla fircyków, ale nie dla nas. Ja się trzymam starego przysłowia, niech sobie panna będzie trochę szpetniejsza od Anioła, a kawaler trochę ładniejszy od biesa. Zresztą na co nam się przyda rozprawiać o podobnych bzdurstwach, one do niczego nie prowadzą. Wolimy cóś pomówić *ex publicis.* Czy wiecie państwo, że już mamy nowego wojskiego?

— Któż to taki? zawołali ledwo niewszyscy razem.

— Kto? oto mój syn Michał. Tak, tak, nieinaczéj panie Michale, do waści szczęście przychodzi kiedy śpisz. Przeczytaj no wacan ten papier, a o wszystkiem się dowiesz. Czytaj no waść głośno, żeby nasi łaskawcy i przyjaciele o tém wiedzieli. Ten przywiléj, to łaska naszego xięcia; mości wojski, kolegowaliśmy w obozach,

w tułactwach, w gospodarstwie, będziemy teraz kolegować w kole powiatowem.

— Michał zaczął czytać przywiléj, ale z wielkiéj radości tak mu słowa drżały, że strażnik zniecierpliwiony wyrwał mu z rąk pargamin:— Co się WPanu zrobiło, zapomniałeś jak donośnym głosem odzywałeś się za kratą ziemstwa słonimskiego, tak czytasz, że my tego zrozumieć niemożem.

I nałożywszy okulary, sam głośno i wyrazisto przeczytał przywiléj, poczém zaczął syna ściskać, winszując mu zaszczytu, *usque ad altiorem ascensum.*

Dopiero szlachta winszować, i domagać się by nowego wojskiego zdrowie wypić, a potém przyszłéj pani wojskiéj, i to kielichem kwartowym.

Michał kłaniał się, płakał, ze wszystkiemi się całował i pił.

Ale Zosia mało nie zemdlała z pomieszania, słysząc rozmaite komplementa do niéj obrócone od sędziwych obywatelów nieco podochoconych, gdzie myśl o wyraz nie wiele się targowała.

Bo jeżeli młodzież była skromną, za to starzy, zwłaszcza przy kielichu, wiele sobie pozwalali.

Moja generałówneczko, odezwał się JW. Slizień, jowialny podkomorzy słonimski, żal mi ciebie, bo jak będziesz naszą wojską, a my pójdziem na Pospolite Ruszenie, wojski naszych żon musi pilnować, nie jedną noc za nim potęsknisz.— Diabła tam, na to pan Kociełł, cześnik powiatu, na co nam wojskiego z tak piękną żoną; jéj tylko pilnować będzie, a naszym nic się nie dostanie.

I inne podobne żarty.

Generał i strażnik, aż za boki trzymali się od śmie-

chu, tak wesołość sędziwych gości im się podobała. Ale biedna Zosia, w ciągłych płomieniach nie wiedziała co z sobą zrobić. Przypominała sobie wykwintniejsze społeczeństwa Wileńskie, kiedy to panicze wyższego świata zbierali się u jéj ciotki. Jak to tam ton dobry straż przy ustach trzymając, nie dozwalał z nich wychodzić żadnéj nieprzyzwoitości. Z niechcenia spoglądając na obraz przyszłego szwagra, myślała sobie: ten strój tak wymyślny, ta szlachetna skromność oblicza, służą za rękojmię przyzwoitości i kształtu. Jego rozmowy pewnie są innego rodzaju.

Nieboga, nie wiedziała, że ta wykwintność zagraniczna wkradając się do naszéj ziemi, ułudną powierzchownością pokrywała serca zimne, umysły wyuzdane, myśli odwrócone od wszelkiéj woni religijnéj. Że ta powierzchowność, bez wątpienia pełna wdzięków, już była jedynem wędzidłem moralnem. Podczas gdy pod barwą rubaszności biły serca pełne bojaźni Boga i ducha ofiary.

Przyzwoitość mogła zasypiać, bo wiara ciągle czuwała nad zmysłami, a wstyd dziewiczy, choć często obrażany nieobacznem słówkiem, zawsze mógł bezpiecznie spoczywać na sumieniu tych mężów, tak cnotliwych w grubéj swojéj szorstkości.

Tyle pociech nagromadziło się na dwa możne domy, że uczty nie ustawały.

Jeszcze się nie skończyła zabawa u strażnika, a już robiły się przygotowania u generała, do przyjęcia tegoż obywatelstwa.

Cała partya Radziwiłłowska, to jest cały powiat słonimski zjechał do Słonima, na installacyę nowego wojskiego.

JW. Slizień Podkomorzy, jako *Princeps Nobilitatis*, dał wielki obiad *in gratiam* tej uroczystości. Nazajutrz xiądz Olesza, Prałat Wileński, a proboszcz słonimski, krewny blizki Strawińskich, wszystkich do siebie zaprosił. Długo mówili w Słonimie o starym winie, którym gości częstował.

Trzeciego dnia wystąpił pan regent Wojszwiłło, nieposiadający się z radości, że jego niegdyś dependent wykierował siebie na nielada urzędnika; a chociaż człowiek wielce rachunkowy, tego niemożna było poznać po sposobie jakim całe obywatelstwo podejmował.

Były i inne uczty, bo każdy krewny, każdy przyjaciel, wedle swojej możności, chciał okazać, że *corde et anima* podziela radość dwóch domów zacnych, a wkrótce mających się połączyć.

Ale żaden festyn równać się nie mógł temu, co go dał sam wojski, na dziękczynienie za okazaną mu życzliwość swoich powietników. Dwieście osób siedziało za jego stołem. Było dwonastu vice-gospodarzy, ciągle zajętych biesiadującemi. Oprócz waz i ciast, ośmnaście potraw z kolei pokazało się na jego obiedzie, który był dany w ogromnym refektarzu ojców Bernardynów słonimskich. Na korytarzu stały oxefty i antały, bo by nienastarczono dobywać korków z butelek, a sześciu piwniczych nieustannie toczyli wino w dzbany i odsyłali je gospodarzowi i vice gospodarzom.

Na dziedzińcu klasztornym zastawione były stoły dla ubogich, na których jadła, gorzałka i piwo były szafowane: a nadto każdy ubogi dostał po dwie koszul i jednej siermiędze.

VIII.

Smierć Sprawiedliwego.

Te hulanki przeszło dwa tygodnie trwające, pan strażnik drogo opłacił, bo raptownie zapadł na dawną podagrę, od której, po odbytem morowem powietrzu na Wołoszczyznie, zdawał się być zupełnie wolnym.

Wiele cierpiący, wrócił ze Słonima na wieś, i tam położył się w łóżku i z niego już nie powstał. W rozmaitych alternatach lepszego i gorszego stanu, przebył dziesiątek tygodni, znosząc cierpliwie dręczące boleści, ale ani chwili przytomności nie tracąc.

Generał, jego dozgonny przyjaciel, wojski jego ulubiony syn i Zosia, ciągle przy łóżku gasnącego starca, starali się go rozrywać: Dom jego się nie wypróżniał, bo przyjaciele go nawiedzali i pocieszali jak mogli. Mawiali mu że to przejdzie, jak to bywa w podobnych okolicznościach, instynktowali różne lekarstwa, przytaczali

mu znane przykłady odzyskujących zdrowie chorych w podeszłym wieku; nawet lekarze, z różnych okolic przez Michała sprowadzeni, wiele obiecywali. Ale to wszystko bynajmniéj starca nie mamiło.

Jak to zwykle bywa u ludzi wielkiéj pobożności, przeczuł dzień swojéj śmierci, i do niéj zaczął się gotować z wielką rozwagą i statecznością.

Sprowadził ze Słonima ojca Bonawenturę, gwardyana bernardyńskiego, któremu od lat przeszło trzydziestu po kilka razy na rok się spowiadał, i zobowiązał, by go aż do ostatniéj chwili nie opuszczał, czego odmówić nie mógł największemu dobrodziejowi konwentu.

Przez kilka niedziel codziennie się spowiadał, i to zawsze z rana, kiedy wszyscy jeszcze spoczywali, a po spowiedzi z gwardyanem modlitwy odmawiał.

Ciepłą ręką, jak mówią, jałmużny rozdawał, o każdym słudze pamiętając. Szlacheckim dawał i po tysiącu i po dwa, poddanych co się jemu wysłużyli, z całkowitą ich rodziną od wszelkiéj inwentarskiéj powinności pouwalniał, tak że oni wszyscy płakali, żegnając dobrego pana, z którym się sami postarzeli.

A co też się dostało klasztorom i farom, mój Boże! a to wszystko bez obciążania dóbr, bo przy łóżku leżał ogromny kufer, a obok niego drugi kufer mniejszy, a oba naładowane workami. Każe synowi otworzyć kufer, dobyć z niego co mu powie, a potém znowu zamknąć.

Ułatwiwszy z rana interesa duszy i majątku, przyjmuje przyjaciół z obliczem wypogodzoném, jak gdyby leżał z jakiegoś przywidzenia, a nie z musu. I mówi z niemi o gospodarstwie, lub o prawnych interesach, i czasem jakaś rubaszna dykteryjka mu się wypsnie, że wszyscy i on sam się rozśmieją. Kiedy niekiedy jęknie,

lub westchnie, oczy wznosząc ku niebu; kiedy niekiedy łza mu się posączy po wybladłéj jagodzie; ale wkrótce powraca do téj pogodnéj wesołości, co ją tylko czyste sumienie wznieca i piastuje.

Jednego poranku, po nocy dość spokojnéj, odbywszy zwyczajną konferencję z gwardjanem, strażnik dłużéj niż zwyczajnie w samotności zostawał, niezapraszając nikogo do siebie. Wojski co kilka chwil przychodził pod drzwi sypialni ojca, żeby przez szpary dowiedzieć się o nim, gdy zauważył nakoniec, że cóś pisze. Zasmucił się nieco, ale wkrótce i rozweselił. Zasmucił, bo domyślił się, że układa testament; rozweselił, bo to go przekonywało, że jeszcze siły ojca nie opuszczały, kiedy mógł własną ręką pisać, i jakiś promyk nadziei, że zachowa ojca, mu zaświtał.

Strażnik kazał go przywołać do siebie. Michał zaczął mu skrzepłe nogi całować, a stary rzekł do niego: mój Michasiu, niech ciebie w czoło pocałuję; wiesz że wkrótce ciebie pożegnam, ale tak już wszystko rozporządziłem, że na zawitym pozwie śmierci, staję z wszelką gotowością.

— Ach miły ojcze, ani tego do głowy przypuszczam. Jegomość dobrodziéj lepiéj niż wczoraj wyglądasz, i całą noc spokojnie przespałeś; da Bóg pożyjesz dla mojego szczęścia.

— Dobrze, dobrze, mój Michasiu, jednak wierzaj mi więcéj niż sługom i lekarzom. Jeszcze dwie doby wam służyć będę, a pojutrze umrę. Nie płacz tak mój kochany, bo mnie samemu twoje łzy utrudniają ostatnią podróż. Niech się stanie wola Boża. Śmierci się nie obawiam, jeno Jego strasznego sądu, ale mam pełną ufność, że niewinna męka Jego Syna mnie zbawi, bo chociażem

nędzny grzesznik, jestem krwią Jego okupiony; chociażem nie raz wykroczył, zawszem statecznie wierzył, i nigdy niezaparłem się Ojca, Syna i Ducha Świętego. Doświadczysz kiedyś przy śmierci, jaka to jest wielka pociecha i jak ułatwia wyjście ze świata. Czegoż ty płaczesz mój Michasiu i mnie chorego niepotrzebnie rozrzewniasz; wszakże każdy z kolei umrzeć musi, *quod mihi hodie, tibi cras.* Czy zwątpiłeś o mojém zbawieniu, lub myślisz że w niebie gorzéj niż tu. Albo niedość się nażyłem? Mój kochany, im dłuższy żywot, tém więcéj grzechów. Wiesz co Michasiu, żal mi ciebie opuścić, a jednak gdyby mnie jaki doktor potrafił do razu wyleczyć, żebym mógł równemi nogami z łóżka wyskoczyć, jak to dawniéj bywało, ot możebym się bał zdrowia. Bo czyby to było na długo, a drugi raz czy byłbym tak dobrze przygotowany? miałżebym taką nadzieję w miłosierdziu Boga, w zasługach mojego Zbawiciela, i w przyczynie Najświętszéj Panny? mój Michasiu wziąłeś mojém opatrzeniem wychowanie niewykwintne, ale prawdziwie szlacheckie. Niewłóczyłem ciebie po zagranicznych akademiach, gdzieby ciebie nauczono gardzić obyczajami twojego narodu, i szydzić z wiary twoich przodków. Twoje wychowanie zrobiło z ciebie obywatela i urzędnika pożytecznego. Te wszystkie zagraniczne rozumy, któremi niektórzy nasi panicze się zaprzątają, nam się na nic nie przydadzą 1). Mamy nasz własny

---

1) Czy u nas okazuje się postęp w świetle, czy cofnięcie? Warto-by się zastanowić czy światło, które żadnego pożytku nieprzynosi, może się nazywać światłem? Już Soplica gdzieś powiedział, że teraz namnożyło się mnóstwo rozumów drążkowych, jak to urzędy bez juryzdykcyi, które napotykamy po starych polskich kalendarzykach. I ztąd cenili tylko te

rozum, tak rodzimy jak nasze dęby i jodły; tego się trzymajmy. Roskosze i zabawy nowomodnego świata, jego żarciki z naszych, jak on nazywa, zabobonów, to wszystko do czasu tylko. Dla nich potrzeba młodości, zdrowia, pomyślności; ale jak się noga powinie, jakaż w nich znajduje się pociecha! A Bóg zawsze z nami. Dobrzeli się dzieje, on błogosławi naszą pracę, i ostrzega by z niéj się nie pysznić. Przyjdą niemocy, nieszczęścia, utrapienia, on nas pociesza, a razem naucza, żeby się nienadto przywiązywać do rzeczy przemijających. Z pomyślnością wszystko nas opuszcza, Bóg jeden pozostaje, a pomimo wykroczeń nieoddzielnych od ułomności ludzkiéj, kto będzie jemu wiernym do końca, tego na rękach wypiastuje i zabierze do swojego Królestwa, by się nim cieszyć na wieki. Przyjmij ojca umierającego błogosławieństwo, a wiem że z nim i Boskie otrzymasz, bo przez całkowity twój żywot, nawet najmniejszém zapomnieniem nie zraniłeś ojcowskiego serca. Byłeś mi zawsze pociechą, podporą, zaszczytem; od dzieciństwa twojego, ciągle przemyśliwałem by tobie po mojéj śmierci zabezpieczyć doczesność szczęśliwą. I odpuść mnie Boże że do zbytku troszczyłem się powiększaniem mojego majątku, chociaż do jego wzrostu cudza najmniejsza

---

nauki, które się zaraz dawały stosować. Matematykę, żeby rozwiązywać zadania; Prawo, żeby pisać meryta i pozwy i t. d. Dziś lubią filozofię, politykę, a to dla czego? o to dla tego, że na tém stanowisku można pleść językiem i nawet piórem jak najdłużéj i wmawiać że się cóś umie, a w tamtych naukach niedołężność od razu się zdradza Filozofowie nasi tak rezumują, że aż ckliwo się robi ich czytając, ale gdyby i gruntowniéj umieli rozumować, nie na wiele-by to się przydało.

krzywda się nie przyczyniła. Zrobiłem dopiero postanowienie względem tego majątku, który tyle pracy mnie kosztował; dziś jeszcze w przytomności przyjaciół o tem postanowieniu się dowiesz. Niech ta praca moja, którą na ciebie spuszczam, służy ci, ale o tyle tylko, o ile ją obracać będziesz na chwałę Bożą, pożytek twojej duszy i usługi ziomków; bo umierając proszę Boga by cię raczej nawiedził ubóstwem, niemocą, sromotą ludzką, wprzódy niżbyś go miał obrazić, aby jednym grzechem śmiertelnym. Dopiero przy skonaniu człowiek obejmuje całą szkaradę grzechu. Teraz zostaw mnie samego mój Michasiu, bom się trochę rozrzewnił ciebie błogosławiąc. Muszę się odrobinkę pomodlić, bym się na nowo pokrzepił.

Wojski powtórnie ucałował nogi ojcowskie i odszedł by swobodniej wylewał te łzy, które połykał w przytomności starca.

Około południa zjechało kilku przyjaciół strażnika, nie takich rzekomych jak dziś widujem, ale przyjaciół z serca, których doświadczał w całkowitym żywocie, i z któremi miał przeczucie żyć w krainach wieczności.

Wojski i generał od początku choroby przyjaciela mieszkający w jego domu, z córką swoją i z łowczanką przyjmowali gości, którzy z poruszoną twarzą w sieniach jeszcze pytali ich o stanie strażnika. Trzeba wiedzieć, że JW. Slizień podkomorzy, i WW. Kociełł podczaszy i Wojszwiłło regent ziemski, którzy dnia tego przybyli, a jak się poźniej pokazało wezwani byli od strażnika, z pomiędzy wszystkich byli właśnie ci, co ze strażnikiem i generałem żyli w najściślejszéj zażyłości. Dwaj pierwsi byli w regestrze zapisani jako najdawniejsi przyjaciele, bo ich znajomość jeszcze szkół sięgała, a

trzeci, jak wiadomo czytelnikowi, kiedyś dependował u strażnika, a jego syna wojskiego prawnictwa wyuczył.

Ledwo się rozgościli, kiedy ojciec gwardyan, po zwykłem chrześcijańskiem powitaniu, oświadczył, że P. strażnik rad powitać szanownych gości. Zaczęli oni go badać o zdrowiu sąsiada, ale w tym względzie nic pocieszającego nie otrzymali.

Weszli, jak najmniej robiąc hałasu, do sypialni mocno okadzonej bursztynem. Ale strażnik, jak tylko ich zobaczył, podniósł się na swojej pościeli trochę, by im okazać swoją radość.

Starzec był wychudzony, wybladły, wynędzniały, ale jakaś dziwna, że tak powiem niebieska pogoda, zalegała jego oblicze, a na ustach był uśmiech, świadczący wewnętrzną jego pociechę.— Przepraszam was szanowni przyjaciele, że was zaprosiłem do umierającego starca, który wielce was miłował, ale trudno mi było umierać, po raz ostatni was nie pożegnawszy. Oj, oj, czy ja wart tego, byście tak skwapliwie na moje wezwanie stanęli. Tak to niegdyś JW. podkomorzy, świętej pamięci ojciec pański, P. chorąży Slizień, na moich rękach skonał, a ja potem pana jak umiałem pocieszałem; teraz mojego syna będziesz pocieszać. A ty panie podczaszy, pamiętasz jakem testament pisał twojemu ojcu, on był podstarostą, a ja regentem; nikomu nie wierzył, jeno mnie. Teraz przyszła na ciebie kolej mój testament podpisać. Dobrze że nasz kochany regent z wami przybył, wszak to niegdyś mój uczeń, on swojego czasu przyświadczy, że ten testament moją własną ręką pisany i podpisany, bo chociażem znacznie osłabiony na ciele, jeszcze się czuję na umyśle czerstwym. Z tem wszystkiem dziś wam służę, ale jutro mam nadzieję Świętą Trójcę oglądać.

Na to podkomorzy:— Panie strażniku, odrzuć taką myśl, WPan jeszcze długo z nami pozostaniesz.

— Daj pokój panie podkomorzy dobrodzieju, już będzie z tego świata; jutro umrę, to inaczéj być nie może; dziś rano przyjąłem oleje święte. Powinszujcie mnie że zachowałem całkowitą przytomność w tym wielkim akcie. Nie każdy znalazł podobną łaskę u Boga. A gdybym umarł na Wołoszczyznie z morowego powietrza! jak było tego blizko, jak by to było nieprzygotowanemu stanąć do sądu! Teraz wszystko jak potrzeba się ukartowało. Ale mówmy o czém inném, bo to was smuci; jeszcze tylko trochę pozwólcie się złatwić. I dobywszy z pod poduszki pudełko czerwonym safijanem obite, wyjął z niego kilka szpinek kosztownych. Te wszystkie precjoza, rzekł, są dary przyjaźni, niechże po mojéj śmierci przyjaciołom służą, aby je nosząc, za moją duszę do Boga westchnęli. I każdemu szpinkę ofiarował, a jedną z nich, na któréj były na błękitnéj emalii z brylancików ułożone litery K. X. R. cyfra xięcia Wojewody, oddał synowi, dodając: to jest szpinka munduru albeńskiego; żądam w tym mundurze i z tą szpinką być pochowanym, i tobie Michasiu to zalecam pod mojém błogosławieństwem; bo i na ostatnim sądzie chcę stanąć jako przyjaciel xięcia Karola. A oto panie regencie mój testament, przeczytaj go z łaski swojéj głośno. Może jako stary i chory, cóś z prawa prześlepiłem, to mnie szanowny regent poprawi.

Wszyscy stali jak wryci w ponurém milczeniu, bo wszyscy byli przywiązani do strażnika. Nawet regent Wojszwiłło, lubo jako podstarzały bezżennik nie był miękkiego serca, głosem jednak drżącym odczytał testament, gdzie oprócz jakiejś kwoty pieniężnej, odkazanej Ludwi-

kowi, właśnie jak-by dla okazania że go od ojcowskiego błogosławieństwa nie odpycha, cały swój majątek, jako dorobkowy zapisywał Michałowi. Innych nie było legatów, bo co komu przeznaczył, gotówką odliczył; i bez żadnych papierków sowicie obdarzeni zostali xięża, słudzy i poddani, gdyż o nikim niezapomniał. A exekutorem testamentu mianował JW. Sliźnia podkomorzego.

Po ogłoszeniu testamentu zaprosił strażnik przyjaciół by go raczyli stwierdzić podpisem.

Już zacni mężowie zabierali się tę posługę uczynić przyjacielowi wkrótce mającemu ich opuścić, kiedy wojski, który przez ten cały czas pasował się z sobą, by niemęzkim żalem, jeszcze więcej nie pomieszać dostojnego zgromadzenia, i tu nawet oglądając się na obowiązki gospodarza, ukląkł przed łożem starca, i odezwał się, mowę swoją częstem przerywając łkaniem:— Ojcze drogi, nieróbi tej krzywdy Ludwikowi, by go wyzuwać z prawa natury. Czyż to jego wina, że wychowany za granicą, nie nauczył się po naszemu myśleć. Ale czyż wydziedziczeniem swojem da siebie sprostować. Owszem, jak obaczy że pomimo różności w opiniach, ojciec go nie odpycha od swojego serca, przekona się, że my poczciwie myślemy. Jeżeli ten testament istnieć będzie, słusznie będzie mnie podejrzywać, że korzystając z mojego przy ojcu nieodstępstwa nikczemne pod nim robiłem podstepy. Niech nam kochany ojciec jak najdłużej żyje, ale jeżeli taka jest wolą Pana Boga bym go przeżył, czyż połowa ojcowizny, nie będzie dla mnie chlebem dostatecznym?! wszakże własną pracą już sobie zarobiłem trochę majątku, a przyjaźń generałówny i potomstwu, da Bóg, mojemu, obszerny zawód odkryje. Dobra sława lepsza mi jest, niż największe dostatki, a z daru

ojca, większa mi będzie szkoda w sławie, niżeli zysk w majątku. Nie wstanę od nóg twoich miły ojcze, pokąd tego testamentu nie zniszczysz. Nietyle mi chodzi o krzywdę brata, którą zawsze mógłbym wynagrodzić, ile o duszę ojca. Bo czy cnotliwy i bogobojny ojciec podchlebiać sobie może, iż śmiało stanie przed Bogiem, z sierdzistością przeciw własnemu synowi.

— Poczciwe masz serce Michasiu, odrzekł starzec, ale zważ sam czy sprawiedliwie, żeby syn, który się nigdy nie pokazał ojcu, który zawsze trzymał z jego nieprzyjaciołmi, równy otrzymał udział ojcowizny z tym, co, nieodstępny ojca towarzysz, pracą swoją przyczynił się do jéj wzrostu.

— Moja praca dla ciebie jedynie kochany ojcze była poświęconą, ani przypuścić mogłem, bym dla siebie samego pracował. Nie rób mi ojcze téj krzywdy, bym miał ściągnąć na siebie żal starszego brata, którego mam miłować i szanować; a jeżeli zasłużyłem czemkolwiek na łaskę ojca, niech w nagrodę zupełne otrzymam przebaczenie dla brata.

Rozczulił się starzec, uściskał szlachetnego syna mówiąc:

— Czytam na waszych twarzach przyjaciele moi, że podzielacie zdanie Michała 1), niechże i tak będzie, zniszcz

---

1) Proszę uważać czas w którym to się działo. Wiem że dziś nie tylko że bez wyrzutu dziecię korzysta z udobrodziejstwowania ojcowskiego, chociaż-by ze szkodą braci i siostr, ale nawet ci co do podobnych aktów wpływają radą, piórem, namową, bynajmniéj nie tracą na opinii obywatelskiéj. Trzeba przypomnieć sobie, że te szkrupuły wylęgały się w czasach barbarzyństwa, a że teraz żyjemy w wieku ukształconym, odrodzonym w nauce.

więc to świadectwo mojéj ostatniéj woli. Daj Boże by się tobie brat źle nie odwdzięczył! A połączywszy dłonie Michała i Zosi pobłogosławił ich oświadczając, że pewność połączenia losów tych cnotliwych dzieci, umniejsza mu żałość rozstania się z przyjaciołmi, z któremi doczekał się zgrzybiałości. Niech cię Bóg błogosławi kochany Michasiu dodał, niech ci da i wszelką doczesną pomyślność, ale o ile ona nie będzie przeszkodą do twojego zbawienia, jeszcze ci to powtarzam; bo ten świat jest plewą, wiatrem, jedno nic, a wieczność wszystkiem. Bądź zawsze wiernym Bogu i krajowi, i w każdéj chwili bądź gotów życie łożyć dla obu matek twoich Kościoła i Ojczyzny. Mniejsza o to że nie będziesz szczęśliwym, byleś zawsze był cnotliwym.— Dodał błogosławieństwo i dla starszego syna, wszystko jemu z serca odpuszczając. Ale to wszystko tak rozbiło starca, że słowa coraz słabiéj wymawiał i zdawał się usypiać.

Wszyscy na palcach wyszli do bawialnéj izby, usiedli spoglądając na siebie i milczeli, bo każdy tak był poruszony, że słowa wymówić nie mógł.

Wszakże, pod wieczór strażnik zdawał się przychodzić do siebie. Znowu wszystkich zaprosił do swego łoża, i tak przytomnie z niemi rozmawiał, iż zaczęli wierzyć że choroba się przesila i że zdrowie odzyska.

Było to ostatnie zjawisko gasnącego żywota, okazujące się zwykle przed skonaniem 1).

---

1) Uderzające są zjawiska przed zgonem nie tylko cnotliwych mężów, ale nawet wielkich społeczeństw. Narody tak konają jako i pojedyncze męże, bo oprócz Boga nikt nie jest wiecznym. Literatury raptownie wybuchnięte są zjawiskiem skonania ducha narodów. Już to jeden pisarz odważył się ogłosić, czem pobudził na siebie pismienne wrzaski swojéj

Jednak cały ten wieczór przepędził w miłem obcowaniu z tém co miał najdroższego na tym świecie.

Żaden z gości do swojego domu nie wrócił.

Ale nazajutrz z rana, jak się często dawał z tem słyszeć strażnik, że dnia tego nie przeżyje, przeczucie nigdy niezawodzi ludzi prawdziwie pobożnych, w saméj rzeczy zasnął w Bogu, prawie bez konania, na rękach ojca gwardyana i wojskiego, wtedy kiedy jego przyjaciele jeszcze spoczywali.

Można wystawić sobie jakie to było ich przebudzenie, jaki smutek ich ogarnął, ale nic się równać nie może z rozpaczą poczciwego wojskiego.

Przyjaciele nie odważyli się go opuścić w téj goryczy serca. przynosili mu pociechy przyjaźni i religii, a widząc go w niemożności zajęcia się czemkolwiek, sami zatrudnili się pogrzebem, żeby tę ostatnią posługę oddać współurzędnikowi i ścisłemu przyjacielowi.

W kilka dni po śmierci strażnika, pogrzeb jego odbył się w Słonimie, u OO. Bernardynów, gdzie wedle

społeczności; te wrzaski były niesprawiedliwe. Przynajmniéj to jest pewném, że ci pisarze, którzy na tego autora powstali, mogą być przekonani, że ich pisma bynajmniéj nie dowodzą rychłego zgonu ducha ich społeczeństwa tak jak pisarzy wieku Peryklesa, upadek gminowładztwa Greckiego, Augusta, upadek możnowładztwa Rzymskiego, Medyceuszów, władzy politycznéj Papieżów, Ludwika XIV. potęgi feudalnéj Francuzów; pisarzów niemieckich XIX. wieku, upadek Rzeczy niemieckiéj. Pisma w naszym języku ogłoszone, przeciwko autorowi, którego zdania przytaczam, żadnem nie są zjawiskiem godnem zastanowienia. Jeżeli naród w łonie którego wybucha silna literatura jest bliskim zgonu, ten, w którym oni piszą, miałby rękojmię nieśmiertelności w ich własnych pismach.

jego woli, jego zwłoki miały być złożone. Pogrzeb był wspaniały, ledwo nie połowa kapłanów całego powiatu, tak jednego jako i drugiego obrządku, na nim się zgromadziła. A nie było w słonimskim obywatela, który-by na ten obchód nie zjechał, nawet wielu z innych powiatów i województw, a Albeńczyków tyle się zebrało, że same żółte kontusze zdawały się snuć po ulicach.

Na stypie kilkaset osób za stołem siedziało, a nie tylko piwnica nieboszczyka, zawsze tak opatrzona, wypróżnioną została do szczętu, ale, jak się obywatelstwo rozjechało, w całym Słonimie wina na lekarstwo nie można było dostać.

Urzędnicy powiatowi, sami nieśli trumnę zmarłego kolegi.

Oprócz exort duchownych, więcéj dwónastu mów świeckich dało się słyszeć, bądź na stypie, bądź przy grobowcu, bo każdy chciał sławić zasłużonego męża. A generał Kunicki tak w mowie swojéj się rozszlochał, że mu sił nie stało do jéj zakończenia.

Wojski kilkakrotnie zemdlał, a nawet po powrócie do domu obłożną niemocą przypłacił to ciągłe passowanie się z sobą samym.

Po odbytym pogrzebie, generał Kunicki naznaczywszy dla Michała i Zosi dzień szlubu, trzecią niedzielę po niedzieli kończącej żałobę Michała, opuścił nazawsze wioskę, którą miał w słonimskim, a gdzie przesiadywał jedynie dla sąsiedztwa strażnika, i powrócił do Niewodowa, dawnego swojego mieszkania pośrzód szerokich dóbr, które posiadał w mińskiém Województwie.

Wojski utuliwszy się nieco z żalu, po tak boleśnéj stracie, do czego dopomogło mu szczególnie przekonanie, że co tylko z woli Boga przychodzi, z jakiegoś wzglę-

du musi być koniecznie dobrem i pożytecznem, zajął się majątkiem, ażeby w nim było wszystko gotowe do działu; a do brata napisał list obszerny, donosząc mu o ich wspólnem osieroceniu. Że ojciec umierający w ostatniem błogosławieństwie żadnéj nie czynił różnicy między pozostałemi po nim synami; że skład interesów domowych, wymaga najrychlejszego podziału dość znacznéj ojcowizny, a nadewszystko ich zbliżenia się do siebie, by osobiście się umówić względem niektórych okoliczności familijnych, ile że ojciec ich odumarł bez żadnego rozporządzenia: że będąc właścicielem połowy tylko spadku, ma ręce związane w obrócie całkowitéj massy. Zatem najusilniéj go uprasza, by nie tracąc czasu, choć na parę tygodni raczył zjechać do Litwy, i przy téj okoliczności poznał brata do niego zawsze przywiązanego, uważającego w nim głowę swojéj rodziny, i który postanowił sobie, we wszystkim ile możności dawać się jemu powodować, jako młodszy brat starszemu. A nakoniec doniósł mu o naznaczeniu terminu, w którym los jego nazawsze ustalonym będzie.

Ludwik odpisał, nie szczędząc wyrazów tkliwych w wynurzeniu swojego żalu po nieodżałowanéj stracie, która ich obu dotknęła: że to jedynie go pociesza, iż po skończonéj żałobie patrzeć będzie na postanowienie brata, gdyż nie omieszka być na jego weselu, by do ołtarza prowadzić kochaną bratowę; ale że teraz stolicy żadnym sposobem opuścić nie może, bo w czasie agitującego się sejmu, Król Jmć ciągłych jego usług potrzebuje. Co do spadku po ojcu, że go już doszła wieść że ojciec był rozporządził całym majątkiem na wyłączną korzyść brata, i tylko na usilne jego prośby to postanowienie cofnął. Że ta wspaniałomyślność brata bynaj-

mniéj go nie dziwi, że na jego miejscu inaczejby nie postąpił, wszakże nie przestaje mu zachowywać dozgonnéj wdzięczności, ile że się opiera na najwyższym szacunku do jego osoby. Z resztą, że będąc z siebie dość bogatym mało dba o spadek ojczysty, a zatém niechaj brat rozporządza się wedle woli swojéj w tym majątku, który rzeczywiście jemu samemu był przeznaczony.

Do tego listu dołączył najobszerniejszą plenipotencyę napiętnowaną wszelkiemi formalnościami jakie tylko juryści mogą obmyśleć, na imie brata. W niéj nie tylko że mu poruczył administracyę swojéj ewentualnéj schedy, ale mu nawet przyznał prawo alienowania jéj, gdyby tego widział potrzebę, uwalniając go od wszelkiéj kalkulacyi i odpowiedzialności.

W rzeczy saméj, nietyle interesa publiczne zatrzymywały go w Warszawie, ile miłostki które prowadził z krajczyną wielką koronną, jedną z najpowabniejszych dam dworu Króla Stanisława.

Jednak pomimo najszczerszego jego pragnienia zostawać w stolicy, okoliczności tak się złożyły, że prędzéj się poznał z rodzinną Litwą, niż się tego kiedykolwiek spodziewał.

IX.

List Starosty Wieluńskiego do Xięcia Generała Ziem Podolskich.

Z pod strzechy rodzinnéj, gdzie bez najmniejszego ustępstwa duchowi czasu przechowują się obyczaje sarmackie, piszę do waszéj xiążęcéj mości. Z rozkazu Króla Jmci wyjechawszy do Litwy, zostaję na gościnie u mojego brata, wojskiego słonimskiego, długi czas zawołanego jurysty, czas niejaki zbrojnego poplecznika sprawy xięcia *Panie Kochanku*, a teraz gospodarza wzorowego, grykosieja, łapigrosza, zawsze zabitego Litwina, ale summa summarum, najpoczciwszego z ludzi. Niech mówią co chcą, ale musi być w cnocie jakiś urok, kiedy ja, przywykły od dzieciństwa do myśli i wykwintności oświeconego świata, ja, sybaryta we wszystkich moich nałogach, mieszkam w izbie prześmiardłéj gliną, lub okadzonéj smołką litewską, coraz w nocy przebudzony zo-

staję wyciem psiarni mojego brata, karmię się barszczem i jakąś tatarską strawą, co ją tu nazywają *wereszczaką:* niesłyszę innego wyrazu francuzkiego prócz tego, co wychodzi z ust mojego Laflera, a z tém wszystkiém czuję jakąś pomimowolną zazdrość do mojego brata, że jego wewnętrzne usposobienie pozwala mu obrać dla siebie podobny tryb życia. Widzę w nim, lubo temperament jego jest nieco melancholiczny, jakiś pokój serca, jakąś błogość duszy, od których czuję się być dalekim. Słynę na wielkim świecie z wesołości i jednostajności humoru, mają mię wszyscy za jednego z ulubieńców fortuny; a gdyby umiano mię przeniknąć, prawdziwie nie byłoby czemu zazdrościć. Znalezionoby czczość, odczarowanie, przesyt wszystkiego. Co tylko przywabia swojemi ponęty, już jest dla mnie obnażone z szat swoich, a nagość tych rzeczy, za któremi się upędzamy, bez których już nawet żyć nie umiemy, jest obrzydliwą. Wszystko jest nicestwem, i my sami jesteśmy nicestwem. Niema nic rzetelnego w żadnéj zasadzie; do niéj wiąże pociąg, bojaźń, lenistwo, a nakoniec nawyknienie daje jéj siłę nałogu. Wiara czy niedowiarstwo, religija czy filozofija, wszystko to są igraszki słów, a ten rozum, którym się tak pysznimy, najczęściéj na słowach poprzestaje. Każdy filozof chlubi się że jest wyznawcą *prawdy*, ale co to jest *prawda?* jak się przekonać że *prawda* jest *prawdą?* Czy jest na świecie jaka *prawda?* Rozumowanie, co najwięcéj, dowodzi zdolności rozumującego, ale jest-li rzeczywisty związek między rozumowaniem a rzeczą rozumowaną? Rozum może fałsz oczywisty podnieść do godności prawdy. A sam rozum czemże jest? ma-li on rzetelne znaczenie? Rozum jednego człowieka; jest głupstwem drugiego człowieka; rozum je-

dnego pokolenia, jest głupstwem drugiego pokolenia. Powiem więcej: przekonany jestem, że rozumowania na naszych postępkach żadnego nie wywierają wpływu, a pociągi tylko nami władają. Gdyby szermy rozumu miały jaką siłę przekonywającą, kto wie, czy w takim razie zreassumowawszy rozumowania za filozofiją i za zabobonem, szalaby się ku ostatniemu nie przechyliła? Co do mnie, żyjąc w ścisłych stosunkach z koryfeuszami Encyklopedyi, chociaż ledwo nie każde ich słowo było grotem ciśniętym na Religiją Chrześcijańską, nic jednak nie słyszałem takiego, coby było zdolnem obalić moje przekonanie, gdybym zkądinąd do tej religii czuł jakiś pociąg; a jednak usłyszałem za nią jeden argument tak wrażliwy, że aż mi utkwił w pamięci.

W pierwszej mojej młodości, będąc na służbie u Króla Leszczyńskiego, byłem świadkiem jednej rozmowy przy wieczerzy. Siedział za stołem Król, xiężna de Luxembourg, Wolter, Fréret, Tressan i xiądz Proyart, a ja, za drzwiami otwartemi w przedpokoju, gotowy na każde zawołanie królewskie. Wiadomo xięciu, że Król, lubo był oddany wszystkim zabobonom katolickim, lubił towarzystwo filozofów i bez granic tolerował objawienie zdań najzuchwalszych, najprzeciwniejszych jego przekonaniu. Wolter, wedle swojego zwyczaju, szydził z religii, do czego mu dopomagał Fréret. Xiądz Proyart i Tressan stawali im w oporze, Król milczał, a z podobnemi ludźmi i zaczepka i odpór były dzielne. Nakoniec Król się odezwał:— żadne rozumowania wasze na mojem przekonaniu wrażenia nie robią, bo nie ma rzeczy, której-by rozumowaniem nie można było zarówno obalić lub utwierdzić; dla mnie więc rozumowanie jest niczem, a fakt wszystkiem. Nie mam trudności wierzyć

w rzeczywistość Religij Chrześcijańskiéj, bo ona jest niezaprzeczonym faktem.

Na to Wolter:— N. Panie, wszakże każda religija, zaczynając od pogańskiéj, była faktem, wszakże i filozofija jest faktem!«

— Co do filozofii, odparł Król, ten fakt albo doświadczeniem całkiem nie był stwierdzony, albo doświadczenie owszem przeciw niéj świadczy. Co się nigdy nie dało zastosować do życia społeczeńskiego, czémże jest, jeżeli nie teoryą? O pogaństwie tyle tylko powiedzieć można, że ono, jak wszystkie opinie ludzkie, swój czas odbyło. Każda opinija, otrzymawszy panowanie nad ludźmi, jeżeli się już wątlić zaczyna, nie ma sposobu jéj pokrzepić. Historya nas przekonywa, jak w podobném przedsięwzięciu i Neoplatonizm i Cesarz Julijan się rozbili, i w tém prawie nie może być wyjątku, bo żadna myśl, jedynie ludzka, sama w sobie siły zaradczéj nie posiada. W idei chrześciańskiéj przeciwnie, jeżeli się odwołamy do doświadczenia, przekonamy się że ta idea kolejno zbliża się do schyłku, a potém sama z siebie wzmaga się i powraca na dawne swoje stanowisko. Jest to jedyna wyłączność w dziejach świata.

— Wieleż to opinij, odezwał się Fréret, filozoficznych, naukowych, politycznych, które, skonawszy, później odżyły!

— Prawda, odpowiedział Król, ale warto zauważać, czy te niby wskrzeszone opinije były zupełnie te same? czy były powszechnie panujące w społeczeństwie? czy nakoniec wpływały na jego przeznaczenie? Religija Chrześcijańska, otrzymawszy panowanie nad ukształconym światem, tak się już była rozłożyła pod pociskami Aryanizmu, że już, wedle wyrazów jednego świętego filozo-

ła, świat był zwątpił, czy jest jeszcze rzeczywiście chrześcijańskim. A jednak, po chwilowem zaćmieniu, taż sama idea chrześcijańska, bez najmniejszego ustępstwa, bez najmniejszéj modyfikacyi w swojéj istocie, na nowo świat opanowała, tak dalece, że śladu Aryanizmu nie pozostało. Niechże mi kto ukaże podobny fakt z jakąkolwiek opiniją ludzką!

Tu xiężna de Luxembourg, mająca dar szczególny urywać rozmowy, które ją nie bawiły, rzuciła jakiś żart dowcipny i wszyscy o czém inném mówić zaczęli.

Pomyślisz sobie xiążę, że już na Litwie zostałem bigotem. Nie, wcale nie. Jestem i będę filozofem, nie żeby argumenta filozofij były bez odporu, ale dla tego że ona mi jest milszą, że moje postępki do niéj stosować mogę, że mi nie podaje obowiązków których dopełnienie przechodzi możność moję; a nadto jestem uczciwym człowiekiem, bym usty wyznawał to, czemu by moje uczynki kłamstwo zadawały.

Życie wiejskie, strzecha rodzinna, obyczaje prostackie, są to rzeczy bardzo piękne w poezyi, ale ich rzeczywistość dla mnie nie ma powabów, a tylko im się oddawszy można żyć po chrześcijańsku. Religija na wielkim świecie jest kuglarstwem, i nic więcéj. Szacuję filozofów, bo każdy z nich może usprawiedliwić swoje postępki przez opinije które go zhołdowały. Ale cóż powiedzieć o nabożnisiach wielkiego świata, którzy tak postępują jak tamci, a ogłaszają siebie za wyznawców opinii, też postępki potępiającéj. To nie dla nas mości xiążę, honor nie dozwala nam kłamstwa, jakabykolwiek była jego forma; nasze postępki powinny zawsze stosować się do naszych wyznań, i to, do czego czuję przyrodzony pociąg, tego nigdy potępiać nie będę. Moja filo-

zofija jest uleganiem woli, wszystkim pociągom jakich doświadczać mogę i dopokąd ich doświadczam; bo o niczem nie zdołam być przekonanym, tylko że to mi się podoba, lub jest przeciwne mojéj naturze, a skoro się podoba, tym samym musi być dla mnie dobrem. Nasze pociągi są dla nas niezaprzeczoną prawdą, bez wątpienia względną, ale innéj prawdy nie pojmuję. Szanuję mojego brata i jemu podobnych wieśniaków, bo poddawszy się prawu surowemu umieją z niego wyciągać dla siebie następstwa praktyczne; pogardzam temi, którzy postępkami swojemi depcą to samo prawo, któremu się poddali, a nie mają dość energii w duszy, by je z siebie zrzucić; ale ani pierwszych ani drugich naśladować nie myślę.

Niech to xięcia nie zadziwia że tak sobie filozofuję. Jest to duch czasu; nasz umysł nigdy nie spoczywa, tylko ciągle szuka jakichś pewników, lubo ich nigdy znaleść nie może. A zkąd to pochodzi, oto ztąd, że my wszyscy, ludzie niby rozumni, jesteśmy najwięksi próżniacy. Ten kto z nas ciągle marzy, lub czyta jakieś nowomodne xiążki, zdaje mu się że pracuje; a jeśli broń Boże jakąś myśl swoję na papier położy, już ma siebie za męża wielce pożytecznego. A niech to będzie między nami, niema tak lichego szewca naprzykład, coby nie był nierównie czynniejszym niż najpierwszy myśliciel. Wiesz xiążę, że ten dziwak Rousseau klina mi w głowę zabił, utrzymując w mojéj przytomności że człowiek który myśli, jest źwierzęciem zepsutém. Jest to zapewne przesada, ale w niéj jest coś prawdziwego. Jakkolwiek bądź, nie powiem myślenie, ale *myślicielstwo*, rozprawianie, piśmiennictwo, wszystko to jest różnowzględną modyfikacyą zarozumiałego próżniactwa.

Mój brat naprzykład, choćby i miał nawet do tego zdolność, kiedyż by znalazł czas do filozofowania? Wstaje przed piątą; po odbytych pacierzach i to niekrótkich, zasiada nad dokumentami, bo w pieniackim narodzie jakim jest litewski, gdzie każdy jego przyjaciel po kilka wpisów ma co kadencyi, te wszystkie sprawy o niego się opierają, każdy prosi go o radę, bo rada dobra i za nię płacić nie trzeba. Ja śpię, a on pisze objaśnienia; ja śpię, a on już całe gospodarstwo konno objechał, ja śpię, a on zmęczony i zgłodniały powraca. Ja wstaję nakoniec, obwijam się w szlafrok, a on już i starki się napił i opchał się więdliną. Ja się zabieram do ubrania, a on już ubrany przychodzi piłować mnie swoją grzecznością: a czy mi czego niedostaje, czy mi nie brak na wygodach, czy się nie nudzę? A jakże mu powiedzieć że się nudzę, że nie mam tych wygód, do których przywykłem, a o których tu nawet wyobrażenia nie mają, kiedy ten poczciwy brat radby mi nieba przychylić, jak tu mówią, radby mi ptasiego mléka dostać.

Zatém męczy mię żebym z nim przystąpił do działu fortuny, po ojcu naszym pozostałéj, fortuny, jak na szlachecką, zamożnéj. A wiesz xiążę, że nasz ojciec, całkowity swój majątek, jako dorobkowy, jemu był zapisał. A on od ojca na śmiertelnéj pościeli leżącego, ledwo wymógł że ten korzystny dla niego testament zniszczył. Przynosi mnie, powiadam xięciu, kompletną bibliotekę rachunków, skryptów, dokumentów, inwentarzów, i każe mi to czytać. Ja ledwo się wypraszam, odkładam od jutra do jutra; mówię mu: bracie, sam rób dział i daj mi co ci się podoba. Wszakże wszystko miało być twoje; jeżeli wtedy nie chciałeś mię ukrzywdzić, to i teraz nie ukrzywdzisz. On się smuci, mówi że to być nie mo-

że, a jużci on mię do tego nie namówi, bym wertował te wszystkie papierzyska; to nad moje siły.

Przychodzi pora obiadowa: ja najczęściej nic prawie nie jem; raz że mi to nie do smaku, powtóre że ledwo niecodziennie cierpię migrenę. On je za czterech, bo za ośmiu pracował. Po obiedzie radbym z nim rozmawiać o interesach publicznych; gdzie tam! Ledwo zaczniemy mówić, a już widzę że mu w głowie wyruszyć w pole z chartami, żeby dławić zająca; albo, co gorzéj, wizyta jakiego sąsiada. Brat mu rad, jakby Pana Jezusa za nogi uchwycił, (widzisz xiążę, że się wyuczam tutejszych przysłowiów), i zaraz przyjmuje go kielichem; a gość najczęściej tak nudny, że aż oszaleć trzeba. Notabene, mam osobliwsze szczęście do nudziarzów; do brata pije, a do mnie mówi; a o czém? o to o gospodarstwie, o sprawach agitujących się w powiecie, o ostatnim sejmiku deputackim; a tego wszystkiego brat tak łakomie słucha, jak słuchają w Paryżu relacyi o nowéj sztuce teatralnéj, lub o nowych miłostkach królewskich. A ja, prawdziwy wychowaniec dworów, tak natężam ucha na te dyskursa, jak gdyby wydatek gorzelniany, umłot owsa i kondemnata otrzymana przez P. cześnika na P. strukczaszym, nad wszystko mię obchodziła. Uważa xiążę, że i między bracią szlachtą przydatna dworszczyzna, na wielkim świecie nabyta. Potém, jak sami z bratem zostaniemy, on bojąc się bym się nie nudził, rad mię bawić jak umie i może, ale ja, widząc że on jak na szpilkach siedzi, tak go korci obejrzeć stadninę, czy oborę, czy browar, czy jaką fabrykę, nie mam serca go zatrzymywać; owszem sam go proszę iżby mię zostawił, a sam ułatwiam moję korrespondencyą lub filozofuję. A jak brat powróci przed samą wieczerzą, a potém naje się jak

wyrobnik, przy świecach radbym kozetkę przedłużyć: ale cóż, jak mu zacznę mówić o Wersalu, lub nawet o Warszawie, to go tyle obchodzi, ile mię obchodzą niedźwiedzie przeszłego roku na Litwie ubite. A nakoniec nieborak, przed piątą z rana na nogach, a cały dzień w ruchu nieustannym, tak zmęczony, że ledwo nie stojąc zasypia. Kiedyż to takiemu filozofować.

Mój brat jest wielkim religijantem, postnikiem, jałmużnikiem, sodalisem, promotorem rożańca, a nigdy o tych rzeczach nie mówi. I to mię nie dziwi, bo on w to wszystko szczerze wierzy. My sceptyki, o wszystkiem lubimy rozumować, bo w niczem nie mamy przekonania; jest to w porządku rzeczy. Tutejsze zakonniki, ludzie gorącej wiary, wyjąwszy w kościele, chyba przymuszeni mówią o religii. Nasi Labusie przeciwnie, i świeckim i damom ciągle trąbią o rzeczach duchownych, teologicznych. Zkądże ta różnica? Oto ztąd, że pierwsi wierzą jak oddychają powietrzem, a drudzy wmówili sobie że wierzą, i o tem chcą wszystkich przekonać. Mój brat jest żywym wizerunkiem prawości, tak dalece, że ma za jakieś przywłaszczenie odezwanie się w materyi wprost do niego nienależącej. Ile razy wypadnie mówić o prawie, okazuje się ognistym, wymównym, często nawet ostro decydującym. Prawa przytacza z pamięci i rozpływa się nad niemi, a za nic w świecie żadnemu z nich nie przygani. Każde prawo u niego święte, bo prawem; ale jak prawodawca to prawo zniesie, dopiero odważy się przyznać że było złem, bo już przestało być prawem. Jeżeli w jego przytomności jaki xiądz wyzwany zmuszonym jest rozprawiać o religii, on będzie go słuchał z natężoną uwagą, ale swoich trzech groszy do tego dyskursu nie doda. To xiędza a nie moja rzecz,

pomyśli sobie, i będzie milczał. Co takiemu gadać o reformie publicznej, o zmianie formy rządowej, o zadaniach publicznych, socyalnych, moralnych, kiedy u niego, co tylko nie jest napiętnowane prawem religijnem lub krajowem, jest niczem. A szkoda! bo gdyby go można było przeciągnąć na naszę stronę, to by była zdobycz nielada; cały powiat słonimski w niego wierzy jak w proroka; ale na to niema sposobu 1).

Onegdaj byłem przytomny dwóm wypadkom i one najlepiej malują mojego brata. Z rana takiego gwałtu narobił pod mojemi oknami, że ażem zerwał się z pościeli myśląc że dom się pali; a cała rzecz szła o to, że jeden wół na browarze stojący, opiwszy się wywaru, zdechł przy korycie. Miał się czego nasłuchać pisarz browarny, a czeladź przy wołowni będącą kazał sowicie poobdzielać plagami. Tego samego dnia po obiedzie przyszła wiadomość, że jego umocowany, niegdyś dependent, odwożąc jego summę, czterdzieści tysięcy wynoszącą, do Nieświeża, dla ulokowania jéj w skarbie Radziwiłłowskim, w Świerżniu na przewozie z bryką i rzeczami zatonął. Ledwo że ludzie wpław Niemnem przebywając ocalili siebie, ale nic zgoła nie wyratowali. Cóż powiesz xiążę? najspokojniéj zniosł tę przygodę, ani się zmarszczył. Powiedział tylko, swojemu rządzcy: Mościpanie, trzeba nam dobrze wziąść się w kupę żeby tę dziurę załatać; tymczasem podziękujmy Bogu że ludzie cali. Nie mogłem

---

1) Nigdy człowiek wielce narodowy nie będzie skłonnym do reform. Kto pragnie reform, ten nie kocha swojego świata. »Człowiek powinien postępować z wiekiem" mówią.— Wyznaję, że nigdy jaśnie nie rozumiałem, cę przez to chcą powiedzieć.

niepowiedzieć jemu:— Winszuję bracie, że tak po stoicku klęskę swoję znosisz; przyznam ci się żem po tobie tego się niespodziewał.— A to dla czego?— A wszakże dziś z rana narobiłeś hałasu, tertesu, za utratę jednego woła; jakaż to była szkoda w porównaniu téj drugiéj?— To wcale co innego; to nie z czyjéj winy, jedno z woli Boga, a tamto z niedozoru sług.

On od swojego gospodarstwa nie odłącza wyobrażenia powinności; utrzymuje, że jako pan, obowiązany jest pod ciężkim grzechem mieć baczenie, żeby słudzy należycie dopełniali swojéj powinności. Takie są jego zasady i jest w nich cóś szlachetnego, nawet cóś budującego, jak we wszystkich jego zasadach. Ale ileż to trzeba prostoty w sercu żeby być nim! Takowe cnoty, i w téj formie, już nie są dla nas. Żeby który z naszych chciał je naśladować, byłoby to dziwactwem, głupstwem. jak każda rzecz niepochodząca z przekonania, ale wymuszona na przekonaniu.

Jednak cóż to za życie, życie bez namiętności, kiedy rzeczywista godność człowieka jest oparta na grze namiętności, któréj rozum daje jakąś harmonijną równowagę. Mój brat żadnéj namiętności nie ma; on niby zakochany w swojéj narzeczonéj, która ma być i bardzo piękną i dobrze wychowaną; ale pewny jestem, że gdyby władza duchowna ogłosiła, że przyjaźń rodziców stanowi jakieś powinowactwo, z czego dla związków ich dzieci, zachodzi *impedimentum dirimens:* natychmiast przestałby ją kochać i do innéj obrócił swoje zamiary. Żeni się, bo szlachcic nie xiądz, nie żołnierz, powinien się żenić. bo jego ojciec i dziad swojego czasu się żenili, bo w domu lepiéj z gospodynią niż bez niéj, bo czuje wolą Bożą, a jako dobry katolik, nie może jéj uledz je-

dno drogą sakramentu. Ale żeby tam była miłość, żeby wyobrażenie miłości, to się na moim bracie nie pokaże. Kilkakrotnie zaczepiłem go o wdziękach jego oblubienicy, o rozkoszach hymenowych, których z nią ma kosztować: zaczerwieni się jak piętnastoletnia panienka, i albo urywa rozmowę, albo od niéj ucieka jak żak. Żeby to przynajmniéj miał portret swojéj narzeczonéj choćby pukiel jéj włosów, nareszcie bindę, którą się przepasywała. A to nic a nic, coby ją jemu przypominało, oprócz pierścienia, w czasie zaręczyn otrzymanego, a który zawsze na palcu nosi; ale nie dla innéj przyczyny, tylko że taki jest zwyczaj, taki obrządek, *a testimonio veterum.*[1]

Prawdziwie, u tych ludzi starego kopyta jest jakieś unicestwienie indywidualizmu. Wszystko się dla nich układa wedle prawa i zwyczaju nieodmiennego. Na co człowiekowi myśleć, kiedy wprzód jeszcze nim się urodził, wszystko z góry już było dla niego obmyślaném. Wiesz xiążę dla czego taki wstręt czuję do religii, obyczajów samowładnych, ustaw zasadniczych społeczeństwa i innych rzeczy równie poważnych? Nie żeby w potrzebie one się nie dały wytłómaczyć jakimś wywodem logicznym, ale dla tego, że one wszystko przewidziawszy i opatrzywszy dla człowieka jego przeznaczenie, poniekąd usuwają od wpływu jego woli. Musi xiążę pamiętać, kiedy to będąc razem u Pani Geoffrin, Rousseau, wpadłszy w entuzyazm, tak wymównie zaczął się unosić nad Spartańczykami i ustawami Lykurga; nad tą społecznością, gdzie każda czynność prywatna, chociażby najpotoczniejsza, była prawem oszrankowana. Jeszcze wtedy Duclos tak nas rozśmieszył a Roussa zgorszył, twierdząc, że co do niego, on tylko jednéj rzeczy spartańskim ustawom zazdro-

ści; to jest, igrzysk, gdzie dziewice bez szat walczyły z sobą na publicznych widowiskach. Chciałbym obeznać Roussa z tutejszemi żydami, bo pod względem posłuszeństwa wszędowściubskiemu prawu, oni są rzeczywiście Spartańczykami. Zdaje mi się, że to jego przybliżenie się do nich, niemałoby ostudziło jego zapał. Otoż to skutek niezbędny oparcia żywota społeczeńskiego na niezmiennych prawach, na świadectwie starych, na podaniu przekazaném od zeszłych pokoleń. Trzeba zostać żydem, albo Chińczykiem; a na tém stanowisku wymyślić niemożna ani balu wersalskiego, ani opery paryzkiéj.

Oj Paryż, Paryż, mości xiążę! tam jest nasz horyzont. W oddaleniu od Paryża, my wszyscy pleśniejem. Sam xiążę przyznasz, że Warszawa o tyle tylko jest nam przyjemną, o ile choć w czemkolwiek Paryż przypomina.

Krol Jmść jest moim dobroczyńcą, obdarzył mię orderami, urzędami, intratami; ale na honor szlacheck przysięgam, że jego darów nie ukradłem, prawdziwie na nie zasłużyłem. Ja królowi duszę i ciało zapisałem, jak Twardowski władcy piekieł. Xiążę wiesz o tém, że kochałem i byłem kochany. Krajczyna była mojém bóstwem; Król się w niéj zakochał, jak Dawid w żonie Uriasza, a ja, niechcąc się wdawać w spółzaloty z Panem swoim, zostałem ofiarą wierności poddańskiéj; a jednak Król mi nie dowierza, kiedy mnie, a nie innego wyprawił do Litwy, żeby na jego rzecz poburzyć dyssydentów i tém podkopać xięcia Panie Kochanku; to jest muszę, gwoli Królowi, związać się z nieprzyjaciołmi mego Kościoła, i szyć bóty rodzonemu bratu i dobroczyńcy. Kochankę, brata, wiarę, wszystko Królowi poświęcam, a do tego nudzę się na śmierć w teraźniej-

szych dla niego posługach. Niechże przynajmniej dotrzymuje danego mi słowa w obecności W. X. Mości, że mię usadowi na pierwszém wakującém senatorskiém krześle, a Król wie z doświadczenia, że w potrzebie dobrą potrafię dać radę. Prawdę powiedziawszy, nie nadto liczę na tę pańską obietnicę, bo Królowi aby z oczu, to i z myśli. Wszakże xiążę zawsze łaskaw na swego starego sługę, nie omieszkasz przy zręczności rzucić o tém jakie słóweczko Królowi. Tego jestem nadto pewny, a ja tu szczerze zajmuję się poleceniami N. Pana. Jutro jadę do Grabowskiego, głowy dyssydentów litewskich, a mojego niegdyś kollegi w wojsku francuzkiém i następną pocztą uwiadomię xięcia o tém, co się zrobi. Przepraszam W. X. Mość, że tak rozwlekle rozszerzam się, ale kiedy to tak trudno obcując z xięciem, nie starać się tego obcowania przedłużać. Zresztą czuję że starzeję, bo i robię się gadułą i zaczynam łaknąć za dostojeństwami. Ale xiążę, przywykły rodem swoim do piastowania najwyższych godności świata, wyobrazić sobie niemożesz, co to jest senatorstwo dla szlachcica co to jest chodzić jemu w Wersalu na równi z parami Francyi i z ust Ludwika XV usłyszeć do siebie obrócone wyrazy: »*Mon Cousin.*« Jest na czém oszaleć z radości. Jeżeli za łaską Króla, pomocą W. X. Mości i mojém szczęściem zostanę senatorem, zaraz, choć na kilka tygodni, pojadę do Wersalu. Jak się zadziwią moi niegdyś towarzysze broni, gdy Król chrześcijański powie do mnie:» *Mon Cousin.*» *O utinam!*

Przyjm W. X. Mość i t. d.

Szypiany, dnia 20 Września, 1768.

X.

List drugi Starosty Wieluńskiego do Xięcia Generała Ziem Podolskich

Przecie byłem tak szczęśliwy, że Królowi panu mojemu miłościwemu, dopisać mogłem.

Tyle miałem powodów radości w tych dniach, że muszę je waszéj xiążęcéj mości wynurzyć, jako mojemu szczególnemu łaskawcy.

Pozawczora z rana odebrałem pakę listów z Warszawy, Król jegomość raczył mnie zaszczycić obszernem pismem, i umiałem czuć ten dowód łaski pana względem swojego najwierniejszego poddanego. Jednak nietyle mi biło serce, jak kiedy na innym liście, wprzód jeszcze nimem go otworzył, poznałem rękę w. x. mości. Wdzięczność moja za te powtórzone zakłady jego pamięci wysłowić się nie da, bo są uczucia, które z żadnemi wyrazy zrównoważyć się nie mogą. Dostałem także list pe-

łen wiadomości o Paryżu, list z trzech ćwiartek drobno napisanych, od mojego brata przyrodniego Mycielskiego, którego w. x. mość zaszczycałeś łaską swoją w Paryżu, a którego listy przezemnie czytane Królowi na czwartkowych obiadach, miały szczęście jemu się podobać. W odpowiedzi mojej do Króla, zrobiłem wypis z listu tego, gdyż najbieglejszy agent dyplomatyczny gruntowniejszego opisu dworu francuzkiego, i tego co się na nim teraz dzieje, nie byłby w stanie przysłać.

Pisze, że nasza partya coraz gorzej stoi w Wersalu, że xiążę de Choiseul, żadnej nie opuszcza okoliczności, by przeciwko nam wichrzyć. A to dla tego, że nie może znieść, iż ten sam, któremu dawał posłuchanie w Wersalu, nosa do góry zadzierając, jest teraz równym jego panu. Donosi mnie, że od śmierci margrabiny de Pompadour Ludwik XV jest nadzwyczajnie znudzony, a pokątne rozpusty, którym się oddaje, nie są zdolne zapełnić czczości co ją doświadcza. Że lubo ten samolub koronowany, rzeczywiście nic nie umiał miłować sercem, nałóg w rozwiązłym starcu ma wszystkie cechy przywiązania. Nakoniec wystawia obraz pełen dowcipu, wszystkich zabiegów Gyneceu wersalskiego, żeby otrzymać wakujące miejsce faworyty królewskiej, oraz niepowodzenia xięcia Choiseul w kierowaniu na to dostojeństwo swojej siostry, xiężny de Grammont, której przymilenia Król odpłaca stateczną oziębłością. Z tego wszystkiego pokazuje się, że albo żadnej urzędowej faworyty niebędzie, albo jeżeli się zjawi. to chyba z nizkiego plemienia, gdyż Król nadto się obawia możnowładztwa otaczającego, by go jeszcze tak silną podporą pokrzepiał. W pierwszym przypadku, położenie Choiseula będzie niewzruszone, w drugim jego duma, a jeszcze więcej jego siostry, która nim

włada, przywoła burzę, a ta go niezawodnie wywróci, czego my powinniśmy życzyć z całego serca. Zresztą, przy najrzadszym dowcipie, mój brat Bertrand jest to dziecię zepsute. Będąc koligatem nieboszczki Królowy francuzkiéj otrzymał był stopień kapitana w Berszeni-huzar. Ale od dwóch lat, do wszystkich podwojów kołatał, żeby być przeniesionym do gwardyi królewskiéj, nakoniec teraz otrzymał przedmiot swoich zabiegów; kto by myślał że musi być najszczęśliwszym z ludzi, otoż przeciwnie, jest w rozpaczy, a to dla tego, że za kulisami teatru francuzkiego, aktorki z niego żartowały, że mu nierównie więcéj były wąsy do twarzy niż fryzura.

Odebrawszy i odczytawszy listy, oświadczyłem bratu wojskiemu, że muszę nawiedzić mojego towarzysza broni wojsk francuzkich, Grabowskiego, mieszkającego w Izabellinie o mil pięć od Szypian i prosiłem go by ze mną pojechał, a przyznam się xięciu, że umierałem ze strachu by na to się niezgodził. Wypadało mi albowiem dać tym nawiedzinom pozór tylko grzeczności, a niczego więcéj, a zapraszając do niego najgorliwszego popecznika xięcia Panie Kochanku, tém samém go przekonywałem, że w niéj nie było celu politycznego.

Jakoż ta moja chytrość wybornie mi się udała.

Mój brat niczego się nie domyśla i oświadczył, że ani ma, ani pragnie zabierać przyjaźni z Panem Grabowskim.

Jakkolwiek byłem uszczęśliwiony, że nikt mi nie będzie na przeszkodzie, w konferencyi, którą zawiązać miałem z głową dyssydentów litewskich, nalegałem na niego by mi swojego towarzystwa nie odmówił. Ale wyraźnie mi oświadczył, że lubo prawo zabezpiecza dyssydentom dopełnianie ich obrządków w obec prawowiernych,

nie nakłada na tych ostatnich obowiązku szukać z niemi stosunków i że z niemi przestawać nie myśli.

Okazałem mu zadziwienie, że nie unika od żydów, że żyje w przyjaźni z kilku ze szlachty bisurmańskiej, a od więcej do nas zbliżonych kalwinów ucieka jakby od zapowietrzonych.

Wszakże on mi tę sprzeczność wytłomaczył zdaniem jakiegoś xiędza Katenbrynga, spowiednika xięcia Radziwiłła, że niewierni są zupełnie obcy Kościołowi, a kalwini są jego poddani, będący przeciw niemu w stanie rokoszu, a więc gorsi.

Szanując tak potężną logikę, samopas puściłem się do Izabellina.

Uściskałem więc naszego poczciwego kalwina, mojego niegdyś kolegę *w Royal-Allemand*, zawsze najwierniejszego poddanego jego Królewskiej Mości, a prawdziwego sługę kochanego xięcia.

Nudzi się nieborak na wsi, gdzie go interesa własne przytrzymują. Skarżył się, że go sąsiedzi oprymują, że mu się worują w jego grunta, a potém zgodnym sposobem proponują targ krakowski, żeby połową awulsów się kontentował; że tu z nikim niemożna mieć najmniejszego stosunku, żeby się natychmiast jakiś interes niezawiązał, i pragnie jak najrychlej wrócić do Warszawy.

Jednak posiedzi on długo na Litwie, ale grając w niéj odtąd rolę polityczną, spodziewam się, że nudzić się nie będzie.

On był przygotowany do moich nawiedzin i domyślał się o co rzecz szła; więc nie tracąc czasu, złożyłem mu list wierzytelny Króla, i tak się ukartowało, że aż miło.

Jednak przyznać trzeba mości xiążę, że fanatyzm konfederacyi radomskiej, wydźwignął nas z ostatniej toni.

To nasze szczęście, że umieliśmy ją pobudzić do szukania zaczepki z dyssydentami. Żeby jéj matadory miały choć za trzy grosze przenikliwości, żeby same nie wleciały w siecie przez nas zastawione, żeby same nie były podniosły rozprawy o różnowiercach, byłoby już po nas. A Król jegomość wcześniéj czy późniéj musiałby, jak niegdyś Jan Kazimierz, starać się o opactwo we Francyi.

Wiesz xiążę, że choć przez parę dni chciałbym widzieć Króla opatem. Na reprezentacyi by mu niezbywało. To by był spowiednik dla Ludwika XV, dla tego Króla prawdziwie chrześcijańskiego, który lubo porywa przez agentów swoich nadobne dziewczęta z łona ich matek, by niemi zaludnić swój jeleniowy źwierzyniec, tak gorliwie się trudni ukończeniem ich wychowania, że można mu to przebaczyć. Ma on w pilném baczeniu, żeby każda z nich i poranne i wieczorne pacierze odmawiała, i kiedy która u niego na służbie, sam się z nią modli. Kto z Bogiem, Bóg z nim. A niech xiążę sam powie, czy nie cud Boży, utrzymuje tę piękną Francyę; jużci nie ludzie. Bo wszyscy co z jakiejkolwiek strony wpływają do rządu, Król, ministrowie, generałowie, biskupi, wszystko robią by ją zaprzepaścić, a jednak téj sztuki dokazać nie mogą.

Tym czasem Król jegomość jeszcze tą razą ujdzie kapicy, w którą by go radzi oblec xiążę Wojewoda wileński i xiążę Biskup krakowski.

Dyssydenci litewscy podniosą konfederację w Słucku, jak koronni w Toruniu, a pewnie Golcz, ani gorliwiéj, ani zręczniéj od naszego Grabowskiego pracować nie będzie.

Stanie więc konfederacya dyssydentów, a ta domagając się *liberum exercitium religionis*, podda się pod

protekcję dworów gwarantujących konstytucyę polską, a tem samem wszystkie swobody obywatelów.

Jednak miałem jedną trudność do przełamania. Domagałem się by w akcie konfederacyi napisano: *My obywatele wyznania wschodniego, ewangelicznego i reformowanego.* Grabowski nieco skrupulizował. Powiedział mi. że niemasz na Litwie obywatela wyznania wschodniego, jakże możemy działać w imieniu tych co nie istnieją.— Najlepiej, odparłem, bo kto nie istnieje, ten ani cofnie umocowania, ani go zaskarży, a więc w żadnym względzie umocowany do odpowiedzialności pociągniętym być nie może. I zapewniłem go, że żaden z naszych Kanclerzy tej uwagi nieprzełoży dworom, bo kto chce być ślepym, wszystko prześlepi 1).

Grabowski mi się zwierzył, że innych Kanclerzy zna sposób myślenia, i względem nich jest spokojny, ale że się obawia Zamojskiego. Parschnąłem mu od śmiechu w żywe oczy. O mój kochany kolego, powiedziałem mu, jakże mało znasz ludzi. Pan Andrzej, jest to cnota myśląca i mówiąca, ale nikt nie dokaże, żeby była działającą. Chociaż szczerze miłuje prawdę, najmniejszą notą nie uwiadomi o niej Mocarstw ościennych, skoro by

---

1) Od czasów Zygmunta III. całkowite szlachectwo przeszło było na obrządek łaciński. Obrządek wschodni został w narodzie, a zachodni w stanach uprzywiljowanych. Biskupi ruscy byli szlachtą łacińską, którzy przechodzili u Bazyljanów na inny obrządek dla osiągnienia beneficyów. Kiedy więc stanęła konfederacya słucko-toruńska, w rzeczy samej oprócz kalwinów żadnych innych dyssydentów nie było w stanie szlacheckim. Pretensye tej konfederacyi tak były bezzasadne, że na sejmie 1773 roku, pod gwarancyą N. Imperatorowej Rossyjskiej zebranym, nic otrzymać nie mogła.

ło uwiadomienie sprzeciwiało się woli królewskiej. Będzie przed swojemi poufałemi płakał, narzekał na Króla, a potem umyje sobie ręce od wszystkiego. Zresztą mając siebie za drugiego Lykurga, niczém nie jest zajęty, jak ułożeniem kodexu praw dla narodu, kodexu do którego największą wagę przywiązuje, a który ma zapewnić jemu nieśmiertelność, a narodowi szczęście 1).

I tak te wszystkie szkrupuły przełamałem, dodawszy do tego skuteczniejsze środki w rozdawnictwie królewskiém zostające.

Mógłbym powiedzieć jak Cezar: *veni*, *vidi*, *vici*, bo cały nasz układ, nad godzin kilka nie trwał, żeby to wszystko nie było już wprzódy ułożone Najjaśniejszą mądrością. Byłem tylko szczęśliwym wykonywaczem planów i przenikliwości mojego Pana.

Na jednym z czwartkowych obiadów xiądz Krasicki, nominat warmiński utrzymywał, że łatwiej osłabić przekonanie dziesięciu rozumnych fraczkowych, niż jednego prostaka Polonusa z goloną głową, na alwarze wychowanego, i tém niby chwalił szlachtę na prowincyi osiadłą. Ale to się łatwo wytłómaczyć daje. Czemże przygładzić człowieka, którego potrzeby są tak ograniczone. Mój brat naprzykład, za miliony, nie zrobi ustępstwa najmniejszego ze swojego przekonania. Ale ciekawy jestem na co-by się te miliony jemu przydały, kiedy mając z siebie kilkadziesiąt tysięcy intraty, zaręczam że i jednego

1) Ten projekt praw Zamojskiego, był czytany na sejmie 1780 roku, i odrzucony prawie jednomyślnością posłów. Nawet wielu się domagało by ten projekt, niszczący przywileje stanu szlacheckiego, przez kata był spalony. Jest to ciekawy pomnik tego ducha reformy, co tyle klęsk nagromadził na Europę.

dziesiątka nie straci na własne potrzeby. Jego budżet bardzo łatwo może być wyrachowany; parą tysiącami wszystkie jego osobiste wydatki opędzone być mogą: pozwólmy że dla zachowania popularności do zbytku, stosując się do obyczajów przyjętych, trzydzieści antałów wina z przyjaciołmi wypróżni w domu swoim, oto i cała zbytkowność. O żadnéj innéj wyobrażenia nie ma.

Co się u niego zje, to się na jego gruncie rodzi. Ekwipaż: konie domorosłe, kolebka przez domowego kołodzieja sporządzona; uprząż, praca rymarza poddanego. Na co jemu miliony cudze, kiedy swoim własnym rady dać nie może.

Kto chce się przekonać o małości potrzeb naszéj szlachty, niech tylko rzuci okiem na inwentarz ruchomości mojego ojca, który kilkanaście wsi i znaczne kapitały posiadał.

Co tylko w domu, (bo piwnicę zawsze wyłączam), pewnie pięćdziesiąt czerwonych złotych niekosztowało, a połowy tego niewarte.

Sprzęty z krajowego drzewa, stołowa bielizna w domu robiona, a srébra, kilka tuzinów łyżek, bo już wiwidelce i noże żelazne w trzonkach kościanych, a wazy i półmiski latercynowe.

Kto na takim trybie życia poprzestaje, temu niewielka sztuka być stoikiem. Ale z naszém ukształceniem z naszém usposobieniem, znaczny majątek jest tak niezbędnym, że bez niego niema sposobu być poczciwym. Ponieważ jestestwo poprzedza przymioty, trzeba żyć, wprzód niż to życie będzie poczciwe lub nie. A jak-że żyć bez czynienia zadość tym potrzebom, których opędzenie jest koniecznym warunkiem naszego żywota?

Któż o tém wątpić może, że im więcej się rozprzestrzenia w narodzie oświata, ta, wprowadzeniem nowych potrzeb, musi zwątlać obyczaje narodu, musi wzniecić zaprzedajność w urzędach prawodawczych i sądowniczych. Ale cóż na to poradzić, korzyści muszą się okupywać jakiemiś szkodami. A publiczność w zmianie obyczajów zyska przynajmniéj na tém, że działalność rządowa będzie swobodniejsza.

Żeby w społeczeństwie żyły same Katony, żaden rząd nie byłby podobnym, a więc byłyby tylko indywidua, ale nie byłoby narodu, bo całkowite życie narodowe jest w rządzie.

Małość potrzeb naszego obywatelstwa, jest węgielnym kamieniem anarchii w któréj żyjemy; bo jakiż może być stosunek między rządem a obywatelem, który go nie potrzebuje?

Szlachcic każdy ma zapewniony kawał chleba, bądź z własnego majątku, bądź z służby prywatnéj. Jeżeli nie ma majątku, a do służby nie jest zdatnym, ma w pogotowiu chleb duchowny; może się przyczepić do jakiegoś sąsiedniego pana, i u niego wyprosić lub wykpić zabezpieczenie swoich lichych potrzeb, a rząd dla niego jakby nie był.

Ale niech-no zbytki rozprzestrzenią nowe potrzeby, niech się odłużą fortuny szlacheckie, wtedy sama z siebie reforma nastąpi, a naród już ukształcony, wejdzie w koleje wszystkich ukształconych narodów.

Wkrótce się dowie Rzeczpospolita z niemałém zadziwieniem, że ma w łonie swojém obywatelów wyznania wschodniego którym *liber exercitium* wiary jest odmówiony....

Może kto pomyśli, że nie przystoi fałszem podkopywać nieprzyjaciół swoich. Ale intrygi dyplomatyczne nie

zawsze mają wonię wody różanej. Był to już ostatni ładunek w naszej ładownicy, trudno było z niego nie wystrzelić, kiedy zażartył nieprzyjaciel na nas nacierał. Jest to prawdziwie wystrzał rozpaczy, a prawo natury ma ten niezbity pewnik; *conserva te ipsum, et bona tua.* A potem mości xiążę, zażartować z swoich nieprzyjaciół, z swoich prześladowców, jest rozkoszą bogów.

Nadokuczyli nam te wąsate arystokraty. Za co ta ich nienawiść do naszego mądrego, dobrego Króla? Każdy z nich ma sobie za ubliżenie być jemu posłusznym. A to człowiek nowy, mówią. Jak gdyby nawet wedle teoryi arystokratycznych, kasztelanic krakowski, urodzony z Czartoryskiéj, a wysoki dygnitarz, każdemu magnatowi nie był równym. Jak gdyby którykolwiek z tych dumnych możnowładzców, był zdolny z podobnym wdziękiem koronę nosić. Oj czas koniec temu położyć.

Jako tryumfator wróciwszy do Szypian, niezastałem mojego brata, i aż w godzin kilka po mojem przybyciu wrócił ze Słonima, dokąd był wyjechał. A w jakim interesie, nauczył mnie jego rządzca. Oto sporządził donacyę kilkunastu tysięcy, co je miał na kahale słonimskim, na rzecz ojców Jezuitów. Jakem się o tém dowiedział, ledwo wstrzymałem się od śmiechu. Czyby kto uwierzył w Paryżu, że są jeszcze ludzie, co robią donacye mnichom; a jednak chociaż pod inną formą, wszędzie się to samo dzieje. Teraźniejsi panowie Francyi tak świadczą filozofom, jak ich przodkowie Benedyktynom. Dawniéj z kieszeni wydobywał złoto zabobon, a dziś uprzedzenie. Za Ludwika XIV Montmorency z natężonem uchem słuchał niezrozumiałe rzeczy, co mu je plótł Dominikan z ambony, a pod Ludwikiem XV inny Montmorency, wnuk tamtego, słucha z równą uwagą, nie więcej

od siebie zrozumiane rzeczy, co mu je encyklopedysta plecie z fotela. Jest to jakieś błędne koło, po którym ludzkość nie przestaje się obracać. W Polsce próżniak robi się mnichem i zabezpiecza sobie wszystkie wygody życia. We Francyi próżniak ogłasza się filozofem i tego samego celu dopina.

Mój brat Bertrand donosi mnie, że dziś wiele hałasu robią w Paryżu pisma pana Vauvenargues, że cała koterya pani Geoffrin ogłosiła go za jednego z pierwszych myślicieli XVIII wieku. Znałem go osobiście, kiedy był jeszcze kapitanem w jednym półku piechoty, i ta jego dzisiejsza wziętość służy na dowód tego co piszę. Gdy brak zdrowia i tej tęgości niezbędnej do naszego rzemiosła, zniechęciły go od niego, podał się do dymissyi, z wielką radością jego półkownika, człowieka służbistego, i bicza na wszystkich oficerów opieszałych w pełnieniu obowiązków ich stanu. Uwolniwszy się, wstąpił do cechu piśmiennych próżniaków, i tenże sam, który seciną ludzi dowodzić nie umiał, dziś już chce kierować rodem ludzkim, i wszystkim wmówił, że jest do tego zdolnym. O biedna ludzkości!

Ach mości xiążę, jaki kłopot spada na moje barki. Xiążę Panie Kochanku opuszcza na kilka tygodni Warszawę, żeby celebrować swoje imieniny w Nieświeżu, a Król Jegomość każe mnie tam jechać, by mu w jego imieniu złożyć powinszowanie. I xiążę kanclerz podobném zleceniem mnie obarcza.

Pan każe, sługa musi. Ale aż mrowie po mnie przechodzi, ile razy wspomnę sobie, że muszę się za dni kilka znajdować w środku tego steku barbarzyństwa i głupstwa, i gdzie się spodziewam być przyjętym z równą uprzejmością jak pies w kręglarni.

Jeżeli służba przy łasce monarchy ma wiele ponęt, przyznać trzeba, że miewa chwile okropnie nieprzyjemne.

Cała moja nadzieja w protekcyi mojego brata, który będąc jednym z najfanatyczniejszych Albeńczyków, tém samém jest głęboko wkorzenionym w sercu tego potężnego dziwaka.

Niech się dzieje wola Boża i Najjaśniejszego Pana.

Mam honor być, *etc....*

XI.

Droga do Nieświeża

W kilka dni potem mnóstwo pojazdów toczyło się po wszystkich gościńcach prowadzących do Nieświeża, bo to był 4 Listopada, dzień radości dla Litwy, gdyż przynosił rocznicę imienin ulubionemu xięciu Karolowi Radziwiłłowi, Wojewodzie wileńskiemu i Marszałkowi jeneralnemu konfederacyi obojga narodów.

Xiążę zalimitował sejm na kilka niedziel, żeby mógł obchodzić uroczystość swoją w Nieświeżu.

Ten dzień był tém więcéj oczekiwany od Litwinów, że gdy od lat kilku, xiążę to wojował, to tułał się za granicą, osierociały Nieśwież, już nieodbijał odgłosów radości, w dniu tym zwykle powtarzanych.

W żadnéj porze roku drogi litewskie nie były tyle udeptane.

Przy szlakowych karczmach, stały wszędzie pojazdy cen rozmaitych, bo w stodołach zajezdnych umieścić się nie mogły, a przy tych pojazdach snuły się hajduki, pajuki, kozaki, węgrzynki, a między niemi i kontuszowi panowie rożnego wieku, dający im rozkazy, pilnie uważając czy konie obrok pożywają, i czy niema czego uszkodzonego w pojazdach.

A żydzi zdawali się w kilka razy nasób pomnażać swoje jestestwo, by wszystkim usługiwać i z każdym się rachować.

Lubo pora roku była spóźnioną, nadobna litewska jesień zdawała się wyczerpywać wszystkie swoje skarby, jakby dla uczczenia patrona pierwszego senatora Litwy. Słońce przygrzewało, a nawet nieco dopiekało, pomimo chłodzącego wietrzyka. Najmniejsza chmura nie zasępiała błękitnego przestworza. Jodły i sosny zachowywały całą świeżość swojéj statecznéj barwy, a brzozy i klony po wdzięcznéj zieleni, rzucały smugi poczerwienione jesienią.

Widne były wprawdzie, gdzie niegdzie, ślady pogorzelisk ostatniéj wojny domowéj, jednak obraz nędzy podobnéj do téj, która co kroku dręczy podróżującego za granicą, nie raził przechodnia.

Włościanin umiarkowaną pracą bogacąc swojego właściciela lub dzierżawcę, resztę swojego czasu obracał na korzyść własną i rodziny.

Jeżeli kalectwo dotykało członka włościańskiéj rodziny, on dla niéj nie był ciężarem, bo, włócząc się po odpustach, jeszcze cóś dla niéj przynosił z ofiar miłosierdzia i pobożności publicznéj.

Ale oprócz odpustów gdzie ze wszystkich stron ciągnęły się te upośledzone istoty, by siąść pod kruchtą ko-

ścioła dającego im przytułek przez wzgląd na te słowa naszego Zbawiciela: *»zawsze ubogich mieć będziecie między wami«*, nigdzie nie było widać żebraków. Włościanin mając swojego pana, ten o jego potrzebach pamiętał, bo nareście i prawo krajowe do tego go zmuszało.

A szlachcic podupadły nigdy żebractwu się nie oddawał. Szukał służby po szlachcie możniejszéj, a jeżeli do niéj nie był zdatnym, osiadał na chlebie majętniejszego krewnego, albo u jakiego obywatela protegującego jego ród.

Bo starożytna szlachta wiernie się trzymała swoich podań.

Jeszcze z pseudoszlachectwem samolubstwo nie było zaraziło narodu.

Zbytki i źle wyrachowana chciwość ani odłużyły były jak dzisiaj prawie całkowitego szlachectwa, ani uciskiem nieustannym zniszczyły poddaństwa, którego dobry byt, jest węgielnym kamieniem pomyślności obywatela.

Jeszcze podli dorobnicy, dla jakichś nikczemnych oszczędności, nie byli wprowadzili szerzącego się obyczaju, odpychać ubogą szlachtę od usług ekonomicznych, by je zdawać na poddanych 1).

---

1) Razu jednego dowodził xięciu Eustachemu Sanguszce jeden przyjaciel jego domu, że zadzierżawiając obszerne swoje dobra, we dwójnasób powiększone mieć będzie swoje dochody, a znacznie umniejszone wydatki. O tém gdy przekonał xięcia, xiążę mu odpowiedział: to prawda, ale jak zadzierżawię moje dobra, w co się obróci uboga szlachta, zostająca teraz w moich usługach?

Tych słów godnych potomka Olgierdowego, nie powiedziałby nigdy ani wysoki baron giełdy, ani żaden z plemienia dorobniczego.

Inny był obraz kraju, bo możnowładztwo istniało w całkowitéj swojéj sile.

Ale to możnowładztwo składało się z ogniw. Były domy pańskie, liczące między swojemi klientami, często bardzo możnych obywatelów, którzy także mieli klientów własnych w uboższéj szlachcie, a ci mieli znowu stosunki dobroczynności ze szlachtą jeszcze uboższą, zaściankową, okoliczną, która u nich pomoc znachodziła. Od magnata senatora, aż do czynszowego szlachcica ciągnął się łańcuch, którego ogniwa we wzajemnych przysługach się hartowały.

Magnat najmożniejszy sam przez siebie nic nie znaczył pośród równości szlacheckiéj. Jego potęga opierała się na mnogości przyjaciół, których trzeba było zjednać.

Możnowładztwo było silne, bo opierało się na popularności, a jéj nie można było otrzymać, bez wielkiéj szczodroty.

Szlachcic, jakkolwiek zawisły od magnata, nie ulegał innéj sile, tylko takiéj, która jego miłość i przekonanie zhołdowała 1).

---

1) Przeczuwam że znajdą się tacy co mnie wyrzucać będą, że pragnę powrotu rzeczy dokonanych, i że tylko jedną część obrazu wystawuję. Na to odpowiadam zawczasu, że wyznaję, że to co skonało ożyć nie może, gdyż tylko jeden Bóg jest wieczny, bo niemogąc grzeszyć, nie ma w sobie zarodku śmiertelności. Ale można-by było z tego zrobić wniosek pożyteczniejszy niż te wszystkie teorye, któremi dziś karmią nasze pokolenie. Jeżeli wielkie klęski trapią indywidua, stowarzyszenia, narody; cóż to dowodzi? Oto, że cierpiący zasłużyli na swoje cierpienia. Takowe zdanie może obrazić cierpiącego, jednak niesłusznie. Bo niewinność cierpiącego musi być udowodnioną, a sprawiedliwość Boska

Na gościńcu między Kleckiem i Nieświeżem, gościńcu w dniu tym tak udeptanym karetami, kolebkami, bryczkami, wózkami, i prostemi wozami, toczyły się poważnie dwa pojazdy nierównéj między sobą wartości, ale że drugi trzymał się metodycznie zawsze téj samej odległości od pierwszego, wnieść można było łatwo, że oba do jednego dworu należały.

Pierwszy pojazd był, angielska kareta podwójna, żółto lakierowana, werdepanową trypą wybita, a na niéj błyszczał klejnot herbowny, ozdobiony hrabiowską koroną i insygniami kilku orderów.

Sześć ogierów brudno-kasztanowatych z konopiastemi grzywami, jakby z jednéj formy ulanych, a wysokiéj ceny, ciągnąc wykwintny pojazd, rżenia posyłały lasom i polom.

Stangret po meklemburgsku ubrany, z długim arcapem, z wąsikami dobrze otynkowanemi sadzą i łojem, z małym kapelusikiem stosowanym, na głowie silnie upudrowanéj, niekiedy trzaskał z sążnistego bicza i dawał przestrogi forytującéj dziecinie. Strzelec w zielonéj odzieży siedział na koźle obok stangreta, a dwaj lokaje w liberiach, barwą swoją stosujący się do herbu zdobiącego karetę, stali za pojazdem.

Za karetą toczyła się bryka wygodna, bo na pasach, obładowana że ją ledwo ciągnęły cztery konie dzielne, siwo-srokate, w krakowskich chomątach, a nad temi koń-

dowodów nie potrzebuje. Jest ateizm teoretyczny, ale nierównie pospolitszym jest ateizm praktyczny. Zaprzeczać Bogu sprawiedliwości jest Bogobójstwem. W rządzie Boga nad ludźmi są kary i nagrody, ale niesprawiedliwości być nie może. Szemracz nie Ateusz, na takie absurdum napada, że pod rządem Boga sprawiedliwego niesprawiedliwość przemaga.

mi prowadził samowładne rządy, stary woźnica, odziany w ferezyą jasno orzechową, z kołnierzem czarnym manszestrowym.

Obok woźnicy siedział chłopiec mniéj więcéj szesnastoletni, w stroju węgierskim, który ciągle wyzywał do swawoli poważnego sąsiada, czasem ofukającego młodego trzpiota. A w saméj bryce drzemał rozwalony cóś nakształt starego eleganta, bo z fryzurą utapierkowaną, a obwinięty w hałacie bielistkami podszytym.

Przed karetą dwóch Bośniaków uzbrojonych w proporce, na grubo-płaskich żmudzkich koniach, uzupełniając orszak przepychu, przekonywali, że jeżeli podróżni jeszcze nie należeli do klassy magnatów, to przynajmniéj być musieli z liczby téj możnéj szlachty trzymającéj pośrednictwo między panami ledwo że monarchom nie równemi, a równością narodu.

W karecie siedziało dwóch młodzieńców, bo nad lat trzydzieści nieokazywały ich oblicza. A chociaż w ich odzieżach żadnego nie było stosunku, rysy ich twarzy zdradzały wspólność rodu.

Po lewéj stronie siedzący miał wąs zawiesisty, jasny, a z pod czapki szafirowéj kasztanowatém jagnięciem obłożonéj, na bakier posuniętéj, wyglądała czupryna od wąsów nieco ciemniejsza, wysoko podgolona. Miał na sobie taratatkę barwy szafirowéj jak czapka, a podszytą perwistkami; taratatkę opasywał pas podróżny czarnéj palonéj skóry, zamykający się klamrą srebrną, z dwiema pochwami, z których wyglądały pistolety. A wedle zwyczaju szlachcica podróżującego, miał zawieszoną od prawego ramienia ładownicę z cyfrą Najświętszéj Panny.

Kawaler po prawéj stronie siedzący, miał na głowie cóś nakształt czepka, z gęstéj czarnéj siatki jedwabnéj,

z pod którego dostrzedz można było kilka papilotów nad uszami.— Ten rodzaj czepków męzkich nazwany w Paryżu *réseau à la Biron*, był sprzętem niezbędnym dla podróżującego wykwintnisia francuzkiego, w czasie gdzie staranność około werżeta i loków cechowała ton dobry i ród wysoki. W podróży żadna fryzura utrzymać by się nie mogła w przyzwoitéj świeżości. Więc one się odbywały w wyrachowanem zaniedbaniu, a dopiero na miejscu zdejmował się czepek i układały się włosy pod misterną ręką fryziera.— Ubioru jego nie można było widzieć, bo siedział obwinięty w płaszczu z axamitu czarnego, podszytego gronostajami, na którym się bielił wielki krzyż ośmiokątny z batystu. A na jego kolanach, jakby się jeszcze nie dość uzbroił do walki z jesienią litewską, leżał zarękawek z bogatych soboli.

Oba podróżni do siebie nic nie mówili, bo sarmata odmawiał swój różaniec, a zachodnik nócił aryę jakiejś opery francuzkiéj.

Ale że każda rzecz, która się zaczyna, musi się też i kończyć, więc pierwszy skończył nie tylko ostatnią dziesiątkę, ale i litaniję loretańską, i nawet antyfonę *sub tuum praesidium*, a jego towarzysz donócił swoją aryę, kiedy tamten ucałowawszy medalik od paciorków, i schowawszy je do kieszeni od taratatki, odezwał się temi słowy:— Przyznam się bratu, że mi wielki ciężar spadł z głowy, odkąd pan Teodor Szabański, koniuszy xięcia Wojewody upewnił mnie swoim listem, że już mamy zabezpieczony kwaterunek w jego dworku; trzy izby obszerne zdaje mi się że bratu wystarczą. Mnie nic, bo należąc do Radziwiłłowskiéj czeladzi u każdego kolegi znalazłbym kątek dla siebie, byle konie miały wygodę, dla mnie samego wszędzie dobrze. Z bratem trudniejsza

próżniactwu, to sknerstwo pomieszane z najdziwaczniejszą rozrzutnością; a ta szlachta burzliwa, a zarozumiała, a ciemna, a zawsze pijana...

— Ale poczciwa, ale poświęcona Bogu i krajowi.

— I cóż z téj poczciwości, z tego poświęcenia, bez zdrowych wyobrażeń politycznych. Widząc naród podzielony na dwa stronnictwa, niewahałem się związać z partyą kierowaną od ludzi światłych i zdolnych wydźwignąć Polskę z nierządu. I gdyby nie wasz upor, nasza ojczyzna może-by już otrzymała miejsce jéj należne w polityce europejskiéj. Cofnęliście to niebaczni. co się miało uskutecznić dla waszego dobra.

— Bracie Ludwiku, co mowisz, może być bardzo rozumnem, ale nie do mnie należy o tém sądzić. Jeżeli nigdy nie przekroczywszy granicy mojéj ojczystéj ziemi, nadto nawykłém do jéj nałogów, być może że ty bracie zanadto od nich odwykłeś. Niemyśl bym wierzył że u nas wszystko jest doskonałém. Wiele jest złego i u nas, i nie u nas, bo tylko na tamtym świecie dobre jest bez ale. Tylko pozwól mi sobie powiedzieć, w cóż byśmy się obrócili, gdyby każdemu zaufanemu w swój rozum, było wolno niszczyć w ustawach krajowych, to co się jemu zdaje być niedogodnym. Ludzie są skwapliwi do dowierzania własnemu rozumowi, a do pogardzania cudzym. Dla tego jest prawo, mądrość powszechna, któréj bez poniżenia siebie, mądrość prywatna uledz musi. Jeżeli u nas co złego, starajmy się to poprawić, gdzie?! na sejmach walnych, w instrukcyach danych naszym posłom. Tak robili nasi ojcowie, w czasach kiedy Rzeczpospolita kwitnęła.

— Ale *mon frére*, czy podobna zaprowadzić reformę

przez liczne zgromadzenie, które pierwszy pijak rozproszyć może!

— Jednak za naszych przodków, rzadko kiedy okazał się widok zerwanego sejmu. A jeżeli za świętej pamięci Króla Sasa sejmy nie dochodziły, to nie z przyczyny tych co ich nazywasz barbarzyńcami i pijakami. Wiadomo wszystkim czyi adherenci rwali sejm, by wszelkie środki obrony odjąć narodowi 1). Ci sami co naszych starożytnych ustaw na złe używali, nam niewinnym śmieją wyrzucać, że możemy ich nadużywać. I jak nas o tem przekonywali? o to rozpędzając sejmiki 2) obcym żołnierzem, niedopuszczając legalnego sejmu prześladując do ubóstwa i krwi wszystkich tych, co się takiemu bezprawiu opierali. Wybaczaj bracie, ale tak postępując, trudno poczciwych przekonać.

— *Mon frére*, nie chcesz się dać przekonać, że zastarzałe błędy, bez jakichś środków gwałtownych wykorzenić się nie dadzą. Nie chcesz oczów otworzyć by widzieć co się dzieje i na co się wkrótce gotuje. Nie poznajesz, że lada chwila piorun uderzy, i was roztrzaska. Upojony chwilowém powodzeniem, myślisz że dyktatura

---

1) Za Augusta III. jeden tylko sejm, nazwany *pacificationis* pod laską Wacława Rzewuskiego doszedł; wszystkie inne zerwane zostały przez adherentów téj saméj partyi, która później probowała wywrócić dawną formę rządową, by ją zastąpić niby mądrzejszą. To rwanie sejmów nie dopuściło Rzeczypospolitéj wejść w koalicyę z innemi dworami przeciw Fryderykowi w czasie siedmioletniéj wojny.

2) W czasie bezkrólewia, xiążę Poniatowski, generał wojsk austryackich, zagranicznym żołnierzem rozpędził sejmik prowincyj pruskich w Grudziądzu zebrany. Na sejmach Konwokacyjnym i Elekcyjnym, Województwa pruskie były bez posłów.

waszego możnowładnego bałwana nigdy się nie skończy, a tu....

— Bracie kochany, proszę cię, nie lżyj przy mnie naszego xięcia. On był przyjacielem i dobrodziejem naszego ojca. A ja będąc Albeńczykiem, tylko od starszego brata cierpliwie słyszeć mogę w obelżywym sposobie wspomniane imię xięcia. Jak go lepiéj poznasz, przekonasz się o jego cnotach. Może on błądzić jako człowiek, ale Boga biorę na świadka, że żadna prywata nim nie kieruje, i że w każdéj chwili życie i majątek, ma na zawołanie dla ojczyzny. Co się zaś tyczy piorunu, którym mnie grozisz, niemyśl by on mnie zastał nieprzygotowanym; nie pierwsze to będzie dla mnie prześladowanie losu; ale idę za przekonaniem, a nie za szczęściem.

— *Mon frère*, szanuję ciebie, ale razem lituję się nad tobą. Czyż nie żal patrzeć na tak szlachetne serce, które uwikławszy się w przesądy, przywołuje zapasy z niedolą bez żadnéj korzyści dla kraju. Jakkolwiek różność naszych zasad politycznych, rzucić nas może w przeciwnoległe stronnictwa, nigdy nie omdleje moje przywiązanie ku tobie. Brat cię prosi, przyjaciel cię ostrzega; stoicie nad przepaścią. Jeszcze chwila, wszystkie władze narodowe, wrócą do rąk naszych; a wkrótce wasz xiążę będzie mógł odnawiać swoje tułactwa. Wiem że w uporze waszym znowu rozpoczniecie wojnę domową, ale jéj skutki nie są dla mnie wątpliwe. A jednak gdybyś z nami chciał trzymać! Niewidzisz że Stanisław August do niczego nie dąży, jak tylko do poniżenia magnatów, aby na gruzach ich dziwacznéj władzy podnieść powagę i tronu i narodu. Patrz jak rozdaje pierwsze urzędy szlachcie, żeby ją użyć za narzędzie swoich zbawczych widoków dla ojczyzny, przeciwko tych dumnych możnowładz-

ców. Przyłącz się do nas, a wkrótce wyższe dostojeństwa otworzą dla ciebie obszerne pole, na którém działać będziesz dla dobra kraju. Ale widać że moja mowa jest próżna, że do twojego przekonania nie trafię; wszakże zawsze rachuj na moje serce. Ile razy w nieszczęściu, które wam grozi, weźwiesz mojéj pomocy, bądź pewny że zawsze ją znajdziesz.

— Szanowny bracie, czemu zawsze mnie dręczysz, kusząc bym się zachwiał w powziętem statecznie przekonaniu. Bóg świadek, że służę sprawie xięcia Wojewody i tyle dla niéj cierpiałem, dla tego tylko, że wierzę, że ona jest sprawą narodu. Żadna prywata mną nie kierowała, ani zapragnąłem czegokolwiek wynieść dla własnéj korzyści. Nasz xiążę stoi teraz na czele całego narodu, a czy jego stronnicy za czém się ubiegają? Dostał mi się urząd wojskiego, *nec officium*, *nec beneficium*, i sam żartowałeś nieraz z téj mojéj wielmożności, która mi jest jednak tak drogą, iż na niéj do śmierci poprzestanę. Dziękuję ci za względy Króla; będzie się trzymał *Pactów Conventów*, i bez jego darów będę mu poświęconym poddanym; zechcieli wywracać naszą formę rządową, *quidquid nocivi scivero avertam*, o ile będzie w mojéj mocy. Pragnę Bogu i krajowi służyć, a swój chleb jeść. W twoim zawodzie, kochany bracie, byłeś szczęśliwym, dostały się tobie starostwa, komendorye, ordery. Cieszę się twojém powodzeniem; potrzebniejsze takowe rzeczy dla ciebie, bo już nawykłeś do zbytków wielkiego świata; ale co do mnie i połowa ojcowizny jest dla mnie nad moje potrzeby. Ja sobie szlachcic zwyczajnie, będzie kawał ziemi własnéj, wygrzebie się z niéj na barszcz i obuwie; nie będzie jéj, to pracując około cudzéj, znajdzie się kawał chleba,

wreszcie przy kratkach coś się zarobi. Bóg mnie nie opuści, a jeśli przyjdą niedostatek, niemocy: niedaleko do brzegu. Mam jakieś przeczucie, że długo żyć nie będę; jednak dziękuję bratu za ofiarowaną mi pomoc w nieszczęściu. Przyjmuję to braterskie oświadczenie z najżywszą wdzięcznością; wszakże przypuszczać nie mogę tak smutnej wieszczby, żeby druga wojna domowa miała nas rzucać w nieprzyjazne obozy. Jednak gdyby tego nieszczęścia Bóg od nas nie oddalił, może i moja pomoc dla brata nie będzie bez pożytku. Lecz na cóż tak daleko zapuszczać myśli swoje. W moich postępkach nigdy niemam w obyczaju brać rzeczy na rozum, robię co mi każe sumienie, a na przyszłość się nieoglądam. Robię co Bóg każe, a na niego najlepiéj złożyć staranie. Teraz mi co innego w głowie. Niemogę doczekać się działu pozostałego po ojcu majątku. Chwała Bogu jest czém się dzielić: mappy, inwentarze, i wszystkie prawne papiery, oddawna gotowe, i teraz są na mojéj bryce. Azaliż nieprzyjdzie bratu je przeglądać i ułożyć dwóch sched, z których jako młódszy jednę wybiorę, jak żąda tego prawo. Ile razy Niemiec brata czesał, ja zawsze naprzykrzałem się z papierami; brat zawsze jedno a jedno, na nie okiem rzuci, kilka kartek poprzerzuca o czém innéem myśląc, a potém na stół odkłada, jakby o tém wiedzieć nie chciał. A interes jak leżał odłogiem, tak leży. Kochany bracie, rób koniec ze mną, i nie rób mnie téj krzywdy, bym żeniąc się w roku następnym, nie wiedział dokąd żonę mam zawieść.

— *Mon frère*, sto razy i mową i pismem powtarzałem, że co sam postanowisz, to przyjmę z wdzięcznością, bo wiem, że gdyby nie twoje szlachetne serce, nie miałbyś potrzeby ze mną się dzielić. Wszakże jeżeli

z waszego porządku wypada żeby ktoś nas dzielił, udajmy się do przyszłego twojego teścia. On był przyjacielem naszego ojca, jemu najwłaściwiej podzielić pozostałych synów; on siebie da uprosić. Ja ci szczerze wyznam że tych waszych cerografów prawnych i ekonomicznych nie rozumiem. Po odbytem mojem poselstwie w Nieświeżu, gdzie, mam nadzieję poznać przyszłą siostrę, udamy się razem do generała Kunickiego, a ten wszystkiemu da koniec. Proszę ciebie *mon frère*, temu się nie opieraj, bo napróżno żądać ode mnie bym wartował *tout ce grimoire* 1). Już widać bielejące wieżyce zamku nieświezkiego, bo to on być musi. A przyznam się tobie, że nie bez niespokojności stanę przed waszym xięciem, z którym zaniedbałem zabrać znajomość w Warszawie. Niewiele liczę na uprzejmość z jaką Nieświeź przyjmuje tych co w długich sukniach nie chodzą, ani podgalają sobie czupryn; chyba że pod twojemi skrzydły będzie mi bezpiecznie.

— Błędne masz wyobrażenie bracie o naszej gościnności; xiążę lubi czasem żartować i jeżeli kto go odeprze żartem, za to się bynajmniej nie gniewa, ale jest najgrzeczniejszym z panów. Czy myślisz, że tylko samych jego przyjaciół tam znajdziesz. Xiążę biskup wileński najzawziętszy xięcia i nas wszystkich prześladowca, przecie często bywa u niego, jak gdyby nie miał niczego do wyrzucenia sobie; a ty bracie lubo z nami nie trzymałeś, ani krew niewinna twoje ręce zmazała, ani cudza krzywda ciebie wzbogaciła, za cóż by tobie nie mieli być radzi. A jaki liczny świat obaczysz; w waszym Wersalu, na imieninach Króla, pewnie więcej szla-

---

1) Pismo szatańskie.

chty się nie zbiera. W Nieświeżu poznam brata z naszemi krewnemi, z łaski Pana Boga mamy ich nie mało. I moją narzeczonę tam znajdziemy, bo chociaż generał dla podeszłego wieku w taki zgiełk nie odważa się wcisnąć, wysłał córkę swoją z panną łowczanką. Z Nieświeża wyprawię umyślnego do Niewodowa do mojego przyszłego teścia, i to zaraz po naszém przybyciu, a brat z łaski swojej list swój do niego mi wręczy. Potem udamy się do Nowogródka dla przyznania inskrypcyi, a ztamtąd do generała, ale jak się skończą uczty nieświezkie. A kto wie, może w Nieświeżu, gdzie znajdziesz tyle familiantek, która z nich wpadnie w oko kochanemu bratu, że młódszego zechcesz przykład naśladować i skoligaciwszy się z możnym domem, po tylu wędrówkach osiądziesz na roli ojczystej. Co by to było dla mnie za szczęście sąsiadować z bratem o miedzę.

— Twoje tylko sąsiedztwo *mon frère*, mogło by mnie skłonić do wiejskiego życia; ale każdy musi iść za swojém przeznaczeniem. Zazdroszczę ci bracie, że arkadyjskie pasterstwo przychodzi tobie do smaku. To wszystko piękne, błogie *trés édifiant* 1), ale nie dla mnie. Jak otrzymałem starostwo wieluńskie, sześć folwarków, to nie bagatela, wyjechałem dla obejrzenia mojego władztwa: po zainstalowaniu moich substytutów w grodzie, chciałem probować gospodarki; ale to mnie tak znudziło, że dosiedzieć niemogłem trzech tygodni. Zadzierżawiłem moje folwarki jakiemuś tamecznemu amatorowi, a z pieniędzmi w szkatułce nazad do Warszawy, i pewnie drugi raz moje starostwo nie uchwyci mnie w swoje objęcia. Jak skończę z tobą dział, o jedną łaskę *mon frère*,

---

1) Wielce budujące.

będę ciebie prosił, weź w dzierżawę moją schedę, i zapłać mi za nią co zechcesz, a puść mnie jak najrychléj do naszéj Warszawy. A jeżeli mnie chcesz największą łaskę zrobić, dosyłaj mnie czasem dubeltów i jarząbków: *c'est un met delicieux* 1). Król jegomość nad wszystkie specyały ma pieczyste z dubeltów-bekasów, a wiesz jaki to znawca kuchennego kunsztu. We Francyi dubeltów nie znają, prawda że tam błotnistych rud niema. Otoż *mon frére*, jak zostaniesz moim dzierżawcą, uwolnisz wielce do ciebie przywiązanego brata, od tych ekonomów, rachmistrzów i pisarków, *une vraie peste* 2), chociaż tak lubicie z niemi przestawać, ach co też to za nudne figury. Między nami, wolałbym się dać okraść przez nich, niż słuchać ich tłomaczenia; tym sposobem, oba bylibyśmy z siebie kontenci.

Zasmucił się Wojski tém szyderstwem z zatrudnień ojczystych, do których sam największą przywiązywał wagę i zamilkł, tém więcéj, że właśnie wjeżdżali do Nieświeża.

---

1) Wyśmienita potrawa. 2) Istna zaraza.

XII.

Elegancya Dwóch Swiatów.

Zajechali bracia Strawińscy prosto na dziedziniec pana Szabańskiego, gdzie zastali, jak to dziś nazywają, furgon, a wtedy skarbnicę, na której wojski był wyprawił pościel i garderobę braterską, wraz z jego kamerdynerem Korendowiczem, i szatnym swoim Cesławem Buńczukiewiczem.

Pan Szabański, z poufałością zażyłego przyjaciela, kilkakrotnie uściskał wojskiego, skłoniwszy się z oznaką głębokiego uszanowania przed panem starostą, i nie bez zadziwienia spoglądał na tę mieszaninę, stroju męzkiego, ubrania głowy niewieściego, a płaszcza nakształt kapłańskiego. Z głową schyloną zaprowadził go przed sobą do mieszkania dla niego przeznaczonego.

Było izb trzy: pierwsza dla usługi, ostatnia sypialnia starosty, a średnia na ubieranie. Ta była najob-

szerniejszą i w niej już zastali, porozkładane na wielkim stole, liczne i gustowne sprzęty, niezbędne dla wykwintnisia wielkiego świata.

Pan wojski naprzeciwku, w komnacie pana Szabańskiego założył główną kwaterę i do niej poszedł z gospodarzem, by bratu dać czas rozpoczynać pracowite przebranie.

Wojski z P. Szabańskim poszli do stajni, ulokowali pojazdy, konie i ludzi. A potém pan wojski napisawszy wedle umowy list do przyszłego teścia, z swoim szatnym wziął się do ubrania.

Na żółtych safianowych botach, nałożył karmazynowe hajdawery, które oskurzem jedwabnym z kutasami zawiązał ściśle, niżéj brzucha. Przywdział żupan z atłasu błękitnego tak świeży, jak dopiéro rozkwitły w pszenicy bławatek, zapiął go na szyi czterema guziczkami jedwabnemi, tejże saméj barwy, pośrodku których zaczepił szpinkę z emalii błękitnéj, gdzie błyszczała brylantowa cyfra xięcia Karola Radziwiłła, nie zaniedbawszy spuścić kołnierzyk od koszuli, na dwa palce szeroki, a biały jak opłatek na kolędę ofiarowany dobrodziejowi klasztoru. Na tém wszystkiém kontusz z sajety koloru słomianego, błyszczący jak złoto, z kołnierzem błękitnym, z takiemiż obszlagami, a podszyty atłasem z tejże sztuki, co i żupan. Za pomocą P. Szabańskiego opasał się pasem litym, cudowną Słucką robotą, gdzie na tle szczerozłotém, równianki z niezabudek i astrów błękitnych, zdawały się być świeżo zerwane. Pięć razy okręcił się w pasie, a za każdym razem zrobił *memento* do rany Zbawiciela. A węzeł tak zgrabnie ułożył pan Szabański, że jakkolwiek nasz wojski był mało próżnym, kilka razy z upodobaniem popieścił wzrok bogatym kutasem od pasa,

a myśl, obrazem swojéj narzeczonéj, którą miał za chwil kilka oglądać. Przyczepił do pasa karabelę, która mu się dostała w zdobyczy pod Łohojskiem, gdzie mu ją oddał wzięty przez niego w niewolę hrabia Tyszkiewicz, który poźniéj poślubił rodzoną synowicę królewską, a umarł Hetmanem wielkim litewskim. Klinga była hiszpańska, jak mówiono ze starych mulich podków wykuta przez jakiegoś Araba, dla xięcia Alby. Ten xiążę oddał tę szablę, naszemu Janowi Karolowi Chodkiewiczowi, służącemu przy jego boku, w nagrodę jego męztwa, a poźniéj z posagiem jednéj Chodkiewiczówny weszła w dom tyszkiewiczowski. Naprózno hrabia Tyszkiewicz ofiarował wojskiemu trzydzieści tysięcy na jéj okup. Kiedy się ona dostała wojskiemu, nazywała się *czarownica* i dawał się na klindze widzieć złotem nabijany arabskiemi literami jakiś wyjątek Koranu. Ale nowy jéj właściciel, przezwał ją *Alfa* i *Omega*, kazawszy wprzódy zetrzeć bissurmański napis, a nabić na jego miejsce te dwa wiersze Psalmisty:

Ztąd wedle ciebie tysiąc głów polęże,
Ztąd drugi tysiąc, ciebie nie dosięże,

Różne anegdoty o téj szabli, kursowały po Litwie. Jednak to pewna, że w domu pana kasztelana Rdułtowskiego, pan Pac, starosta ziołowski, jeden z pierwszych rębaczy litewskich, a posiadacz ogromnego zbioru szabel, wybrawszy sobie najlepszą jaką między niemi mógł znaleźć, dopóty nalegał na pana wojskiego, aż musiał z nim sprobować swojéj *Alfy* i *Omegi*. Otoż od pierwszego składu pan Michał na dwoje przeciął klingę swojego przeciwnika jak-by była z masła, tak, że pan Pac zdumiony powiedział: »Panie Michale, żebym na twojéj sza-

bli nie czytał sentencyi z pisma Ś., a nadewszystko żebym ciebie nie znał być tak prawowiernym katolikiem, jak mi Bóg miły, myślałbym żeś inkluza do niej doczepił.« Rękojeść szabli była szczerozłota, w turkusy oprawna, ale na znak małej żałoby, była obwinięta przezroczystą krepą. Na tej rękojeści położył wojski czapkę z aksamitu błękitnego, okoloną jasno-kasztanowatym wyporkiem krymskim, wysokiej wartości. Wyloty od kontusza zarzucił, i kazał je zapiąć na hafcik; wąsa wymuskał przed źwierciadłem, i zupełny Albeńczyk poszedł z gospodarzem do izby brata, by się u niego upomnieć o przyobiecany list do generała.

Zastali starostę siedzącego w pudermantlu z jedwabnej białej materyi, przy małym stoliku makatą turecką okrytym. Na tym stoliku stała miednica i kubek srebrny pozłacany, kilka elegancyj do tualety potrzebnych i duża kryształowa szklanka, wiekiem przykryta, z herbatą tak tęgą, że ją można było z razu wziąść za wino królewieckie. Przed starostą dwóch służących trzymało źwierciadło w ramach srebrnych, w tém źwierciedle starosta się przeglądał, podczas gdy stary fryzyer, ufryzowawszy mu głowę, sypał na nią starannie szron pudru, biało-żółtawego, a tak zaprawionego piżmem, że niewzwyczajonemu trudno było dosiedzieć.

Kamerdyner starosty, który służył mu czasem za sekretarza, skończył był właśnie list, co mu dyktował jego pan, do generała. A pan, podpisawszy go, bez użycia nożyczek, ale jedynie palcami swemi, zrobił nań zgrabną kopertę, z wielkiém podziwieniem P. Szabańskiego, który się niemniej nad tém zastanawiał, jak nad użyciem tak tęgiej herbaty, on co jéj zażywał tylko po

wielkiém przepiciu, i to dwie szczypty z szafranem zmięszanej, rozgotowane w trzech kwaterkach wody.

Zapieczętowawszy list herbowną pieczęcią od kieszonkowego zegarka, wręczył go starosta swojemu bratu, a ten go oddał jednemu z swoich bośniaków, i wyprawił natychmiast do Niewodowa. Wrócił wkrótce do brata, gdzie zastał P. Szabańskiego siedzącego jak wryty; tyle mu było ciekawe ubieranie się starosty.

— *Comme vous vous êtes fait beau, mon frère* 1), odezwał się starosta roztargniony, pilnie przed źwierciadłem oskrobując z czoła puder, nożykiem srebrnym, tępym, *plioir* nazwanym, a oprawionym w trzonek złoty, kameryzowany. Poczém za danym znakiem, lokaje ze źwierciadłem rozstąpili się, a pan powstał, i raptownie zrzuciwszy pudermantel, wziął na siebie szlafrok z perskiéj materyi, w wielkie kwiaty różnobarwne na tle ponsowem, przepraszając pana Szabańskiego, że przy nim się ubiera. Usiadł na nowo, i podał nogi klęczącemu kamerdynerowi, który z nich zdjąwszy szkarpetki z surowego jedwabiu, na ich miejsce wciągnął pończochy, spodnie blado-inkarnatowe, a wierzchnie *à jour*, z robotkami po bokach, a cieńkie jak tkanka pajęczyny. Te pończochy uchwyciły niżéj kolan złote sprzążeczki spodni z mory białéj, ostatniéj mody wersalskiéj. Wciśnięto mu na nogi trzewiki z wysokiemi korkami ponsowemi, a tak lakierowane, że źwierciadło mało co jaśniéj odbijało przedmioty. Te trzewiki zacisnęły się na nodze złotemi wielkiemi sprzączkami. Zrzucił na chwilę szlafrok, by odmienić koszulę; wziął koszulę najcieńszéj holenderskiéj tkanki, prania paryzkiego, z poczwórnemi żabotami ko-

1) Jakżeś się zrobił pięknym bracie.

runki brabanckiej, a szyję kamerdyner obwiązał chustką wązką, haftowaną, na której mu zarzucił krzyż komandorski Ś. Jana Jerozolimskiego, cały w soliterach, i jakiś drugi krzyż, mało co mniej bogaty, na zielonej wstążce. Znowu podano mu szlafrok, a Lafler z taką powagą, jak dziś marszałek prowadzący w czasie wyborów szlachtę swojego powiatu do przysięgi, układał jego kos w harbeitlu kitajkowym, na którym przyszyta była misterna kokarda.

Już prawie jestem gotowy *mon frère*, jeżeli kareta już jest wymyta, możesz kazać zaprządz, jestem na twoje rozkazy. A do kamerdynera: Korendowicz, żeby furman, foryś, strzelec i lokaje nową liberyę wzięli. *Pardon mon frère* i mości Szabański, że panów jeszcze w szlafroku przyjmuję. Suknię wezmę jak kareta zajdzie, żeby jej świeżości w niczem nie uszkodzić. Jako poseł wielkiego Króla do wielkiego pana, muszę się pokazać w całej okazałości. Ale ty *mon frère* ubrałeś się jakby za pomocą czarodziejskiej laski.

— Albo to nasz staroświecki ubior składa się z tylu sztuk, ile wasz nowomodny?

— Bój się Boga *mon frère*, zapytaj mojego Korendowicza, czy-by trzech z naszego bractwa od stóp do głowy nie ubrał, za nim jednego pasa po waszemu zawiązał. Jak uważam *mon frère*, ty w swoim rodzaju, jesteś wielkim elegantem: ta długa suknia, ten pas bogaty, te safianowe boty, *c'est oriental* 1), ma to swoją piękność. Pamiętam jak w Lunewilu wielki efekt zrobił między Francuzami przybyły tam xiążę Lubomirski, starościc Kaźmirski, kiedy na dworze Króla Leszczyńskie-

---

1) Jest to wschodnie.

go w tym ubiorze wystąpił. *Mais cela n'a pas duré* 1), ten xiążę wkrótce potém zakochał się w Paryżu w jednéj aktorce ledwo drugiego rzędu i zjadłszy z nią szalone pieniądze, jeszcze dla jéj pięknych oczów przebrał się po francuzku.

— I to co najrozumniejszego mógł zrobić, że nie chciał naszego kontusza paskudzić włócząc się za komedyantkami.

— *De gustibus non est disputandum*, jak mawiał nasz ojczym Mycielski, któregoś nie znał *mon frère*, a szkoda, bo to był człowiek tak dobry, że prawdziwie można go było do rany przyłożyć. Z kilkorga dzieci, co ich miał z naszą matką, jeden tylko pozostał syn, a ten ze mną się wychowywał w Lunewilu w szkole rycerskiéj, ale ja kilku laty starszy, przed nim wyszedłem do półku, i zaraz poszedłem na wojnę. On służył w Berchenyhuzar, a pisze do mnie, że go teraz przenieśli do gwardyi królewskiéj; jest już kapitanem, i za nic nie chce do Polski wracać. Ale ty Michale, nic nieznasz twoich krewnych z Wielkiéj Polski; wszak Bertrand Mycielski jest twoim i moim bratem przyrodnim.

— Bardzo się cieszę, że go nie znam osobiście, gdyż on nie chce pokazać się w naszych stronach, a ja mojego kraju opuszczać nie myślę; tęskniłbym tylko za nim.

— O! to prawda, żebyś za nim tęsknił, gdybyś go poznał, odparł Ludwik wycierając szczoteczką swoje paznogcie, bo milszego chłopca na szerokim świecie nie znajdziesz; a do tego nosił wąsy jak ty, tylko że czarne jak krucze pióra; zgryziony, jak pisze do mnie, że przenosząc się do gwardyi musiał z tych wąsów zrobić

1) Ale to nie długo trwało.

ofiarę. A chłopiec walczy z losem. Nie możesz sobie wyobrazić *mon frère*, co to się działo w domu naszéj matki; nasz ojczym, człowiek dobry, ale zwyczajnie, *Roger Bontemps* 1), o jutrze nie myślał. Odłużył fortunę, przyszedł niedostatek, mnie odwieziono do Lunewilu z wielkim żalem naszéj matki, potem dzieci zaczęły umierać, jeden pozostał Bertrand, a i tego nie było o czém w domu wychować, i trzeba było go wyprawić tam gdzie i mnie wyprawiono. Matka ze zgryzoty, że wszystko w domu źle idzie, wpadła w suchoty, znalazły się potém i szkrupuły, że pierwszego męża porzuciła; nakoniec umarła. A gdyby chciała, i siebie, i męża mogłaby uszczęśliwić, bo stary Brühl, który za Króla Augusta robił z Polską co chciał, tak się w niéj zakochał, jak piętnastoletni chłopiec; ale ona się oszańcowała swoją cnotą, aż ta cnota nakoniec ledwo że nie do głodu ją doprowadziła.

— Co też to wygadujesz bracie, czy my niepowinni się cieszyć, że nasza matka wolała umrzeć w niedostatku, niżeli żyć w zbytkach i niesławie.—

— Niech-że żyje nasz wojski, z swojemi pięknemi maxymami. Nasza matka tak by robiła, jak damy wielkiego świata w Warszawie: one dobrze się bawią póki młode, na starość oddają się dewocyi, a téj niesławy nigdy nie doświadczają. Zresztą żona z swoich postępków, co najwięcéj, przed swoim mężem jest odpowiedzialną, a nasz ojczym, jak go znałem, nie był od tego.

— Dobrze to nasz nieboszczyk ojciec powtarzał, że ta Warszawa jest Sodomą.

— Niech i tak będzie, ale to pewno, że w téj Sodo-

---

1) Marnotrawca, utraciusz.

mie wesoło. Żadne dziecię nie prosiło rodziców o danie mu życia, więc oni mają obowiązek, żeby to życie, które najczęściéj jest ciężarem, osłodzić. Żeby nasza matka była rozsądnie miłowała Bertranda, miałby w swojéj ojczyźnie posadę odpowiednią zacności jego rodu; a tak, cóż najlepszego zrobiła dla niego? O to wytworne przyjąwszy wychowanie z łaski Króla Leszczyńskiego, spokrewnionego z domem Mycielskich, wyszedł subalternym oficerem w połku huzarskim, z dwoma tysiącami franków pensyi na szkatułce królewskiéj. *pour tout potage* 1). A co to jest być familiantem, hrabią 2), i nie mieć od-

1) Za całkowity dostatek.

2) Na starożytności rodu opierała się arystokracya Polska, a nie na żadnym przywileju wątlącym równość szlachecką. Każdy szlachcic uosabiał całkowity ród swój, im ten ród był starożytniejszy, im więcéj miał zasług w kraju, tym więcéj potomek i przedstawiciel uważał siebie szlachcicem, więcéj Polakiem, i na współzawodzie w otrzymaniu urzędu, zasługi tylko osobiste mogły przeciwważyć zasługi rodu. Cóż może być więcéj sprawiedliwego i czy jest jakakolwiek społeczność, gdzieby ten porządek nie był mniéj lub więcéj rozwinięty? Zasługi ojca tak spadają na syna, jak jego majątek; i majątek i zasługi ojca mogą być strwonione przez syna, wszakże on zawsze jest ich spadkobiercą. Wszędzie rozumowania przeciwne spadkowości zasług mogą być z równą logiką obrócone przeciwko spadkowości majątku. Saint Simoniści uważają odziedziczenie majątku prawem krwi być instytucyą potworną: utrzymują że majątek prywatny, będąc cząstką majątku publicznego, każda własność prywatna musi być ściśle równoważoną ze zdolnością jéj posiadacza, ani mniejszą ani większą. I właśnie na dowód tej zasady innych nie przytaczają argumentów, tylko te same, które się powtarzają przeciwko wszelkiéj arystokracyi. Saint-Simonizm jest to demokracya, ścisłą logiką posunięta aż do ostatnich swoich konsekwencyj. Zasady mo-

powiednich przychodów! Ciągnął ci nasz Bertrand djabłu za ogon, jak mówią, a po śmierci ojca, z całego spadku, nie została mu się szmatka do obwinięcia palca. Jakom przybył do Polski, gdzie za łaską Króla JMści, i moim szczęściem, dostałem starostwo wieluńskie i kommandoryę poznańską, odstąpiłem na rzecz naszego bie-

---

ralne i polityczne są powiązane z sobą tak ściśle, że jedną z nich zniszczywszy, cały gmach cywilizacyi runąć może. I tak, na piérwszy rzut oka zdaje się że niema nic wspólnego między arystokracyą a prawem właścicielstwa, a jednak łatwo dowieść można, że gdyby demokracya, nie rzekoma, ale rzeczywista, mogła się usadowić w jakiéj społeczności, tam żadna własność prywatna utrzymać-by się nie mogła Żywioł arystokratyczny jeszcze nie jest zniszczony, tylko osłabiony, a już jakie zuchwałe teorye powstają przeciw prawu własności. Może tego jeszcze nikt nie zauważył, że w społecznościach, gdzie żywioł arystokratyczny nie był nigdy silnie rozwinięty, tam jest cóś niejasnego, niedokładnego w pojęciach jakie mają o własności w ogóle. Jest to fakt łatwy do sprawdzenia. A że własność jest węgielnym kamieniem społeczeństwa cywilnego, co nawet Rousseau przyznaje, więc bez arystokracyi, nie byłoby życia cywilnego. Arystokracya Polska opierała się na pamiątkach historycznych, a nie na tytułach, które były anomaliją. Oprócz xiążąt Ruskich i Litewskich, objętych w przywileju Zygmunta Augusta, nie było polskiéj tytułowanéj szlachty. Ten przywiléj nawet bynajmniéj żadnego xięcia nie wywyższał nad równość szlachecką. Inne tytuły xiążęce i hrabiowskie były wyrabiane od Cesarzów Rzymskich i to z wielką oszczędnością, bo w szlachcie naszéj nie mamy nad pięć xiążęcych, a sześć hrabiowskich domów, tak straszną była Konstytucya zda mi się 1603 roku, zabraniająca *sub paena infamiae* szlachcie Polskiéj wyrabiać sobie tytuły zagraniczne. Zapyta kto: zkąd się namnożyło tyle hrabiowskich domów w Polsce? — Odpowiedź łatwa; wielu z nich mają za przywiléj koperty, na których stoi: „*Monsieur le Comte;* drudzy, że ponieważ szla

dnego brata, intratę którą otrzymałem we Francyi od Króla Chrześciańskiego, nie powiem za rany, odebrane na wojnie, *quelle bêtise, tout le monde est brave* 1), ale za menueta, któregom tańczył w jego przytomności z margrabiną de Pompadour, kiedyś moją najosobliwszą dobrodziką: wiesz *mon frère*, że jestem uczniem wielkiego Gardela 2); a poczciwy Bertrand tak mi jest wdzięczny za tę bagatelę, jakbym mu dał to, czego urodzeniem i gładkością swoją, ma prawo domagać się od Opatrzności. Co roku przysyła mnie z Paryża suknią *de la dernière mode* 3); zaraz ją na mnie obaczysz, i sam wyznasz, że nie można mieć więcéj gustu. To

chcic do korony się rodzi, więc kontentując się tytułem hrabiowskim, jeszcze wiele umiarkowania okazuje; inni. że każdy szlachcic będąc towarzyszem kawaleryi narodowéj, a towarzysz po łacinie tłómaczy się przez wyraz *Comes*, *ipso facto* są Comesami czyli hrabiami. Znam kilku takich hrabiów, o których szlachectwie bardzo wątpię; jakże oni tego tytułu dostąpili?— nie wiem. Kilku naszych teraźniejszych hrabiów otrzymali tytuły tym sposobem. Król Polski niemiał prawa ich rozdawać; a szkoda, bo moglibyśmy dostarczyć xiążąt i hrabiów dla całéj kuli ziemskiéj. Ale w Mirze, w województwie Nowogródzkiém, mieszkał Król cygański; ostatni Król nazywał się *Jan Marcinkiewicz;* wielu hrabiów, zwłaszcza litewskich, na mocy przywileju od niego otrzymanego obstają przy swoim tytule. Nic dziwnego iż przy bliższém przez władzę rozpoznaniu zniknąć mogą te splendory; zdarzyć się też i to może, iż przez wzgląd na dawność ziemską i zasługi osobiste, używany tytuł będzie komuś zachowany, lecz tylko indywidualnie. W takim razie potomkom radzilibyśmy udać się poń do Siedmiogrodzia, gdzie ma być też Król cygański, mieszkający w Maras Vasarhöly.

1) Co za głupstwo, każdy dobrze się bije.

2) Gardel najsławniejszy baletnik paryzki owego czasu.

3) Ostatniéj mody.

też go za to Bóg teraz błogosławi; zakochała się w nim od roku jakaś hrabina de Varmont, ma być piękną, a do tego złotem nadziana Kreolka, która na niego szalenie traci. Od niego zależy pojąć ją za żonę i mieć tłumy poddanych czarnych i kasztanowatych w Martynice. Tylko, że Bertrand taki trzpiot, że dla pierwszego kaprysu gotów to wszystko opuścić. Ale jak widzę ekwipaż gotów, *il faut achever sa toilette* 1).

Wstał, rzucił za sobą szlafrok, i wziął na siebie westę długą, z atłasu białego, haftowaną blaszkami złotemi. Pod nią przyczepił kamerdyner pendent ze szpadą, któréj rękojeść stali angielskiéj, co do blasku, równała się brylantom, zwłaszcza przy świetle kunsztownem. Nareszcie zarzucił wstęgę świeżo ustanowionego orderu Świętego Stanisława, długą wstążką obwinął rękaw od koszuli, żeby ogarnirowanie korunkowe, z pod rękawa, gładko się wysunęło, lokaje ubrani w liberyi kapającéj złotem, podali mu źwierciadło, w którém się z upodobaniem przeglądał; i nic pewniejszego, że trudno było widzieć nadobniejszego kawalera.

Nakoniec podano mu suknię, a tę ze wszystkich stron oglądał z najskrupulatniejszą uwagą, azali najmniejszy fałdzik nieznieważa jéj świeżości. Suknia była z axamitu koloru nazwanego w Paryżu *pompadour*, z powodu że Ludwik XV w puszczy Senar, w amazonce tego koloru, pierwszy raz spotkał tę zalotną piękność, u nóg któréj wraz z sercem całe swoje państwo położył. Ten kolor, trzymający środek między najżywszym szafirem, a najświetniejszym amarantem, był w największéj modzie

---

1) Trzeba skończyć swoje ubranie.

w Wersalu, jakby dla uczczenia niedawno zmarłéj margrabiny, która piérwsza wprowadziła go do Wersalu.

— *Mon frère*, odezwał się starosta, kładąc na siebie tę ostatnią sztukę wykwintnego ubioru, ta suknia, co ją pierwszy raz używam, jest zbiorem darów miłości, sławy, szczęścia i przyjaźni. Sama suknia, jakém ci już powiedział, jest dowodem pamięci wdzięcznéj brata Bertranda, a ten w około niéj złoty filgranowy garnitur, w dzień moich imienin, był mi dany na wiązanie, przez xięcia Kanclerza Czartoryskiego. Tę gwiazdę brylantową dał mi Król Jegomość Pan nasz miłościwy, w sam dzień ustanowienia orderu swojego. Ta druga gwiazda z szmaragdów i brylantów, na któréj czytać możesz napis *avis ataris* i ten krzyż na zielonéj wstędze co go mam na szyi, są to insygnia orderu Świętego Łazarza; wielkim mistrzem tego kawalerstwa jest xiążę Orleanu, pierwszy xiążę krwi królewskiéj. Żeby otrzymać ten znak, oprócz wziętości u dworu, rangi przynajmniéj połkownika, potrzeba jeszcze udowodnić trzysta lat szlachectwa, bez żadnéj *mésalliance* 1): przyznam ci się *mon frère*, że to jest jeden order, o który się starałem najgorliwiéj. Bo chociaż u dworu żartujemy między sobą z arystokracyi, jednak przez jakiś nałóg zastarzały, dobijamy się jak możemy do wszystkich zaszczytów zacnego urodzenia. Kiedy xiążę Orleanu, nie opierając się prośbom mojéj protektorki, przysłał mi nakoniec tę samą gwiazdę tak ozdobną, powiem ci, że szalałem z radości. Ten drugi krzyżyk na czerwonéj wstążeczce, jest nagrodą daną mi z rąk Ludwika XV, i nosi

1) Skojarzenie się związkiem małżeńskim, z osobą niższą rodem.

imię jego patrona. Powinieneś go czcić *mon frère*, bo oprócz zasługi rycerskiéj, on jest świadectwem prawowierności, i tylko wyznawca Katolicko-Apostolskiego Kościoła może go nosić. A te guziki mozajki florenckiéj, z kosztownych kamieni wyrabiane, a tak bogato oprawne, których ocenić nie można, są darem miłości i prawdziwéj miłości; xiężę Bedford był je otrzymał w darze od Wielkiego Xięcia toskańskiego. Chcąc się niemi popisać na dworze wersalskim, ubrał się w nie, będąc proszonym na bal królewski, żeby niemi zaćmić panów francuzkich; ale że się namiętnie kochał w pannie Gaussin, najpiękniejszéj aktorce teatru francuzkiego, do niéj wstąpił po drodze, żeby się przed nią swojemi guzikami popisać; a ona przez swawolę mu te wszystkie guziki odstrzygła, mówiąc, że tym sposobem, aż do dnia jutrzejszego, zatrzyma go u siebie. Xiążę uszczęśliwiony takim dowodem przywiązania, z zachwyceniem darował jéj te guziki, które póżniéj jéj piękne rączki, oddały mi na pamiątkę. Wkrótce potém Bedford, obżarty jak zwyczajnie milord, umarł z niestrawności, a ja, właśnie w sam dzień jego śmierci, pokazałem się pierwszy raz w Wersalu w jego guzikach. *Cela a fait fureur a la cour* 1). *A propos*, nuże Lafler, Korendowicz, czy wszystko dobrze, czy czego nie braknie. Jestem gotów *mon frère*, siadajmy.

Kamerdyner podał mu kapelusz jedwabny, do trzymania w ręku; tabakierkę złotą z portretem królewskim otoczonym brylantami, w którą nie omieszkał nasypać winegreli, żeby na każdy przypadek, mieć czém damy trzeźwić; drugą tabakiereczkę *printanierką* zwaną, któ-

---

1) To zrobiło niesłychane wrażenie u dworu.

rą otworzywszy zapach rozchodził się w około; trzecią tabakiereczkę z piórkiem do zębów; zegarek z brelokami i kieskę z dukatami holenderskiemi. To wszystko starosta rozlokowawszy po różnych kieszeniach, zlekka rzucił na barki płaszcz ponsowy, białym racymorem podszyty, ozdobiony szczerozłotemi guziczkami; wziął trzcinę z bogatą skówką, chustkę do nosa uparfumował jakimś wonnym paryzkim wyskokiem i wyszedł z bratem do zajeżdżającéj przed ganek karety.

Siedli do niéj te oba typy starego i nowego świata w ówczesnéj Polsce. Wojski usiadł poważny i nieco zamyślony; starosta wesoły i śpiewający, jak wszyscy ci do których przyszłość należy. I puścili się ku zamkowi nieświeżkiemu.

XIII.

Imieniny.

Nim nasi bracia stanęli na zwodowym moście zamku, już trębacz przed nim czatujący otrąbił przybycie nowych gości; a za mostem warta Radziwiłłowska stanęła pod bronią, dla ich uczczenia. Godzina była piąta po południu, kiedy kareta zastanowiła się przed perystylem, czy, jak to dawniej nazywano, krużgankiem zamku, natychmiast dwóch sążnistych hajduków otworzywszy karetę, na rękach z niej wynieśli naszych gości, i lekko ich postawili na samym progu. Starosta nie obzierając się za sobą, rzucił płaszcz z plec swojemu strzelcowi, a wojski nieco uważniej zdjął huńkę swoją i oddał ją hajdukowi, z napomnieniem by o niej miał staranie, a podwoje, prowadzące do wielkiej sieni zamku przed niemi się rozwarły.

Zastali w sieniach kilkanaście osób, a między niemi xięcia Wojewodę, który, jako gospodarz pełen gościnnej

grzeczności, za każdym odezwaniem się trębacza biegł do sieni dla przyjęcia każdego, łaskawie pamiętającego na dzień jego imienin. Xiążę był wysokiego wzrostu, przyzwoitej otyłości, twarzy na której pogoda serca się malowała i uśmiech któremu się oprzeć było trudno. Duże oczy błękitne, pełne ognia i dowcipu, błyszczały jak dwa szczęsne luminarze, na licach, których białość mogłaby pobudzić zawiść kobiety. Wedle zwyczaju litewskiego głowę miał wysoko podgoloną, a wąs gęsty, do góry zakręcony, uzupełniał obraz prawdziwego Sarmaty. W dniu tym nosił na sobie mundur albeński, tak jak wojski i wielka część gości przybyłych, z tą tylko różnicą, że wszyscy Albeńczykowie, na szpinkach nosili cyfrę xięcia, a on sam nie swoję cyfrę, ale na podobnej emalii błękitnej miał trzy litery brylantowane F. A. F. których znaczenie było: *fiducia amicorum fortis.* Jak bracia zbliżyli się do niego, xiążę obu się skłonił, a do wojskiego naprzód obracając mowę:

— A przecie nasz wojski zawitał; zacząłem już tęsknić za waćpanem panie kochanku. Generał Kunicki mnie skrewił, myślałem już, że i jego przyszły zięć na mnie niełaskaw.— Bóg świadek, xiążę panie, że pan generał nigdy tyle nie narzekał na niemocy swoje, jak dziś, za to jedynie, że waszej x-cej mości służyć nie może.— To też żart tylko, panie kochanku; moi przyjaciele to całe moje bogactwo, znam ich serce, bo kiedy byłem w biedzie, to mogłem ich doświadczyć. Pan Józef był moim dobrodziejem, tak jak i pan strażnik świętej pamięci ojciec waćpana, po którego śmierci nie raz się łzami zalewałem, jak i wszyscy moi Albeńczyki. Za granicą wasz chleb jadłem, to też wszystko co mam jest waszym. A wiesz panie kochanku, że twoja narzeczona

już dawno u mnie, w bawialnych pokojach ją znajdziesz z mojemi siostrami; a jaką śliczną dzieweczkę dobrałeś sobie. Ruszajże sobie do niej panie kochanku, bo widzę że w duchu djabłami mnie karmisz za to że cię tak długo zatrzymuję.— Wolne żarty waszéj xiążęcéj mości, ale w téj chwili nie tyle mi narzeczona moja w głowie, ile to żebym umiał wynurzyć moję radość, iż doczekałem się dnia, tyle pożądanego od nas sług i przyjaciół waszéj xcéj mości, w którym mogę mu złożyć najgłębsze powinszowanie, najprzychylniejsze życzenia, a razem przedstawić mu mojego brata, starostę wieluńskiego.

— Bardzo się cieszę, że w moim domu przyjąć mogę pana starostę; przypominam się jemu, bo niejednokrotnie na pokojach królewskich miałem zaszczyt oglądać jego oblicze. Cóż to za szczęśliwa dla mnie gwiazda sprowadza pana starostę, orderowego pana i tak znakomitego kawalera wielkiego świata, do domu szlachcica, wieśniaka, i jeszcze w dniu jego imienin, chyba żeby z nas wzorki zbierać, i w Warszawie, panów wielkiego świata zabawiać kosztem naszym.— Mości xiążę, oddawna chciałem być przedstawiony w jego własnym zamku dostojnemu protektorowi nieboszczyka ojca i żyjącego brata, i złożyć mu moje uszanowanie w dniu, tak świetnym dla całego narodu. A Król Jegomość i wuj jego xiążę Kanclerz Czartoryski, wiedząc o tym moim zamiarze, na moje ręce, przysyłają waszéj xiążęcéj mości listowne oświadczenie ich życzliwości, które to listy xięciu Jmci śmiem składać.— Z najgłębszém uszanowaniem przyjmuję ten dowód łaskawéj pamięci Najjaśniejszego Króla, pana mojego miłościwego; a co się tyczy xięcia Kanclerza litewskiego, tym wdzięczniejszy mu jestem, że nie zawsze zaszczycał mnie podobną łaską.

— Był czas mości xiążę, kiedy xiążę Kanclerz za odmiennem idąc przekonaniem, sprzeciwiał się waszéj xiążęcéj mości, ale to pewna, że dziś niczego więcéj nie pragnie, jak tylko dawać mu niepłonne dowody swojego wysokiego szacunku i życzliwości.

— A tak, tak, teraz i ja o tém nie wątpię, a obracając się do jednego starego Albeńczyka, tuż przy nim stojącego: Rekomenduję panu staroście mego dobrego przyjaciela, pana Stanisława Płaskowickiego, podczaszego nowogródzkiego, który w moich nieszczęściach o krok mnie nie odstąpił, chociaż ósmy krzyżyk na jego metryce wschodzi, a jego syn, pan Jerzy, okolniczy smoleński, nie mało też ucierpiał, otoż pan Stanisław przez całe życie swoje był wielce umizgalski. Nie wstydź się panie kochanku i nie zasłaniaj oczu, bo co prawda, to prawda. Ze mną będąc w Rzymie, *delicta juventutis* tak go zaczęły trapić, że aż poszedł do wielkiéj penitencii, by zupełny odpust otrzymać; ale spowiadając się wielkiemu penitenciarjuszowi, przyznawszy się że za młodu ciągle był zajęty kobietami, dodał, że za łaską Boga przecie się upamiętał na starość i że tylko stare grzechy opłakuje nowych do nich nie przydając. Na to jednak penitencyaryusz: a ty nic dobrego, myślisz Pana Boga oszukać, chwaląc się, że już poprzestałeś grzeszyć: nie ty grzechy, ale grzechy ciebie opuściły; żebyś tylko mógł grzeszyć, piękną miałby z ciebie Pan Bóg pociechę. Jeżeli nie prawda, zadaj mi kłamstwo panie Stanisławie. Ale, wracając do łaskawego oświadczenia xięcia Kanclerza, ja sobie prosty człowiek, panie starosto; szczerze wierzę w pojednanie nieprzyjaciół. Xiądz Biskup Massalski naprzykład, czy mogę ja wątpić o zmianie jego serca na korzyść moję, kiedy on zjechał sam

winszować mnie imienin, i obaczysz go pan na pokojach; albo mogęż wątpić o łasce xięcia Kanclerza, kiedy tak grzecznym listem ją oświadcza dla mnie. Przed kilką laty, w sam dzień Ś. Karola, ogłosił dekret sejmowy, skazujący mnie jako *hostem patriae* na banicyę, *et abjudicatione ab omni activitate;* ale dzisiaj mnie to wynagrodził, przysyłając mnie wcale inne wiązanie, w nawiedzeniu znakomitego męża, wielce zasłużonego ojczyznie, bo już orderowego pana.

— Nie chełpię się z żadnych zasług dla kraju mości xiążę, a jeżeli Król Jmć, pan mój miłościwy, raczył orderem swoim wesprzeć me dobre chęci, jakkolwiek ten zaszczyt mało waży u w. x. mości, za złe mi wziąć nie można, że wysoko cenię dowód łaski mojego monarchy.

— Jak to mało ważę, ja panie jego wiele ważę. Może go w duchu WPanu zazdroszczę, bo Król mnie téj łaski nie zrobił, by mi pozwolił nosić swój order.

— Wolne żarty w. x. mości: Król Jmć chyba nie śmiał go dać w. xcéj mości, jako kawelerowi wyższego orderu u nas i tylu wysokich zagranicznycznych.— Nie wierz pan temu, mości starosto, ja kilka razy przymawiałem się do tego zaszczytu, a Król zawsze jakby tego nie chciał zrozumieć. Nareszcie pan Michał Rejtan, który zaraz może mi zadać kłamstwo jeżeli zmyślam, jako szambelan Najjaśniejszego Pana, będąc u niego na służbie, wprost jako łaskawy na mnie przyjaciel, zaczął prosić Króla o order Ś. Stanisława dla mnie; ale Król mu powiedział, wasz Radziwiłł młody, głupi, nic nie zrobił dla kraju, nie dam pokąd na niego nie zasłuży. I tak nas z kwitkiem odprawił.— Starosta zaczerwienił się, zacisnął zęby, ale tyle zostało mu rozwagi, że nie biorąc tego za żadną przymówkę, lekki uśmiech, acz nieco

kwaśny, dołączył do głośnych śmiechów orszaku otaczającego xięcia. Po chwili milczenia, xiążę się odezwał:

— Mości panie starosto, najpokorniéj przepraszam, że go tak długo zatrzymałem w miejscu tak nieprzyzwoitém dla jego godności; ale mam w zwyczaju, po naszemu, przyjmować gości łaskawych u podwojów mojego domku. Dała-by mi bracia litewska gdybym aż gdzieś na nią czekał, póki się piérwsza ze mną nie przywita, jak to bywa u koroniaszów, gdzie gospodarz ani ruszy z miejsca, choć tarkotanie kół na dziedzińcu zaprasza go do sieni. Proszę pana starosty z sobą na pokoje, bo nasze panie i panny pomyślą że my na nie jakieś spiski knujemy. I nizko się jemu skłoniwszy, puścił go przed sobą; a obracając się do wojskiego:— Panie Michale, cóś się trębacze nie odzywają, jak widzę już nikogo więcéj nie mam się spodziewać. Zapieczętowałeś panie kochanku, liczbę Radziwiłłowskich przyjaciół. Oj, oj, oj, czemuż nie widzę mojego strażnika, to to był mój przyjaciel pan Wojciech, ta to ja jeszcze sylabizować nie umiałem, kiedy mnie smarkacza uczył nożem do celu trafiać; i na swoję biedę mnie wyuczył, bo potém w zakład rzucamy, on poważny regent, a ja sobie błazenek. Jednego poranku raz u niego dwadzieścia tynfów wygrałem, ale potém te zabawy dały mi się w znaki; ś. p. xiążę Hetman mój ojciec, porządną batogową sprawił mi łaźnię za to, że rozmawiającemu z nim panu pisarzowi Rymszy, ciśnięciem noża, wylot od kontusza w ścianę zagwoździłem. I po tych słowach, wszystkich puszczając przed sobą, poszedł za niemi do pokojów, opierając się z jednéj strony na panu wojskim, a z drugiéj na panu Michale Rejtanie.

Starosta, przechodząc sale staroświeckiego zamczyska,

nie bez zadziwienia uważał skromność jego ubrania. Nie widać było ani bronzów, ani mahoniów, ani tych innych wymysłów, napełniających mieszkania nierównie mniej możnych obywateli w Warszawie. Tu zaś, oprócz kobierców, zawieszonych na niektórych ścianach, kobierców kiedyś kosztownych, ale noszących ślady czasu i świeżego rabunku tego zamku, żaden zbytek, żadna wykwintność, nie raziły równości szlacheckiéj. Gdy weszli do sali, nazwanéj portretową, że już to się zbliżała szósta godzina, a pajuki zapalili światła, mógł więc uważać na ścinach szereg długi przodków Radziwiłłowskiego domu, poczynający się od protoplasty Lezdejki, ofiarnika wielkiego Perkuna, a kończący się na xięciu Michale, Hetmanie wielkim litewskim, ojcu xięcia Wojewody, którego wąsy w kształcie kłów dzika strzyżone, cóś surowego przydawały do twarzy zresztą łagodnéj. Wisiał jego obraz między dwiema jego żonami: piérwsza z królewskiego domu Wiśniowieckich, matka naszego xięcia, druga ze znakomitego wielkopolskiego rodu Mycielskich. W około téj wielkiej sali, pod ścianami były ławki, obite aksamitem utrechtskim, kiedyś zielonym; a między ławkami jakąś przerwę okazywały gdzie niegdzie kanapy dwa razy wyższe od ławek, z dwoma stopniami, jak ołtarze, axamitem pokryte jedwabnym karmazynowym, ale niemniéj spłowiałym. Oprócz tego, mnóstwo krzeseł i stołków, z których formowały się różne grupy, było porozrzucanych w rozmaitych dyrekcyach sali. Zamiast dzisiejszych posadzek, w arabeski wyrabianych, była po prostu gładka podłoga dębowa, starannie jednak woskowana. Jedyny sprzęt, któryby w téj sali mógł na sobie zatrzymać czas jakiś wzrok wędrownika, nawykłego deptać szlaki zagraniczne, był to pająk na pułapie zawie-

szony z kryształu weneckiego, oświecony trzystu świecami, wprawdzie żółtemi, ale których blask, odbity w tysiącu brylantowanych kryształkach, wracał sowicie wszystkie utracone blaski dzienne. Takich pająków było w zamku dwanaście, oświecających w potrzebie rozmaite sale. Była to jedyna spuścizna, spadła po Królu Michale na dom Wiśniowieckich, a weszła z różnemi na Ukrainie i Polesiu dobrami w dom Radziwiłłowski, kiedy xiążę Hetmen zaślubił ostatniego tego domu potomka.

W téj to sali zebrani byli obojga płci krewni, przyjaciele, klienci i słudzy najpotężniejszego bogactwem i popularnością magnata polskiego; a między niemi nie jedna wcisnęła się osoba, co dopiero okazawszy xięciu swoję niechęć w najdotkliwszym sposobie, z odmianą szczęścia na jego stronę, skwapliwie się ubiegała, by obłudnym nawróceniem zatrzeć we wspaniałym umyśle pamięć krzywd od niejże doświadczonych. Xiążę Biskup wileński i Chreptowicz, podkanclerzy litewski, oba głowy partii xiążąt Czartoryskich w Litwie, oba prześladowcy xięcia i wszystkich z nim trzymających, tak składali jemu powinszowania, jakby zawsze byli jego gorliwemi stronnikami. A xiążę jakkolwiek czytał we wnętrzach ich duszy, pamiętny na święte prawa gościnności, przyjmował ich oświadczenia, tak jakby o ich szczerości był przekonany. Kobiety siedziały na ławkach, matrony poważne urzędem, i z płci drugiéj ważne osoby duchowne i świeckie, z niemi na wygodniejszych kanapach rozmowę prowadziły; a inni, usiłując i panów i damy zabawić, kolejno od jednych do drugich przenosili grzeczności swoje.

Kiedy xiążę wszedł do sali z braćmi Strawińskiemi, chociaż to jego przyjście może dziesiąty raz się odnowiło, wszystko na chwilę powstało, by go powitać uniżonym

ukłonem: on też wszystkim jak najniżej się odkłonił; a zbliżywszy się do xięcia Biskupa wileńskiego, jeszcze raz mu podziękował za zaszczyt jemu zrobiony jego przybyciem, i dodał przedstawując mu swojego gościa:— Mości xiążę, przedstawuję waszej pasterskiej mości pana starostę wieluńskiego, zapewne dobrze mu znanego w Warszawie.«

— Nie tylko w Warszawie, ale i w Wersalu miałem przyjemność często widywać pana starostę, kiedy to jeszcze był półkownikiem w wojsku francuzkim; a nawet nieco głębiej możemy zapuścić naszą pamięć, bo znam pana starostę od niemowlęctwa. gdyż byłem blizkim krewnym i opiekunem jego matki.— Wiadomy mi jest ten zaszczyt; nawet kolligacya z waszą xiążęcą mością, nie mało mi pomogła do otrzymania orderu Ś. Łazarza.— A prawda, na to xiążę Wojewoda, zapomniałem, że Massalska was rodzi. Ona *secundo voto* była za Mycielskim, kasztelanicem poznańskim, blizkim krewnym mojej macochy. Pamiętam, że w całej Warszawie jego laufer był najbogaciej ubrany i najprędzej biegał.— Tak jest, mości xiążę, ale jego majątek jeszcze prędzej biegał, bo syn jego, a nasz przyrodni brat, który służy zaszczytnie w wojsku francuzkiem, po nim nie znalazł z czego sprawić sobie żałoby.— To szczęście, odezwał się xiążę Wojewoda, że ma zamożnego krewnego w osobie jego pasterskiej mości, xięcia Biskupa wileńskiego, który mu zginąć nie da. Ale pozwól mości starosto żebym WPana poznał z moją siostrą, Morawską, gospodynią mojego domu. I zaprowadził go przed panią generałowę, która blizko nich stała, opierając się na xiężniczce Maryi, najmłodszej siostrze xięcia, przezwanej Lilią nieświeżką, dla nadzwyczajnej białości i wysmukłości jej kibici.

Xiężniczką słynęła z piękności, ale tak była nieśmiała, że ją xiążę inaczéj nie nazywał tylko siostrą-flegmiczką. Ukłonił się starosta xiężniczkom, poruszeniem pełném dworszczyzny, oświadczając radość swoję, że może poznać tak znakomite i piękne damy. Na to rubaszna generałowa:— Panie starosto, tylko ostróżnie z temi komplementami, bo jak powiesz wyraźniéj mojéj siostrze Maryi, że piękna. gotowa się rozpłakać. Ja na takie rzeczy mam więcéj odwagi, bo jużem się tego nasłuchała będąc panną. Jednak starosto jeżeli zechcesz chwalić piękność moję, nakwasisz czasu niepotrzebnie, bo już mam takiego co aż do naprzykrzenia unosi się nad mojemi wdziękami; oto widzisz go jak nakręcając wąsa, z niespokojnością na nas spogląda. Ale obejrzyj się w około siebie, mój starosto, a obacz ile tu znajdziesz piękności, które nie tylko mową, ale i wierszem pochwalić można, chociaż to prawda, że po paryzkich i warszawskich, może nasze wiaśniaczki nie najlepiéj się wydadzą jego oczóm.— *Princesse*, piękność Polek jest słynną w całéj Europie: ile razy w Wersalu jaka dama nasza pokazała się dla uczczenia Królowéj rodaczki, rozpacz była pomiędzy Francuzkami. I aż nadto o tém przekonać się można, okiem w około siebie rzuciwszy. Ale gwiazdy gasną przy słońcu, obok którego się znajdują. Generałowa parsknęła ze śmiechu.— Piękna to poezya, panie starosto, ale wolę pana w krainę rzeczywistości zaprowadzić, pokazując mu osobę, którą ze wszelkiego względu winieneś poznać. I w głos się odezwała: Zosiu, Zosiu, mam ci cóś ciekawego do pokazania.«

Na te słowa powstała młoda dziewica z ławki, gdzie siedziała obok osoby już podeszłéj w wieku, a która ją oddalającą się od siebie z oczu nie spuszczała, i z po-

stawą pełną uszanowania i skromności, przybliżyła się do generałowéj. Czystość jéj rysów, żywość granatowych oczu, osłoniętych długiemi a ciemnemi rzęsami, giętkość jéj talii, wszystkie te wdzięki razem, wprzód jeszcze nim usta otwierała, już zniewalały; a sposób, jakim była ustrojoną, przekonywał o stopniu położenia towarzyskiego, na którym Opatrzność ją umieściła. Jéj włosy czarne, trefione w kilka gęstych i długich kędziorów, łączył grzebień z igrających szafirów, ledwo nie równających się w blasku jéj oczóm, z brylancikami je otaczającemi. Na śnieżnéj szyi miała kolie z brylantów i topazów; bransoletki takiego samego kształtu zdobiły jéj ręce, prawie do połowy ramienia obnażone, a kolce z czystych brylantów uzupełniały bogactwo jéj ubioru. Gors, nad wszystkie te skarby bogatszy, zasłonięty był korunką we trzy rzędy spadającą; ale wzrok błądzący nie takie w téj osłonce znajdywał przeszkody, by nie mógł przedzierać się do celu zbyt słabo zakrytego. Suknia z gazy białéj, w złote kwiatki haftowana, okazywała się nad inną spodnią odzieżą, z atłasu jasno-słomianego, tak odbijającego wdzięki nadobnych czarnobrewek. Ta suknia nieco kusa, bo do tańców przygotowana, pozwalała widzieć arystokratyczną nóżkę, w pończoszkę lyońską obwiniętą, a zamkniętą w trzewiczek atłasowy biały, złotemi blaszkami wyszyty. To wszystko tak było dobrane, tak sporządzone z tym smakiem wrodzonym, którego wszystkie narody zazdroszczą naszym Polkom; że nie ma na kuli ziemskiéj miejsca, gdzieby zjawienie się podobnej niewiasty w takim stroju, jakiegoś wrażenia nie zrobiło.— Powiedz-że teraz, mości starosto, rzecze pani generałowa Morawska, śmiejąc się, która tu z nas gwiazdą, a która słońcem? Stanął jak wryty starosta na widok tylu

wdzięków, którym karmin wstydu, po tych słowach generałowéj, nowych powabów przydawał. Skłonił się jednak pannie z uszanowaniem, jakiego-by przed Królową francuzką większego nieokazał, a mowę obracając do generałowéj:— *Princesse*, domyślam się, że ta szlachetna pani musi być jedną z jéj siostr, a więc wszystkie należąc do jednego rodu luminarzów, bez żadnego spółzawodnictwa z sobą, możecie panować nad nami.— Nie mości starosto, mylisz się, i jak widzę płonne to rzeczy co ludzie mówią o zmyślności serca, bo gdyby ona była w istocie, powinien był byś zgadnąć kto jest ta panna, tak hoża: jest to Zosia Kunicka, przyszła pańska bratowa. Zosia została purpurową, a generałowa odskoczyła od nich, śmiejąc się do rozpuku, i skacząc przybiegła do wojskiego, by mu opowiedzieć poznanie brata z jego narzeczoną.

Chwil kilka starosta pozostał w milczeniu: nakoniec wziął Zosię za rękę, a przycisnąwszy ją do ust:— Pani, rzecze, ile szczęśliwym się czuję, że przecie poznaję przyszłą siostrę, przyszłą ozdobę domu mojego. Jakżem się nie domyślił po gwałtowniejszém biciu serca, że się zbliżam do téj, któréj już jestem od kilku miesięcy kochającym bratem. Znam panią z listów brata mojego, ale że rzeczywistość tu jest wyższą nad wszelkie opisanie, wyznaję że panią wziąłem za jedną z siostr xięcia Wojewody.— Co do mnie, ani chwili nie zostawałam w wątpliwości, że pan jesteś starszym synem nieboszczyka pana strażnika, bo obraz przysłany jemu, tak do pana podobny jak jedna kropla do drugiéj.— Był że więc obraz mój tak szczęśliwy, byś raczyła go chować w pamięci.— Winnam panu staroście ponowić moje dzięki, za dar coś mi go pan raczył przysłać na pamiątkę, a któ-

ry i teraz mam na sobie, jak pan widzi.— Nic innego widzieć tu nie mogę oprócz pani saméj; ale z jakąś bojaźnią przybliżam się do pani, chociaż serce moje do niéj mnie gwałtem przyciąga, bo wszystko coby gdzie indziéj za mną przemówiło, tu będzie obrócone na moje potępienie.

—Nie rozumiem pana starosty.

—Łaska Króla, niewinnie będącego przedmiotem nienawiści u jéj blizkich, młodość moja w rzemiośle rycerskim, ale za granicą strawiona, nawet ten strój, tak obcy tutejszym okolicom, wszystko przegradza mnie od przyjaźni pani.— Cóż może mieć wspólnego różnica ubioru z przyjaźnią?— Ach pani, czyż na wstępie do tego pałacu nie doświadczyłem ile ten ubior mój ściąga na mnie podejrzenia. Sam xiążę, zapomniawszy na chwilę o względach należnych w domu swoim gościowi, przybywającemu do niego z hołdem grzeczności od wspólnego im Króla, a uszanowania od siebie, przywitał mnie cierpką przymówką. Pogardliwie dał mi poznać jak lekceważy zasługi moje za granicą nabyte, a których świadectwo na sobie noszę; a jednak jakaś sława, zyskana od Polaka w ziemi obcéj, własnéj ojczyznie niecześci nie przynosi. Wszakże obojętnie zdołam uważać te wszystkie uprzedzenia, bylem sobie mógł pochlebiać, że dla pani nie jestem obcy.— Nie do nas biednych dziewcząt, o tych rzeczach przystoi rozumować; ale to pewna, że syn najściślejszego przyjaciela mego ojca nie może być dla mnie obcym.— Starosta, jakby zachwycony, drugi raz ujął białą i pulchną rączkę przyszłéj bratowéj, gdy głośny śmiech pani Morawskiéj zwrócił go za sobą: ujrzał wesołą generałowę, opartą na ramieniu Michała.

—Wstydź się, rzekła do swojego przewodnika, mo-

ści wojski, żeś się dał mnie uprzedzić; wszakże do ciebie, a nie do mnie należało poznać brata z twoją narzeczoną. Ale coś zawczasu postępujesz po mężowsku, zagawroniłeś się z swojemi Albeńczykami, a do biednéj Zosi dotąd i słówka nie obróciłeś; a tymczasem starosta swoję rolę przy niéj wygrywa. Nikomu nie wierz mój wojski, a najmniéj tym Paryżaninóm; dopiero pod bokiem mojego wąsala sypał mi komplementa. Teraz tłómacz się sobie przed Zosią żeś ją zaniedbał. Już obiadowa pora, wojski niech swoję Zosię prowadzi, wpan mości starosto, prowadź moję siostrę Marysię, która trzyma oczy spuszczone jakby szpilek szukała po podłodze. A ja muszę poszukać Morykoniego; jest to Włoch z przodków, ale w kontuszu, przecie starosta grodowy Wilkomirski, a wkrótce będzie, nie potrząsaj tak głową Marysiu, moim bratem. I spostrzegłszy go o kilka kroków za niemi, spoglądającego na xiężniczkę Marię, porwała go za rękę i kazała siebie prowadzić do sali obiadowéj.

Był to czwarty i ostatni obiad z rzędu, gdyż od godziny pierwszéj po południu, co dwie godzin stoły zastawiano; na Ś. Karola bowiem, w Nieświeżu zjazd był tak wielki, że nie byłoby sposobu wszystkich umieścić razem za jednym stołem. Xiążę Biskup, a z nim duchowieństwo, szli naprzód, a po nich xiążę Wojewoda podał rękę JW. Niesiołowskiéj Wojewodzinie Nowogródzkiéj, siostrze xięcia Biskupa, którą tyle szanował wraz z dostojnym jéj małżonkiem, ile pogardzał osobą i sposobem myślenia jéj brata. Po nich koleją postępowały pary, które jeszcze nie obiadowały. Na niekończącym się stole z orzechu, który nie na jedno pokolenie Radziwiłłowskie patrzał, były pozostawiane srebra prawdziwie monarchiczne, bo jedno pokolenie przekazywało je dru-

giemu, a zawsze z naddatkiem. Sala, był to długi prostokąt, którego węższe ściany były obite kobiercem gobelin zwanym. Pradziad xięcia dostał go w darze od Ludwika XIV. wraz z orderem Ś. Ducha, kiedy się żenił z siostrą Króla Jana. Jedna z tych makat wyrażała gody Kany Galilejskiej, druga nakarmienie pięciu chlebami licznego narodu, zebranego dla przysłuchania się słowom naszego Zbawiciela. Xiążę Kanclerz zawiesić je kazał w sali obiadowéj, jako najstosowniejszéj do przedmiotów, na tych kobiercach wyrażonych. I on, i syn jego x-że Hetman długo przemyśliwali, by dobrać podobnych kobierców i do ścian dłuższych, ale zmuszeni byli tego zaniechać. Aż nakoniec ten ostatni kazał je domalować al fresco, przez dwóch sławnych malarzów, umyślnie na to sprowadzonych z Rzymu. Na jednéj ścianie były oddane łowy, na których pan Ilinicz, Wojewoda Brzeski rozdartym został od niedźwiedzia, a na drugiéj wjazd Królowéj Barbary Radziwiłłówny do Krakowa. Oprócz doskonałości pędzla, co było w tém malowaniu najszacowniejszego, to że wszystkie osoby na tych obrazach były zdjęte z krewnych, przyjaciół i sług xcia Hetmana. Każdy więc Litwin, siedzący za stołem, mógł rozpoznawać znajome, a często drogie oblicza.

Nic się nie pokazało na tym obiedzie, czegoby każdy zamożny szlachcic nie znalazł w potrzebie i u siebie. *Ad libitum* barszcz i rosoł dymek wonny puszczały z mis farfurowych; a na ogromnych półmiskach i jeszcze ogromniejszych blatach, wszystko ze srebra, pajuki roznosili wołowinę z chrzanem, flaki z imbierem, kaczki z kaparami, indyki z podlewą migdałową, kapłony z serdelami, cietrzewie z buraczkami i różne dziczyny pieczone. A to wszystko przeplatane ze szczupakami zło-

conemi szafranem, karpiami miodem zarumienionemi, jazgarzami i sielawą zaprawionemi goździkami i kwiatem muszkatołowym. Były też rozmaite przysmaczki w Litwie tylko widziane, jako łapy niedźwiedzie z wisniowym sokiem, ogony bobrowe z kawiorem, chrapy łosie z figatelami, jeże pieczone garnirujące naroki sarnie przysmażone z pistacyami, głowy odyńca w korzennym winie tuszone. To wszystko zakrapiało się w żołądku winem z Królewca sprowadzonym, gdyż odwieczna piwnica Nieświeżska tak została zrabowaną, że na siłę znaleziono w niej parę tuzinów butelek starego węgrzyna, dla częstowania pierwszych matedor tak duchownego jako i świeckiego stanu. Niknęły półmiski pod zębem litewskim, a xiążę, jako gospodarz, chodził około stołu od panów do szlachty, wszystkich przepraszając, że nie przyjmuje ich jeszcze wedle swoich życzeń i ich wartości. I nie raz, na przyjacielskim talerzu brata szlachcica, nabierze jakiegoś jadła i spiesznie go pożywa na jakimś stoliku, postawionym pod jakąś ścianą.

Starosta wstrzemięźliwy w pokarmie zjadł trochę rosołu, ze wstrętem odwrócił się od pływającego w szafranie szczupaka, z większym jeszcze od łap podobnych do ludzkiej ręki. przekąsił jednak skrzydło od indyka i trochę głowizny dzika, jako potraw najwięcej zbliżonych do cywilizacyi kuchennej. I na tém poprzestawszy, czekał z niecierpliwością końca obiadu, w ciągłej obawie, by mu pajuki noszące półmiski w niwecz nie obrócili galowej sukni. Tym niecierpliwiej wyglądał hasła do wstania od stołu, że mając po prawej ręce xiężniczkę Maryę, której wdziękom umiał by oddać sprawiedliwość, pomimo nie jednego natarcia żadnym sposobem nie mógł z nią zawiązać żwawej rozmowy. chociaż znalazłby się

u niej do tego dostateczny zasób. Ale jej nieśmiałość z osobą nieznajomą przechodziła wszelkie wyobrażenie, a do tego zajęta była kawalerem gładkim, jej odpowiednim w posadzie którą zajmował w towarzystwie, a nadto silnie popartym przez jéj brata i opiekuna. Z sąsiadem po lewéj stronie siedzącym, nie trudno mu było wprawdzie wdać się w gawędę, choćby najrozwleklejszą; był to pan Wierzejski. pisarz grodzki Nowogródzki, wielki prawnik i gaduła; i kilka razy probował ze starostą o prawie wszcząć rozmowę, ale ta materya była zupełnie dla niego obcą. Dawał na zapytania pisarza, jakieś odpowiedzi odczepne, zapewne niebardzo stosowne, przeklinając w duchu sąsiedztwo nudziarza, jemu o sobie jeszcze gorszą opinię zostawując. Zaczęły kolejne kielichy krążyć za zdrowie solenizanta i innych, co jeszcze więcéj popsuło mu humoru, ile że się nie mógł wymówić od spełnienia solenizantowskiego wiwatu z kielicha, który już wielu ust się dotykał i to winem węgierskiem, żadnego podobieństwa nie mającém z tém, co go wytłaczają mieszkańcy brzegów Garonny i Saony. A kiedy inne zdrowia zaczęły się powtarzać, pomimo najusilniejszych nalegań pić nie chciał, tłómacząc się piersiową chorobą, która pod karą śmierci zabrania mu być uczęstnikiem téj miłéj zabawy. Znudzony, roztargniony, głuchy na wszystkie krotofile kielichowe, nawet na genialne kłamstwa gospodarza, kiedy niekiedy szukał okiem swojéj przyszłéj bratowéj, która opodal siedziała między jego bratem, wedle swojego zwyczaju mało do niéj mówiącym, i jakimś innym Albeńczykiem, z podwójną kresą na czole, który do niéj ciągle się obracał, jakieś jéj mówił rzeczy, z których sam tylko się śmiał serdecznie, robił jéj jakieś gałeczki z chleba i pokazywał je na swoim

talerzu. Na zapytania odpowiadała Zosia, ale jak uważał, to wszystko nie wiele ją zajmowało. Nie wiedział kto to jest ten Albeńczyk, ale domyślał się po jego poufałości z Zosią, że musi jéj być krewnym. Siedział starosta jak na szpilkach, i pewnie w kaplicy zamkowéj, assystując Królowi, nie z taką niecierpliwością czekał końca kazania, ile teraz czekał końca obiadu, chociaż siedział obok xiężniczki młodéj i pięknéj.

XIV.

Bal— Dobrana Para.

Przyszedł nareszcie długo pożądany od starosty koniec obiadu. Kawalerowie odprowadzali swoje damy do sali bawialnéj, gdzie pozostało mnóstwo osób, które na wcześniejszych obiadach poprzestały. Już galeryą znikła byyła kapelia xięcia i na hasło zaczynającego się balu huknął taniec, który xiążę otworzył z JW. Wojewodziną Nowogródzką. Tańcowały i rozmawiały z sobą pary, a kielichy krążyły i krążyły. Na wielkich balach nic ciekawszego dla badacza, jak uważać rozmaite gruppy, tworzące się po obszernéj sali. Przy ławce zajętéj przez Zosię i łowczankę słyszeć się dał głos starosty:

Dziękuję ci *mon frère*, że tak piękną i ukształconą dajesz mi bratowę.

— Żebyś to szczerze mówił bracie, rzekł wojski, nie tak prędko myślałbyś nas rzucać, nie tak byś tęsknił za

swoją Warszawą. Biorę pannę generałównę za sędzię, niech powie czy mamy wierzyć w przywiązanie brata, tak skwapliwego do opuszczenia nas.

— Pan starosta, odrzekła Zofija, przez dobroć serca może być na nas łaskawym, ale nie do tego stopnia, by długo z nami chciał się nudzić. Za złe mu brać nie powinniśmy że przekłada Warszawę, gdzie towarzystwa więcéj są ukształcone, odpowiadające jego wychowaniu.

— A co bracie, jak widzę już przegrałeś sprawę.

— Ach pani, czy zasłużyłem na tak cierpką przymówkę, na tak nielitościwe szyderstwo? Pomijam jéj wdzięki, ale samém wychowaniem jużbyś zdołała pani zawiść wzniecić między najsłynniejszemi damami stolicy.

— Niech P. starosta poprzestanie tym sposobem mówić do mnie; chyba chcesz bym myślała, że choć na tak krótki czas wydalony z Warszawy, boisz się zapomnieć języka tam zwyczajnego, a z którym my na prowincyi nie jesteśmy oswojeni. Wszak że skwapliwość jego do powrotu najgruntowniéj mię o tém przekonywa.

— Ani jutro, ani za tydzień nawet nie opuszczam tych stron rodzinnych, co je dopiéro teraz nauczyłem się oceniać. Zatrzymam się ile tylko będę mógł, jakkolwiek obowiązki dla Króla, dobroczyńcy mojego, mało mi czasu zostawują dla siebie, dla własnego szczęścia. Wszakże za dni kilka będę służył szanownemu ojcu pani w jego domu; jemu ponowię ustnie moję prośbę listowną by raczył zacząć i skończyć nasz interes działowy. Brzydziłem się dotąd prawnemi i ekonomicznemi zatrudnieniami, lecz teraz zaczynają one być dla mnie powabne, kiedy z ich powodu przez dni kilka będę do pani zbliżony.

— Dni kilka! żartuj sobie bracie; byleśmy ciebie uchwycili w dom generała, nie łatwo wyśliźniesz się z rąk naszych.

Tu przerwała im rozmowę massa dam, szukających kawalerów do mienianego tańca, a na ich czele generałowa Morawska, która porwawszy za rękę starostę: »proszę zemną, a wpan panie Michale nuż z Zosią za nami.« Wojski skłoniwszy się wymówił siebie tém, iż jego żałoba jeszcze się nie skończyła; ale P. Wązgird, ten nakresowany Albeńczyk, który w czasie obiadu siedział obok Zosi, porwawszy ją za rękę:— A widzisz siostrzyczko że zawsze gotów jestem na twoje usługi; ale cóś mi nieszczerze oddajesz rękę, cóś mi się zamyślasz niepotrzebnie. No, no, poczekaj-, zamawiam cię do pierwszego mazura, tam rozweselemy się hasaniem, a tym czasem proszę w taniec.

W jednym rogu sali była inna gruppa, siedział trzymając w ręku kielich P. Horain, sędzia grodzki słonimski i cóś rozprawiał szlachcie koło niego siedzącej. Między niemi siedział miecznikowicz witebski P. Bonifacy Sołłohub, chłopiec młody, wesoły, najswawolniejszy z pomiędzy wszystkich Albeńczyków, który ciągle dokuczał poważnemu sędziemu przerywając mu mowę.— Słyszysz P. podkomorzycu nowogródzki odezwał się do przechodzącego blizko nich P. Tadeusza Rejtana. zawsze zamyślonego, posłuchajno jakie koszałki plecie nasz poważny sędzia. chce nam wyperswadować że nie nawozem bydlęcym, ale wapnem sterkoryzuje swoje grunta.

— Chciej jednak wierzyć wpan że tak jest; bo jeżeli grunt lekki, a trafisz pod posuchę, nawoz bydlęcy całą oziminę wypali, a wapno do każdego gruntu przydatne.

— Co Wpan mówisz!

— Oto co Wpan słyszysz.

— Porzuć P. sędzio; żeby rolę wapnem posypać, to po lada deszczu ogień się zrobi,

— Wedle wpana głowy: pojedźno P. Bonifacy do Wolczy, a obaczysz że nieinaczéj gospodaruję; a daj Boże do śmierci oziminę jaką miałem tego roku.

— To P. podkomorzyc temu wierzy?

— Za cóż nie mam wierzyć, kiedy i urzędem i wiekiem poważny mąż to twierdzi.

— Czy słyszysz P. Bonifacy? jak to zaraz poznać człowieka ze zdaniem. Naucz się wpan od P. Tadeusza rozumu; co wpanu zemną się spierać.

— Kiedy tak, to może i to prawda, co nam dopiéro powiedział P. sędzia, że ma takiego charta, co pojedyńczo wilka osadzą, czy i temu podkomorzyc uwierzysz?

— Czemuż nie ma być prawda? wszak niedaleko ztąd do Radziwilmontów; u xięcia Wojewody mińskiego podobnego charta obaczysz.

— I to pan na własne oczy widziałeś?

— Nie inaczéj.

— Co wpan znasz, co wpan wiesz? zapytaj się godnego ojca a mojego łaskawcy, pana miecznika witebskiego, gdzie byłeś jeszcze, kiedy już ja gospodarowałem i polowałem.

— Nie gdéraj sędzio szanowny, zabierają się do krakowiaka, trzeba pójść na służbę, byle mi tylko młodszéj podkomorzanki Rejtanówny kto nie zamówił.— I odszedł skacząc, a sędzia: ruszaj sobie do panienek świstaku, z P. Tadeuszem to ale rozmowa, ale u P. Bonifacego sama plewa w głowie.

Trzecia grupa złożona z P. Ambrożego Korsaka, porucznika kawaleryi narodowéj, P. Walentego Wojzbona, sędzica mścisławskiego, P. Symeona Korbuta, mostowniczego lidzkiego, i innych. Po skończeniu tańca polskiego P. Jan Wazgird zbliżył się do nich szukać próżnego miejsca. Oto masz, rzecze P. Wojzbon, siadaj koło mnie, mości kawalerze Ś. Jędrzeja.

— Cóż to ma znaczyć P. Walenty?

— A przypatrz no się temu krzyżowi co go nasz xiążę nosi zawieszonym u szyi, jest to krzyż Ś. Jędrzeja, obacz czy ten krzyż nie jest takiego kształtu, jak ten co go na czole nosisz.

— Tędy wasza zajeżdża? a wiesz że moja dubeltowa kresa tak jest osobliwsza, że za nię dozgonną wdzięczność zachowuję nieboszczykowi Wołodkowiczowi: ile razy obaczę siebie w źwierciedle, tyle razy na jego intencyą mówię jedno Zdrowaś Marya. Obznaczył ci on mnie w dwa tempa, ale szlachcic bez kresy, jak tanecznica bez fartucha.

— Co do mnie, rzecze P. namiestnik Reutt, chwała P. Bogu, na głowie nie mam kresy, bo tyle ich rozdałem, że dla mnie żadnej nie zostało.

— Dobrze, dobrze, mości namiestniku, jednak u mnie to nie jeździec, co nigdy nie spadł z konia. Ale uważacie że cóś kompanija nie tak animowana jakem się spodziewał.

— Poczekaj, powie pan Korbut, tylko co się zaczęły tańce.

— Nie, nie, ja wiem co mówię, siedziałem koło generałówny, mojéj ciotecznej siostry u obiadu, cóś mi ztetryczała i chociaż koncept po koncepcie snuły się z ust moich, półgębkiem tylko się śmiała. Dopiero z nią skoń-

czyłem taniec; prowadząc ją takie zabawne rzeczy jéj mówiłem, że gdyby to dawniej, gwałtu-by krzyczała od śmiechu, a ona, jakbym o czyim pogrzebie rozprawiał. Żeby mężczyzna tak się okazał obojętnym na mój dowcip, zaczepki bym z nim szukał.

— *Deus me custodiat*, odezwał się P. Korsak, niebezpieczny z wpana człowiek panie Janie; ile razy do mnie mówić będziesz, proszę mię z góry uprzedzić, że to co powiesz będzie konceptem, ażebym się zawczasu usposobił do śmiechu, a tém ocalił moję skórę od wpana szabli.

— A co, złapałeś za swoje panie Janie, wykrzyknął P. Wojzbon, trzymając się za boki od śmiechu.

— Nie ma co mówić, złapałem, za to za zdrowie twoje wypiję ten kielich panie poruczniku; w ręce twoje panie Walenty!

— Z miłą ochotą przyjmuję kielich, ktoby takiego zdrowia nie wypił. Ale wiesz co, panie Janie, powiem ci otwarcie, że ile jestem przyjacielem P. wojskiego, tyle jego brata nie cierpię; ani pije, ani się z nami zapoznaje; cóś to ni w pięć ni w dziewięć. Choćbym miał potém od kogo drugiego dostać w łeb półtuzina takich podwójnych kres, jakie nosisz na czole, radbym z moją szablą pójść na tego błyszczącego szpikulca co go u boku nosi.

— Co WPanu się dzieje, panie Walenty, słyszałem że nasza szabla jest niczem w porównaniu tego szpikulca. Jak weźmiesz po łbie szablą, pierwszy cyrulik chlebem z solą temu zaradzi, ale jak taki rożen w kiszki wlezie, to i doktor xięcia Biskupa nie pomoże.

— A co to ja, malowany? nim pomyśli o moim brzuchu, ręczam że mu wymuskaną główkę rozpłatam.

— I niewielka byłaby szkoda, odezwał się P. pisarz Wierzejski, który dotąd nie mieszał się do dyskursu. Ach jakiż to półgłówek! siedziałem obok niego za stołem; myślę sobie, przecie starosta sądowy, jest z kim o prawie pomówić; jak poczciwy człowiek zabieram z nim znajomość, zapytuję go z dyskursu o *modum excutionis* wyroków grodzkich w Wielkiej Polsce, w sprawach *expulsionis:* cóż powiecie? odpowiedział mi ni to ni owo. Pokazało się że gadaj mu o prawie czy procedurze, jak w rogu. Ażem się wziął za głowę. Otoż to mi starosta sądowy! Ciekawy byłbym poznać substytutów jakich on instrumentuje, bo jakim djabłem on się pozna na ich wiadomościach prawnych? Panie, *averte a nobis* takich starostów!

— Z tém wszystkiém P. Walenty, rzekł Wazgird, żeby czasem doprawdy nie przyszła wpanu fantazya szukać zaczepki staroście; pamiętaj że on tu przybył w poselstwie od Króla do naszego xięcia, a nadewszystko jest bratem naszego poczciwego Michała, którego wpan pewnie nie chciałbyś obrazić.

— A niech mię Pan Bóg od tego broni.

Tam była inna gruppa.— Panie podczaszy, zapytał P. Bazyli Czeczot, czy uważasz z jaką uprzejmością nasz xiążę przyjmuje xięcia Biskupa, jakby on rzeczywiście był wart tego.

— Wielkie święto; odpowie P. podczaszy Płaskowicki, jakże ma źle przyjąć swojego Biskupa i to w swoim własnym domu. A jakiejże wpan wiary?

— Jaki to Biskup, co mu dobra rabował, a przyjaciół rozstrzeliwał.

— To swoją drogą, a to swoją. Odpowie on kiedyś przed Bogiem za wszystko co narobił; ale że nasz xiążę

mu rad, to dowodzi jego prawowierności. A czy samby nie był niedowiarkiem, żeby w czasie pokoju powszechnego w narodzie, Biskupą senatora nie ugaszczał według jego godności.

— A w czasie wojny?

— Inna wtedy rzecz, gdyby kto obwinił chociaby Biskupa o *crimen perduellionis*, na takiego sąd, zdjęcie sakry, choćby i szubienica; ale zdaje mi się że w takim przypadku bez duchownych sędziów obejść się nie można. Ale o to spierać się nie będę.

— Jeżeli osoby duchowne są pod ręką, zgoda, ozwie się P. Karol Ryś, strażnik miński; ale jeżeli ich nie ma, wyraźnie stoi w prawie kanonicznem: »*Suspectus episcopus, alicujus rei status potest suspensum esse in tempore belli potestate judicis extraordinariae cognitionis, etiamsi esset laicus.*« To też kiedym się zapędził za xięciem Biskupem zaraz po rozstrzelaniu Wołodkowicza, byłbym go *conscientialiter et legaliter* zasuspendował na pierwszej gałęzi, gdyby mię nie był postrzelił karabinjer z jego eskorty. Pamiętasz panie Bazyli, bo byłeś zemną, wszakże i tobie się wtedy dostało.

— A jakże nie pamiętam, kolasa Biskupa drapnęła, kiedy mię kozacy kłoli jak wieprza.

— A gdzie to waszeć takie prawo wyczytał, mości strażniku miński, przymówił się xiądz Katenbrynk, rektor kollegium nieświeżskiego, że wolno świeckim duchownego sądzić?

— Gdziem wyczytał, gdziem wyczytał.... już ja za nadto dawno skończyłem szkoły bym się stawił na examin; dość żem wyczytał i kwita. A wreszcie xiążę Wojewoda nie dałby mnie ordynansu porwać Biskupa żywcem lub umarłego, gdyby to było *contra fidem.*

— To nie żadna racya, przykład xięcia tu służyć nie może: konfederacya *non est applicatio*, *sed convulsio legum*.

— A przy tem, dodał P. podczaszy, instygowanie xięcia Biskupa, które o śmierć nagłą przyprawiło P. Wołodkowicza, było *delictum flagrans;* to wcale co innego.

W ostatnim węgle sali przy podwojach prowadzących do sali jadalnej, była piąta gruppa, ze wszystkich najhuczniejsza śmiechem, bo w niej P. Leon Borowski dokazywał. Gdy się te śmiechy na chwilę przerwały:— powiedź no nam, mości dobrodzieju, czy rad jesteś ze swoich gości, rzecze do P. Sząbańskiego, P. Gorski, ciwun ejragolski.

— Czemu nie mam być rad ale, P. wojskiego ale od konwiktu znam ale, kiedy to jeszcze laskę nosił ale przed xięciem panem. jako przed prefektem kongregacyi *Sodalis Marianus* ale. I zawsze się szczycę ale jego przyjaźnią.

— Nie o nim mowa, ale ten starszy, co to hasa polskiego, chociaż mu po ojcu żałoba się nie skończyła, a tak świeci klejnotami jak Królewna na wydaniu, albo krzak leszczyny w nocy Świętojańskiej, a fertyczny, a kusy, a nosa do góry zadzierający; powiedz wpan co to za człowiek.

— Co mości ciwunie dobrodzieju; na wołowej ale skórze nie napisać com ale widział i słyszał ale od niego. Naprzód kiedy do mnie zajechali ale, to gdyby mnie ale nie był uprzedził P. Michał ale listem, to Bóg świadek nie byłbym zgadł ale, czy on ale pan, czy pani; czy ale xiądz, czy świecki. Bo to twarzyczka ale nieszpetna wcale, a na głowie ale czepek.

— Czy to być może, mości dobrodzieju!

— A tak, tak ale, jakem *sodalis*, a do tego ale płaszcz jakby Trynitarska kapa, bo i z krzyżem ale, tylko że białym. A płaszcz ale axamitny. A mości ciwunie ale dobrodzieju, herbatę pije szklankami, a tak ale tęgą, że jak piwo wyglądała. A to nic jeszcze ale asystowałem mu ale do ubioru, a tak ale byłem ciekawy, że z miejsca ruszyć nie mogłem ale. Sześćdziesiąty szósty rok kończę ale nigdy ale nie widziałem tego, na co ale dzisiaj patrzałem,

— Co takiego, mości dobrodzieju....

— Cuda, dziwy ale cały dzień tego nie wygadam, co się przez dwie, trzy godzin robiło i wypowiedzieć tego ale czy potrafię.

— Mów, co też przecie tam było ciekawego.

— Jakże nie ciekawego ale; pięciu drągalów potrzebuje do swego ubrania, a każdy innym językiem mówi ale. To siada ale, to znowu się zrywa, to znowu siada, a szlafroków ale kilka, a palcami kraje kopertę do listu jak nożyczkami, a tak z niego czuć zapachy ale jak z apteki ale.

— To mniejsza, ale czy wpan dobr. słyszałeś go mówiącego.

— Jakże nie słyszałem; mówił do mnie ale, i słyszałem ale jak długo rozprawiał bratu ale i skrobał wtedy czoło bardzo pięknym nożykiem. Jeszczem zauważał ale że ma te same przysłowie co i nasza xiężniczka Marya kiedy mówi z xięciem panem ale: *mofre*, cóś na kształt tego, ale, i inne ma przysłowia niezrozumiane ale, jednak tamte rzadziej, a najczęściej ale *mofre*.

— Jakież u niego zdanie, czy człowiek do rzeczy?

— To jest las, mości ciwunie dobrodzieju, jakiéj chcesz tam źwierzyny dostaniesz; to gada roztropnie że miło ale słuchać, chociaż tłomaczy się nieco złamaną mową, coś ale zarywa na kapelmajstra xięcia pana. To potém plecie nie do rzeczy ale. Oto ale tłomaczył przed nami zkąd data jego orderów; że jednego z nich dostał dla tego, że dobry ale katolik, a drugiego, że dobry szlachcic ale.

— A więcéj co?

— A mówił nam, że jego kusa suknia z samych ofiar, a Król, a xiążę Kanclerz, a jakaś komedyantka na niego się złożyli ale; no więc nie miał ale jéj za co sam sprawić sobie ale; a tam znowu jakieś starostwo czy tam królewszczyznę we Francyi ale odstąpił bratu potrzebnemu, to mnie zbudowało ale, że potrzebnym ale się udziela i grubo.

— No, to wszystko bardzo przyzwoicie....

— Tak jest, ale *obstupui* jak zaczął bratu dowodzić, że ich matka, kasztelanicowa ale poznańska, źle zrobiła, że nie chciała być faworytą u pana Brühla, że tymby mogła ale dać promocyą mężowi i dzieciom. Uważacie państwo! ja nie chciałem, uszom własnym wierzyć; a gdzież tu honor, ale?

— O, ja temu łatwo wierzę, powie pan ciwun westchnąwszy, co tam jakieś staroświeckie szkrupuły przeważyć mają gustowny i bogaty ubior. Teraz się zaczynają mnożyć panicze, którzy o wierze, o cnocie nigdy nie wspominają, ale co chwila mają w uściech honor, przyrzekają na honor, zaklinają się na honor. I mają słuszność, bo cnota jest z hartownéj stali, uginać się nie daje, a honor jest z zamszowéj skórki, wedle woli każdego się rozciąga.

— Już to prawda, rzecze wmieszawszy się do dyskursu P. Dominik Łappa, sędzia ziemski telszewski, że ten honor, to istne utrapienie. Długów nie płać, w karty oszukuj, konie przedawaj wypiekłszy im zęby, szczekaj na ludzi, w których sieniach nie godzien jesteś się mieścić, byleś się w potrzebie wybił, śmiało możesz nazywać siebie człowiekiem honoru.

— Żebyż to przynajmniéj biło się porządnie, na to P. Leon Borowski, ale czy to raz się zdarza że ślepemi ładunkami i nieszkodliwém machaniem szabel, sprawy, jak oni nazywają, honorowe się kończą. Ale powiedz no nam, panie Teodorze, jak omal nie miałeś sprawy honorowéj z twoim gościem, jakeś na niego napadł.

— Ja? a w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego ale, a to zkąd data!

— Bo słyszę jakeś zobaczył jego wór z pudrem, myślałeś że mąkę wozi z sobą na pirogi i wymówiłeś mu niedelikatność, że jako sługa xięcia Wojewody nie ścierpisz téj krzywdy jego domowi wyrządzanéj, iżby goście swoje wiktuały wozili.

Tu wszyscy zaczęli się śmiać, że ledwo kapelii nie zagłuszyli.

— Rada gęba kiedy pan śpi, a jaki uradowany ale P. Leon że nową anegdotkę na swoim ale warstacie wykuł dla xięcia pana, bo ja wiem ale, że nie tu na nię koniec; pójdzie ona daléj ale; tylko kiedy zmyślasz, to ale zmyślaj gładko. Bo jego puder biały jak wpana wilczate konie, tak podobny do mąki, jak wpan do poważnego człowieka, ale— Tu nie można było posłyszeć odgryzienia się P. Leona, bo jakiś szmer powstał w sali.

Pani generałowa Morawska z innemi damami i xięciem Wojewodą zaczęły prosić pana starostę Ludwika

Strawińskiego by raczył tańcować menueta, jaki był w używaniu na dworze Króla francuzkiego. A że pani generałowa wiedziała że Zosia w Wilnie uczyła się tego tańca, przyprowadziła ją do pana starosty, jako parę do menuetu. Pan starosta, ze zwyczajną uległością dla dam kawalera wielkiego świata, skłonił się na znak posłuszeństwa, ale że kapelija xięcia o tym tańcu nie miała wyobrażenia, on, uchwyciwszy pierwsze skrzypce, zaczął ją uczyć téj muzyki jakby z niechcenia, ale po zacięciu smyczka zaraz można było poznać mistrza. Po dwóch czy trzech powtórzeniach pojętna kapelija była w stanie rozpocząć zawód i taniec się zaczął. Uroda i bogaty ubior téj pary, zgrabność którą oboje rozwijali w poruszeniach pełnych godności, to wszystko tak zajęło, tak zachwyciło Litwinów, że wszyscy stali jak posągi, czekając końca téj pantominy, prawdziwie czarodziejskiéj. Ale kiedy przyszło do gawota i Zosia ożywiona powszechném uwielbieniem, drobną stopką zaledwo ziemi tykając, a cała ku niebiosom wzniesiona, wyciągając czasem zaokrąglone ramiona do swojego tancerza, kreśliła rygodony lub polotne antrsza, a obok niej uczeń ulubiony Gardela, ze sprężystością baletnika niekiedy tylko ziemi końcem trzewika dotykał, oboje zdawali się być z liczby tych istot, któremi wyobraźnia zaludniła nieprzebyte krainy powietrznego widokresu. Wszystko na takowe zjawisko się poruszyło, najwięksi nieprzyjaciele zagraniczyzny, jakimś pociągiem mimowolnym odstępując na chwilę od swego przekonania, nie mogli nie dołączyć swoich pochwał do pochwał powszechnych. Odgłos jednomyślnych klaskań licznéj publiczności odpowiedział skromnemu i uniżonemu, ale pełnemu wdzięku ukłonowi, którym zakończyła menuet tak dobrana para. Nigdy w zgromadzeniu z Pola-

ków zebraném podobna jednomyślność nie dała się widzieć, a szlachta, która dopiéro ponurym i podejrzliwym wzrokiem spoglądała na starostę, jakby uderzona czarodziejską laską, nie tylko że hurmem tłoczyła się do niego, z oznakami uprzejmości i przyjaźni, ale hucznie dopominała się aby zdrowie wypić tak pięknéj, tak gładkiéj pary. Uzupełniony tryumf starosty zakończył krzyżujące się wrażenia tego balu.

XV.

List Starosty Wieluńskiego do Hrabi Mycielskiego.

Szczęśliwy człowieku! Parki ci przędą nić z jedwabiu i złota, bądź u nóg twojéj nadobnéj kreolki, bądź wśród zabaw z niczém nieporównanego Wersalu, kiedy ja muszę się błąkać jakby jaki wywołaniec po borach litewskich. Cobyś powiedział gdybyś się ze mną znajdował, ty co w Poznaniu nie mogłeś miesiąca wytrzymać, a trzeba wiedzieć że Wielkopolska jest to Francya, w porównaniu do Litwy. Tak to kochany Bertrandzie, najszacowniejsze lata mojego żywota, oddaję nudom, jedynie ażeby w późnéj może starości urzeczywistnić te wyniosłe marzenia, które po upłynieniu burzliwéj młodości, robią z nas istnych niewolników. Azaliż doczekam się téj starości?

Jakkolwiek bądź, chociaż w ojczyźnie mojéj, na wstępie spotkały mnie zaszczyty i dostatki, chociaż osypany

jestem łaskami mojego Króla, przyznam ci się, że jestem znudzony życiem. Z Francyą opuściłem szczęście, ciągle marzę o tej krainie, któréj z takiém poświęceniem oddałem moją młodość, a która napawała tę młodość nektarem sławy, rozkoszy i nadziei.

Niéma dnia, żebym sobie nie przypominał piérwszego mojego zjawienia w Wersalu, kiedy zwycięzkie zdobycze składałem pod nogi Wielkiego Króla, jak na jego balu tańczyłem z władczynią Francyi pośród zadziwionego dworu, jak ze wszystkich stron okrzyki *le beau Comte Polonais* 1) odbijały się o moje uszy. Był to wstęp tylko do wyższych powodzeń: najpowabniejsze damy okazałego dworu, dobijały się o moje zaloty, xiążęta krwi panującéj wpraszali się, że tak powiem, do mojéj przyjaźni. Bo ty wiesz, że *un homme à la mode* 2) jest to we Francyi istota potężna. Ale czy to długo trwało? Ledwo rozeszła się u dworu wiadomość o zmianie uczuć dumnéj niestałéj Sułtanki, wszystko w jednéj chwili dla mnie się odmieniło, i gdyby nie stosunki, które jakby jakiém przeczuciem umiałem zawiązać z niektóremi rodakami, musiałbym na szczupłéj pensyi poprzestając, osiąść w głębi jakiéj prowincyi, by dyszeć między zawiędłemi kawalerami Świętego Ludwika, albo, co najszczęśliwszego, dowodzić półkiem, pod rozkazami jakiego szefa, dworaka, który by mnie perjodycznie upokarzał opowiadaniem powodzeń swoich w Wersalu, a do tego znosić wszystkie chimery inspektorów przeglądowych. I dziś nawet, chociaż stoję na niepłaskiéj posadzie, bo będąc szefem gabinetu królewskiego, jestem tém, czém

1) Piękny hrabia polski.
2) Człowiek będący w modzie.

są u was sekretarze stanu, a mam obietnicę kasztelanii, co wedle etykiety wersalskiéj, postawi mię na równi z parami Francyi; czy choć jeden z moich dworskich przyjaciół pamięta o mnie, czy choćby listeczkiem zapytał jak też mnie się powodzi. Żeby nie ty, brat, a tém samém przyjaciel przyrodzony i nie kilku literatów, co duchem prozelityzmu zagrzani, radzi mieć korespondencyę z całym światem, nie wiedziałbym co się we Francyi dzieje, chyba przez gazety i stosunki dyplomatyczne, które tu przez moje ręce przechodzą.

Nie bez przyczyny piszę tak do ciebie; oznajmujesz mi że hrabina de Varmont, nie poprzestając na twojéj miłości, rada by ciebie nazawsze uwięzić powagą sakramentalną, i ty to w żart obracasz. Dziecię ukołysane szczęściem, przyszłości nie przewidujesz. Moja braterska rada: bij żelazo póki gorące, bo jak zastygnie, będziesz tego całe życie żałować. Dwa kroć sto tysięcy liwrów intraty, nie jest to rzecz do odrzucenia hrabiemu bez hrabstwa jakim jesteś, tém więcéj, że taki związek da tobie pozycyą socyalną, na któréj ci zbywa. Nie ma podobnéj nędzy, jak potomka wysokiego rodu, cierpiącego niedostatek; nadto hrabia cudzoziemiec, nieskojarzony przynajmniéj żoną swoją z narodem, któremu służy, ma zawsze postać awanturnika. Z Królem bywasz na łowach, wiedzą o tém, że masz krwi stosunki z nieboszczką Królową, z tém wszystkiém, jak zejdziesz z pola, jak piękne oczęta przestaną obracać się ku tobie, a masz wiedzieć, że bohaterowie kulis prędko się zużywają, bez krewnych, bez związków familijnych, bez majątku, wkrótce zostaniesz zapomnianym, i na starość na bardzo suchym chlebie będziesz musiał poprzestać; ale jak będziesz miał żonę bogatą, do tego dobrze spokrewnioną, to choćby ciebie oddalono od

dworu; dadzą ci jakiś zarząd, coś takiego, żeby ile możności ciebie pocieszyć. Wreszcie, żebyś w takim razie przyjechał z żoną do Warszawy, nie uwierzysz jaki miałbyś dla niéj powab, raz że kiedy się odezwiesz po polsku, to taką wymową, że nikt ciebie niezrozumie, powtóre. że jesteś zupełnie zfrancuziały w każdém poruszeniu. A cóż dopiero jak się dowiedzą, że masz dobra pod ekwatorem, przez murzynów uprawiane; nie będą wiedzieli na jakiém miejscu ciebie posadzić; bo tu tylko zagraniczyzna i pieniądze mają jakąś wartość. Co się tycze dowcipu twojego, ten jest tak wielki, tak różnobarwny, że można ci go pozazdrościć. Czytuję twoje listy Królowi, i on się nie może ich odchwalić; radby ciebie poznał, radby ciebie miał przy boku swoim. Z tém wszystkiém bezpieczniéj tu przybyć z gotowym funduszem, niżeli Królowi z ręki patrzeć. I dla niego już się skończył miodowy xiężyc jego panowania. Żeń się z swoją kreolką, a potém przyjedź do naszéj Warszawy, zaręczam że kilka miesięcy w niéj przyjemnie przepędzicie, ale prowincyi nie życzę tobie poznawać.

Zapytujesz mnie Bertrandzie, jakie też u nas kobiéty; odpowiem ci na to, że co się tyczy Warszawy, kobiéty zwłaszcza wyższego tonu, są rodzone siostry dam wersalskich. Tymże samym mówią językiem, temiż samemi zasadami się rządzą; równe wdzięki, równe obyczaje, a zapas zalotności i próżności jednych i drugich, i co do ducha, i co do formy jest ten samy. Wyższe towarzystwa wszystkich stolic Europejskich, są to monety pod jednym stęplem wybite, a ten stępel przechowuje się w Paryżu, jak wzory wag i miar ludu Bożego, były zawieszone w świątyni Jerozolimskiéj. Odcienia narodowości jedynie się zachowują na prowincyach. Naród fran-

cuzki jest najpierwszym w świecie narodem, tego nikt sumiennie nie zaprzeczy; a skądże ta jego wyższość? oto ztąd, że on jeden posiada stolicę żyjącą z własnego funduszu umysłowego; inne wszystkie, karmią się pożyczonym od niej chlebem. W Warszawie szczególnie, im kto gorliwiej usiłuje uchodzić za patryotę, tem więcej małpuje Francuza. W zamku same zfrancuziałe Polaki, lub usiłujące uchodzić za zfrancuziałych; a choć się tam zdarza spotkać figury typiczne półazyatyckiego narodu, zaraz poznać można, że to są goście we własnym domu. Zaręczam tobie, że gdyby Wolter lub Lekain 1) stanęli na pokojach mojego Króla, więcej by się czuli być u siebie, niż naprzykład Radziwiłł, Wojewoda Wileński, lub Potocki. Wojewoda Kijowski. Pierwszy awanturnik Francuz wnęciwszy się do naszego dworu, jeżeli z miną protekcyonalną powie magnatowi dworu: »*Messieurs vous êtes les Français du nord*« 2) to ten nieposiędzie się z radości. Na prowincyi jeszcze tego języka nie rozumieją tam zachowuje się dotąd polskość w czystym swoim sarmatyzmie; ztąd magnaci kontuszowi, przedstawiciele rodzimego pierwiastku, oddali się domatorstwu. Nienawidząc stolicy, dla której się stali obcemi, rzadko kiedy się w niej pokazują, i to z musu, a zresztą żyją zasklepieni we wsi, jak ślimak w swojej skorupie; z tą tylko różnicą, że nie w samotności, ale z licznym orszakiem swoich dworzan i klientów, między któremi rozsypują swoje dostatki. Oni są mocni, bo strona im przeciwna, liczebnie składa się z le-

1) Lekain, najsławniejszy aktor francuzki ośmnastego wieku, umarł w Paryżu r. 1778. W tymże samym roku skończyli życie Buffon, Wolter i Rousseau.

2) Panowie jesteście Francuzi północni.

dwo dojrzanéj mniejszości narodu. Jednak oni są ku schyłkowi, bo pomimo ich liczby, bogactw, a nawet prawości, bardzo mało mają sił politycznych, i tych nigdy nie zdobędą. Raz że wiatr stolicy ciągle wiejąc na prowincyę, wcześniéj czy późniéj musi ją przekształcić, powtóre że to nie są ludzie rządowi. Umieją robić oppozycyę, ale na tém się kończy ich zdolność; chociaż z kolei rząd się im czasem dostaje, czego i teraz mamy przykład, jednak jego nie zatrzymują. Gdybyśmy nawet w bezczynności zostawali, sami by się odrzekli od tego ciężaru, raz że rządząc już nie można być w oppozycyi przeciw rządowi, powtóre, że siedząc w Warszawie, a pełniąc urzędy rzeczywiste, a nie tytularne, i to ciągle, trzeba by rozbrat uczynić z tém nałogowém lenistwem, z tém rozkoszném próżniactwem, które ich wkorzeniają do życia wiejskiego. Zjawisko niesłychane, a które w jednéj Polsce się okazuje, że rząd jaki jest, i jaki będzie, nie może pochlebiać sobie, by mu sprzyjały pociągi narodowe; bo żywioł Polaków jest wieczna oppozycya przeciw wszystkim co stać będą przy sterze rządu. Gdzie indziej oppozycya bywa środkiem do dopięcia czegoś, tu jest ona celem; opierają się rządowi byle się opierać: naprożno w téj oppozycyi chciałbyś wynaleźć jakieś widoki polityczne. Pomimo tego, przekonany jestem, że nic łatwiejszego jak owładnąć podobnym narodem, bo opinija publiczna nic rzeczywistego w nim nie wyrażając, rząd bezkarnie może z niéj żartować. Polska jest rajem dla intrygantów pracowitych. Jedném słowem największa opieszałość w działaniu, przy nieograniczonéj energii w mowach, czyli skrzętność czynów przy napływie słów, oto jest obraz Polski.

Od dwóch dni bawiąc w Nieświeżu, i w domu brata

naszego obcując ze szlachtą prowincyonalną, nie uszła ona mych uwag. Trudno ją opisać, bo ona wyraża pasmo samych sprzeczności. Naprzykład, ona posiada przywileje niesłychane, i pod tym względem żadnego innego narodu magnat, nie może się równać do najuboższego tutejszego szlachcica; tym czasem, cóż powiesz, szlachta czuje się być gminem w porównaniu do swoich magnatów, i tak jest pokorną obok swojéj zuchwałości, że słowo *szlachcic*, wyrażający wszędzie jakąś wyższość tu owszem jest wyrazem poniżenia. Codziennie usłyszysz szlachcica na prowincyi mówiącego: »Gdzie też szlachcicowi mieć takie rzeczy, u mnie zwyczajnie jak u szlachcica ubogo«, albo sztrofującego małego synka, który się gościowi nie chciał ukłonić: »A zkąd ta krnąbrność, czy waść nie szlachcic, żebyś się nie umiał kłaniać; masz wiedzieć że u nas szlachcic, żeby się czegoś dorobił, powinien czapkę mieć częściéj w ręku, niż na głowie, a kark zawsze zgięty, a niewyprężony.«

Dobor narodu, to co my nazywamy we Francyi: »*le Baronage*,« wyłącznie się ściska w magnatach, a ci lubo bytu swojego nie opierają na żadném prawie, są istotnemi przedstawicielami narodu. Oni wspaniałością obcowania, nie różnią się od Parów Francyi, lub Grandów Hiszpanii, a nawet więcéj jeszcze wyrażają żywioł arystokratyczny, bo dotąd im nie oberznięto téj potęgi feudalnéj, którą rozciągają w szerokich dobrach swoich. Zapyta kto, dla czego szlachta posiadając udzielność, dopuszcza tak niesłychanéj prepotencyi magnatom, których byt, nie jest znany konstytucyi krajowéj. Wszakże wedle téj konstytucyi: »szlachcic na zagrodzie, równy Wojewodzie.« Zkądże ta uległość? Odpowiedź na to łatwa. W Polsce jest ze trzydzieści domów, co ich

stwo jednych, a łakomstwo drugich, ręce sobie podawszy, te prawa zniszczą. I mamy tego świeży dowód. Jeden xiążę Ostrogski, zapobiegliwy o los swoich potomków, utworzył kiedyś majorat z tysiąca przeszło wsi, na prawach jakie służą innym narodom Europy, które mają majoraty, z warunkiem, że po wygaśnięciu jego plemienia tak po mieczu jako i po kądzieli, te kolosalne włości mają zostać własnością zakonu maltańskiego, który je podzieli na komandorye dla szlachty polskiéj. Zastrzegł, by żaden ordynat nie był mocen alienowania, ani odłużenia tego xięstwa; sejm aprobował tę fundacyę, Konstytucyą osobną. I cóż to pomogło? teraźniejszy ordynat, właśnie ostatni potomek tego domu, *mente captus*, sodomita, całkowity swój majorat rozdarował między szlachtę. Kto go na kmotra zaprosił, on chrzestnemu dziecku przynajmniéj wieś darował, jedno dziecko po kilka razy czasem chrzczono, i takowe bezprawie lada chwila otrzyma sankcyę sejmową, bo kilku panów i mnóstwo szlachty obłowiwszy się sowicie, pod pozorem równości szlacheckiéj domagać się będzie recessu ordynacyi: a sejm będzie działać po ich woli. Bo szlachta poczciwa, bezinteresowna, woląc roli pilnować, nie stara się o poselstwo żeby nie jechać do Warszawy, a o nie się dobijają po większéj części tacy, dla których miłość ojczyzny jest miłością kieszeni.

»Pytasz mnie o kobiétach na prowincyi zamieszkałych; odpowiadam że piękne, a nawet często dobrze wychowane. Teraz poznałem w Nieświeżu ledwo nie całą Litwę, tak po mieczu jako i po kądzieli, i nie jedną napotkałem twarzyczkę za którą, ręczam, szalał by cały dwór Ludwika XV. Jakaś chorążyna, lub podstolina, któréj stopka przez całe życie sążnia kwadratowego miej-

skiego bruku nie udeptała, a tak zgrabna tak wykwintna, a do tego tak świeża, z rysami tak szlachetnemi, a przytém *si mignons*, że nie chce się od niéj oczu odwracać. Jakkolwiek ją będziesz obserwował, nic parafiańskiego nie dośledzisz. Ubior najgustowniejszy, poruszenia pełne wdzięku, nie rzadko mowa w najczyściejszéj francuzczyznie. A obok niéj mąż Sarmata, z głową ogoloną, często pokiereszowaną, z wąsem zawiesistym, z marsem imponującym. Z tém wszystkiém prowincya w Polsce nie jest to kraj dla tego rodzaju załotów, do którego nawykło dobre towarzystwo w Paryżu i w Warszawie. Nie żebym myślał, że u tych nadobnych Litwinek, serca są z twardego granitu wyciosane; i owszem myślę, że one są palniejsze niż gdzie indziéj; ale samo położenie rzeczy, ich cnoty od szwanku chroni. Najprzód nie ma sposobu zawiązać intrygi ze sługami domu imości, bo każda sługa jest albo szlachcianką, albo poddanką; jeżeli szlachcianką, to pewnie z rodziny zasłużonéj mężowi. Między panem a sługą są takie stosunki z jednéj strony dobrodziejstw i osłony, z drugiéj wdzięczności i przywiązania, że gdyby pokojówka przyczyniła się do popsucia pożycia swoich panów, własny ojciec lub brat gotów by ją zabić. Jeżeli poddanka, wie ona dobrze, że gdyby zdradziła swojego pana, żaden zakąt Rzeczypospolitéj, żadna osłona, nie zdołałaby ją zabezpieczyć od jego zemsty. Chcący więc wnęcić się do serca obywatelki na wsi mieszkającéj, zaraz znajdzie na drodze mnóstwo oczów śledczych obróconych na niego, bo dom każdego możnego szlachcica jest małym Wersalem, choć często słomą pokrytym. Uwodząc żonę majętnego szlachcica, trzeba być przygotowanym do podobnych niebezpieczeństw jakie gdzie indziéj grożą temu co oczy

śmie podnieść na krew panującą, i te by go spotkały przed rozwiązaniem dzieła; ale tak wysoko nie sięgając, i trzymając się w zalotach swoich kasty arystokratycznej, tu zemsta szlachcica zazdrośnego jest straszniejszą, niż we Francyi najpotężniejszego pana. Tam co najwięcej, szpady trzeba dobyć, a tu czuły amant może zostać obatożonym, i dla niego niepozostanie żadnego środka odwetowania swojej krzywdy, gdyż małżonek brutal mieć tu będzie wszystkich za sobą.

Jedyny przymiot co by tutaj mógł być wielce pomocny *pour un homme à bonnes fortunes* 1) jest zdolność pić bez umiarkowania, bez tracenia przytomności. Bo tu każdy ma pretensyę do mocnéj, jak to mówią głowy, i nic mu więcej nie pochlebia, jak kiedy może się pochwalić, że w domu swoim gościa przepił. Więc pijąc z gospodarzem małżonkiem do upadłego, a powaliwszy go o ziemię, samemu nie straciwszy przytomności, udać się do żony z natarczywą śmiałością; rzecz może się udać, bo kobiety tutejsze są ptaszki łatwiejsze do złowienia, niż do przybliżenia się do nich. A jeżeli się nie uda, ta natarczywość może być rzuconą na rachunek upicia się. Pan mąż nie tylko się nie obrazi, ale nawet wielce się ucieszy, że współzawodnik do kielicha, niebezwarunkowe nad nim otrzymał zwycięztwo, kiedy nieprzytomny. gospodyni domu się naprzykrzał; ale to nie nasze rzemiosło, zwłaszcza dla mnie, który wolę mieć w brzuchu kolec od szpady, niż kilka butelek wina.

Bodajbyś miał ze mnie szydzić, iż nadto dobrze trzymam o kobietach w ogólności, powiem ci że tutejsze obywatelki, lubo dostępne wszystkim podszeptom próżno-

---

1) **Człowiek szczęśliwy do kobiet.**

ści, jednak nie do tego stopnia, by aż potargać co tu nazywają uczciwością małżeńską, bo przesądy religijne na nie silnie działają.

A potem wiem z doświadczenia, że kobiety nie tyle gubi miłość własna pochlebiona, ile miłość własna obrażona.

Dla czego w Paryżu i w Warszawie niewierności żon są tak częste? oto dla tego, że mężowie im do tego dają przykład.

Ledwo młodzian wyższego tonu zaślubi młodą dziewicę ta zaraz się przywiązuje do niego z najwyższą namiętnością, widzi w nim skład całkowitego szczęścia, całkowitej przyszłości; a on, jakże jéj się wywzajemnia? Dla pierwszéj kokietki, pierwszéj śpiewaczki lub baletniczki ją zdradza i nawet wcześnie daje jéj do poznania, że jest znudzony jéj przywiązaniem. Co więcej, sam upoważnia do niéj zaloty swoich przyjaciół, raz żeby uniknąć śmieszności odgłosu zazdrośnika, powtóre żeby się oswobodzić od jéj narzekań. Biedna żona. poznawszy że nie jest potrzebną do szczęścia niewdzięcznika, że owszem jest mu zawadą do szczęścia, nie mogąc znieść brzemienia pogardy, stopniami skłania ucho zabiegom przyjaciela chcącego być jéj pocieszycielem. I czułością zostaje zwyciężona.

Błędy męża prowadzą ją do pierwszéj niewierności, potém źle odpłacone jéj poświęcenie się dla pierwszego kusiciela prowadzi ją stopniami do rozpusty; ale komu ją przypisać?

Tu nic podobnego być nie może a jeżeli się i wydarzają wykroczenia, musi to być rzecz niezmiernie rzadka. bo chyba sama żona wzięłaby inicyatywę niewierności, co jest prawie niepodobném.

Tu mąż, lubo pojmuje żonę bez istotnéj miłości, bo w wyborze swoim idzie więcéj za radą krewnych i przyjaciół, niż za popędem serca, wszakże składa jéj hołd największego szacunku, niczém nie zachwianéj przyjaźni, i z niemi kojarzy wszystkie swoje uczucia religijne i obywatelskie.

Prawda, że najczęściéj stopień ukształcenia żony, jest wyższy, więcéj europejski niż męża; prawda, że on nie jest tym, którego jéj serce przeczuwało; ale sama nie może go nie szacować. A jest w przyrodzeniu naszém, że dobijamy się o szacunek tych, których szacujemy 1).

W małżeństwie wielkiego świata, często żona pogardza mężem, wprzódy nim mu zostanie niewierną: tu, jakże wielką walkę musiałaby odbyć z sumieniem, myśląc o zdradzie tego, którego nie może nie szanować, który w niéj największą ufność pokłada, niczego bez jéj rady nie przedsięwezmie, i poprzestając na towarzyszce danéj mu wedle jego wyobrażeń od Boga, pożądliwego wzroku na żaden inny przedmiot nie zwraca. Gdyby takiemu mężowi żona złamała wiarę, byłby to wypadek szczególny, jakaś wyłączność w zwyczajnym biegu rzeczy. Bo źle robiąc, zawsze pozostaje potrzeba jakkolwiek przed sobą się usprawiedliwić. W téj tu powszechnéj niewinności serca, pojmuję że dziewczynę uwieść nietrudno; ale mężatkę, jest rzeczą prawie niepodobną.

---

1) W zawodzie autorskim nic mnie tyle nie pochlebiało, jak oburzenie się na moje pisma ludzi, których i stopniem ukształcenia i sposobem myślenia pogardzałem. Jest to uczucie tak błogie, że tylko pochwały ludzi, których się szacuje, im sprostować mogą. Wyznaję, że mnie nic tyle nie martwi jak pochwały głupców. *Vituperia stultorum laus est.*

Pisałem do ciebie Bertrandzie o naszym bracie Michale. wystawiłem przed tobą w ostatnim liście moim 1) najrzetelniejszemi farbami, ten typ szlachectwa polskiego, a który pomimo tak ścisłych krwi związków jest tobie nieznany; ale gdybyś się i zbliżył do niego, nie poznałbyś go więcéj. Trzeba przepędzić przynajmniéj lat kilka w Polsce, żeby podobnych ludzi zrozumieć; wyobraź sobie człowieka ciągle opierającego się na prawach i obyczajach, przeciwko wszelkim pociągom, a który tym sposobem wypról z duszy wszystkie namiętności. W jego słowniku wyraz »*miły*« nie istnieje, na jego miejscu jest zapisany wyraz «*godziwy*.« Co religija, prawo krajowe i obyczaje, do których nawykł, zabraniają, jest dla niego występkiem, i to bezwzględnie. Jest w nim zupełne umorzenie rozsądku, niewola umysłu; tak stoi, tak jest napisano, a więc musi się spełnić 2). Pociąg przyrodzony a niepoparty religiją, lub prawem, które dla niego jest drugą religiją, jest u niego pokusą szatana. Rozumowanie jest igraszką słów; każdy jego postępek jest zaprawiony cnotą, ale w nim samym nie ma nic samorzutnego; robi dobrze i gorliwie co mu jest przykazano, ale dla tego tylko, że jest przykazano; jest najpoczciwszym z ludzi, bo religija, którą za-

---

1) Ten list zaginął.

2) Zjawisko szczególne, że ludzie wysokiego światła, i obszernych wiadomości, to jest tacy, którzy przeszli silne nauki, nie mają trudności w zasadach moralnych i religijnych iść za zdaniem przekazaném podaniem, podczas kiedy ludzie niższéj intellektualności, i nauk powierzchownych, odznaczają się wyuzdaną wolnością myślenia. Żeby się ci ostatni chcieli przekonać, że trzeba się uczyć długo, nim się nauczy myśleć, że kiedy się im zdaje że myślą, oni tylko marzą, tém przekonaniem już by wiele nabyli światła.

pamiętale wyznaje, przykazuje mu być poczciwym. Gdyby się był wychował w religii nakazującéj występki, byłby zbrodniarzem bez wyrzutu sumienia 1). Ciągle oddany żywotowi czynnemu, bo z kolei był prawnikiem, wojakiem, gospodarzem rolnym, ma jednak w sobie cóś ascetycznego, cóś z tego żywiołu który wyrobił Anachoretów i Fakirów. Nie idzie za zdaniem własném, ale za zdaniem od wieków podaném; jest to umysł skamieniały w formie niesłychanie wyrazistéj; jest to żołnierz nieustraszony sprawy, która go raz na zawsze zhołdowała; ale wodzem nigdy być nie może, bo niema w nim nic indywidualnego, tylko jakiś charakter ogólny, wyrażenie okresu już przechodzącego, a który z duchem już nadeszłéj epoki, przez żaden sposób nie da się zmięszać.

Dziwne są igrzyska losu, uprzedziłem ciebie że nasz Michał wkrótce się żeni, a nie widziałem jeszcze wtedy jego narzeczonéj. Onegdaj ją poznałem na balu; ach Bertrandzie, cóż to za stworzenie! co za wdzięki, co za ukształcenie, jaka delikatność w uczuciach, jaka trafność w rozumie, tego ci opowiedzieć nie jestem w stanie: powiem tylko, że odkąd żyję, nic podobnego nie widziałem. Naprożno chciałbym ci opisać wrażenie, jakie na mnie zrobiło pierwsze moje spotkanie z tą czarującą dziewczyną. Jaka kibić, jakie rysy słodkie i szlachetne, jaki uśmiech, a oczy koloru niewidzianego, nie jest to szafir, nie jest to granat, ale cóś jak fiołek, ozdobione, ocienione długiemi i gęstemi czarnemi rzęsami. A jaki

1) **Każdy systemat może nakazywać cnoty, ale religija chrześciańska tylko użycza sił dostatecznych do ich dopełnienia. Tego ludzie wolnomyślący rozumieć nie chcą.**

dźwięk srebrzysty w jej słowach, kiedy się odezwie i to francuzczyzną tak czystą, że i w Wersalu lepszéj nie usłyszysz. Tańcowałem z nią menueta z gawotem, w obliczu prawie całéj Litwy, powiadam tobie: nic podobnego do jéj tańca nie widziałeś, jest to jakaś inspiracya; żeby Gardel to widział, oszalałby; a nasz brat jakby obcy, zaledwo kiedy nie kiedy, na nią wzrok obróci, i to z ukosa. Ona jest jego przyszłą żoną, bo już po zaręczynach, a więc go ominąć nie może, po cóż więc o nią się troszczyć, po co się starać być dla niéj przyjemnym. Prawdziwie ta obojętność mojego brata, ledwo że do wściekłości mnie nie doprowadza. Otoż to ludzie bez namiętności! Jak-że ta para, jest niewłaściwie sprzeczna, co za przywłaszczenie ustaw i obyczajów na rozsądku, na naturze; czyż ta anielska istota będzie kiedykolwiek zrozumianą od naszego brata! Czy może być przeznaczeniem jéj życia, całkowitego jéj życia, rozdawać kłaki prządkom, wyprawiać na błotniste targi masło i twarog, i klepać godzinki z śmierdzącą czeladzią! A chwile wolne od zatrudnień przepędzać w pomaganiu mężowi do bawienia gości, których tylko kielichem ubawić można: bo takie jest życie mężatek polskich na prowincyi zamieszkałych 1). Co za przeznaczenie dla istoty rozumnéj, tkliwéj delikatnéj, usposobień tak przeciwnoległych.

---

1) Teraz nieco się tryb życia odmienił, jednak chwała Bogu niepowszechnie jeszcze. Są obywatelki, które zaniechawszy oborę i motki zajmują się literackiemi dyssertacyami, nawet zasilają dzienniki swojemi pismami. Starajmy się mężczyzni dobrze nauczyć gospodarstwa kobiecego, żeby się damom odwdzięczyć, kiedy nas zaczną nauczać filozofii i literatury.

Odwołuję się do sumienia każdego niezaślepionego fanatyzmem, czy to jest godziwie, by dla układów famílijnych, robić sobie igraszkę z przyszłości, tak cudownéj, tak doskonałéj istoty.

XVI.

Dom Możnego Szlachcica.

W powiecie Mińskim, nad jeziorem Wielożańskim, rozlega się wieś obszerna, dziś nazwana Korwinowem, a która jeszcze niedawnemi czasy nosiła nazwisko Niewodowa. Tam wznosi się teraz pałac murowany, pokryty blachą połyskującą majowym kolorem, którego gzymsy opierają się na pilastrach korynckiego porządku. Od pałacu aż do jeziora rozciąga się ogród angielski, gdzie rośliny z czterech części świata zciągnione, z zadziwieniem spotykają się pośród borów napół hyperborejskiéj Litwy. Sam pałac, oparty na dwóch pawilonach, zdaje się natrząsać z kurnych chat nad któremi panuje, a których mieszkańcy, jego przepychem zniszczeni, radziby jak ewangeliczny Łazarz, pożywić się jadalnemi wymiotami, codziennie z jego wnętrzów wyrzucanemi. Dzisiejszy właściciel, założyciel tego gmachu, niczego nie

zaniedbał żeby ozdoby wewnętrzne i tryb życia były mu we wszystkim odpowiednie. Okna jednoszybowe, z Peterzburga sprowadzone, stały się przedmiotem podziwienia, niemniéj od mahoniowych mebléw, których połysk jasno brunatny odbijają złociste bronzy. Ognie z kosztownych pająków, kandelabrów i lamp kryształowych rzucane, powtarzają się w kłamanym mistrzowską ręką marmurze ozdobionym sztukateryą. W niektórych pokojach wiszą materye w Lyonie wyrabiane, w innych widać naturę pędzlem zwyciężoną. Napatrzyć się można na zegary bogato orzeźbione, na stoły z malakitu i mozajki włoskiéj, na sążniste źwierciadła, na obrazy kosztowne albo przynajmniéj w kosztownych ramach ubrane. Przepych stołu odpowiada przepychowi pałacu, a kapelija pod wodzą artysty z Neapolu sprowadzonego, przynajmniéj dwa razy na tydzień melodyjnemi tony popisuje się przed gospodarstwem i gośćmi co ich nawiedzają. Jedném słowem Korwinów jest przedmiotem nie tylko zawiści, ale i jakiegoś uszanowania całéj sąsiedniéj okolicy.

Takim jest dzisiejszy obraz Korwinowa; ale jeżeli cofniemy się o lat kilkadziesiąt, wcale inaczéj wyglądał, wcale był inny tryb życia jego mieszkańców. Zamiast ogrodu angielskiego były trzy długie ulice lip niebotycznych, jako trzy ściany w środku zamkniionego sadu, czwartą od południa było jezioro Wieliżańskie, a na jego brzegu widać było kilkanaście grzęd tytuniu, kapusty i innych jarzyn. Między domem a równoległą ulicą lipową, róże mchowe, bzy tureckie, ostróżki i stokroć, oparkanione w około porzeczkami i agrestem, były jedyne rośliny niby pieszczone. Z przeciwnéj strony szerzył się dziedziniec tak ogromnie, że jego część była zasiana makiem i anyżem. Parkan był z wysokiego dębo-

wego częstokołu; za parkanem obszerny wygon zamknięty półkolem chatami czystemi, których dziedzińce, oszańcowane żerdziami, świadczyły o dobrym bycie mieszkańców. W obrębach dziedzińca pana wioski był dom niemały, drewniany, ale na podmurowaniu, nieco mniejsza oficyna kuchenna, gdzie oprócz kilku izb gościnnych, był jeszcze warsztat sukienny. Naprzeciwko oficyny imbar czyli świronek, z pod którego wyskakiwały często pierzchliwe króliki, a w samym świronku były znaczne zapasy gorzałki, skór, wosku, słoniny i innych płodów jeszcze niezniszczonego kraju. Ku bramie wznosił się gołębnik, dalej wędlarnia, nakoniec murowana stajnia z wozownią i masztarnią i jeszcze jedną izbą, gdzie pod strażą drzwi żelaznych spoczywały archiwa domowe.

Sam dom, szumnie od wsi mieszkańców nazwany Zamkiem, wysoki a spadzisty dach nosił na barkach swoich, dach, w którego wnętrzach była suszarnia na mąkę. Dom się opierał na ganku przestronnym, na którego facyacie był odmalowany starożytny Lubicz, godło rodu Kunickich, a pod nim napis dużemi literami. »*Nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laboraverunt qui aedificant eum.*

Z ganku wchodziło się do sieni obszernej, w zimie ocieplanej, gdzie czeladź dworska, na zydlach i ławkach siedząc, czekała rozkazów pańskich, nie z założonemi jak dziś rękami, ale robiąc sieci i niewody. W sieniach, nad drzwiami prowadzącemi do bawialnego pokoju, wisiał obraz N. Panny Boruńskiej. Tego pokoju, niby najwykwintniejszego w całym domu, meble składały się z dwóch kanap i tuzina stołków obitych drylichem sinym w warcabnicę, z dwóch stolików i jednej komody, na czarno bejcowanych. Przy oknach były fira-

neczki z muszlinu, luzowane miesięcznie przez drugie takież, nad kominkiem źwierciadło w tynk wpuszczone, a na ścianach obrazy Ś. Kazimierza Jagielończyka, Króla Augusta III i Królowéj Maryi Józefy, xięcia Hetmana i xżnéj Hetmanowéj Radziwiłłów, ich syna Karola, Wojewody Wileńskiego, olejno malowane przez Niewodowskiego Unickiego parocha, który je zdjął z oryginałów zawieszonych w sali familijnéj Nieświeżskiéj, i cztery obrazy przodków gospodarza, ale już znacznie uszkodzone.

Po jednéj stronie bawialnego pokoju były drzwi od bokówki, tak nazywano izbę przeznaczoną na sypialnią dla najświetniejszych gości, i xiążę Wojewoda nie raz ją zaszczycił noclegiem. Téj izby sprzęty były jeszcze skromniejsze. Dwa tapczany z siennikami zakrytemi kilimkiem domowéj roboty. Dwa stoły dębowe bez nakrycia, na jednym z nich toaletka z warcabnicą, na tamtym krucyfix drewniany, daléj jedna szaraga, sześć stołków, a na ścianach obraz błogosławionego Fabiana ze Stoupców i Ś. Antoniego Padewskiego.

Po drugiéj stronie alkierz, tam za kotarą karmazynowego adamaszku stało łóżko żelazne gospodarza, pod opieką dużego obrazu N. Panny Ostrobramskiéj, który to obraz kilka pokoleń, jedno drugiemu, z błogosławieństwem przekazywało; pod obrazem gromnica, woda święcona z kropidłem, kilka gałęzi wierzbowych z ostatniéj kwietnéj niedzieli i para wianków aromatycznych na Boże Ciało poświęconych. Przy łóżku duży stół ponsowym suknem okryty, na nim na postumencie hebanowym mały krucyfix srebrny z kokosowemi paciorkami i dzwonkiem loretańskim, który w czasie burzy tętniąc w ręku chłopca biegającego w około domu, cały Niewodów od

piorunów i gradów zasłaniał. Nad drzwiami do bawialnego pokoju, wisiał ogromny ryngraff z wizerunkiem N. Panny Częstochowskiéj, który nie w jednéj potyczce ocalił życie pobożnemu rycerzowi, z wiarą go noszącemu. A na przeciwległéj ścianie, sztychowany na żółto-gorącym atłasie konterfekt Biskupa Koncewicza, dedykowany gospodarzowi od ojców Jezuitów Mińskich, którzy w téj dedykacyi, także sztychowanéj, nie omieszkali wyrazić nazwiska wszystkich domów pańskich i szlacheckich, tak koronnych jako i litewskich, z imieniem Kunickich skoligaconych. Daléj kufer bawoli w żelazo okuty, obwarowany podwójnym zamkiem, a na nim co nie miara motków i kłębków. Naprzeciwko łóżka wielka szafa, ledwo niedotykająca pułapu, a na niéj wyglądały zapylone papiery, zardzewiałe pistolety, smołka do kadzenia, remizowe gniazdo, sztof gorzałki na jakieś ziele nalanéj, kilka worków z ołowiem myśliwskim, i spora karafinka z wiedeńskim prochem.

Od alkierza, nie drzwiami, ale obsłoną z drylichu na pręcie żelaznym, obrączkami mosiężnemi na taśmach zawieszoną, oddzielała się izba, pomieszkanie starej klucznicy, na któréj, pod dyrekcyą panny łowczanki, polegało domowe gospodarstwo. Z téj izby ku ogrodowi wychodziła ciemna śpiżarnia, dokąd często klucznica kierowała swoje kroki. A co też to wiktuałów w téj śpiżarni się mieściło: mój Boże! pospolite ruszenie całego powiatu, mogło-by się parę dni nakarmić.

Sień o któréj wspomniałem wyżéj, przedzielała pokój bawialny od sali, a ta była obszerna, kiedy pośrzodku stał nie ruchomy od założenia domu stół, za którym czterdzieści osób mogło-by się wygodnie usadowić, na ławkach także odwiecznych, obitych suknem niegdyś zielo-

nem Między drzwiami wchodowemi a kominem był zegar z kukułką, wedle którego odbywał się porządek dzienny całego domu; po drugiej stronie ku oknom była szafa kredensowa, a jéj półki zdradzały się kratą drewnianą ukośną. U spodu szafy były trzy wielkie szuflady z bielizną stołową, to wszystko pod pieczą starego kredensarza, uposażonego długiemi siwemi wąsami, a który jeszcze pełnił drugie urzędowanie, to jest golibrody i goligłowy swojego pana. Na szafie stał butel z piskorzami pluskającemi się w wodzie, dwa razy na tydzień odświeżanéj. Barometr niekosztowny, ale rzetelniejszy od tych, co je z niemałym wydatkiem aż z Niemiec sprowadzają. Przy szafie wanienka, a w niéj dzban szeroki, miedziany, wewnątrz grubo pobielany, z wodą kryniczną, czystą jak łza, przezroczystą jak ranek majowy, świeżą jak młoda Litwinka.

Z sali wchodziło się do skromnéj, ale pod pewnym względem, najważniejszéj izby całego domu: była to kancelarya jegomości. W niéj najpierwéj uderzało wąziutkie łóżko żelazne, na niém materac zielony skórzany, szerścią wybity, i poduszka zamszowa; na nim jegomość codziennie odpoczywał godzinę po obiedzie. Nad poduszką wisiał obraz Ś. Józefa, patrona gospodarza, pod nim mappa Europy, a nad samém łóżkiem mnóstwo kołków, na których zaczepione były rozmaite części zbrojówki szlacheckiéj. Cztery karabele z furdymentem, ładownica podróżna, torba myśliwska z borsuka, dwie koszul z siatki żelaznéj, kordelas, kilka strzelb, nahaj z srebrną skówką, laska z toporkiem. Przy łóżku stolik z szufladką, na nim krucyfix, para brzytew, mydlniczka cynowa, pasek skórzany, osełek z grabiny skamieniałéj do wecowania brzytew i książka do nabożeń-

stwa, nazwana Żołtarz. Przy jedynem oknie kancelaryi drugi stolik, na nim kalendarz tegoroczny, talija kart polskich w starej kopercie zawinięta i próbki rozmaitych ziarn. Ale najgłówniejszy sprzęt był kantorek z Kłajpedy sprowadzony, wysoki, wznoszący się na czterech kolumnach żelaznych z mosiężnemi kapitèlami, z ponad szuflad dolnych, a dźwigających sam kantorek, oklejony suknem zielonym, na którym, stojąc, generał pisywał. Szuflad dolnych było dwie, i w nich zamykały się xięgi rejestrowe, kassowe, inwentarz i raporta ekonomiczne. A między kolumnami leżała biblioteka, wedle dzisiejszych wyobrażeń szczupła, ale jak na owe czasy obszerna, gdzie jednak bez wątpienia znaleść można było więcej zdrowych myśli, i prawdziwej nauki, niżeli w wielu teraźniejszych, które śmieciami umysłowemi zapełniają pp. xięgarze drukujący na wagę. Albowiem szczegóły tej biblioteki były następne: Biblija Wujka, Herbarz Niesieckiego 1), Nowe Ateny Wojsko zarekrutowanych affektów 2), Rekollekcye Ś. Ignacego, Swada Polska, Żywoty świętych Skargi 3),

---

1) Herbarz Niesieckiego, jest jednym z najważniejszych naszych pomników. Jaka szkoda, że teraźniejsze wydanie jego w Lipsku sporządzone, zamiast przedrukowania jakim był być powinien, samemi kłamstwami jest oszpecone w dodatkach, któremi go śmiano znieważyć.

2) Wojsko zarekrutowanych Affektów, często śmiech litości pobudza u naszych półmędrków, którzy się nie domyślają, że pod swoją formą dziwaczną, to dzieło więcéj myśli zawiera, niż to wszystko co pewne towarzystwo ludzi uczonych, przez całe swoje istnienie wymyśliło.

3) Żywoty świętych Skargi. Jest to najpoetyczniejsze dzieło polskie, tak się wyrażał przedemną Pan Adam. Niewiem czy zjawienie się ogłoszonego Epos Litewskiego jego zdanie zmieni, jednak o tém wątpić pozwolono.

Kronika Stryjkowskiego, Psalmy Kochanowskiego, Zegar Monarchów, i kilka xiążek łacińskich. Bo osobno leżał w szufladzie zamknięty Statut Litewski, Haura o gospodarstwie, i inwentarz prawa Żeglickiego. A największy volumen w xięgozbiorze, był in folio, do większéj połowy zapisany, zbiór różnych wierszy, mów, kazań, anegdot, spostrzeżeń, uwag medycznych, prawnych, meteorologicznych, pod tytułem: *Otia Domestica*, ze zwyczajnym godłem, *Ad majorem Dei gloriam.* A na samym kantorku widać było laseczkę laku, stoczek, kałamarz, piaseczniczkę, żelazne piętno, kilkanaście kalendarzów z adnotacyami i jedno pióro do pisania. W samym kantorku starannie, pod kluczem, była zamknięta mappa ekonomiczna, kilka liber papieru, kilka funcików: jeden z gallasem, drugi z koperwasem, trzeci z bursztynem, czwarty z miniją, zbiór listów od przyjaciół i sąsiadów, genealogija familijna, metryka generała i jego córki, sepultura żony obok jéj intercyzy, patent na rotmistrza kawaleryi narodowéj, drugi na generała-adjutanta hetmańskiego, laudum dane mu na jedno poselstwo od województwa Mińskiego, i trucizna na szczury.

Było jeszcze trzy pokoje przybudowane, które wchodziły w ogród, bo gdyby były od strony dziedzińca, popsułyby symetryę architektoniczną dworu. Z tych pokojów jeden był obrócony na garderobę Zosi i łowczanki z przepierzeniem na apteczkę, drugi na ich sypialnię, w trzecim bawiły się, pracowały, i przyjmowały sąsiadki je nawiedzające.

Taki to obraz rezydencyi generała Kunickiego, istniał rzeczywiście w końcu piérwszéj połowy, i w początkach drugiej, zeszłego stulecia: wszystko było skromne, pomierne, pospolite.

Jedyna rzecz, która i zewnątrz architekturą, i w środku ubraniem swojém, mogłaby zastanowić przechodnia obeznanego nawet z cudzemi krajami, była kaplica Niewodowska, na dziedzińcu dworu wzniesiona.

Jeden teraźniejszego okresu pisarz, Jan Paweł Rychter, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, twierdzi, że gdzie domy prywatne poziome i ubogie, a obok nich gmachy publiczne okazałe, tam społeczeństwo musi być silne, żywotne, pełne przyszłości. W przeciwnym razie, kiedy kościoły drewniane z pozieleniałemi gontami, i klecone szkółki parafialne, są zesromocone pysznemi pałacami właścicielów wsi, wtedy można powiedzieć: biada temu krajowi, biada jego mieszkańcom 1).

Kaplica, o której mówię, była exekwowaną na wzór Chrzcielnicy Medyolańskiej, przez doskonałego architekta wywiezionego z Paryża, przez xięcia Biskupa Wileńskiego a pokryta blachą miedzianą, na ogniu pozłacaną. Ołtarz był z granitu szlifowanego, kolumny, na których się opierały organy, były z gipsu i barwą i połyskiem naśladującego marmur. Lichtarze, ramy od obrazu N. Panny nad ołtarzem, lampa we dnie i w nocy świecąca się

1) Szczególnie w Krasnorusi, biedna szlachta intellektualnie, dobrze spieniężając swoje produkta w Odessie, znalazła domy rodzicielskie ciasnemi, i wzięła się do murowania pałaców. W każdéj wsi prawie stanął pałac, ale że ci dla których te pałace się wznosiły, nie widzieli, i o kunszcie nie mieli wyobrażenia, lada awanturnik ogłaszał się architektem, i stawił im pałace. Zamiast szlacheckich domów, ciepłych, wygodnych, stanęły gmachy zimne, dziwacznéj struktury, bez żadnego sensu wewnątrz rozporządzone, a które z tém wszystkiém zrujnowały szlachtę. Trudno widzieć piérwszy raz jaki z tych pałaców, żeby się nie uśmiać serdecznie.

przed Najświętszym Sakramentem, były ze szczerego srébra, a jakie bogactwo ornatów, kap, apparatów kościelnych....

Ale wracając do saméj tylko architektury, musiała ona być piękną kiedy jedna tylko kaplica zdołała siebie ocalić od ogólnego wywołania staroświeczyzny, lubo wprawdzie jéj przeznaczenie odmienione zostało.

Gdzie był dwór i zabudowania dworskie, teraz rosną klomby angielskie; na miejscu stajni wznosi się cieplarnia, zamiast grzęd warzywnych, obszerny i pieszczony kobierzec gazonu zalega brzeg jeziora, nawet ciemny szpaler lipowy nie uszedł niszczącego topora. A dawna kaplica zamieniona w altanę dotąd przepychem swojéj budowy zadziwia. Oprócz niéj, wszystko się odmieniło; i ludzie i ich dzieła.

W tym to czasie, kiedy u nas ludzie nie umieli rozprawiać o moralności, ale praktycznie ją dopełniali, kiedy nie głosili siebie za odrodzonych w nauce, ale umieli doskonale to wszystko, co chrześcijanin i szlachcic umieć powinien, generał Kunicki, Niewodowa dobrodziéj i samowładny pan, nakwasiwszy się nie mało przez dni kilka, że do Nieświeża nie mógł pojechać na Ś. Karol, już się nieco wypogadzał przyjmując wracające z Nieświeża Zosię i pannę łowczankę. Rad był córkę o wszystkiem rozpytać, ale wstrzymał swoję ciekawość, przez politykę zwyczajną owoczesnym ojcom, żeby nie uwłaczać swojéj powadze, okazując otwarcie całe przywiązanie do dzieci.

Że Zosia wedle niego musiała być zmęczona podróżą, wcześnie ją odesłał do spoczynku, zachowując sobie nazajutrz od obiadu do wieczora, obszerniejszą z nią rozmowę o zabawach nieświeżskich.

Gdyż do obiadu, który punktum zgromadzał u stołu towarzystwo niewodowskie, córka nie widziała ojca tylko w kaplicy, podczas Mszy świętéj; a wychodząc z kaplicy, ucałowawszy ręce ojca na dzień dobry, zaraz z łowczanką wracała do siebie, dla zajęcia siebie i niewieścią czeladź dworską dzienną robotą.

Od tego obyczaju stary za nic-by nie odstąpił.

Odesłał więc córkę do wczasu, jak tylko kukułka ośm razy usłyszeć się dała, półgodziny wszakże zatrzymawszy łowczankę, bo bez jakiejś konferencyi z gospodynią swojego domu, snu spokojnego by nie zażył, ile że otrzymał był listy, o których z nią mówić wypadało.

Najważniejszy przedmiot téj konferencyi było ulokowanie gości których się spodziewał.

Ale zdaje mi się, że opisawszy rezydencyę Niewodowską, wartoby obeznać czytelnika z jego mieszkańcami, gdyż dotąd nie poznał jeszcze tylko samego gospodarza i jego naśledniczkę.

Pierwsze miejsce między mieszkańcami Niewodowa zajmowała, bez najmniejszéj wątpliwości panna łowczanka, cioteczna siostra generała, i kronika żyjąca jego domu. Na jéj rękach umarła generałowa, na jéj rękach urodziła się Zosia, najmłodsze z kilkorga dzieci, które wszystkie pomarły, a któréj urodzeniem Bóg pocieszył generała, już w podeszłym nieco wieku. Zosię nad życie miłowała, nie tyle jak wychowankę, ale jak własną córkę, tak dalece, że niczego jéj odmówic nie mogła. Gdyby Zosia nie miała natury tak łagodnéj, nie byłoby pod słońcem dziecka więcéj zepsutego; taka była dla niéj słabość łowczanki, że gdyby Zosia była się naparła trucizny, nie wątpię że ciotunia i temu dziwactwu nieumiała-by się oprzeć. Jedyne jéj zmartwienie było, kiedy Zo-

sia się zamyślała, zaraz rozmaite aprensye przepuszczała do głowy, i całemu domowi pokoju nie dawała. Zresztą była osobą szczęśliwą w całéj mocy wyrazu. Całkowitym domem brata rządziła samowładnie, i to bez żadnego współzawodnictwa, często nawet jego samego zburczała, jeżeli jego charty jaką szkodę zrobiły, albo jaki ze stajennych w piekarni lub koło pralni nieprzyzwoitém słówkiem przywitał dziewkę z jéj fraucymeru. O to szczególnie bywały burze, z powodu iż generał czasem brał w obronę stajennego, wszakże ten opór niedługo trwał, i rzecz się zwykle kończyła plagami. Jéj życie uczuciowe ścieśniało się w przywiązaniu do Zosi i generała, potém zaraz następowała miłość dla Darioletki, suczki bonońskiéj, która jéj kolan nigdy nie opuszczała, a piskliwém skowyczeniem nieraz o niecierpliwość przyprawiała generała. Potém przyjaźń i ufność dla kapelana domu, a nieco w niższym stopniu te same uczucia dla unity parocha niewodowskiego, a szczególniéj dla jego córki, która dziesiątek lat na jéj usługach zostawała. Co się tycze życia czynnego, to zajęte było staraniem około sierot szlacheckich, których rodzice pomarli na gruncie braterskim, urządzeniem przędziwa, nabiału, i rozmaitych przysmaczków, któremi Niewodów słynął w całéj okolicy. Nadewszystko łowczanka miała rozum swojego wieku, nie była dostępną tym różnym pretensyom i dziwactwom, które zwykle robią tak nieznośnemi zestarzałe panny, zawsze była rada sobie. Na jéj obliczu, pokrzywdzoném nieco wiekiem, ale jeszcze czerstwém, malowały się pogoda, zadowolenie wewnętrzne, jakaś szlachetna duma z sumienia, które nigdy dla niéj nie było ciężarem. Oblicze to zdawało się przemawiać, że nikt od niéj ani gorliwiéj dopełnia przepisów religijnych, ani

pędzi doskonalszych wódek, ani smaży smaczniejszych konfitur.

Druga figura niewodowska był ojciec Kleofas bernardyn, od lat trzydziestu kapelan domowej kaplicy, zawołany ogrodnik, tokarz, a nawet architekt. Pobożny i skrupulat ale dla siebie tylko, poczytywał być grzechem, pokazywać się przed świeckiemi inaczéj, jak z wesołem obliczem, bo czuł że kapłan nie powinien szorstkością obcowania odpychać od siebie owieczek, ale owszem przywabiać je osobistą przyjemnością. Teolog nielada, był dalekim od cienia fanatyzmu, a choć wierzył że tylko w łonie kościoła można być zbawionym, nie tylko że się nie dąsał na widok różnowierców, ałe żył nawet w ścisłéj przyjaźni z P. Półkownikiem Kryczyńskim, mahometaninem, lubo szlachcicem litewskim, na dwóch wsiach osiadłym dziedzicem; a nawet dom mu wyarchitektował. Prawda, że ile razy go nawiedzi, bo półkownik mieszkał o cztéry mile tylko od Niewodowa, namawia go by od swojego uporu odstąpił i dał się przekonać. Ale małomówny bissurman niczemu nie przecząc, chociaż puszczając dym tytuniu to nosem, to gębą, zdaje się słuchać z natężoną uwagą, co mu tak dobitnie ojciec Kleofas przekłada, jednak jak tylko ochrypły już Bernach skończy swoją perorę, on zagai o czém innėm, a najczęściéj radzi żeby gadanie zapić albo piwem jałowcowem, albo turecką kawą. To wszystko ich wzajemnéj przyjaźni nie osłabiało, tak dalece, że ile razy zdarzy się półkownikowi nocować u generała, od którego także wiele przyjaźni doświadczał, ojciec Kleofas, bez niczyjego zgorszenia, daje mu kwaterę u siebie w oficynie. Oprócz duchownych posług, szanowny Bernardyn wielce był pożytecznym generałowi w życiu potocznėm; grywał

z nim w maryasza i warcaby, co roku kilka beczek miodu mu sycił, z jagód tarniny wygotowanych w soku brzozowym robił mu napój, stare wino naśladujący, urządzał tytuń do palenia ułagodzony wołoszką, tabaką swojéj roboty obdzielał nie tylko łowczankę, ale wszystkie stare sąsiadki, a wszystkie drzewa rodzajne sadu niewodowskiego jego rękami były szczepione i wypieszczone. Co dziwniejsza, z pozytywka wyuczył gila śpiewać kilka kurantów tak doskonale, że mu P. Jan Wazgird dawał za niego wózek lakierowany i parę koni z uprzężą, tak się był zapalił; ale o tém i słyszeć nie chciał. Nakoniec tak był wziętym w zakonie, że od lat wielu, na każdéj kapitule, ofiarowano mu pastorał gwardyański, ale on zawsze od tego się wymawiał, częścią z pokory, częścią iż był że tak powiem, wrośnięty w domie niewodowskim, a szczególnie w officynie, gdzie sam mieszkał, a która była wystawiona z jego planu i pod jego dyrekcyą.

Trzecią figurą z rzędu był pan Jacek Buńczukiewicz, mąż prawie sześćdziesięcioletni, a jednak chrzestny syn generała, rządzca jeneralny klucza niewodowskiego, zarządzał tą ziemią na któréj się urodził, idąc w tém za przykładem ojca i dziada, bo i oni nim się przenieśli do wieczności, zestarzeli się na tychże usługach w domu Kunickich. Pradziad jego z dziadem generała opuścił małopolskę dla Litwy; miał więc i własne i spadkowe zasługi. Pan Buńczukiewicz, otyły, trędowaty, siwowąsy krzykała, był zaszczycony nieograniczoną ufnością swojego pana, którego sprawy nie tylko że był wyznawcą, ale nawet męczennikiem. Bo gdy w czasie ostatnich zamieszań kraju, generał siadł na koń i poszedł z xięciem Karolem Radziwiłłem, pan Buńczukiewicz opierając się rabunkowi Niewodowa, od kozaków dostał kilkaset na-

hajów na wieczne nieoddanie. Tak ucierpiawszy za sprawę publiczną, nieuważał siebie być osobą zupełnie prywatną; owszem lubił się mieszać do dyskursu, ile razy cóś *ex publicis* było na stole; i chociaż miał dworek obszerny i sowitą ordynaryę, prawie codzień przychodził na obiad do JW. pana, gdzie po zdaniu mu sprawy z tego wszystkiego co już się zrobiło, i co się jeszcze ma zrobić w gospodarstwie, występował z wiadomościami politycznemi, jakie pozbierał u żydów arendarzów karczem szlakowych, i niemi bawił pana. Przed dwudziestu kilku laty, wziąwszy z rąk nieboszczki generałowéj jéj pokojówkę, miał z nią żyjących szesnaścioro dzieci, dziesięciu chłopców i sześć córek. I nie tylko że tak liczne potomstwo go nie zasmucało, ale niczego tyle nie żądał, jak przybycia dwóch synów jeszcze, dla otrzymania starostwa, jako ojciec dwónastu synów w małżeństwie szlacheckim spłodzonych. Czegoż zresztą miał się troszczyć! czyż to dawniéj tak trudno było z dziećmi jak dziś. Dwie starsze córki już były zamężne, jedna za geometrą przysięgłym, druga za parochem unickim wsi sąsiedniéj, a rodzonym synowcem parocha niewodowskiego, trzecia była w nowicyacie u panien Benedyktynek nieświeżskich, czwarta pokojówką u Zosi, dwie tylko drobne były jeszcze na chlebie rodzicielskim. Co do chłopców z których ostatni był przy piersiach, a dwóch w piekarni hodowało się z czeladzią folwarczną, wyglądając rychłoli dyrektor weźmie ich w obróty, żaden z innych nie siedział mu na karku. Dwóch z nich Generał swoim kosztem utrzymywał w konwikcie mińskim. Najstarszy, głowa familii, był już koniuszym u generała, a ożeniwszy się z jego należącą, miał w expektatywie obowiązki ojca, po najdłuższém jego życiu. Drugi już był

odbył professyą u Dominikanów, trzeci był szatnym u pana Wojskiego, przyszłego zięcia generała, czwarty był pisarkiem przy wuju, bawiącym się szyprówką z Królewcem i Kłajpedą, i nie tylko że od rodziców szeląga nie potrzebował, ale co roku przywoził im gościńca w rozynkach, migdałach i szafranie. Piąty, tępy do nauki, ale chłop piękny, ulany jakby z żelaza, i trochę burdowaty, był towarzyszem w chorągwi generała.

Pan Buńczukiewicz był przywiązany do swojego ojca i dobroczyńcy, i najwierniej mu służył. Nie był to gospodarz zapobiegliwy, owszem częste omyłki popełniał w gospodarstwie, przez zbytnią łatwowierność dla rad jemu udzielanych od pierwszego co go napotka. I tak, razu jednego, zaprzepaścił panu kilkaset kop zboża, składając je w sterty jak na Rusi, nie osuszywszy snopów w osieciach, i to w rok mokry, dla tego że ktoś mu wyperswadował, że podłożywszy pod stertę wilczego sadła, nigdy zboże się nie zgrzeje. Innego razu, gdy ktoś mu wmówił że co tylko się sieje w Marcu, obawiać się niema przymrozków, a zdarzyła się pogoda w tym miesiącu, wszystek jeczmień rzucił w ziemię chłodną i z wielkim swoim zadziwieniem samą chmułę zebrał w żniwie. I kto wyliczy wszystkie jego bąki. Prześladuje go generał za te omyłki, ale to jego ufności bynajmniej niezmniejszało. I lubo często na niego gdera, tak był do Buńczukiewiczowskiego plemienia nawykły, że gdyby jego niestało, prędzej by dobra swoje zadzierżawił, niżby je innemu rodowi miał powierzać. On też był wart łaski pańskiej, bo pracował jak mógł i umiał, i majątek wzrastał pod jego pieczą; nawet tyle miał poświęcenia, że choć był wielkim miłośnikiem zagrzewających napojów, za nic w świecie w dniu roboczym, umysłu by nie za-

plątał, prawda że w Niedziele i święta, *sacrosancto* upić się musiał. Po obiedzie żonka mu warzy krupniczek z gorzałki, patoki i korzeni, a on nim celebruje, do wieczora święto pana nad pany i dzień odpoczynku. Pan generał z ojcem Kleofasem, wykradną się niekiedy do niego na krupniczek, że chociaż dworek blizko zamku, pani Buńczukiewiczowa musi ich wózkiem odsyłać. Zresztą służba była i wygodna i korzystna, bo chociaż roczna kapitulacya nie przenosiła trzechset tynfów, ale ordynarya szeroka i akcydensów co niemiara. A pozwolenie wykarmienia kilkunastu sztuk bydła na browarach skarbowych, a to ogród lnem zasiany, albo konopiami, gdyż nie miał potrzeby siać warzywa, z kilku ogrodów folwarcznych mając go i bez tego podostatkiem; a to dozwolone sobie kontraktowe od żydów, a zarobek na koniach; a nadewszystko nadzieja otrzymania tego dożywocia co go miał i ojciec i dziad: dworek, stawek, ogród, łąka, trzy włoki ornego gruntu, i pięciu poddanych.

Czwarta figura niewodowska, był xiądz Nowochacki, pleban tameczny obrządku ruskiego, stary wdowiec, wielki dworak, mający największe względy u Generała, a nawet u proboszcza łacińskiego z Kojdanowa, do którego parafii należała i włość niewodowska. Miał on syna i córkę; syn, przeszedłszy na obrządek łaciński, i w nim przyjąwszy kapłaństwo, był już professorem prawa kanonicznego, i posiadał niezgorsze *beneficium* w okolicach Brześcia, gdzie sam mieszkał przy Seminaryum. Córka, wychowanica panny łowczanki, była zaślubioną kapłanowi unickiemu, a ten od roku był przydany do parochii niewodowskiej, dla pomocy już zestarzałemu teściowi. Nie był ci on wprawdzie tak zgrzybiałym, żeby się

jeszcze nie mógł sam trudnić swoją parafiją, gdzie kilka pokoleń ochrzcił, ożenił, i pochował; ale to rozporządzenie zwierzchności nastąpiło z powodu, który, o ile mu zobowiązał szanownego kollatora, o tyle go naraził na animadwersyą władzy duchownéj. Tak lubił polowanie namiętnie, jako i Generał: ile razy ten wyjeżdża o świcie z ponową, już jemu ani w głowie Oktoja, Mineja i Tryod, ale dawaj strzelbę, i ruszaj saneczkami do lasu; i aby zoczył źwierza, już jego. Bywał on za to często turbowany od officyała, ale go jakoś Generał zawsze z biedy wyrejterował. Nakoniec ta namiętność, zamiast ustawania, gdy z wiekiem coraz się wzmagała, duchowieństwo jego obrządku, będąc w tym względzie skrupulatniejsze od naszego, tak się zaczęło gorszyć, że już nie było sposobu zachowania mu w zupełności dawnego stanowiska. Za wdaniem się generała, dodano mu przynajmniéj zięcia za koadjutora. Tak dzieci mając przy sobie a sam tam tak dobrze jak nie trudniąc się parochiją, oddawał się swobodnie myśliwstwu i innym zabawom. Nie dbał o przychody *curae animarum*, które dostały się zięciowi, mając kilkanaście tysięcy na procencie u generała. Jemu kapelanował, ile razy ojciec Kleofas wydali się na kapitułę lub na jaki odpust, kuruje mu psy, łowi kaczki i kilka razy na rok występuje z kazaniem w cerkwi lub kaplicy zamkowéj. Nawet był niezgorszym malarzem, i dziwnie trafiał podobieństwa: to też jego dworek był ubrany w portrety jego pędzla, wszystkich matedor niewodowskich, tak po mieczu jako i po kądzieli. Pan Buńczukiewicz, którego córka była za jego synowcom, wielce go szanował i zawsze się jego radził w gospodarstwie; nawet cierpliwie słuchał jego napomnień za tę jego łapczywość zdania ta-

kich, z któremi beczki soli nie zjadł. Pan generał go wielce lubił, i jeżeli jaki dzień nie przyjdzie do niego na obiad, albo przynajmniéj po obiedzie na kufel miodu, zaraz na niego się kwasi, i to mu przy pierwszém spotkaniu wymawia. Tak sobie żył starowina spokojnie i szczęśliwie, cieszył się dziećmi, wygodą już zabezpieczoną wypracowanym kiedyś chlebem i łaską kollatora. Trzeba wiedzieć, że generał tylko w dni powszednie słuchał mszy świętéj w kaplicy, w świąteczne chodził do cerkwi, swoim kosztem wymurowanéj gdzie wszystkie obrazy były pamiątką pracy xiędza Nowochackiego. Chodził raz dla przykładu, powtóre dla większéj okazałości nabożeństwa, potrzecie że jakkolwiek bądź, miło mu było słyszeć w liturgii wymawiane swoje i swojéj córki imiona i moleben śpiewany na każdą uroczystość swojego domu: zaszczyt, którego w obrządku łacińskim dostąpić nie mógł, nie będąc z krwi panującéj. W dni świąteczne służba boża w cerkwi niewodowskiéj odprawiała się jakby w jakiéj kollegijacie; można było albowiem w niéj wysłuchać dwie msze ruskie, jednę łacińskę ojca Kleofasa a czasem i drugą jakiego kapłana, nawiedzającego naszego generała, jak to bywało.

Piąta osoba, należąca do ówczesnego składu zamku niewodowskiego, nie była krzewem wkorzenionym jak tamte w jego gruncie, była gościem częstym, ale nie tubylcem. Był to blizki krewny generała, wielce od niego szanowany, jako brat cioteczny i duchowna osoba. Trudno było odmówić mu szacunku, bo nań zasługiwał i wysokiém światłém i najrzadszemi cnoty: Jednak jego przybycie z pewnym rodzajem niesmaku oczekiwane było od większéj części mieszkańców Niewodowa, gdyż to przybycie przerwę czyniło ich zwyczajnym zajęciom.

Xiądz Prosper Chlebowicz, ów gość niewodowski, przyjąwszy starowne wychowanie w domu rodzicielskim, a wydoskonaliwszy się jeszcze po akademiach zagranicznych, sprobowawszy różnych zawodów, w których mu się niepowiodło, obmyślił nakoniec wybrać dla siebie stan duchowny do którego go kierowały i prawdziwa pobożność i chęć nauczania drugich. Ale że ludzkość nie może być bez jakiejś skazy, surowość jego obyczajów, nauki, które, jak to zwykle bywa, więcéj cenił dla trudów do ich nabycia poniesionych, niż dla ich rzeczywistéj wartości; nadewszystko cześć całéj jego rodziny, nawykłéj uważać za wyrocznię każde jego słowo, to wszystko razem tak podniosło jego przyrodzoną pychę, że gdyby siebie był zgłębił, jako człowiek świątobliwy nie mógłby się nie zatrwożyć. Ale zrobił z sobą jakiś kompromis, cóś nakształt restrykcyi Jezuitów, którzy widząc w świeżo nawróconych Indyanach niewykorzenione przywiązanie do swoich bałwanów, pozwolili im nosić pagody na processyach chrześcijańskich, byle cześć którą objawiali dla wizerunków Wisznu i Bramy, mentalnie była odnoszoną do Boga w Trójcy Świętéj jedynego. Tak i on te oznaki uszanowania, co ich się domagał, lubo przyjmował z upodobaniem, odnosił mentalnie do wysokiego swojego powołania, a cześć dla swojego rozumu, do użytku *ad majorem Dei gloriam*, który mu przeznaczył. Tym sposobem w spokojności sumienia, swobodnie oddał się dumie niepohamowanéj, a dla tego też ciągle rażonéj. Starał się o biskupstwo, nie przez samolubstwo, ale że był przekonany, iż na têm Kościół wiele zyska, a na tym stopniu, może niezręcznie, ale bez wątpienia z największą gorliwością, starałby się wziąść w kluby, co tylko by zauważył być rozwolnionêm

w duchowieństwie. Ale pomimo cnot i nauk, nie mając wyobrażenia wielkiéj, a zupełnie praktycznéj nauki obcowania z ludźmi, przy najlepszych chęciach obraził współbraci duchownych, a nawet tak zniechęcił przeciw sobie zwierzchność swoją, że stracił nadzieję osiągnienia wyższych dostojeństw w swoim zawodzie. Nie obwiniał siebie, bo sumienie nic mu nie wyrzucało: cóż albowiem zrobił złego? Ciągle i ciągle, czy to świeckich, czy to duchownych, nauczał nie domyślając się nawet, ile to trzeba zręczności, żeby najlepsza nauka stała się zbawienną. Rażąc drugich, i sam ciągle rażony, pomimo miłości bliźniego którą pałał, uczuł wstręt do każdego co nosił na sobie znamię jakiéjś wyższości umysłowéj.

Tak tedy utraciwszy nadzieję *altioris ascensus* w hierarchii, a nadto możny żeby się starać o beneficya kollacyi panów, ścieśnił swoję działalność między krewnemi wyłącznie. A że generał Kunicki był jednym z jego najbliższych, że jak się już powiedziało wielce go i szacował i miłował, często u niego przesiadywał, nie mogąc znieść samotnego życia, jak ci co posiadają znaczne zasoby umysłowe. Miał ci on wprawdzie między swojemi tę wielką pociechę, że mógł sam rozprawiać, bez obawy być przerwanym lub uchwyconym na słowie; ale z drugiéj strony, to słuchanie zupełnie milczące, nie było dla niego dostateczne, bo chociaż mocno się obawiał wyższych od siebie rozumów, z któremi jego wywody na niebezpieczeństwo byłyby narażone, wszakże zbyteczna niższość w ukształceniu, nie dostarczała mu żadnéj karmi. Mowa obrócona do istot na wszystko zgadzających się, staje się podobną do szumu wiatru, a mówca bez zachęty, bez wątku, musi nakoniec uczuć niesmak do własnéj swojéj mowy. Jemu potrzeba było takich, co by

z nim pocertowawszy, ulegli nakoniec zwyciężeni jego światłem; ale tu nic podobnego. Generał Kunicki był pierwotworem prawdziwego szlachcica polskiego owych czasów: dla niego religija była obyczajem, nałogiem, ale nie nauką. Byle zdrów, żadnego odpustu w okolicy nie opuści, ale napróżno chciałbyś mu dać jasne pojęcie tego, czém jest odpust. Dnia nie przepuści bez słuchania jednéj, a czasem dwóch mszy, i to po długich rannych pacierzach; co wieczór odmawia Godzinki i Różaniec, ale ani czuł w sobie tego podniesienia ducha, którym modlitwa zostaje przyjemną, ani się o niego troszczył. I owszem, im więcéj modlitwa zdawała mu się przykrą, tém więcéj zaspokojenia doświadczał, bo od nabożeństwa nie mógł odłączać wyobrażenia jakiegoś utrudzenia; i właśnie dla tego uczęszczał na kazania, że go każde śmiertelnie nudziło. Napróżno xiądz Prosper chciał go nauczyć medytacyi; póki klepie pacierze lub czyta w xiążce, póty niby się zajmuje tém co robi, ale jak tylko każe mu rozmyślać to, co dopiero przeczytał, zaraz myśl jego zaczyna bujać po ucztach, o polowaniach, po sejmikach, po gospodarstwie; a zbawienie, sądy Boże, wieczność, już znikły z przed jego umysłu, z wielkiém zmartwieniem nauczyciela. Dla niego zabawą były, kieliszek, maryasz, polowanie i gawęda; zatrudnieniem, gospodarstwo i urzędowanie; a nabożeństwem, nudzenie siebie za pomocą wymawiania pacierzy bez końca, lub słuchania kazania, czy jakiejś pobożnéj rozmowy, albo czytania xiążki. Cóż takiemu rzucać zadania teologiczne, kiedy on czuł, że świecki nie powinien ani tyle wiedzieć, ani tak się doskonale modlić jak xiądz lub zakonnik, i dla tego, jeżeli jest majętnym, winien mu świadczyć, żeby przy jego modlitwach, i własna doszła

gdzie trzeba. A ze swego dodawał co mógł; choć stary, od żadnego postu siebie nie uwalniał. W sobotę, przysługując się N. Pannie, nic nie jadł ani pił, tylko półkopy grzanek, kilkanaście ząbków czosnku, kilka garncy piwa, i kwartę oleju z orzechów laskowych. I był nierównie spokojniejszy na sumieniu, niż xiądz Prosper, którego nabożeństwo acz szczere, nosiło postać paroxyzmu śledziony osłabionéj, a którém i siebie i drugich bez ustanku dręczył. Ile razy przyjedzie do generała, pokoju mu nie daje, chcąc gwałtem w jego duszę przelać własne skrupuły, ale wszystko nadaremnie. Gada mu o łasce skutecznéj i dostatecznéj, o niebezpieczeństwie fałszywego pokoju sumienia, o błędach gallikańskich, ku którym skłaniała się akademija krakowska, jako córka paryzkiéj; czyta mu swoje kazania i przekłady teologiczne o tych przedmiotach. Szlachcic niby słucha, ale jak w rogu, a najczęściéj o czém innem myśli. Jeżeli z tego czytania cóś mu wpadnie w ucho, co mu przypomni dzieje Polski, to się odezwie, ale rzadko. Raz czytał mu historyę Soboru florentskiego, przez siebie tłómaczoną: gdy przyszło do Marka Efezkiego oppozycyi, odezwał się generał: a to cóś nakształt naszego Sicińskiego. Xiądz Prosper uradowany, że słuchacz uwagę przykłada do jego czytania, zabierał się jemu tę okoliczność tłómaczyć, ale na nieszczęście generał spostrzegł przez okno, że jego gończych para wysforowawszy się, zapędziła za królikami, wyszedł więc do sieni i krzyku narobił na ludzi, zostawując xiędza skonsternowanego nad swoim rękopismem.

Zresztą, lubo generał i kochał i szanował xiędza-brata, zawsze mu rad będąc w swoim domu z którego nie puszczał go i dwa i trzy tygodnie, a żegnając, jeszcze za

progiem dziękował za już, a prosił o jeszcze; z tém wszystkiém oddychał po jego odjeździe, jakby mu spadł kamień z karku; bo szanowny xiądz Prosper z przytomnością swoją do góry nogami przewracał i zabawy i tryb życia Niewodowa. I tak generał, żeby bawić gościa, już nie stawił trzechgroszuwek w ulubionego maryasza, przeciwko pacierzy ojca Kleofasa, a rubaszny bernach w przytomności uczonego i dumnego xiędza, nie śmiał się popisywać ze swojemi konceptami, Xiądz Nowochacki, odrzekając się miodu, ani się pokazuje we dworze, bo boi się żeby go nie ciągnięto na examin, i cóś mu niebąknięto *de clamorosa venatione*. Buńczukiewicz, zaraz po obiedzie ucieka do unijata, żeby *ex publicis* z nim się wygadać, bo jakże przy poważnym i surowym gościu, opowiadać nowiny pachwytane to tam, to ówdzie od żydów. Jedna Zosia była rada przysłuchując się pięknym rzeczom snującym się czasem z ust xiędza-wujaszka, gdyż wychowaniem swojém już cokolwiek więcej była dla nich dostępną. On też ją najwięcéj lubił ze wszystkich swoich blizkich; wszakże często ją upominał, jak się tłumaczył, żeby jéj w pychę nie wbić, a w rzeczy saméj, żeby jéj przynajmniéj dać uczuć tę władzę, którą nad każdym rad był rozpościerać.

Generał, wedle swojego zwyczaju, wstawszy o piątéj z rana, a w kancelaryi swojéj przy świetle łojowéj świécy, naklepawszy pacierzy bez liku, po nich wypróżniwszy ogromną misę latercynową piwa grzanego z twarogiem i śmietaną, czekał mszy świętéj, rozmawiając z swoim koniuszym, i zaczął się ubierać, bo za nic by nie słuchał mszy w kapocie, słusznie myśląc, że jeżeli do możnego obywatela przystoi ustroić siebie, cóż dopiero idąc do Pana nad pany, przytomnym będącego na ołta-

rzu. Wziął więc na siebie mundur kawaleryi narodowéj, nieprzepomniawszy ani szlif, ani szabli, i siadłszy przy stoliku, zaczął fajkę kurzyć.

Przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca, sygnaturka kaplicy słyszeć się dała, co jemu nie przeszkodziło dopalać fajki, gdyż jak kapitan okrętu w razie niebezpieczeństwa zatonienia, nie opuszcza go wprzódy aż się przekona, że ani jeden z jego podwładnych na nim nie został, tak i generał dopiero wtedy szedł do kaplicy, kiedy cała czeladź już w niéj była zebrana. Przekonawszy się więc że już pora, oddał fajkę swojemu węgrzynkowi, a sam poszedł do świątyni, gdzie już zastał ojca Kleofasa przy ołtarzu, Zosię i łowczankę w ławkach, a całą czeladz klęczącą. Generał wysłuchał mszy ojca Kleofasa, prawie całéj klęcząc, i wtedy dopiero usiadł na ławce, kiedy xiądz Prosper wyszedł z mszą drugą; ale gdy i ona się skończyła z niemałem jego ukontentowaniem, poszedł z siostrą i córką do domu i zaraz po przywitaniu odesłał ich do siebie, a sam w swojéj kancelaryi zaczął się rozbierać, by na nowo wziąść zwyczajny ubior zimowy. Żupan z haładżejki, taratatkę perwistkami podszytą, i pas półjedwabny. A podczas tego przestrojenia, słudzy w około niego stali, a na ich czele Buńczukiewicz rozprawiający o rozmaitych spekulacyach, o których dla dobra skarbu przemyśliwał. Poczém wyszedł generał na ganek, i robił przegląd swoich koni; daléj słuchał raportu swojego dojeżdżacza Mirona, o niedźwiedziu, co go miał pewność ściśnienia w ostępie, o wilkach które się na wab odzywały, o maciorze z sześciu warchlakami, z czego generał tak był uradowany, że swoją ręką nalał kieliszek gorzałki Mironowi. W czasie téj rozmowy arendarz jeneralny przy-

niósł mu listopadową ratę, samemi nowemi złotówkami, wybitemi pod stęplem Stanisława Augusta, w świeżo od niego erygowanéj mennicy; a arendarz wedle zwyczaju głowę cukru i dwa oka kawy przydał do raty. Cukier i kawę odesłano łowczance, a pieniądze generał z Buńczukiewiczem zrachowawszy, zawiązał je w worku i sygnetem wycisnął na nim pieczęć z papierkiem, na którym zapisana była ilość kwoty zawartéj, i położył ten worek obok innych w kufrze bawolim, którego klucz z innemi zawsze nosił w hajdawerach. A spostrzegłszy przez okno, że kolebka, na któréj swoje objeżdżał gospodarstwo zajechała, siadł do niéj i kazał siebie zawieść do browaru, w assystencyi komisarza, koniuszego, dojeżdżacza i pokojowego na koniach. W browarze na wszystko patrzał niby okiem znawcy, ale w rzeczy saméj nie wiele rozumiał co się tam święciło, i cała uwaga ną jaką się zdobył, i za co ofuknął pisarza, była z tego, iż na burtaku obaczył leżącą siermięgę, co uważał być wielkim nieporządkiem. Ale pisarz niby skonfundowany odezwał slę: jaśnie pańskiego oka nic nie ujdzie, ja sam nie rozumiem, jak to mogłem prześlepić. A widzi waść, jak to na was spuścić się nie można, żebym się nie pilnował. tobyście tu rozerwańską ulicę zrobili, oko pańskie konia tuczy. Z tém wszystkiém pochlebstwo pisarza podwoiło mu wesołość już znacznie podniesioną akuratnością arendarza, i dobremi wiadomościami dojeżdżacza.

W różanym humorze kazał siebie zawieźć przed oficynę, żeby nawiedzić xiędza-brata, ale ten go nie przyjął, gdyż medytacyi swojéj nie był ukończył, poszedł więc nieco zachmurzony do ojca Kleofasa o ścianę od xiędza Prospera mieszkającego. Jednak przywykły do podobne-

go obejścia się z nim xiędza-brata, wrócił do zwykłej wesołości, zwłaszcza że gil, jakby dla oddania jemu dnia dobrego, rozpoczął swoje kuranty, i ledwo nie półgodziny go bawił, tak że po skończonej muzyce generał się odezwał:— Wiesz wasze, ojcze Kleofąsie, że twój gil majster, mowy mu tylko nie staje, taki rozumny; żeby darmo twojego chleba nie jadł, sto kwart gorzałki z wczorajszego wypędu daruję waszeci na konwent miński, a że mój arendarz Mordko jutro jedzie do Mińska, jakoś go uprosisz żeby beczułkę tam odwiózł.

Skłonił się nizko kapelan, a generał mówiąc dalej: xiądz-brat waszeci sąsiad wolałby rozrywać siebie, chociażby ucząc ptaszki z pozytywka, niż tak tetryczyć. Ale to człowiek bardzo rozumny; nie prawda?

— Porządna i uczona głowa Jaśnie Wielmożny panie, jemu być prymasem. Bo i głowa i postawa do tego.

— To prawda, to prawda, całe moje nieszczęście że nie umiem go bawić. Ani o gospodarstwie, ani o polowaniu mówić nie lubi, a ja te uczone rzeczy już dawno pozapominałem, boję się żeby w domu moim się nie nudził. Z jego ojcem a świętej pamięci moim wujem szło gładziej; mój Boże! co też my z sobą łosiów i dzików nie nabili. Jeszcze to wtedy xiądz Prosper nie był na świecie; ale jutro mieć będziemy gościa z którym lepiej się zabawi; nasz wojski i brat jego starosta wieluński: to wszystko przy mnie się rodziło. Chciałem pana starostę w bokówce ulokować; jak sobie chcesz, ale urzędnik wysoki i orderowy pan; lecz pan Michał pisze, że dla niego koniecznie trzech izb potrzeba. Więc u Buńczukiewicza rumacya, on z całą rodziną przenosi się do xiędza Nowochąckiego, zwyczajnie swat do swata, a cała komisarya na usługi pana starosty. Kaduk wie, jak te-

mu panu dogodzić, bo to za granicą wychowane, czy moje szlącheckie obiadki będą mu do smaku?

— Co! Jaśnie Wielmożny pan chyba żartujesz, ktoby u pana nie był syty, tego oto temi ogórkami warto by ochłostać.

— Tak myślisz ojcze Kleofasie? wprawdzie pisze do mnie i pan Michał, że brat jego w ubieraniu się tylko jest wymyślnym, a we wszystkiém inném, co mu dadzą, to z dobrém sercem przyjmuje. Wszakże chociaż pan Michał jest moim przyszłym zięciem, pan starosta w to nie wchodząc, mnie wybrał na superarbitra, żebym między niemi dział zrobił pozostałéj po ojcu fortuny. Pisał do mnie, że w przyjacielu nieboszczyka ojca, widzi drugiego ojca, bardzo jakoś to dobrze i pięknie ułożył: ta ufność jest wielce obowiązującą; bo kto inny mógłby pomyśleć sobie, że bliższa koszula ciała niż suknia.

— Znają JW. Pana charakter i w Litwie i w Koronie; czy to takie interesa o pańską głowę się opierały; a wszakże i pan starosta musi o tém wiedzieć, że gdyby pan wojski nie był uprosił ojca umierającego by rozdarł testament, nie miał by teraz potrzeby utrudzać JW. Pana ich działem.

— Tak jest w saméj istocie, ale widzisz wasze, świat jest tak podejrzliwy, że kiedy na czyją ufność się natrafia, za nią całe życie trzeba być wdzięcznym; tym czasem trzeba mi ruszyć do domu, zająć się wygodą oczekiwanych gości. A wasze jako z xiędzem-bratem *noster vester*, oświadcz mu moje uszanowanie i dowiedz się od niego, czy mu dobrze u nas, czy mu czego nie brak, jabym rad jemu nieba przychylić, byle się u mnie nie nudził. To wyrzekłszy odszedł, i kazał siebie podwieść do domu, gdyrając na woźnicę, że mu konie zrywa.

Przybywszy, poszedł nie do siebie, ale do córki, co mu się bardzo rzadko zdarzało; i tam z nią i łowczanwięcéj godziny przesiedział. Zosia musiała zdać mu rachunek z całego pobytu w Nieświeżu. Tańce i uczty niewiele go obchodziły; ale każde słówko xięcia Wojewody po kilkakrotnie musiało być powtórzone, zwłaszcza te które wyrażały przyjaźń xięcia dla niego. Przerywał to opowiadanie, podobnemi wykrzyknikami: co to za kochany pan, jaki to wielki senator! I po co siostra mnie niepozwoliła z wami jechać, jakby ta podróż więcéj mnie zmęczyła, niż moje polowanie. At, gniewam się na waćpannę. Trzeba było Zosi jeszcze się rozszerzać nad stopniem łaski jakiéj doświadczała od siostr xiążęcych.

Wszystkie doniesienia Zosi, potwierdzone od łowczanki tak ucieszyły starego, że natychmiast posłał po ojca Kleofasa żeby radość swoją z nim podzielić.

Pożegnawszy córkę i siostrę, poszedł do swojéj kancelarii, żeby się jeszcze wygadać z swoim kapelanem, i wysłuchać przed obiadem (wedle przyjętego od lat kilkudziesiąt zwyczaju) nie mniéj, nie więcéj dwóch stronnic exercycyów Ś-go Ignacego; obyczaj co go dochowywał z równą wiernością, jak wypróżnienie przed samym obiadem, sporego kieliszka staréj gorzałki.

XVII.

Szermy Duchowne.

Kukułka raz kuknęła, a dzwon blizko ganku zawieszony na to hasło się odezwał, i tém przywołał towarzystwo niewodowskie do pańskiego stołu; i zwykła społeczność przy nim usiadła oprócz Unity, który ciągle chowając się przed xiędzem Prosperem, tą razą mógł się wymówić oporządzaniem kwatery dla oczekiwanego starosty. Generał pełen dobréj fantazyi, zaczął mówić o łowach, może setny raz powtarzając szczegóły tego polowania, na którém się sam znajdował, kiedy to xiążę Radziwiłł, chorąży litewski, przyjmując Króla Augusta wtórego, przez jedną noc stworzył mu w czystém polu, las napełniony grubą źwierzyną. A kończąc opowiadanie dodał: przepraszam xiędza brata że go nudzę, bo wiem że nie jesteś przyjacielem myśliwstwa.

—Broń Boże, my xięża powinniśmy owszem wielce

lubić myśliwstwo. Ale jakie; muszę też państwu opowiedzieć jedną historyę myśliwską, któréj byłem świadkiem. Oto w Rzymie, w czasie zapust, jest najpomyślniejszy połów źwierzyny. W tymże więc czasie przechodząc przez Corso spostrzegłem, że jakiś zakonnik w komży, stanął przed jedną kamienicą, a obok niego braciszek także w komży, podniósł ogromny krzyż. Zaczął się naród około niego zbierać, i ja też przybliżyłem się z ciekawości; a zakonnik tak się odezwał do narodu: «Mili bracia, nadeszła pora, gdzie myśliwi szczególniéj zajmują się łowami, i Chrystus Pan także do polowania się zabiera; już nas, psów swoich wysłał, żeby ku strzałom jego napędzać źwierzynę, a ta źwierzyna, są to dusze wasze. Jeżeli będziecie uciekali z ostępów, jeżeli my was do nich niezdołamy zwrócić. pan nas wychłosta za to że darmo jego osypkę zjadamy, jemu żadnego nieprzynosząc pożytku. Miejcie więc litość, i ruszajcie za mną do kniei gdzie na was czeka, ażebyście temu dobremu łowcowi pociechę przynieśli. I zaprowadził nas za sobą do kościoła swojego zgromadzenia, gdzieśmy usłyszeli najpyszniejsze kazanie. A co panie Józefie, nie pięknež to polowanie?

— Jest to dobra krytyka na nas xięże bracie, jednak z przeproszeniem waszéj godności, ja tak niewinnéj, tak szlachetnéj zabawy jak polowanie, za grzech trzymać nie mogę. Wszakże xiążę Wojewoda, jaki gorliwy katolik, a przecie zapalony myśliwy; toż i P. Rejtan, podkomorzy nowogródzki, toż i świętéj pamięci ojciec xiędza brata, jednem słowem wszyscy co po staremu trzymają. Mój dziad, co był świętym człowiekiem, wszakże on fundował klasztor Bernardynów w Iwieńcu, tak lubił polowanie, że chociaż był kasztelanem zawichostskim, z Ma-

łopolski przeniosł się na Litwę dla zwierzyny. Otoż kiedy Królowi Janowi wyprawiał swoją chorągiew z moim ojcem, było w niéj czterdziestu towarzyszów, a każdemu dał po jednéj skórze niedźwiedziéj, a każdego z tych niedźwiedzi własną ręką położył. Wtedy na Litwie było nie równie więcéj niedźwiedzi niż teraz.

Tu ojciec Kleofas poparł swojego kollatora. Polowanie JW. panie tak dalece nie jest grzechem, że po starych mszałach znaleść można mszę Ś. Huberta, umyślnie dla myśliwych. Ta msza jest omal nie przez połowę krótszą od zwyczajnéj, żeby myśliwym czasu nie zabierać.

— Jak uważam panie Józefie, odrzekł xiądz Prosper, chcesz siepać biednego Petreistę 1), kiedy aż zakonnika bierzesz na pomoc. Jeszcze raz powtarzam to, co już nie raz mówiłem panu Józefowi, że polowanie nie jest grzechem, ale marnowaniem czasu, mogącego być użytym na coś lepszego. Bóg się WPana nie spyta wiele niedźwiedzi i dzików zabiłeś, a pamiętaj że masz siedmdziesiąt dziewiąty rok.

— Ale jestem zdrów i czerstwy, a może-bym tych lat nie doczekał, gdybym nie polował. A czy polowanie nie jest dobrym uczynkiem? Dawszy pokój wilkom, małoby one szkody bliźniemu narobiły? Ja swego czasu się modlę, a swego poluję. *Et haec facienda, et haec non omittenda.* Nowomodni panicze wcale nie nabożni, z nas żartują jako z fanatyków, a między niemi nie wiele myśliwych. Jutro xiądz brat poznasz pana starostę Wieluńskiego, rodzonego brata naszego Michała, on pewnie nie myśliwy, bo to światowiec: będzie miał xiądz

1) **Petreista— świecki xiądz.**

brat z kim mówić, bo to ma być i rozumny i uczony kawaler.

— Gdzie też on zechce wdawać się w rozmowy z nędznym sługą Bożym.

— I owszem, i owszem, on sam będzie szukał xiędza brata, jako uczonego, bo on słyszę oczytany, przecie szefem gabinetu dzisiejszego Króla, który sam ma być wielkim literatem. Pan starosta, chociaż kuso się nosi, jest nawet łacinnikiem; czytałem jeden jego list do nieboszczyka strażnika, mojego wielce ścisłego przyjaciela, a list tak piękną łaciną, że rektor jezuicki lepszego nie napisze. Prawdziwie Duch Święty dla mojego ratunku natchnął xiędza brata, żeś tu przedłużył swoją bytność; będzie komu się bawić z panem starostą, bo ze mną jednym na śmierć by się zanudził. Zmiłuj się xięże bracie nie stroń od niego, bo ja jemu nie dam rady.

— Stronić nie będę, ale wątpię żebym mu był do smaku, bo dla przypodobania się jemu, mojego sposobu mówienia nie odmienię: moja wiara jest mojém życiem. Będę mówił jemu to, co i panu Józefowi mówię, że za kilka dni umrzeć trzeba, i pójść na wieki — gdzie?..... Wszak chyba tysiączny do nieba się dostaje. Jeden teolog miał objawienie, że do piekła dusze padają, jak gruszki z potrząśniętego drzewa. Wątpię żeby ta mowa jemu się podobała.

— Jeżeli uczony, jak o nim mówią, odezwał się Bernach, to może o to z waszą rewerencyą podysputuje, i będzie utrzymywał że z męki naszego Zbawiciela, nie mniejsza, ale większa część ludzi korzystać musi.

— O bardzo przepraszam, wyraźnie stoi: *multi vocati*, *pauci electi*. Penitentów swoich usypiać nie trze-

ba fałszywym pokojem, żeby poźniéj nie nastąpiło okropne przebudzenie; jedna chwila grzechu zniwecza kilkadziesiąt lat cnotliwego żywota. Czytałem w pismach jednego mądrego teologa, że jeden seminarzysta żył tak świątobliwie, że gdy umarł, jeszcze nie wyświęcony, zabierano się do jego kanonizacyi, aż przełożony otrzymał objawienie: ujrzał tego młodzieńca zanurzonego w piekle, za to że zasnął bawiąc się myślą nieczystą, a z tego snu nie powstał. Nie ma co tu głową kiwać ojcze Kleofasie, do waszeci się odzywam, czy to jest *possibile.*

— *Possibile concedo*, ale czy *probabile*, o tém nie wiém, ile że takowe teologiczne anegdotki *non sunt de fide.*

— *Non sunt de fide*, *sed non negantur sine temeritate.* A nawet ten wyraz *anegdotki*, z przeproszeniem ojca Kleofasa, tu wcale nie na swojém miejscu.

Bernach zasznurował sobie usta, a generał może by się i przestraszył, ale na jego szczęście ledwo xiądz Prosper zaczął swoją powieść o kleryku potępionym za jedną tylko myśl, spostrzegł, że piskorze zaczęły nadzwyczajnie pluskać się w butli. Odezwał się więc:— To na śnieg, nie daj Boże żeby na deszcz. Jeżeli na śnieg, będziemy mieli wyśmienite pole. Buńczukiewicz, żeby mi waść zaraz po obiedzie xiędza Nowochackiego odszukał, to jest kalendarz chodzący; trzeba go zapytać czy przeczuwa ponowę, bo po jutrze w pole nam koniecznie wyruszyć trzeba; pana starostę zostawię z xiędzem bratem, a pana Michała zabieram z sobą, bo myśliwy jakich niewiele. Tymczasem mości Jacku, przykaż synowi żeby nie wiele osypki dosypywał pijawkom, bo my na niedźwiedzia może pojedziem, a pies zjadlejszy kiedy trochę głodny. Ale przepraszam xiędza brata żem mu przerwał, *mea culpa*,

boś mówił tak rozumnie, tak do zbudowania, że mało dziesięć uszu każdemu, by go wysłuchać. Ale zwyczajnie gospodarz, rad słuchać, a w tém to to, to owo przychodzi do myśli, że w głowie jak w trybunale. Proszę xiędza brata, jeżeli mam łaskę, przedłużać swój piękny dyskurs.

— Jużem skończył, zresztą pan Józef niezbyt lubi te rzeczy duchowne.

— Jak że nie! a cóż wart człowiek bez obroku duchownego; i słucham i czytam rzeczy pobożne, niech powie ojciec Kleofas. Niezadługo adwent, a z nim zacznie się czytanie xiędza Skargi. Bogu chwała, żeśmy się jeszcze jednego roku doczekali, azaliż ten adwent nie będzie szczęśliwszym od przeszłorocznego.

— A cóż było złego w przeszłorocznym adwencie braciszku? odezwała się łowczanka.

— Chyba zapomniałeś, że był jeszcze mniéj stałym niż łaska panów; to przymrozek, to znowu odwilż, błoto zamiast śniegu, polować ani sposobu. A co mi też klacz pozrzucało! A zapominasz, że pod koniec adwentu mój kochany strażnik zaczął chorować. «Ale człowiek wszystko przeżyje, tylko śmierci nie przeżyje.« Wszak tak, xięże bracie? Oto jemu dziś rano służyłem, tylko że jak zwykle byłeś zatrudniony, przypiekłem moje nawiedziny. Chciałem się dowiedzieć jak się spało, czy kawa była dobra, bo u mnie zawsze dusza na ramieniu, czy xiędzu bratu na wygodach nie zbywa....

— Nigdzie mi lepiéj być nie może jak u Pana Józefa, i daję tego dowód, tak często go nudząc moją bytnością.

— To szczęście dla mnie, proszę nigdy nie wyjeż-

dżać z Niewodowa; błogosławieństwo Boże xiądz brat mnie przynosisz.

Tak rozmawiając doczekali się końca obiadu. Generał zaprowadził gościa i domowników bo bawialnego pokoju, a sam wedle swego zwyczaju wysunął się do kancelaryi dla spoczynku. Za jego przykładem wyszedł i Bernach z nosem na kwintę spuszczonym, i Buńczukiewicz znudzony że ciągle milczeć musiał. Xiądz Prosper zostawszy z Zosią i łowczanką, używał pociechy nauczania ich i strofowania, co obie z pokorném sercem przyjmowały, piérwsza zajmując się atłaskową robotą, a druga robiąc pończoszkę, i trzymając swoją Darioletkę na kolanach.

Po godzinném wytchnieniu, generał wsiadł do swojéj parokonnéj kolebki, i kazał siebie zawieźć do dworku Buńczukiewicza, by opatrzyć kwaterę przeznaczoną oczekiwanemu gościowi. Wszystko znalazł po myśli swojéj: zastał tam sług obu braci naprzód wyprawionych, a ci rzeczy pańskie rozkładali; przypatrywał się z ciekawością różnym galanteryom starosty, rozmawiając z jego kamerdynerem. Ztamtąd zajechał do swojéj stadniny, ale skończywszy przegląd klacz, spotkał xiędza Nowochackiego piechotą idącego, zabrał go z sobą do psiarni, gdzie, jak się pokazało, najdłużéj zabawił rozmawiając z unitą, i pieszcząc swoje ogary i pijawki, wedle stopnia ich zasługi i zdolności, każdego zowiąc po nazwisku. Już dobry był zmrok, kiedy przybywszy do pokoju bawialnego, zastał świece pozapalane. Zosia, że przez obawę by nie psuła sobie wzroku, ciotunia jéj krosienek niepozwalała kiedy się słońce już zniżało, na kościanych drótach robiła kaftanik dla ojca; łowczanka, zawsze z swoją Darioletką na kolanach, zwijała w kłębek nici z motka,

który trzymał na obu rękach, klęczący przed nią koniuszy Buńczukiewicz; a Bernach, siedząc przy kątowym stoliku, sypał swoje dykteryjki, zapijając je jałowcowem piwkiem.

Generał usiadłszy przy stoliku ojca Kleofasa, kazał sobie lulkę nałożyć, i kurząc wonny tytunik wziął się do piwka, przyczem się odezwał: już szósta biła, a xiędza brata niewidzę.

Łowczanka. Przyjdzie braciszku za pół godziny, z nami więcéj godziny po obiedzie bawił, ale wyszedł, bo ma cóś do pisania.

Generał. Niech pisze, niech pisze, a drukuje dla pożytku ludzi; niech no się pokaże jego xiążka drukowana, zaraz kupię, i zapłacę bez targu co xięgarz zaceni. Będzie ale co czytać, bo to człowiek niepospolitego rozumu; wszak prawda ojcze Kleofasie?

O. Kleofas. A jakże nie, jemu być Biskupem. Takiéj głowie nie biret, ale infuła przystoi.

Generał. A cóż powiecie, ot nie ma szczęścia. Xiążę Biskup wileński o którym fama, że byle gdzie rozumnego kapłana zwietrzył, zaraz go popycha, czy oszalał że dla xiędza brata nic nie robi. A jak mi się widzi, w całym Wilnie niema jemu równego. Jak on to mnie mądrze onegdaj dowodził, że mój patron Ś. Józef, starszy od Ś. Jana Chrzciciela, chociaż temu ostatniemu pismo święte starszeństwo zdaje się przyznawać.

O. Kleofas. Wszyscy święci są równi między sobą, i jakże im wynajdywać stopnie; tém więcéj że nie pojmuję na jakiéj powadze xiądz Chlebowicz swoje zdanie opiera.

Generał. Widzi wasze, on to jakoś tak dowodzi, że choć pismo święte za świętym Janem trzyma, to nie

w téj myśli żeby na tém Ś. Józef cierpiał. Ale chce powiedzieć, że jeden starszy wedle reguły, a drugi wedle nie reguły. Czy uważasz? Zresztą tak jestem cały dzień zajęty, że tego *de re et nomine* nie jestem w stanie opowiedzieć; dość że to co mówił xiądz brat, było tak mądre, że nie każdemu od razu to zrozumieć; ale jak go poprosisz, to on waszeci wszystko na boku akuratnie wyłuszczy, i mnie potém to lepiéj wbijesz w głowę, żebym jak się obaczę z panem Janem Radziszewskim, podwojewodzym smoleńskim, nagził go starszeństwem mojego patrona. Nie prawda ojcze Kleofasie, że xiądz brat to całą gębą uczona głowa?

O. Kleofas. A jak-że nie uczona głowa!

Generał. To tylko szkoda, że ciągle nad xiążkami siedząc, ztetryczał nieborąk. Niezajmuje się niczém takiém co by go rozerwać mogło: ztąd smutnych myśli nie odganiając od siebie, został skrupulatem i dla siebie i dla innych. Sam się czegoś ciągle boi, za to i drugich straszy. Czy uważałeś wasze, jak on mnie do piekła odsyłał, że do zbytku lubię polowanie, a niedość nad xiążkami siedzę. A co by to się zrobiło z gospodarstwem, żeby człowiek każdą rzecz, zaraz na serce brał; a wiesz ojcze Kleofasie, że przy obiedzie zmieszał mnie trochę, źle odpoczywałem, i aż wyjechać musiałem dla przewietrzenia niespokojności.

O. Kleofas. Żartuj sobie JWPan zdrów z tych straszków; czyż to już jeden xiądz Chlebowicz na świecie! Że rozumny i oczytany, to ani słowa, ale i nas nie dla śmiechu wyświęcono, a może mamy tyle ile i on doświadczenia. Daj mu Boże być tyle ludziom pożytecznym w swoim zawodzie, ile JWPan nim jesteś w swoim; wszakże więcéj trzydziestu lat jestem pańskim kapelanem i spo-

wiednikiem, i mnie też wierzyć godzi się. A co to, JWPan krzywdzisz bliźnich? gorszące życie prowadzisz? żałujesz swojego chleba ubogim i klasztorom, zaniedbujesz przepisy kościoła, żebyś się miał piekła obawiać? Sam xiądz Chlebowicz, jak mu śledziona przestanie dokuczać, będzie miłosierniejszym.

Generał. Tak mówisz? To też choć mnie nafrasuje, to nie na długo; a że go kocham i szanuję, niechcę się jemu sprzeciwiać; jednak chciałbym żeby kto go namówił, ażeby z nami katolikami zawieszenie broni uczynił, a wziął się do nawracania naszych Tatarów. Naprzykład mojego połkownika, jakby to było pięknie, żeby waszeci ojcze Kleofasie z przed nosa jego nawrócenie uchwycił. Niech sobie wszelako na nas gdyra zdrów, a niech zaspokoi śledzionę, bo to wielce rozumny człowiek, a poczciwe serce. Dobrze że przynajmniej będzie miał z kim się bawić, bo i starosta ma być głowa nielada. Ot kto wie, jak się pozna z xiędzem bratem, że z Królem często rozmawia, może mu bąknie o nim jakie dobre słówko, że go i na Biskupstwo wyniesie.

Łowczanka. Nic z tego nie będzie braciszku, bo jeszcze dopiero przed nami się oświadczył wyraźnie, że za nic Biskupstwa nie przyjmie, chyba mu to rozkaże Ojciec Święty pod klątwą.

O. Kleofas. Póki panna łowczanka będzie mu go ofiarowała, póty odmawiać będzie, ale jak Król przemówi, spodziewam się że nie będzie tak twardy.

Generał. U Buńczukiewicza wszystko gotowe do przyjęcia braci Strawińskich. Już rzeczy starosty przyszły, i tak są porozstawiane, że izba wygląda jak cacko. A jakie drogocenne rupiecie! my chwała Bogu, ani tego potrzebujemy, ani się na tém znamy. Poznałem je-

go fryziera, zwyczajnie opasłe niemczysko, z nim ani mowy, ani rozmowy. Ale podobał mi się jego kamerdyner, Polak i do rzeczy; rozmawiałem z nim. Bywalec mospanie, u starosty jego nie piérwsze pole. Ale, ale, mości Bunczukiewiczu młodszy, żeby kamerdyner i fryzier pana starosty mieli miodu podostatek, miodu trojniaku, który wybornie za stary uchodzić może.

Koniuszy. Słucham jaśnie panie. Ale pokazuje się, że Niemiec umie o sobie pamiętać. Bo kiedy znoszono rzeczy jego pana, postrzegłem że między niemi była baryłka, przynajmniéj czterogarncowa. Dowiedziałem się od kamerdynera, że to jest wino, które fryzier wyprawił z Nieświeża dla swojego użytku.

Generał. A niecnota, bez wina obejść się nie może! Niech no u nas zasiędzie, tak się gorzałką rozpije jak wszystkie tutejsze Niemcy. Ale coś się przeziębiłem w psiarni, a piwo więcéj chłodzi niż rozgrzewa. Wszak to czwartek, siostruniu, należy się nam krupniczek, zapomniałeś o mnie i o ojcu Kleofasie.

Łowczanka. I owszem, bardzo pamiętałam; panie Buńczukiewicz, żeby zaraz przynieśli tacę z tém wszystkiém co na niéj jest; ona stoi na komodźie w moim pokoju.

Przyniesiono co było trzeba, kawę i śmietankę dla kobiet i xiędza Prospera, a dla generała i Bernacha gorzałki, lipcu patoki, goździków i żórawinowego soku. Łowczanka w rondelku nalała patokę gorzałką, dodała goździków i wonny płyn zapaliła, blaszaną łyżką mieszając ciągle żeby patoka dobrze się rozpuściła. Błękitny płomień igrał swobodnie nad rondlem, póki sam z siebie nie wygasł. Łowczanka ostudziwszy płyn pozostały napełniła nim do trzech części dwie szklanice. a

czwartę uzupełniła żórawinowym sokiem. Purpurowy napój zaczął rozweselać dwóch starców, kiedy xiądz Prosper ich powitał chrześcijańskim pozdrowieniem.

Generał. Witam xiędza brata, a jakże ze zdrowiem, czy niczém nie straciłem jego łaski.

X. Prosper. Zawsze dobry sługa WPana panie Józefie a co do zdrowia, *oro et laboro.* Widziałem przez okno, jak pan Józef wyjeżdżał dla obejrzenia swojego gospodarstwa; wielcem się z tego budował, bo dopełniasz rozkaz dany od Boga, żeby pożywać chleb swój w pocie czoła. A ja nad sobą się zastanawiałem, że dotąd nic jeszcze nie zrobiłem dla chwały Bożéj, jestem *inutilis pondus terrae.* Tak, tak, panie Józefie; w twojéj sali jadalnéj nad zegarem stoi napis: zegar dzwoni, czas ucieka, śmierć goni, wieczność czeka. A jaki to mądry napis! Czy myślisz panie Józefie, że lada dzień umrzeć trzeba.

Generał. A jakże nie myślę; co dzień raz, a nawet dwa razy, bo wstając i idąc do snu przy modlitwie myślę o śmierci. A czy się o niéj myśli, czy nie, ona wszelako swojego czasu przyjdzie.

X. Prosper. To zdanie, pozwól sobie powiedzieć, na wiatr rzuciłeś panie Józefie, bo nie idzie o to, by śmierć przyszła, ale żeby zastała nas dobrze do niéj przygotowanych.

Generał. Nieinaczéj xięże bracie, ale ja będąc gospodarzem, muszę robić po gospodarsku; na wszystko mam swoje godziny, a teraz jest godzina zabawy. Bo, widzisz xięże bracie, przy kawie i krupniczku, nie gładko jakoś idzie rozpamiętywanie śmierci; a jeszcze ja gospodarz, miałżebym gości zasmucać; na ich przyjęcie trzeba przygotować jak najweselsze oblicze, Buńczukiewicz, żebyś wziął z mego kantorka bursztynu do kadze-

nia i odeszlij go do dworku twojego ojca, oto masz klucz; i nie zapomnij miodu posłać. Przepraszam xiędza brata i słucham.

X. Prosper. Kiedyś objeżdżał gospodarstwo, ja sobie czytałem traktat o śmierci jednego wielkiego teologa Włocha. Przetłómaczę z niego niektóre rzeczy dla WPana. Czy wierzysz, że jak djabeł pomiarkuje, że człowiek łada chwila skona, wtedy najstraszniejszemi pokusami, a to nieczystości, a to niedowiarstwa, a to rozpaczy, na niego naciera.

Generał. A jakże nie mam wierzyć: *quid est fides? credere quod non vides.*

O. Kleofas. Niechcę się narażać szanownemu xiędzu Chlebowiczowi, ale z obowiązku mojego winienem JW. Pana ostrzedz, że zdania teologów, jakkolwiek poważne, nie są artykułami wiary i bez grzechu można je odrzucać. Sam temu nie zaprzeczy.

Generał. Co! nie są artykułem wiary? Bóg ci zapłać ojcze Kleofasie że mi ciężar z głowy zdjąłeś. Z przeproszeniem twoim xięże bracie, temu wierzyć nie będę; ten twój teolog, choć bez wątpienia musiał być mężem światłym i pobożnym, jako Włoch rodowity musiał być lękliwego serca i śmierci do zbytku się obawiał.

X. Prosper. Oho! już bujasz sobie panie Józefie, lepiej milczeć niż tak się odzywać. Bo chociaż to co ja przytaczam, nie jest artykułem wiary, jest przecie prawdopodobném.

Generał. Kochany xięże bracie, wierz mi że tak nie jest; a co ja mówię, to nie z xiążek ale z doświadczenia. Czy to mi raz w oczy śmierć zazierała! Wszak to ja jeszcze ze Szwedami tłukłem się na ostre, kiedy my to trzymali z Moskwą przeciw Karolowi XII; byłem

już namiestnikiem w chorągwi xcia Kanclerza; tylko co mi się wąs wysypał, ten sam, jeno że wtedy był czarny. Jeszcze to wtedy Car Piotr Wielki robił nasz przegląd w Mereczu. On nas wyprawiał do Kalisza; Rzewuski hetmanił wojsku polskiemu, Sieniawski saskiemu, a Menszykow Moskalom! Daliśmy duchu Szwedom ale i około nas było kręto z początku. Mój brat przyrodni tuż koło mnie zabity został; szwedzkie armaty przez kilka godzin sypały a sypały na nas kartacze, ale jakoś się wszystko przeważyło. Ani mi było w głowie że tę bitwę przeżyję, bo nasi jak muchy padali a jednak żadnych takich pokus o których xiądz brat mówisz nie doświadczałem. Tylko poleciwszy duszę Bogu a odmówiwszy *Kto się w opiekę*— naprzód. Większa połowa naszéj chorągwi roztopiła się a my z resztą dwie armat Szwedom odebraliśmy, otrzymawszy plac bitwy i nabrawszy Szwedom mnóstwo armat, pulwelkarów i niewolników, Menszykow nie mógł się nas odchwalić. Jego piechota, to był mur chodzący, ale jego kawaleryi daleko do naszéj; sam to przyznał.

Xiądz Prosper nieco się zasępił a generał z Bernachem dopijali swój krupniczek, gdy słyszeć się dały trzaskania z bicza. Któż to być może, odezwał się generał, wszak na jutro dopiéro spodziewamy się gości. W tém służący wpadł z oznajmieniem, że jakaś kareta stanęła przed gankiem. Generał śpiesznie wyszedł dla przyjęcia gości, i wkrótce wrócił, wpuszczając ich do pokoju przed sobą.

XVIII.

Przybycie Starosty do Niewodowa.

Nowoprzybyli goście, byli to bracia Strawińscy, którzy, jak się pokazało, pośpieszyli, i zamiast nazajutrz, tego samego dnia stanęli w Niewodowie. Wojski miał na sobie kontusz rebarbarowy, i żupan błękitny w srébrne kwiateczki; takowy garnitur wówczas był w największéj modzie; a starosta był w mundurze kawaleryi narodowéj, bo między innemi zaszczytami otrzymał był półkownikowstwo w chorągwi królewskiéj.

— Bardzo przepraszam pana starostę, rzekł generał, że mnie tak zastajesz nieprzygotowanym do jego przyjęcia. Ale to prawdziwa dla mnie niespodzianka, że się cieszę pańskiem przybyciem, bo dopiero jutro ich się spodziewałem.

Starosta. Taki był mój zamiar, ale łaknąc poznania się z przyjacielem i łaskawcą naszego ojca, ani chwili

czasu tracić nie chciałem. Przecie stanąłem u kresu moich życzeń, i pan generał pozwolisz mnie ucałować rączki przyszłéj bratowéj i panny łowczanki.

Generał. Siostruniu, i ty moja Zosiu, bawcie pana starostę, a ja na chwilę odejdę, żebym się mógł jemu przyzwoiciéj pokazać.

Starosta. Panie generale, proszę mnie téj krzywdy nie robić, postępując ze mną jakby z obcym. Niczego nie pragnę, jak być uważanym w jego domu za krewnego.

Generał. Ale kiedy bo mi wstyd siedzieć w kapocie, obok pana starosty w mundurze.

Starosta. Jako stary żołnierz, znam moje obowiązki za nadto, abym się ważył inaczéj jak w mundurze, przedstawić się koledze w stopniu starszemu, i jeszcze tyle zasłużonemu ojczyznie.

Generał. Proszę żeby przynajmniéj ta etykieta była po raz pierwszy i ostatni, a teraz niech pan z łaski swojéj się rozgości i zdejmie ten oręż, bo jesteś w przyjacielskim domu. Mój Boże! wiele to razy ja pana starostę na moich rękach nosiłem. A moja nieboszczka żona to pana ledwo że niewięcéj od własnych dzieci kochała, których było kilkoro; ale to wszystko Bóg nam zabrał, mój syn zginął na wojnie, szczęście że Bóg na starość obdarzył nas tą dziewczyną; ot co się zostało z wszystkiego, biedna sierota, która swojéj matki nie znała. Ale co mam i siebie i panów smucić; to już się nie wróci. Pan starosta całą młodość swoją oddałeś wojskom zagranicznym i na siedmioletniéj wojnie sławę sobie zjednałeś, bo wiem o tém. Miło mi jest, widzieć teraz w nim mojego kolegę, gdyż jeden mundur nosiemy; pan starosta od niedawnego czasu, a ja sześćdzie-

siąty już trzeci rok. Kiedy zostałem towarzyszem, to jeszcze nie było mundurów, nosiliśmy pancerze, misiurki, koncerze; czy to tak wyglądało jak dziś; ale jak to się biło! Jak mnie widzisz mości starosto, w kilkudziesiąt potyczkach znajdowałem się osobiście. Jeszcze *anno domini 1709* rozpoczynałem wojaczkę, kiedy Szwedzi szastali się po Koronie i Litwie; mnie był rok ośmnasty, ale byłem takiego wzrostu jak dziś, jeno było trochę więcéj siły. A że natura ciągnie wilka do lasu, to choć stary, jeszcze niedawno siadłem na koń. Pan starosta nie z nami trzymałeś, ale też i nie biłeś się przeciwko nam, nawet byłem tak szczęśliwy, że nigdzie mi się nie zdarzyło spotykać partyi królewskiéj; bo bić się przeciwko swoim, to smutna rzecz; doświadczałem tego smutku w wojnie szwedzkiéj, ale młody wszystko wytrzyma. Kiedy nas Podgoryczanin rozbił pod Nieświeżem, to ja, nieboszczyk strażnik, nasz wojski, wszyscy byliśmy razem, i pędzono nas ztąd aż na Wołoszczyznę. Ale od dwóch lat z całym światem zrobiłem przymierze; już mnie nie wojować. Co to panie, ośmdziesiąt lat nadchodzi, a jednak się liczę w komputowém wojsku, i mam moją chorągiew dotąd; za nią Bóg wie cobym mógł dostać, lecz chcę umrzeć rotmistrzem kawaleryi narodowéj. Niech nas młodzi sobie jak chcą uczą rozumu, niema jak kawalerya narodowa: na co nam fortece, na co obciążać siebie piechotą; to są piękne rzeczy, ale nie dla nas. Polak do konia stworzony, a piechotą chodząc, prędko na nogi zapada. Żeby w każdym powiecie była jedna chorągiew kawaleryi narodowéj, cały świat-by nam rady nie dał. W tym powiecie chorągiew weźmie w skórę, w drugim się poprawi, a naszych powiatów secinami; a jak się utworzy wojsko z piechotą, armatami,

i tak dalej, a wlezie gdzieś na jedne miejsce, a potém da się rozbić, już będzie po wszystkiém. Ale, ale, pozwol mości starosto poznać pana z moim bratem, xiędzem Prosperem Chlebowiczem.

Starosta. Proszę mnie tak znakomitemu kapłanowi przedstawić, odgłos jego cnot i światła do nas przecie doszedł. Jakże rad jestem że mogę się poznać z xiędzem dobrodziejem, i starać się o jego przyjaźń.

X. Prosper. To za nadto dla mnie zaszczytu; gdzież panu staroście szukać przyjaźni u biednego xiędza. Pan jesteś dla nas nie zupełnie świecką osobą, będąc blizkim krewnym naszego pasterza.

Starosta. Widziałem się w Nieświeżu z xięciem Biskupem, znalazłem go zdrowym i wesołym. Ale dla czegoż xiądz dobrodziej nie zawitał do Nieświeża na Ś. Karol; tam było mnóstwo osób duchownych.

X. Prosper. Czybym się docisnął między takiemi matedorami. A nie śmiałem się puścić pod skrzydła JW. Biskupa, będąc tak bardzo niepewnym jego łaski.

Starosta. Co za próżna obawa. Xiążę Biskup rad się otaczać tém, co ma najznakomitszego w swojem duchowieństwie. Niemyśl xięże, byś nie był znany narodowi: u mnie samego, chociaż jestem żołnierzem, w zbiorze xiążek niepoślednie zajmuje miejsce, dyssertacya xiędza Chlebowicza *de oratione jaculatoria.*

X. Prosper. I panu staroście znane to pisemko?

Starosta. Ledwo że go na pamięć się nie nauczyłem, tyle razy go odczytałem. A jaka piękna łacina; sam Król nad nią się unosił. A wszakże to być musi ojciec Kleofas, o którym mój brat nie mógł się naopowiadać, takim jest jego przyjacielem.

O. Kleofas. Prawdziwy sługa JW. starosty i jego brata, jako był sługą świętej pamięci ich ojca, dobrodzieja naszego zgromadzenia; dla tego też i pan wojski na mnie łaskaw.

Starosta Mój brat pokazywał mnie w Szypianach, plan co mu ojciec Kleofas odrysowałeś na dom; wielce mi się podobał, bo i ja architekturą czasem się bawię. Mówił mnie brat że uskarżasz się ojcze, że niemasz dobrych instrumentów; pozwoliłem sobie przywieźć mu mój sztuciec matematyczny, bo niemoże być złożonym w lepsze ręce, i mam go z sobą w karecie.

Wojski. Zmiłuj się bracie, nie oddawaj go dziś ojcu Kleofasowi, bo z radości całą noc spać nie będzie.

O. Kleofas. O jak to zaraz pan wojski mnie osławiasz przed JW. bratem. Ja nie wart jego łaski, anim na nią miał czas zasłużyć: wszakże nadzieja jeszcze silniej działa na sen, niż pewność; ztąd wielce mądre przysłowie, *qui cito dat, bis dat.*

Starosta. Mon frère, proszę cię każ przynieść sztuciec, żebym się zaraz mógł napatrzyć na ukontentowanie tak znakomitego architekta który i przy lada narzędziach, już cuda robi.

Wojski wyszedł i wkrótce powrócił ze sztuccem saflanowym; gdy go otworzono, a Bernach zobaczył w perłową macicę oprawne cyrkle i wszystko co tylko potrzebném było, nawet kompas i libellę, ledwo nie oszalał z radości; każdą sztukę po razy kilka obracał w rękach, w ciągłych wykrzyknikach; szczególnie nad kompasem się zastanawiał.

— No jaśnie wielmożny panie, odezwał się do generała, od dnia jutrzejszego zegar pański, będzie iść jak

się należy. Odkąd żyję nic nie widziałem równego darowi którym otrzymał dopiero: i po mojéj śmierci będzie on chlubą naszego zakonu.

Wojski. Spodziewam się ojcze Kleofasie, że kilka koronek zmówisz na intencyę mojego brata.

O. Kleofas. Co to koronki, ja przez pięć piątków dyscyplinować się będę, ażeby Bóg najwyższy tyle mu dał błogosławieństw, ile ja radości doświadczam.

Starosta. Nie, nie, dyscypliny nie przyjmuję, o koronki proszę, a jeżeli łaska jedną mszę na moją intencyę zmówić, to za nadto będę nagrodzony.

O. Kleofas. Odmówię ich dziesięć i to śpiewanych, na jutrzejszą zapraszam JW. starostę do tutejszéj kaplicy, która architekturą swoją, zapewne zasłuży na jego pochwały.

Generał. Czémże mogę służyć panu staroście, czy pan pozwolisz siebie rozgrzać po podróży kieliszkiem starego wina.

Starosta. Dziękuję panu generałowi dobrodziejowi, piersiowa słabość pod karą śmierci nie pozwala mnie używać mocnych napojów. Jeżeli pan pozwolisz, zasiądę przy stoliku, i wproszę się do panny łowczanki, żeby dostać téj kawy, któréj wonia tak pieści zmysły. Jakżem szczęśliwy że przecie tu panie znajduję; boście miały panie z Nieświeża po drodze wstąpić do jednéj z swoich krewnych, jakeście mnie mówiły.

Łowczanka. Było to w projekcie, ale że pani generałowa Morawska i xiężniczka Marya, zatrzymały nas jedną dobę nad zamierzony czas, nie mogłyśmy zbaczać z drogi, wiedząc o niecierpliwości z jaką braciszek nas oczekiwał.

Zosia. A droga tak zła, żeśmy ledwo we dwa dni zajechały do domu, chociażeśmy śpieszyły ile można było, by ojcu pomagać do przyjęcia oczekiwanych gości. Od czterech lat, pierwszy raz na tak długo odłączyłam się od ojca; i to mi było tak przykro, że wśród zabaw Nieświeża, nie raz się zasmucałam.

Łowczanka. Braciszek koniecznie z nami chciał jechać do Nieświeża, ja lękając się o jego zdrowie, ledwo mu to wyperswadowałam; myślałam że bez nas będzie statkował, ale on nic nie robił tylko polował. Żeby już te polowanie mu obrzydło nakoniec, czy można w tym wieku, męczyć się po zimnie i słotach jakby jakiemu młodzikowi.

Generał. At-byś nie gdyrała siostro, żeby nie polowanie, dawno byś po mnie płakała: to moje zdrowie. Co by to człowiek robił na wsi, żeby nie polowanie. Czemu to ja siostro, nie przeszkadzam tobie pończoszkę robić. Ale to tak zawsze z babami; wszystko gdyrze na moją psiarnię, chociaż jéj nie widzi tylko przez okno, a ja nic nie mówię, że jéj suczka ciągle na jéj kolanach siedzi, i byle co, tak piszczy jakby ją zarzynano. Z niedzieli mości starosto wezmę się do działu moich panów, bo w sobotę muszę koniecznie w las wyruszyć: mamy wiadomości dobre od mojego Mirona; jest odyniec i maciora z warchlakami; panie Michale, będziemy mieli bal, pan wojski to ale myśliwy, pan starosta jako kawaler wielkiego świata, tém się zapewne nie bawisz.

Starosta. I owszem, chociaż czas mnie nie pozwala oddać się téj pięknéj zabawie z namiętnością, jednak polowanie lubię, i nie raz polowałem z Królem francuzkim na jelenie i dziki, i proszę pana generała zabrać

mnie z sobą na sobotnie polowanie. Mam z sobą dobrą strzelbę, i chciałbym sprobować litewskich łowów.

Generał. I wierz mi mości starosto, że niemasz zabawy milszéj i więcéj właściwéj szlacheckiemu stanowi. Jak po szczęśliwém polowaniu wracam do domu, córka, siostra, domownicy, wszystko milszém mi się wydaje.

Starosta. Panie generale dobrodzieju, pan w kniei, a córka i siostra za nim tęsknią. A ja sierota prawdziwy, bezżenny, bezdzietny, bezdomy, niema komu mnie powitać, i jak umrę, pamięci po mnie nie zostanie.

Wojski. Ożeń się bracie, osiądź w mojem sąsiedztwie na roli ojczystéj, pójdź torem naszych ojców. Sam przyznajesz że życie samotne jest ciężkie.

Generał. Cóś młodszy *ad rem* przemawia.

Starosta. Niema sposobu, panie generale, opierać się swojemu przeznaczeniu, jakkolwiek ono jest trudne. Byle się uspokoiło w ojczyznie, moim zamiarem Królowi podziękować i udać się do Malty, by tam wykonać formalne śluby zakonu którego jestem komandorem. Będę zupełnie waszym bratem ojcze Kleofasie, takie jest moje postanowienie niezmienne. A tak majątek po ojcu objęty, tam wróci dokąd był przeznaczony, a nawet z naddatkiem, bo z łaski Króla pana mojego miłościwego, mam już inny majątek aż nadto dostateczny dla potrzeb poczciwego człowieka. Po tylu wojnach, podróżach, poświęceniach dla świata, czas myśleć o duszy, i o obowiązkach nie światowego, ale chrześcijańskiego rycerza.

Wojski. A to co za nowa myśl.

Starosta. Nie bracie, wcale nienowa, i nie w in-

néj myśli przyjąłem komandoryę poznańską. Nawet nie bez wyrzutu sumienia i honoru, noszę znaki, pobieram dochody, a nie dopełniam obowiązków zakonnika.

X. Prosper. Dobrze mówi pan starosta i wielce się z tego buduję. Rycerz-zakonnik, ale prawdziwy zakonnik, jest najwyższą ozdobą szlacheckiego stanu. Pan Michał zamiast utrudniania powołania brata, powinien by się owszem z niego cieszyć: ja sam przypatrywałem się w Malcie okazałości waszego zakonu, i miałem zaszczyt być przedstawionym wielkiemu mistrzowi. On jest z dostojnego w Hiszpanii rodu Xymenesów. Jaki to mąż pobożny! żywy przykład dla wszystkich zakonników, chociaż udzielny monarcha.

Generał. Jak pan starosta uskuteczni swoje przedsięwzięcie, swojego czasu, możesz także zostać monarchą na téj wyspie: jaki byłby to zaszczyt i promocya dla jego synowców; nieprawda panie Michale?

Wojski. Wolałbym żeby brat robił tak jak my, a nie myślął o tych Maltach. Wszak tak ojcze Kleofasie?

O. Kleofas. Piękna to wprawdzie Malta, a jéj rycerze są mi podwójną bracią, bo i szlachta i professy, ale co tam Polak dobrego wymyśleć może, siedząc na gołéj skale, chyba wędką śledzie będzie łapał, a têm ani ojciec, ani dziad JW. starosty się nie bawił. Wszakże *homo proponit, et Deus disponit.* Nikt nie jest panem swojéj woli; układa człowiek siak, a zrobi się tak. A co ma być to będzie, bo *sine Dei consilio, sine Providentia, sine causa, nihil fiet in orbe.*

X. Prosper. To jak widzę ojciec Kleofas z Jansenistami trzymasz, *in praedestinatione* wierzysz.

O. Kleofas. Jak to z Jansenistami? Wszakże ja przytaczam sentencye z Tomasza a Kempis.

Starosta. Jak-że mi panowie Francyą przypominacie. Kiedym ją opuszczał, o niczém nie mówiono tylko o Jansenistach, ale od czasu jak Polskę zamieszkałem, ten wyraz Jansenizm piérwszy raz obija się o moje uszy. Wszak Xiądz Chlebowicz, który był we Francyi, musi wiedzieć że xiążę de Choiseul, piérwszy minister, uchodzi za gorliwego poplecznika Jansenizmu, chociaż ci co go bliżéj znają, mówią że w Boga nie wierzy. Jednak grzeszę to o nim mniemanie powszechne powtarzając, bo był wielce łaskaw na mnie kiedy służyłem chrześcijańskiemu Królowi, a ta łaska spada teraz na naszego brata Mycielskiego.

Generał. Mój Boże! jak to lata mijają. Ja od ołtarza prowadziłem waszą matkę, kiedy ona wiarę zaprzysięgała najserdeczniejszemu mojemu przyjacielowi; ta to już będzie temu około lat trzydziestu pięciu. Czy mogłem się spodziewać że ją przeżyję! Ona nie miała nad lat siedmnaście, prawdziwy pączek róży; pan starosta jesteś jéj żywym obrazem, jakbym na nią patrzał; pan Michał ojca więcéj przypomina. Jak oni piękne pożycie mieli na wsi, ale jak później pan Wojciech został deputatem, a z żoną przenieśli się do Wilna, Bóg święty wie co z niemi się porobiło. A trzeba było takiego nieszczęścia, że jedna sprawa sukcessyjna zatrzymywała mnie właśnie wtedy we Lwowie; bo gdybym został w Wilnie, nigdy-by do tego nie przyszło. Byłbym pani Wojciechowéj to wyperswadował, gdyż ona wiele miała we mnie zaufania. Jak przyjechał do mnie strażnik z panem Michałem, któremu wtedy rok piąty się zaczynał, i mnie powiedział że już po rozwodzie, a ja tylko co powróci-

łem z Korony, powiadam panu staroście, że uszom moim wierzyć nie chciałem.

Zabawiało się takim sposobem towarzystwo. Wszakże wśrzód tych ogólnych rozmów pan starosta nie mało grzeczności umiał powiedzieć i Zosi i łowczance, a z tém przymileniem dowcipu chcącego się wszystkim podobać, w rzeczy saméj wszystkich zajął osobą swoją. Nawet xiądz Prosper, chociaż zwyczajnie kwaśny dla wszystkich, zwłaszcza nowych znajomości, pomimo uprzedzeń co je miał przeciw kawalerom wielkiego świata mającym odgłos nauki i światła, ciągle do niego się zbliżał rad jego uwagę wyłącznie ku sobie ściągnąć. Pochwała z ust jego wyszła dyssertacji teologicznéj *de jaculatoria oratione* robiła mu nadzieję czytania przed nim, w swobodnéj chwili, swoich rękopisów, czém obiecywał sobie go zniewolić, ile że mu nie było tajno, że starosta posadą swoją zbliżony do Króla, szafarza wszystkich łask tak dla świeckich jako i dla duchownych, często z nim poufale rozmawiał. O ile więc starosta wszystkie serca usiłował podbić powabami swojego obcowania, o tyle xiądz Prosper starał się dać mu o sobie wysokie wyobrażenie, sypiąc monologi najeżone przytaczaniami greckiemi i łacińskiemi, które starosta słuchał z tą cierpliwością, z jaką ludzie dobrego wychowania, niewidomy gwałt sobie czyniąc, umieją obcować z temi co ich najwięcéj nudzą. Takie położenie rzeczy przetrwało i wieczór i wieczerzę. Potém nastąpiły długotrwałe ceremonije ze strony generała, chcącego koniecznie *personaliter* odwieść starostę na kwaterę; ale starosta przez żaden sposób na to nie chciał pozwolić. Odwiozła więc kolasa generała, samych braci Strawińskich na komissaryę, w assystencyi koniuszego Buńczukiewicza, który ich konno przeprowadził, a

domownicy niewodowscy jeszcze godzinę pozostali, by z sobą pomówić o gościu.

— Bardzo mi się podobał starosta, zagaił generał; chociaż kawaler nowomodny, zna dobrze rzeczy polskie, a jak pięknie się tłómaczy. Szkoda że tak gorliwie trzyma z Poniatowskim, bo ja zawsze swoje powtarzam, że z tego narzutu nie będzie dla nas pociechy.

— Trudno też wymagać, odezwał się Bernach, żeby nie popierał strony swojego dobroczyńcy; dobre za nadobne, jak mówią. Wreszcie kiedy takie szczęście Stanisława Augusta że został naszym Królem i wszyscy królowie za takiego go przyznali, cóż pozostaje lepszego jak zgodzić się z wolą Pana Boga. Dość że pan starosta jest pan uczciwy, grzeczny, pełen zdania, i umie szanować ludzi wiekiem od niego starszych.

— Już to prawda, rzekła mieszając się do dyskursu panna łowczanka, że za dawnych czasów więcéj nie szanowano starych, jak ich szanuje pan starosta, chociaż wysoki urzędnik i orderowy pan. A każdemu umie cóś powiedzieć, że go za serce chwyta. Wiesz braciszku, że choć jak w Nieświeżu byli uprzedzeni przeciw niemu, nakoniec, wszystkim umiał się podobać. A jak tańcuje, jak gra na skrzypcach, a jak gładko rozmawia po łacinie. Xiądz Katenbryng przed nami wyznał, że sam lepiéj od niego w tym języku się nie tłómaczy, a przecie dość długo rozmawiali z sobą.

Nawet xiądz Prosper, może piérwszy raz w życiu, rozszerzał się z pochwałami człowieka świeckiego. Niczego mu nie braknie dodał, jak zrobić professyę w Malcie, z takiemi zaletami on tam niezawodnie dojdzie do najwyższej godności. Będzie przecie i Polak wielkim mistrzem, i wtedy się upomni o te fundusze zakonu

maltańskiego, które tranzakcya Kolbuszowska okraść usiłuje 1).

Tak to starosta był u wszystkich przedmiotem pochwał i nadziei. Na wszystkich ustach brzmiało jego nazwisko, i nigdy bez jakiegoś zaszczytnego przymiotnika. Jedna tylko Zosia milczała.

Bracia znowu na swojéj kwaterze, jakkolwiek znużeni podróżą, nie milcząc poszli do wczasu. Starosta wedle swojego obyczaju, kazał podać sobie szklankę tęgiéj herbaty, którą pijąc rozbierał się i rozmawiał z wojskim.— Co to za godny starzec twój generał, a jakie życie, jaka czerstwość zdania w tym człowieku. Wierzaj mnie *mon frère*, że nie mogę tobie nadziękować się, żeś mnie tu przywiózł. Niewodów, to jest szkoła dla mnie. Moje wyobrażenia są od waszych odmienne, *cela ne saurait être autrement* 2), ale niemogę nie wyznać, że tu tylko widziałem figury typiczne, naturę na fakcie schwytaną. W Warszawie są to tylko wybladłe kopije francuzkie 3) bez inspiracyi, bez życia. Prze-

---

1) Tranzakcya Kolbuszowska, zamieniwszy ordynacyę Ostrogską w dobra dziedziczne, chociaż po wygaśnieniu krwi założyciela już była własnością zakonu Maltańskiego, otrzymała sankcyę sejmową.

2) To nie może być inaczéj.

3) Brak oryginalności dawniéj jak dziś zawsze cechował Warszawę; i to najlepiéj się wydaje w literaturze, która jest wyrażeniem ducha społeczeńskiego. Dawniéj ona była odbiciem saméj tylko literatury francuzkiéj, dziś gmatwaniną przekopijowaną z Francyi, a częścią z Niemiec, ale jeszcze dotąd oryginalnego pisma nie wydała Warszawa. Nie można sobie wyobrazić ile ten pochóp Warszawy do naśladowania bądź Paryża, bądź Berlina i to we wszystkiem, szkody przyniósł intellektualności narodowéj.

widuję, że jak wrócę do Warszawy, śmiertelnie nudzić się będę. Dla mnie niema nic pośredniego: albo Paryż, albo polska prowincya. Potém jak tu wszystko dobrane, ten Bernardyn tak niespodziewany w swoich uwagach, ta łowczanka tak naiwna w przywiązaniu swojém do brata, te ich wzajemne gdyrania, a widać że bez siebie obejść się nie mogą. I to wszystko służy jak za oprawę Zosi, która pośrzód nich błyszczy, jak soliter bez skazy. Co to za dziwna osoba, jaki takt; to wykwintne wychowanie, bynajmniéj nieprzeszkadzające jéj zostawać w ścisłéj harmonii z tém wszystkiém co ją otacza; ta jéj postawa królowéj, cóś symbolicznego w jéj osobie, zdaje się że to jest klejnot herbowny chodzący.

Wojski. Niech Bóg błogosławionym będzie, że ci nasza Litwa tak się podobała. Obaczysz bracie, że jak między nami zasiądziesz, to nie będziesz się mógł rozstać z naszemi borami; wyjdą ci z myśli i Malta, i Paryż i Warszawa.

Starosta. Pod względem moralnym, wasz kraj jest rajem, ale to wasze życie obywatelskie trzeba z mlekiem wyssać, trzeba do niego wychowaniem swojem być usposobionym. Wiesz co *mon frère*, jeżeli z jednéj strony to co widzę mnie pociesza, z drugiéj gorzéj zasmuca.

Wojski. Dla czego?

Starosta. Bo to wszystko już jest na schyłku. Światlejsza część narodu, wiarę, obyczaje, nałogi ojczyste już znieważa; wszystko jakimś pędem niewstrzymanym dąży do odmiany; jakaś przyszłość dla was się gotuje, może nieszczęśliwa, ale jéj cofnąć niepodobna: rzeki do źrodeł nie mogą być zwrócone.

Wojski. A więc brońmy podstawy naszego szczę-

ścia, o ile nam sił pozostaje, a Bóg da że zachowamy to, co ciebie samego zniewala.

Starosta. I owszem *mon frère*, powinniśmy ile jest w nas siły dążyć do téj przyszłości, żeby od niéj nie być wydziedziczonymi. Patrz jak ci wszyscy co stoją u rudla rządowego, ze wzgardą spoglądają na starą narodowość. Duch reformy wszystko ogarnął: i wyższe duchowieństwo, i wychowanie publiczne, i wojsko, i dwór, i wielką część młodzieży. Cóż dobroduszność zdoła uczynić przeciwko zabiegom i zręczności waszych przeciwników? Każda śmierć was osłabia, każde prawie narodziny pokrzepiają stronę przeciwną. Ktoś wyższe przyjąwszy ukształcenie, jeżeli jest poczciwym, głośno oświadczać się będzie za naszą wiarą, za naszem prawodawstwem; za naszemi obyczajami; ale sam się uwodzić będzie, bo już jego wyobrażenia, jego sposób myślenia rzeczywisty, jest zupełnie innéj natury. Może miłować to na co patrzy, ale w to nie będzie wrośnięty jak wy. Weź naprzykład ojca Kleofasa, to mi prawdziwy Bernardyn polski, a xiądz Prosper, chociaż równie pobożny, że wyższe przyjął ukształcenie, już wcale jest innym; usiłuje być narodowym, a w rzeczy saméj jest odbiciem społeczeństw wam obcych. Nawet jego fanatyzm, będąc racjonalnym, jest krzewem zagranicznym, więdniejącym między wami. *A propos* xiędza Prospera, wielce ci jestem obligowany *mon frere*, że jadąc do Niewodowa, uczyniłeś mi wzmiankę o jego łacińskiéj dyssertacyi; uważałeś jakem go na wstępie zobowiązał, chwaląc to jego pismo.

Wojski. Uważałem bracie, i nawet mocno się zatroszczyłem o ciebie; wszak gdyby zaczął po szczegółach mówić z tobą o dziele swojém, mógłby ciebie zmięszać, bo by pokazało się, żeś go nigdy nie czytał.

Starosta. Nie znasz miłości własnéj autorskiéj *mon frère*, kiedy podobne przypuszczasz obawy. Żeby pochlebiać Królom, na to trzeba osóbnéj zdatności, kobiecie nawet żeby pochlebstwem trafić do serca, trzeba jakoś je okrasić; z autorem wygodniéj, im grubsze pochlebstwo, im mniéj do prawdy podobne, tem bezpieczniéj można go użyć. W Paryżu żyłem w ścisłych stosunkach z autorami, bo oni teraz w modzie; co to za plemie próżne i nieznośne. Byle który z nich kilka arkuszy myśli, to tu, to tam pochwytanych puścił w obieg, mniema już że cały świat na niego ma zwrócone oczy. Czy to we Francyi, czy w Polszcze, czy gdzie indziéj, wszyscy oni są na jeden kopyt ulani 1). Myślisz że jak wasz xiądz Prosper zaczepi mnie o szczegółach swojego pisma, tém mnie zmiesza: obaczysz że go przekonam, że jak tylko sam sobie jestem oddany, niczem innem nie jestem zajęty, jak pożeraniem jego utworów. Teraz o niczém nie myślę jak o wyratowaniu siebie od nieszczęścia którém jestem zagrożony.

---

1) W tym obrazie są zapewne wyłączności. Znam osobiście autorów pożytecznych, wzorowych, pełnych skromności, a równie obojętnych na pochwały pism czasowych, jako na ich nagany. Tacy autorowie mając szczególne im właściwe powołanie do spełnienia, postępując w swoim zawodzie z miłością bliźniego w sercu, i z silną wiarą w przyszłość, ani siebie mają za doskonałych, ani się dziwią, kiedy inni za takich ich nie poczytują. Mówię o tym gminie pisarzów koteryjnych, istnéj zarazie wieku zużytego cywilizacyą, i tak znudzonego, że tylko dziwactwami go bawić można. Większa część dzisiejszych autorów pisze nie dla xięgo-zbiorów, ale dla gabinetów lektury, bo kto ich raz przeczytał po raz drugi pewnie w ręce nie weźmie.

Wojski. Jakiego nieszczęścia?

Starosta. Oto słuchania jego pism dotąd nieogłoszonych, a musi być tego poważna ilość. Wy przynajmniéj, kiedy kto wam czyta swoje nudne banialuki, ratujecie się kurząc fajkę, ale ja niewiem czém sobie dać radę, jak mnie xiądz Prosper weźmie w obróty.

Taka była rozmowa braci, która blisko do północy trwała, nakoniec starosta, uważając że bratu już się oczy kleiły, a wiedząc że jeszcze długie pacierze ma do odmawiania, pozwolił mu pójść do spoczynku. Sam zostawszy, zamiast pacierzy od których był odwykł, zaczął wedle zwyczaju francuzkiego pisać swój dziennik, pokąd z rąk snem odrętwiałych pióro nie wypadło.

XIX.

Pobyt Starosty w Niewodowie.

Starosta był człowiekiem honoru, szacował i miłował szczerze brata, umiał być mu wdzięcznym, i bez wahania zrobił by dla niego ofiarę z życia i majątku. Ludzie namiętni, nieoparci na silnych zasadach religijnych, jeżeli mają serce szlachetne, w nadzwyczajnych okolicznościach wydobyć są zdolni z duszy wielką energiją w postępkach, wielkie ofiary dla cnoty; ale w życiu potocznem, nie będąc nawykli do ścisłego wglądania w tajniki sumienia, nie umieją unikać małych niebezpieczeństw, które niewidomą drogą nakoniec w przepaść wtrącają. Gdyby starosta do tych przymiotów, któremi tak hojnie był uposażony, miał jeszcze religiją, ze strachem byłby rozpatrywał to wrażenie, które robiły na nim, widok, obcowanie, każde słowo wychodzące z ust Zosi; byłby po dwudniowym pobycie opuścił Niewodów, a

w Warszawie wkrótce pracowitość zawodu, byłaby wymazała z jego pamięci rysy niebezpieczne. Spokój tylu istot cnotliwych nie byłby zatrutym; ale starosta, nieumiejący opierać się żadnemu pociągowi, nieumiejący przewidywać żadnych smutnych następstw z tego wszystkiego co mu się zdawało przyjemném, siedział w Niewodowie pomimo wezwań powierników swoich warszawskich, ulegając prożbom przyjaźni, które go w gościnnym domu zatrzymywały. Oni wszyscy byli zaślepieni, lecz i on niemniéj od nich był zaślepiony, i oddawał się bez wyrzutu sumnienia słodyczom przyjaźni z przyszłą bratową; obu się zdawało, że to była niewinna przyjaźń, a tymczasem najgwałtowniejsza miłość wkradała się w dwa serca, które szranki honoru i najświętszych obowiązków, nazawsze od siebie przegradzać były powinny.

Już starosta był zniewolił wszystkich mieszkańców Niewodowa ponętami swojego obcowania, i kiedy w obliczu brata, rozmawiał z Zosią w języku francuzkim, ten, daleki od wszelkiego podejrzenia, cieszył się owszem, że jego żona przyszła, znajduje w bracie najprzywiązańszego przyjaciela. W pierwszych dniach swojego pobytu do reszty zawojował generała, bo oświadczywszy chęć towarzyszenia mu na łowy, pojedyńczo wyszedł na odyńca, pomimo nalegań brata i xiędza Nowochackiego, stojących na pieńkach, żeby tak nie narażał swojego życia, i przypuściwszy go nie więcéj jak na trzydzieści kroków od siebie, wystrzałem powalił na miejscu. Stary unita, największy *venator coram Dei*, jakiego można było znaleźć w narodzie tak myśliwym jak Litwini, nie mógł do siebie przyjść z podziwu, że pan kuso się noszący, tak śmiało i tak zręcznie mógł niebezpiecznego źwierza położyć. Jednak nie tyle to jeszcze przypisywał wprawie

jego oka, ile doskonałości strzelby, która w saméj istocie i co do dobroci, i co do bogactwa oprawy, była wytworem. A starosta, uważając pożądliwe spójrzenia jakiemi stare generalisko pieściło tę strzelbę, zanadto czuł siebie uszczęśliwionym, że ją raczył przyjąć od niego w upominku. Tak siebie rozbroiwszy dla generała, już bezpiecznie odtąd wymawiał siebie od towarzyszenia jemu w dalszych łowach, i kiedy oni ścigali w lesie źwierza, on swobodnie się oddawał miłemu towarzystwu z Zosią, obok łowczanki, bernacha i xiędza Prospera, którzy aż do uniesienia się, byli jego przyjaciółmi. Generał i wojski nie mogli naopowiadać się o jego przymiotach.

—My dzieci, mawiał stary, przy panu; pan nam myśliwym, świata dałeś widzieć; xiądz Nowochacki, który także jest majster mówi, że jemu iść w kąt teraz; ale jakąż mi pan dałeś strzelbę, świat i Korona polska podobnéj nie widziały. A co powiesz panie Michale, wszakże ja wasz superarbiter, czy to nie będzie korupcya; żebyś WPan potém mnie nie zapozwał *de male gesto officio.*

—I owszem panie generale dobrodzieju, proszę sam za moim bratem; jemu więcéj potrzeba niż mnie; a cieszę się że on znajduje u pana łaskę; wszak to starszy brat, protektor *natus* młodszego.

—A choć-by miał schedę trochę lepszą, (odezwał się xiądz Prosper), to wszystko będzie dla WPana dzieci panie Michale, bo ja wiem że starosta zrobi professyę w Malcie; to go nie ominie.

—At! mieszając się do dyskursu ojciec Kleofas, natura ciągnie wilka do lasu, a szlachcica do roli. Czy to pan starosta pierwszy, co z wojny w wojnę, z pere-

grynacyi w peregrynacyę pół-wieku zmarnowali, a jednak nakoniec na wsi osiedli, żeby kopy liczyć. Panowie z roskoszy, Bóg wie co wymyślają; ale wszystko się skończy natém, że JW. starosta u nas osiądziesz i będziesz dobrodziejem naszego słonimskiego zgromadzenia, jakim był świętéj pamięci wasz ojciec pan strażnik.

— Jeżeli o to chodzi ojcze Kleofasie, nic na mojéj niebytności nie stracicie, wasze modlitwy są dla mnie nadto potrzebne, bym się o nie nie miał starać. Co tylko nieboszczyk nasz ojciec dawał rocznie na klasztor słonimski, ja to w stały przychód zamieniam, i pismem urzędowém, zalecę by z mojéj schedy całkowicie było dostawiane.

Skłonił się ojciec Kleofas; niech Bóg nagrodzi JW. panu jego uczynność dla nas biednych zakonników; ale ja zawsze swoje powiem, że miléj by nam było z kolędą do JW. pana przyjeżdżać, niż do jego rządzcy; ale ja nadziei nie tracę, to być nie może, byś JW. pan nas miał nazawsze rzucać.

— Naprzód ojcze Kleofasie, z żadnym moim rządzcą nie będziecie mieli do czynienia, tylko z moim bratem wojskim, bo jemu zadzierżawię moją schedę; a mam nadzieję czasem przyjeżdżać do mojego braterstwa na Litwę.

Tu generał się odezwał— wszakże z kolei, w roku następnym, da Bóg doczekać, sejm będzie w Grodnie, może na nim powitamy pana starostę posłem wieluńskim, a w każdym względzie, gdzie Król, tam będzie i szef jego gabinetu. Pan Tyzenhauz, podskarbi litewski, pisał do mnie tego lata w interesie, bo *intra parenthesis*, mam u niego sumkę na procencie; otoż pisze do mnie te słowa: »Mój generale, tuszę że na sejmie nadchodzącym w Grodnie będziesz posłował z Mińskiego;

jak powiedzą sejmowi amen, a Król Jegomość wróci do Warszawy, dam tobie w ekonomii polowanie na żubry, i dwie sztuk pozwolę zabić, ale tobie jednemu.” A jak wie podskarbi w jaką dudę dąć. Wszak to ja jego na rękach nosiłem. Ale gdzież mnie staremu o tem myśleć! Ja już swoje odbyłem; panu staroście to ale być posłem, albo WPan panie Michale, dla czego nie miałbyś się starać o poselstwo w Słonimskim, cała tameczna szlachta za WPanem, a ja tam przecie mam swój głos. Da Bóg doczekać, pojadę na sejmik do Słonima forsować za WPanem; w Słonimskim kij rzuć na psa, w brata Albeńczyka trafisz; jeno pan Michał za sobą nie umie mówić, ale za to ja mu usłużę; a najpiękniéj by było, żeby jeden brat posłował z Wielkopolski, a drugi z Litwy; nie prawda mości starosto? Za tygodni dwadzieścia trzy od dzisiejszéj niedzieli, moja Zosia będzie panią wójską słonimską, a i drugie trzydzieści tygodni do sejmu prędko miną; może da Bóg, będziesz jaśnie wielmożną posłową Słonimską, i brata przyjmiesz w Grodnie, już jak formalna gospodyni. Cóż tam Zosiu, zasznurowałaś sobie usta, jak gdybyś się na mnie gniewała.

— Cóż mam mówić ojcze dobrodzieju, czyż przyszłość nas biednych dziewcząt, od nas zależy.

— Dobrze powiedziałaś Zosiu. Najlepiéj wprzódy na Boga, potém na rodziców złożyć staranie; młodzież zwyczajnie o jutrze nie myśli; dziecko napiera się cacka, a jak go dostanie, zaraz sobie i sprzykrzy; ale my starzy jak zaczniemy kunktować, a rzecz obracać na każdą stronę, a potém postanowiemy co ma być, to musi być dobrze, bo należycie obmyślane. Teraz świat zaczyna się psować, karność dzieci nie taka jaka była wprzódy; ja sam byłem świadkiem jak xiążę hetman, świeć Panie

nad jego duszą, kazał synowi swojemu, teraźniejszemu Wojewodzie wileńskiemu, a wówczas miecznikowi litewskiemu, dać sto batogów, a xiążę Karol przeciw temu nie szemrał, i po dziś dzień, bez łez w oczach, słyszeć nie może wspominane imie swojego ojca. Ale to do ciebie się nie ściąga moja Zosiu; wiesz mości starosto, że to dobre i łagodne dziecię, jest skarbem chodzącym. Od urodzenia swojego nigdy się mi nie sprzeciwiła, jest to obraz jéj matki, która była aniołem w ludzkiém ciele: ja, wychowany w obozach, zwyczajnie żołnieraka, byłem prędki, gwałtowny nawet, a ona jakoś tak umiała to wszystko łagodzić dobrocią swoją, że potém co chciała robiła ze mną; nie prawda siostruniu? otoż kubek w kubek i moja Zosia. I rękę podał Zosi, ta ją ucałowała z uszanowaniem, ale na wspomnienie matki rozpłakała się. Było widzieć jak się zaraz wszystko poruszyło, a łowczanki turbacya wypowiedzieć się nie da; jak to ona z larendogry flaszką w jedném ręku, a ze szklanką wody krynicznéj w drugiém, do niéj biegała, generała ofukując, a ją zaklinając by spirytus wąchała, a wody się napiła; i xiądz Prosper powstał na ciotecznego brata.

— Wolałbyś WPan swoją córkę z chimery połajać, niż igrać z jéj tkliwością. Po co to było biednéj sierocie wspominać o matce; WPan wszystko robisz po pancernemu, a nie wiesz że z czułém sercem trzeba jak ze szkłem być ostróżnym.

— No, no, moja Zosiu, rzekł generał, jak będę ciebie przepraszał, żem został przyczyną twoich łez, to jeszcze więcéj tém ciebie rozczulę; ale wyjdź sobie z ciotunią, a jak się uspokoisz, przyjdziesz żebym ciebie u-

ściskał, bo wiesz jedynaczko droga, że ciebie miłuję nad wszystko co jest na ziemi.

Zosia z łowczanką znikły ale nie na długo, bo Zosią poznawszy frasunek ojca, wkrótce wróciła, i niczém nie była zajęta, jak uspokojeniem starca, który dopiero wtedy dał poznać, jakie miał dla niéj przywiązanie.

Nazajutrz, że to była niedziela, wojski zawiózł brata do cerkwi wiejskiéj na nabożeństwo. Śpiewano godzinki Niepokalanego Poczęcia; wśrzód tych chrapliwych i piskliwych tonów dał się słyszeć staroście głos srebrzysty Zosi, tak zajmujący, że wszystkie te fałszywe brzmienia znikły przed nim, a tylko jéj głos obijał się o jego czucie. Machinalnie odezwał się z wtórem, i głos jego błądzący wśród tylu krzyżujących się innych, zdołał zjednoczyć się z głosem Zosi. Śpiewał, ale bez najmniejszego wpływu woli; płynął myślą na oceanie dumań, błąkał się po krainach nieznanych, do ktorych duch jego dotąd nigdy nie wkraczał. Nic dziwnego że takich uczuć doświadczał, bo lubił namiętnie muzykę, i był w niéj mistrzem; a Zosi głos był tak miły, tak czarujący, metody żadnéj, czysta tylko melodya bez sztucznych ozdób, melodya rodzima, samorzutna, o któréj kunszt nie ma prawa sądzić, a która uczuciem tylko daje się pochwycić.

Wracając z cerkwi Ludwik jeszcze długo nie mógł się ocucić z swojego roztargnienia, głuchy na usilności brata chcącego z nim zawiązać rozmowę, coś nócił, a raczéj improwizował jakieś motywa muzykalne, które znawca umiał-by ocenić, bo prawdziwa muzyka, jak i poezya, jest tylko improwizacyą. Są w człowieku czynności zupełnie źwierzęce, gdzie jego część umysłowa zostaje w odrętwieniu podobném do unicestwienia. Są ludzie

których wola ciągle kieruje do myślenia; te myśli, istne twory, bywają szczytne, potężne, często nawet działawcze, wcieliwszy się w jakieś wielkie osobistości, które im nadają postać dotykalną; a znowu, jest jakiś stan excentryczny, gdzie duch tonie w oceanie zmysłom niedostępnym. Myśl po myśli pędzi ducha człowieka, jak fala po fali okręt, z tą różnicą, że jest bez sternika; już niéma ani rozsądku, ani woli, a na ich miejsce powstaje najżywotniejsze, a tém samém najdrażliwsze czucie. A ten stan excentryczny, u ludzi czułych, pobudzony muzyką, tylko muzyką może się wyrazić: kto jest pozbawiony zmysłu muzykalnego, ten wielu rzeczy psychologicznych nigdy nie pojmie 1).

---

1) Jeden filozof scholastyczny określił pięknie *myśl*, jest to wedle niego mowa, którą dusza ma do siebie; i w saméj rzeczy myśleć nie możemy, bez jakiejś wewnętrznéj mowy; jednak jest myśl muzykalna, myśl niezaprzeczona, która żadnym sposobem wysłowić się nie da, i ma swoją syntaxę odrębną. Nie ma człowieka który by był zupełnie pozbawiony zmysłu muzykalnego; wyłączam głucho-niemych. Ci co mają wstręt od muzyki, w rzeczy saméj mają wstręt od form muzykalnych, a nie od saméj muzyki, wszakże w poezyi francuzkiéj, w ostatnim wieku, formy już tak były obmierzliwe, że Laharpe, który w formach tylko widział poezyę, jednak przyznaje, że sto wierszy przeczytać jednym ciągiem jest trudno, i że to inaczéj być nię może; a przecie zjawili się poeci, którzy na nowe formy trafiwszy, dają się czytać długo, nie tylko bez stęsknienia, ale z największém upodobaniem. Zdaje mi się że i muzyka poszła tym samym torem co poezya, przetrawiła już swoje formy, i domaga się nowych; niech się zjawi w muzyce, zamiast tych artystów co ubóstwo myśli muzykalnéj usiłują zastąpić sztuczną kombinacyą tonów, jakiś Byron albo Adam muzyczny, a wtedy ci»

Kiedy się towarzystwo zebrało około pory obiadowéj, starosta unosić się zaczął nad głosem Zosi i rozmawiając z nią samą o muzyce, przekonał się że ma niesłychane pojęcie tego kunsztu. Ztąd przyszło że oświadczył, iż przez te kilka dni co zabawi w Niewodowie, chciałby dać Zosi kilka lekcyi śpiewu, gdyż szkoda żeby taka wielka zdolność leżała odłogiem. Xiądz Prosper, będąc sam znawcą, wielce aprobował myśl starosty; generał, lubo nie wielki wielbiciel muzyki, przez względ na Ludwika, pozwolił by klawikord z pokoju córki przyniesiono do pokoju bawiałnego; a Ludwik, sam go nastroiwszy, rozpoczął zawód nauczycielski. Ach co za przyjemność mieć uczennicę z takiém pojęciem, z taką zmyślnością muzykalną, po dwóch lekcyach już przejęła metodę starosty, którą on kiedyś łzy wyciskał z oczów kobiéty najzimniejszego serca, margrabiny de Pompadour. Śpiewał z Zosią duet w przytomności łowczanki i ojca Kleofasa, który jak się pokazało, namiętnie lubił muzykę; i xiądz Prosper często oklaski dawał ich śpiewowi. Razu jednego, po powrócie generała z polowania, przy całém zgromadzeniu niewodowskiém, we dwójgu exekwowali kantyk, *in voi credo o Dio mio.* Muratori pisze, że ojciec Salvatierra apostoł Kalifornii, z lutnią w ręku, a tym kantykiem w uściech, nawracał ludożerców, i tak urzeczywistniał bajkę o Orfeuszu. Tu exekucya była prawdziwém czarodziejstwem; nic dziwnego że wojski był w zachwyceniu, bo lubił muzykę, i xiądz Prosper, który

---

co nie lubią muzyki, odkryją w sobie zmysł wprzódy im nieznany. Zresztą niewiém czy jest taki, coby słysząc śpiew słowika przy świetle xiężyca, lub przy wschodzącém słońcu melodyę pasterskiego fletu, nie doświadczył jakichś wrażeń, do osobnéj kategoryi należących.

ją znał doskonale; ale generał, który od ogólnego wywołania wszelkich instrumentów muzycznych jedną tylko trąbkę myśliwską ocalił, do łez był rozczulonym i domagał się powtórzenia.

Tak tydzień po tygodniu upływał; generał już był skończył dział obu braci; interes który ściągnął Ludwika do Niewodowa, nawet pozornych przyczyn nie podawał by go dłużéj zatrzymać, a jednak o wyjeździe nie myślał. Napróżno naglące listy odbierał z Warszawy, przykuty duszą swoją do klawikortu Zosi, już nic nie umiał przedsiębrać. Rozmawiał z Zosią, albo w śpiewie jednoczył z jéj duszą, duszę własną; oboje siebie rozumieli, chociaż przed sobą samymi nie umieliby zdać rachunku z swoich myśli. Zosia częściéj niż kiedy się zamyślała, Ludwik bez niéj był milczący, ponury, nieprzystępny. Ile razy wojski na osobności zapytywał brata o pobudki jego smutku, ten się tłómaczył listami, które często odbierał z Warszawy, a które nagliły jego wyjazd, on co rad był osiąść nazawsze w sąsiedztwie brata, i wziąść rozwód z temi wyniosłemi żądzami zaszczytów i znaczenia, do których pałał, nim skosztował słodyczy życia wiejskiego, w jego towarzystwie i przyszłéj jego rodziny. Wojski poprzestawał na tém tłómaczeniu, z serdecznym afektem ściskał brata w swoich objęciach, i łzą czułości skrapiał nieraz jego lica; a tym czasem cała okolica szemrała.

Jednego poranku, z poczty przybył do starosty posłaniec z paką listów, było między niemi pismo od Króla własnoręczne, które niezwłocznie domagało się jego powrotu, i to pod utratą nazawsze łaski. W tém piśmie oświadczał Król, że się gotuje jakaś ważna okoliczność, mająca dać zupełnie inny obrót interesom politycznym

kraju, że jego współdziałanie jest niezbędne, gdyż nikomu tyle nie ufa, nakoniec w liście tym przejawiały się wielkie jakieś nadzieje w przyszłości, pokryte jednak tajemniczą powłoką. Ludwik czas jakiś pasował się z sobą, ale głos honoru i powinności zdołał przeważyć wszelkie inne pociągi; odczytał Michałowi z listu Królewskiego rozkaz mu dany stawienia się jak najrychléj w Warszawie, a pomimo nalegań Michała, żeby jeszcze tydzień pozostał z niemi, przekonał go, że nazajutrz musi Niewodów opuścić. I tak wszystko mimo siebie puszczając, a wierny nakoniec rozkazom swojego pana, zalecił Korendowiczowi by wszystko na dzień jutrzejszy było gotowe do wyjazdu, a skończywszy swoje przebranie, z sercem boleścią przeszytém, wyruszył w saniach miejscowych, co dnia dla niego przygotowanych do dworu, gdzie Michał już go był uprzedził.

Kiedy przybył do bawialnego pokoju, wszystkich mieszkańców Niewodowa zastał w smutku, bo już brat jego, był ich dopiero zawiadomił o rychłym jego wyjeździe. Michał i Zosia mieli oczy wilgotne żalem; ojciec Kleofas przywitał starostę tym rubasznym zwrotem— wolałbyś JWPan był do nas nigdy nie przyjeżdżać, niż tak rychło nas rzucać; łowczanka oświadczyła że tak jego pojazd uprowiduje wiktuałami, że do saméj Warszawy dojedzie nie głodny; xiądz Prosper ścisnął go za rękę, i wyrzekł głosem dźwięcznym szczerością: «bądź przekonany mości starosto, że prawdziwych przyjaciół tu zostawujesz.« Ale gościnność generała była nad wszelkie opowiadanie; »pomięszałeś nam szyki (powiedział) mości starosto dobrodzieju swoim wyjazdem; dziś tą samą pocztą, co WPanu dobrodziejowi przywiozła tę dla nas wszystkich smutną expedycyę, odebrałem także list z War-

szawy; jak pisze do mnie moja rodzona siostrzenica JW. Weyherowa, kasztelanowa nowa Inflancka, już teraz musi być w drodze, i lada dzień do nas przybędzie; ona by pana starostę umiała zabawić, bo to kobieta wielkiego świata, i jéj byłoby weseléj z panem, niż z nami wieśniakami.

— Jak to, przerwał starosta, pani kasztelanowa Inflancka jest siostrzenicą pańską?

— Nie inaczéj, albo ona panu znajoma?

— A jakże, mieszkając w Warszawie, nie miałbym znać największą ozdobę dworu, Król Jegomość wielce ją szacuje, i nawet często jéj się radzi; ale nie wiedziałem że z Paryża już wróciła, bo kiedym opuszczał Warszawę, o jéj powrócie nie mówiono.

— Bo to widzi pan starosta, u tych kobiet światowych, projektów tysiącami, a ledwo jeden z nich do skutku przyjdzie, zaraz trzeba go urwać i cóś innego przemyśliwać. Ona się rozwodzi z mężem swoim JW. kasztelanem; jest to najlepszy człowiek na świecie, i pewnie lepszego męża nie znajdzie, ale cóż z kobietami poradzisz. Chciała za granicą czekać końca swojego rozwodu, tym czasem pisze do mnie, że Paryż opuściła, zatęskniwszy się za własnym krajem, i że z mojego domu chce doglądać swojéj sprawy; ja zawsze jéj rad, choć to te rozwodowe sprawy, które się zagęszczać poczynają z tém nowém panowaniem, poczciwych ludzi gorszą, a tylko niepoczciwym korzyść przynoszą, ale cóż mi w to wchodzić. Moja siostrzenica choć pusta głowa, ale dusza najlepsza; jaka szkoda, że pan starosta odjeżdża, żebyście byli razem, gęba wam by się nie zamykała, bo i ona ma o czém mówić, nie dla ozdoby nosi główkę.«

— A główkę piękną, odrzekł starosta, i dobrze wewnątrz opatrzoną. Król utrzymuje, że ona w Warszawie jest najrozumniejszą kobietą, i ja na to się piszę; wszakże ona tak nawykła do Warszawy, że i tu nawet zatęskni się za nią, kiedy sam Paryż, nie zdołał z jej myśli wypłoszyć Warszawy.

— Ale, ale, odezwał się generał, dobrze żem się opatrzył, dziś niedziela, za nic z mojego domu pana starostę nie wypuszczę w poniedziałek; jest to dzień feralny; broń Chryste Jezu w dniu tym podróże rozpoczynać; gdyby jaki przypadek pana starostę w drodze miał spotkać, całe życie wyrzucałbym sobie, że go zaryzykowałem. We wtorek inna rzecz; kiedy już jego taki wyrok ostateczny, dąż sobie łaskawy panie starosto do Warszawy, nie mam prawa przeciw temu nic powiedzieć; ale jaki byłby ze mnie gospodarz, żebym gościa puszczał na podróż w dzień złowieszczbny: panie starosto, proszę tylko dzień jutrzejszy nam podarować. I Michał do brata się przybliżył, a Zosia przygaszone nieco źrenice podnosząc, odezwała się głosem srebrzystym a pieściwym:— Czyż dnia tylko jednego, będziesz nam jeszcze skąpił.

Nie mógł się oprzeć starosta prośbom brata, przyszłej bratowej, gospodarza, którego czcił i kochał, jak własnego ojca nie mógłby więcej. Nakonice czuł, że w krótkim i gorzkim żywocie ludzkim, miło jest choć dobę jeszcze przepędzić z temi, co nas miłują; każda chwila, błogo przepędzona, zdaje się iż jest ukradziona przeznaczeniu; dał się więc uprosić. Cały dzień przeszedł wesoło, bo już nie był ostatnim, w którym korzystać mieli z obcowania starosty; a on sam, nadzwyczaj wesoły, wydobywał wszystkich skarbów dowcipu

żeby zająć przyjaciół, z któremi blizko dwóch dób jeszcze miał przepędzić. Generał, nawet xiądz Prosper, ze zwykłego trybu życia, robiąc ofiarę, ten dzień do późnéj nocy przedłużyli; odszedł ich nakoniec starosta z bratem swoim, wszyscy byli weseli.

Ach czemuż odłożył swój wyjazd, jedna doba zdaje się niczém, ale wieluż nieszczęść ta doba stała się przyczyną!

XX.

Pojedynek.

Na dobrych parę godzin przed świtem, wojski, nie oglądając się na feralność dnia poniedziałkowego, wyjechał naprzód, by czekać brata w Słonimie, kędy trakt szedł do Warszawy. Nie było to bez celu: trzeba było dział uświęcić prawnemi formalnościami, które wojski brał na siebie tak, żeby starosta wszystko zastał gotowém, a oprócz tego z rachunku należało się od wojskiego przeszło trzydzieści tysięcy, bez których ten ostatni nie chciał go puścić do stolicy, lubo starosta o to nie nalegał. Już wojski mil kilka był ujechał, kiedy starosta w twardym spoczynku tak patrzał na Zosię, jakby ją widział na jawie, bo innego przedmiotu senne marzenia mu nie przedstawiały; przebudził się nakoniec, zadzwonił, spojrzał z roztargnieniem na godzinnik podróżny. Wszedł Korendowicz i szkarpetki jedwabne na

nogi mu naciągnął; dopiero wyskoczywszy z łożka rzucił na siebie szlafrok i szerokiemi krokami zaczął mierzyć przestrzeń swojego pokoju; potém usiadł i powiedział: herbaty i Laflera; przyszedł Lafler z grzebieniem i pudrem, przyniesiono herbatę; machinalnie przybliżał napój do ust, gdy Lafler upiętrzał jego głowę. Starosta zaczął nócić arye, które z Zosią exekwował i myślał o niéj i myślał bez wyrzutu sumnienia, bo już wszystkie zdolności jego duszy były w odrętwieniu; fibra tylko serca zostawała żywotną, a w niéj siła uczucia do najwyższego stopnia będąc podniesiona, tym samym już sobą władać nie umiał 1). Korendowicz dziwił się odmianie, co ją spostrzegał w nałogach swojego pana; dawniéj, nim się zdeterminował suknią wziąść na siebie, przynajmniéj godzinę robił przegląd swojéj garderoby, naradzał się z nim, słowem ubior był dla niego jakby sprawą stanu; a teraz, od dni kilkunastu już, żadnéj z nim nie miewał konferencyi, a brał na siebie cokolwiek mu podawał,

1) Puryści składnią tego okresu nazwą gallicyzmem; wiem o tém i wiem też jak za pomocą przysłówka można jéj uniknąć; ale używam niekiedy takiéj składni umyślnie, bo mam ją za logiczną a zwięzlejszą, i jako taką, mniemam być dobrym dla języka nabytkiem; jeżeli zresztą oprócz logiki trzeba tym panom innéj jeszcze powagi, powiem, że mam ją za sobą w uznanym powszechnie za wzorowego polskiego pisarza, Jędrzeju Sniadeckim.

Tylko umarłe języki kształcić się nie mogą; żyjące właśnie tém żyją, że cóś nabywają lub się czegoś pozbywają, jak wszystko co jest organiczne. Tę prawdę poznaliśmy z upadkiem klassycyzmu i wszystkie oświecone narody z niéj korzystają. Chodzi tylko w nowościach tego rodzaju, iżby były nie na szkodę, ale na pożytek języka, jak właśnie jest w niniejszym przypadku.

żadnéj uwagi do tego nie przykładając. Zauważył, że raz zapomniał był kapelusza jadąc do dworu i że aż w połowie drogi dopędził go Bośniak ze zgubą; co większa, chcąc go doświadczyć, dał mu był razu jednego suknią w paski żołte z czarnym, któréj moda już więcéj roku przeszła; a ten cały dzień w niéj chodził i ani się spostrzegł, że takiego się dopuścił anachronizmu. Nie mógł pojąć Korendowicz co się to ma znaczyć i zkąd taka odmiana; a jednak, gdyby chciał, łatwoby rozwiązał węzeł całéj téj tajemnicy, bo w szynku niewodowskim już nawet przejezdni o tém głośno mówili, tylko że Korendowicz w żadne rozmowy ze sługami dworu generalskiego się nie wdawał, przestrzegając powagi swojéj kamerdynerskiéj, a chwile wolne od usług pana obracał na granie w pikietę z Laflerem, namiętnym graczem, a którego oszukiwał niemiłosiernie, tak dalece, że większa połowa lafy fryzyera do jego rąk przechodziła.

Obojętnie skończywszy swoje strojenie się pojechał starosta do dworu i tam zastał wszystkich zebranych w pokoju bawialnym; dziwnym trafem w dniu niby ostatnim jego pobytu w Niewodowie i on i Zosia jakby się zmówili, jednę barwę na siebie wzięli: starosta miał suknię błękitną na spodzie białym, a Zosia szlafroczek błękitny biało ogarnirowany, i tę stosowność barwy najpierwéj xiądz Prosper zauważył, ale te uwagi obojętnie przyjmował generał, mocno będąc poruszony.

— Mości starosto, odezwał się, wczora odebrałem od mego siostrzeńca list z Wilna, gdzie w seminarium oczekuje wyświęcenia, po którém otrzyma kanoniją, kilkanaście tysięcy przynoszącą dochodu. Jest to bardzo światły młodzieniec, który był u mnie na opiece, a z którego i Kościół i Rzeczpospolita, swojego czasu, mieć

będą pociechę, bo xiądz Hołowiński, takie jest nazwisko mojego siostrzana, i dobrze się uczył i jest familiantem. Otoż on mnie wujowi i opiekunowi swojemu dosyła czasem nowe xiążki, które się drukują w Warszawie, a za które szkoda pieniędzy marnować. Miarkuj panie starosto, że mi przysłał drukowany projekt jakiegoś bezimiennego do następnego sejmu, w którym radzi, żeby na sejmikach zabronić głosu niepossesyonatom a mieszczanom dozwolić wyboru posłów na sejmy. Wierzaj mi panie starosto, że ledwo paraliżu nie dostałem ze złości, czytając te bluźnierstwa; żeby ten furfant swoje nazwisko był położył na czele obrzydliwego pisemka, zostałbym jego delatorem i choć stary, popierałbym sprawę narodu przeciw niemu; ale on bezimienny, szukajże wiatra w polu; a niecnota! To chyba on musi być z przechrztów: odjąć szlachcie przywileje, za które ich przodkowie gardłowali i krew przelewali, ażeby potomkom swoim zapewnić ich użycie spokojne, dla tego tylko że majątku nie mają; a obdarzyć niemi mieszczuków, łokciem i kwartą bawiących się, którzy nie kontentując się swoją magdeburyą, nam szlachcie chcą prawa pisać 1). Ciekawy jestem ktoby takich praw słuchał i ja-

---

1) Oddawna żyjemy pod despotycznėm panowaniem nie rzeczy ale wyrazów, jak jaka rzecz obrzydnie, częstokroć dość, jéj nazwisko przemienić, żeby z nią ludzi pogodzić: i tak, stronnicy konstytucyj reprezentacyjnych, powstają na szlachectwo, jako na kastę uprzywilijowaną, a nie chcą widzieć że census elektoralne we Francyi naprzykład, jest co do rzeczy prawdziwém szlachectwem, bo stanem uprzywilejowanym, wiem że mi odpowiedzą, iż każdy Francuz do stanu elektoralnego dójść może; ale to jest tylko teorya. Trzebaby naprzód przekonać, że łatwiéj proletaryuszowi francuzkiemu nabyć własność, 200 franków podatku corocznego

ki poseł szlachcic chciałby w ławicy siedzieć obok mieszczuka!

— A krakowscy mieszczanie, JW. panie, odezwał się ojciec Kleofas, czyż do najwyższych nie dochodzą dostojeństw? 1).

— To wcale co innego; mieszczanie krakowscy są szlachtą; choć Krakowa obywatel nie *Generosus vir*, ale przynajmniej *Nobilis*. Ale żeby z innych miast mieszczanin, *qua* mieszczanin, mógł posłować, a, panowie moi!... domaganie się tego jest *crimen Status*, bo narusza prawa kardynalne narodu. Otoż to teraz takie rzeczy piszą, o których za Królów Sasów i myśleć niktby się nie odważył; dziś gadają, piszą takowe nowinki, bez niczyjego zgorszenia.

— Wszakże Król jegomość, odrzekł starosta, niema w swojém ręku cenzury i wyjąwszy rzeczy tyczących się wiary, które podlegają roztrząśnieniu Biskupów, we wszystkich innych materyach *nemini vox deneganda*. Cóż więc Król winien, że ktoś niepytany i niepytający, wyrwie się z drukowaném absurdum; pewny jestem, że Król, czciciel przywilejów szlacheckich, gdyż sam ze stanu rycerskiego dostąpił korony, takich zdań, o jakich pan ge-

opłacającą, niżeli niegdyś polskiemu plebejuszowi otrzymać uszlachcenie. Powie ktoś może, że jest we Francyi dążność do wprowadzenia sufragium powszechnego; ale któż o tém niewie, że domaganie się tego nieroztropnego prawa, jest taktyką partyi arystokratycznéj, żeby demokracyę zwyciężyć, posuwając jéj zasady aż do ostatnich logicznych następstw.

1) Morsztynowie, Szembekowie, Wodziccy, mieszczanie krakowscy; do najwyższych przychodzili godności i z najpierwszemi koligacili się domami.

nerał wspomniałeś, nie tylko że nie aprobuje, ale niemi się gorszy.

— Djabła tam, mości starosto, on człowiek światowy, a tym ludziom wielkiego świata co stare, to się nie podoba; oniby chcieli żeby prawo i ustawy były zawsze świeże jak ich suknie. A to przeciwnie, prawo jest jak wino, im starsze tym lepsze; co wart żołnierz nie ostrzelany? tyle co prawo, które jeszcze nie bywszy w obiegu, nie przeszło przez przypadki. Niech największy mędrzec napisawszy prawo zapyta mię jak o niém trzymam? ja mu na to śmiało odpowiem: da Bóg doczekać za sto lat, powiem waszmość panu czy dobre czy złe, bo prawo dopiero po skutkach jakie otrzymało w narodzie ocenić się daje. Ja to co mówię, nie z palca wyssałem, ale w tym podzielam zdanie najznakomitszych naszych statystów, poczynając od brata pańskiego, przez którego ręce więcej spraw przeszło, niż przez moje, niedźwiedzi, łosiów i dzików. Chociaż P. starosta obowiązany jesteś Królowi i jego stronę trzymasz, ja wszelako otwarcie przed nim wynurzę moje zdanie, iż bezpieczniej mu wierzyć przez pół, niż ze wszystkiém. Jako przyjaciel ś. p. waszego ojca a przyszły teść pańskiego brata, ośmielam się panu staroście dać jednę radę: oto, porzuć służbę królewską, a sam króluj na swoich dobrach. O niewdzięczność nikt go nie obwini, bo jeżeli masz dary Króla, to też wiernie jemu służyłeś, więc między wami kwita; a z nami siedząc, prędzej nawet trafisz do wyższych dostojeństw, będąc dla Króla obojętnym, niż mu za nadto nadskakując: bo u nas zdawna takie założenie, że kto się Królowi okazuje groźnym, ten cóś dobrego uchwyci, a kto mu jest potulnym, na mniejszém poprzestać musi; ale może za nadto sobie pozwalam....

Nie, i owszem; nikt od pana generała nie ma więcej prawa dawać mi przestrogi, i może da Bóg, przekonam go, że jego nauka w las nie poszła.

Xiądz Prosper mieszał się do dyskursu a starosta tyle był uzyskał na nim wpływu, że zamiast dokuczania przytomnym cierpkością swoich morałów, oddawał się swobodnie ponętom rozmowy dowcipnéj, zasilając ją skarbami niepospolitego rozumu, a ojciec Kleofas rubasznemi dykteryjkami rozweselał całe towarzystwo.

Przed samym obiadem przybyło dwóch gości niespodziewanych; jeden w ubiorze albeńskim, drugi w mundurze kawaleryi narodowéj; pierwszy, był to pan Jan Wazgird, ów Albeńczyk z podwójną kresą na czole, który w czasie obiadu nieświeżskiego siedział obok Zosi. On, będąc jéj bratem ciotecznym, miał wielkie zachowanie u generała, w którego domu się wychował, gdyż matka jego, siostra nieboszczki generałowéj, ale od niéj znacznie młódsza, z ich domu wyszła za mąż; drugi, był P. Sztyrmer, chorąży chorągwi generała. Pan Wazgird pocałował w rękę generała, łowczankę i xięży i głośny całus położył na każdym policzku Zosi, a starostę zaszczycił ukłonem, przypominając, że w Nieświeżu szukał z nim znajomości. Jego powitanie ze starostą, jakkolwiek grzeczne, było jednak zimne i w jego spojrzeniu można było dostrzedz cóś nieco zaczepnego. Pan Sztyrmer był skromnym i poważnym. Przy obiedzie gęba się nie zamykała P. Wazgirdowi, był bowiem z liczby tych trefnisiów, w których prowincya w ówczas obfitowała 1).

---

1) Ci trefnisie czyli opowiadacze, chociaż ludzie nieuczeni, mieli rozum i dowcip niepospolity. Oni przedstawiali poezyą narodową, w czasie, kiedy wierszopisarstwo przywła-

Zabawiał lub usiłował wszystkich zabawiać rozmaiconemi anekdotkami dworu nieświeżskiego, wypadkami na łowach xiążęcych wydarzonemi i przygodami co ich sam doświadczał już w podróżach, już na sejmikach nowogródzkich lub na kiermaszach w Zelwie; a w tych opowiadaniach sypał niekiedy cierpkie przymówki, lub nawet otwarte szyderstwa na obyczaje zagraniczne. Gospodarza i bernacha do rozpuku rozśmieszał, łowczanka i xiądz Prosper podzielali acz w nieco niższym stopniu ich wesołość. Zosia, przymus sobie czyniąc, nieraz się uśmiechnęła; na jednym tylko staroście uważać było można, że z tych nawiedzin wcale nie był ucieszony.

Po skończonym obiedzie generał wysunął się dla spoczynku, wszyscy inni pozostali. Po kilku chwilach milczenia, P. Wazgird wziąwszy poufale Zosię za rękę, a siejąc na starostę spójrzenia szydercze, rzekł:— Cóż to siostrzyczko, jak widzę Niewodów cudu dokazuje; pan starosta, na zagranicznym chlebie wielkiego świata wykarmiony, doby nie powinienby usiedzieć w towarzystwie parafian we wsi zasklepionych, a tu siódmy tydzień bawi i zdaje się że już zapomniał o Warszawie. Komuż tak wielką odmianę w jego nałogach przypisać: czy wujowi, czy ciotuni, czy xiędzu Chlebowiczowi? Wszak prawda, mości starosto, że pan tu się nie nudzi?

—Mości panie, odpowiedział Ludwik, z tak szanownemi, tak przyjemnemi gospodarzami, jakiemi są mieszkańcy Niewodowa, nudzić się niepodobna; a co się ty-

---

szczyło było u nas jéj zaszczyty. Te anekdotyczne opowiadania, których podania przechowują się jeszcze dotąd po starożytnych domach szlacheckich, świadczą ile ducha i wyobraźni było w téj poezyi.

cze obcych, chociaż tu często przybywają goście, do dnia dzisiejszego nie było między niemi nudziarza.

P. Wazgird nosa nadstawił i wąsa zaczął kręcić, a po chwilach kilku zastanowienia— pan starosta, rzekł, z ukosa, chce mi dać do poznania, że ma mnie za nudziarza?

— Mój mości dobrodzieju, niczego nie chcę, tylko świętego pokoju z całym światem; nie wglądam w niczyje postępki i nie wykraczam pragnąc by i w moje nie wglądano i nic innego waszmość panu nie chcę dać do poznania; zresztą przysłowie niesie, że w stół uderzyć, nożyce się odezwą.

— Ja podobnych allegoryj nie lubię i nic rozumiem, a po parafijańsku wezwyczajony jestem każdemu otwarcie mówić to, co chcę by wiedział. Prosiłbym więc pana starostę by mię raczył oświecić, czy to przysłowie dopiero co przez niego przytoczone, jest pociskiem na moję osobę wymierzonym?

— A ja proszę najpokorniej waszmość pana dobrodzieja od nauczania jego osoby mię uwolnić.

— A Kiedy tak, rzekł Wazgird, to sobie samemu trzeba to wytłómaczyć. A więc...

Tu xiądz Prosper mu przerwał:— Cóż to, P. Jan, jak uważam, wedle swojego zwyczaju, chcesz szukać kłótni; ale mój brat generał wpanu wcale nie będzie obligowanym, jak się dowie, że w jego domu napastujesz gości, których poważa; a ja śmiem prosić pana starostę byś raczył odśpiewać z Zosią ten prześliczny duet onegdajszy: *Il dolore della sccura*; zaręczam że i Panu Wazgirdowi to się podoba.

Starosta usiadł przy klawikorcie z Zosią, a P. Wazgird przy oknie siedząc obok pana chorążego, zaczął je-

mu cóś szeptać do ucha; ale kiedy się duet zaczął, przybliżyli się obaj do klawikortu.

Ileż ta muzyka miała stosunku z położeniem obojga śpiewaków! Starosta śpiewał po mistrzowsku, ale gdy Zosia się odezwała, było w jéj głosie cóś tak tkliwego, cóś tak niepojętego, że Ludwik, pod koniec duetu musiał się pilnować by łez nie uronić. Wszakże ta muzyka była tak czarującą, że nawet P. Wazgird zdawał się być udobruchanym; zbliżył się do starosty i szczerze zaczął mu dziękować za przyjemne wrażenia, jakich z jego łaski doświadczał; ale starosta tak był wzruszony, że wyjść musiał, a spostrzegłszy na dziedzińcu jakieś saneczki, kazał się zawieść na swoję kwaterę, gdzie znalazł ludzi swoich, zajętych pakowaniem rzeczy.

Wkrótce po przybyciu starosta spostrzegł przez okno zajeżdżające przed dom sanie, a z nich wysiedli Pan Wazgird i pan chorąży i weszli do jego izby; starosta, przyjmując ich z uprzejmością gospodarzowi właściwą, prosił by raczyli usiąść, gdy pan Wazgird mowę do niego obrócił temi słowy:— Mości panie starosto, nie mam czasu do tracenia, a jako szlachcic ze szlachcicem otwarcie i szczerze muszę się mu wytłómaczyć. Brat pański jest zaręczony z moją siostrą, któréj sława droższą mi jest nad życie, a jéj sława nie mało cierpi na przedłużonym pana pobycie w domu jéj ojca. Rozchodzi się wieść, że pan na nią spoglądasz występném okiem; nie w innym celu tu przybyłem, tylko żeby pana zapytać, jak mam trzymać o tych wieściach, oraz go prosić, iżbyś nie tylko wyjechał z Niewodowa, ale dał mi rękę na to, że przynajmniéj przez lat trzy od dzisiejszéj daty, żadnych stosunków ani osobistych ani listownych mieć nie będziesz z moją siostrą: bo jakkolwiek chcę wie-

rzyć że te stosunki są niewinne, dosyć dla mnie, że w opinii publicznéj krzywdę przynoszą i jéj i domowi mojego wuja.

Ludwik uczuł że krew mu zakipiała w żyłach, jednak nie wyszedł z granic umiarkowania.

— Mości panie Wazgirdzie, odpowiedział, sława narzeczonéj mojego brata, nie mniéj od Wpana mię obchodzi; ale i dla niéj i dla siebie pogardzam podłą potwarzą. Z moich zaś postępków nikomu sprawy nie zdaję i pozwól Wpan sobie powiedzieć, że dla niego od mego obyczaju nie odstąpię.

— Przewidywałem Wpana odpowiedź, odrzekł Wazgird, i dla tego uprosiłem z sobą pana chorążego Sztyrmera; a czy w mojém przekonaniu odpowiedź Wpana pochodzi z obrażonéj dumy, czy z zadraśniętego sumienia, czy z obojga pospołu, to przy sobie zostawiam. Nic nam tedy nie pozostaje, jak ułożyć się o czas i miejsce do rozprawy, cokolwiek żwawszéj od tych, co na słowach się kończą, pan chorąży jest moim świadkiem, prosiłbym pana, byś ze swojéj strony podobnego wskazał, bo już odtąd wszystko od nich tylko zależeć będzie.

— Chociażbyś Wpan zostawiał do tego czas dostateczny, w tych stronach świadka nie umiałbym znaleźć, a moje starania około jego szukania, ogłaszając nasz zamiar, tém samém nie dozwoliłyby mu przyjścia do skutku; upraszam więc pana chorążego by razem raczył być i moim świadkiem, upewniając go, że z nieograniczoną ufnością polegam na jego honorze szlacheckim i oficerskim.

— I na nim się pan nie zawiedziesz, odrzekł chorąży skłoniwszy się, jakiż jest czas dla pana starosty

najdogodniejszy i jakiéj broni pragniesz użyć do téj sprawy?

— Czas nie może być inny jak jutro o świcie. Co się tyczy broni, szabla, z wymówieniem, jakie tu jest w używaniu, że pchnąć nie można przeciwnika, jest mi bronią tak obcą, jąk zapewne szpada P. Wazgirdowi: najwłaściwiéj pistolety wszystkie trudności rozstrzygną. Mam tu w pudełku pistolety doświadczone, jeden z nich P. Wazgirdowi ofiaruję.

— Nie, nie, odezwał się Wazgird, niech każdy swoich używa, mam z sobą moje, którym wierzę. W przytomności pana chorążego każdy swój pistolet nabije. Co do miejsca, mniéj niż o ćwierć mili od dworu, na trakcie wileńskim stoi karczma; tam przed świtem jutro się zobaczymy, jeżeli wola pana starosty.

— Zgoda, odpowiedział starosta.

— Teraz, przedłużył Wazgird, wracajmy razem do wuja żeby niczém nie dać poznać co myślimy z sobą zrobić przy wszczynającym się dniu jutrzejszym; wiem że pan starosta w podobnych sprawach doświadczony, nie zechcesz przedwcześnie narazić mię na gniew mojego wuja; wracajmy razem i starajmy się uprzyjemnić wzajemnie ten dzień ostatni jego pobytu, a może i żywota jednego z nas.

— I owszem, z całego serca, pozwólcie państwo bym kilka słów tylko napisał, a potém zaraz im służę. Kazał sobie podać pugilares podróżny, a dawszy rozkaz Korendowiczowi żeby jego rzeczy upakowawszy, jak zmrok nastąpi wyruszył z niemi do umówionéj karczmy i tam na niego czekał, wziął się do pisania. Po odbytéj expedycyi, która więcéj nad kwadrans nie trwała, przeprosiwszy gości że ich przetrzymał, lubo z sercem pała-

jącém gniewem, z powierzchownością jednak przyjacielską, wsiadł z niemi do sań i wrócili razem do generała bawialni, gdzie nie bez niespokojności ich oczekiwano.

Jakkolwiek pan starosta lekce sobie ważył obyczaje narodowe, we wszystkiém prym przyznając, Francyi, P. Wazgird dał mu probę waleczności polskiéj, któréj nie mógł nie oddać należytéj sprawiedliwości; widział go albowiem na kilka godzin przed śmiertelną walką tak obojętnym, tak wesołym, jak gdyby był zaproszony na ucztę. Niczém nie zdawał się być zajętym, jak tylko pomaganiem wujowi, by mu ten ostatni wieczor jego pobytu uprzyjemnić: rozmaite koncepta sypały mu się jak z rękawa, koncepta nie zawsze szczęśliwe, ale które wszystkie pobudzały jednak niepohamowany śmiech generała. Zosia była ciągle zamyśloną, a ta jéj widoczna niespokojność, tyle wywierała wpływu na Ludwika, że się wewnętrznie rumienił, iż nie mogąc sprostać w wesołości swojemu przeciwnikowi, czuł siebie być poniekąd upokorzonym. On co zwykle wieczerzy nie jadał, mniéj niż kiedy był kuszonym do odstąpienia od tego obyczaju, a uważał że Wazgird jadł za trzech. Przy wieczerzy generał nalał spory kielich winem węgierskiém starém i spełnił zdrowie starosty, w ręce pana Wazgirda; pan Wazgird, z największą uprzejmością wypił to zdrowie 1) i

---

1) Bitwa szlachecka jest aktem uroczystym; jest ona niejako przywołaniem sądu Bożego na krzywdy, którym sprawiedliwość ludzka zadość uczynić nie może. Ztąd ludzie mający się z sobą potykać, czują dla siebie poniewolny jakiś szacunek a nawet miłość i starają się wynagrodzić sobie zemstę, tém wszystkiém, co ukształcenie może mieć najpowabniejszego. Jeżeli kto kogo wyzwawszy stroni od niego, śmie przeciw niemu rzucać obelgi zaocznie, jest to człowiek

kubek próżny oddał panu chorążemu; z równą uprzejmością, chociaż małym kieliszkiem starosta wypił zdrowie i gospodarza i gości, odwdzięczając im tę pamięć o nim. Po wieczerzy generał, nad swój zwyczaj, do pierwszéj po północy bawił się z towarzystwem, aż nakoniec starosta, widząc go snem zmorzonym, ledwo uprosił, by przyjął jego pożegnanie i raczył pójść do wczasu; stary odchodząc powiedział:— Zosiu, ponieważ za godzin kilka, przyszły twój brat odjeżdża, bawże go póki sam was nie pożegna, jutro cały ranek swoje odeśpisz; a wpan, panie siostrzanie, pomagaj Zosi, by ten ostatni wieczór, w którym mam szczęście posiadać w moim domu pana starostę, pozostał mu w miłéj pamięci.

Generał odszedł, wszyscy pozostali; Zosia była smutną, ledwo niekiedy lekkim uśmiechem odpłacając rubaszne krotofile swojego kuzyna i bernacha, bo ten, choć stary, wraz z łowczanką placu dotrzymywał. Ani się spostrzegli, kiedy kukułka sześć razy kuknęła. To już było oczewistém hasłem do rozstania się; starosta ze wszystkiemi zaczął się żegnać. Zosia już łez wstrzymać nie mogła, a on sam, nie mężkim smutkiem dał poznać, ile to rozstanie się go kosztowało. Wyszedł nakoniec do żywego wzruszony, a pan Wazgird i pan chorąży oświadczyli, że go odwiozą na kwaterę. Wyszli; mróz był umiarkowany, noc miesięczna, a jéj ciszy najmniejszy wietrzyk nie poruszał; gdy sanie wyjechały za wrota, starosta towarzyszom swoim oświadczył, że pieszo chce po-

---

podły i tchórz, pomimo swojéj opryskliwości, i można iść o zakład, że albo bitwy nie będzie wcale, albo bitwa odbędzie się bez istotnego dla obu stron niebezpieczeństwa Człowiek, porywczy i grubianin jest zawsze tchórzem; umiarkowanie, władanie sobą, są firmą waleczności.

wracać, na co się obaj zgodzili tém chętniéj że ich przekonał, że to potrzeba uczynić, ażeby woźnica ich nie zdradził. Sanie odeszły, a oni piechotą puścili się do umówionéj karczmy. Tę około ćwierci mili litewskiéj pieszą przechadzkę, P. Wazgird starał się jeszcze uprzyjemnić staroście grzecznością i uprzejmością swoją. Kiedy doszli do celu podróży, już pierwsze brzaski krasić zaczęły niebiosa; w karczmie zastali wszystkich nie tylko przebudzonych, ale już krzątających się.

Nie tracąc czasu, starosta kazał Korendowiczowi podać pudło z pistoletami; Wazgird swoje miał pod pachą, a chorąży niosł w kieszeni co było potrzebném do ich nabicia. Pistolety starosty, bogato oprawne, wzbudziły podziw i przeciwnika i świadka; ale po chwili pan Wazgird, pokazując swoje panu staroście, dodał:— Może moje lazarrynki niepokaźne, ale cnotliwe; będę się starał pana o tém przekonać.

— Korendowicz, zawołał starosta, zaraz strzelać się będę z tym panem; jeżeli zginę, nie pokazuj się w Niewodowie, ale ztąd natychmiast i najspieszniéj ruszaj do Warszawy z moim ekwipażem. Żebyś nigdy przed nikim słowa nie wyrzekł o tém wszystkiém co się dziać będzie przed twemi oczyma; oto masz list, wręczysz go generałowi Ziem Podolskich: nie zapomniałem ani o tobie, ani o żadnym z moich sług, ale to co dostaniesz, będzie pod warunkiem twojego milczenia. A pan Wazgird, obracając się do arendarza, piorunującym krzyknął głosem.

— Żydzie, psie, żebyś ani ty, ani żaden z twoich, nie pisnął o tém, co się zaraz zrobi za twoją karczmą, albo proś twojego Boga żebym zginął, bo jeżeli żyw

wyjdę, a ktokolwiek wspomni o tém co się tu działo, ani ciebie, ani twojéj żony, ani twoich bachurów, ziemia przedemną nie schowa. Znasz mnie.

Żyd milczał, ale aż posiniał od strachu; pan chorąży opatrzył pistolety, a starościńskie przeżegnawszy, szepnął nad niemi jakąś modlitwę, żeby na wszelki przypadek od nich inkluza odpędzić, a obracając się do starosty:— przepraszam pana, ale pomimo jego wiedzy za granicą ci bezbożnicy mogli co niedobrego do jego broni przyczepić; co do pistoletów pana Wazgirda, ja za nie ręczę że poczciwe, wszakże jeżeli pan starosta ma w tém wątpliwość, niechaj po mojemu nad niemi zmówi krótki exorcyzm.

— A broń Boże, odpowiedział śmiejąc się starosta, jakżebym słowu pańskiemu nie wierzył; a zresztą, chyba pan chorąży nie wiesz, że jestem komandorem maltańskim, a żaden inkluz niema władzy nad rycerzem-zakonnikiem.

Potém każdy zaczął nabijać swój pistolet pod rozważném okiem chorążego, poczém poszli wszyscy poza karczmę. Chorąży dziesięć kroków odmierzył, stanął na samym środku równoległéj linii, przeżegnał się, toż samo i pan Wazgird za nim, i powiedział:— uważajcie panowie na moję komenderówkę; powiem raz, dwa, a jak usłyszycie trzy, palcie do siebie w imię Boże! a który z was nie wystrzeli, ten straci strzał.

Zaczął komenderować; starosta uważał że Wazgird brał go wyżéj klęba, on wziął go na cel w głowę, a mając i oko i rękę wprawną, był pewny że mu ją roztrzaska. Wszakże, czy można wątpić o przeznaczeniu? na to hasło *trzy*, pistolet starosty, tak niezawodny, tak

doświadczony, spalił na panewce, a kula przeciwnika na wskroś go przeszyła. Padł; pan Wazgird zbliżył się do niego, prosząc w imię Boga o przebaczenie:— Z całego serca, powiedział starosta, ani się wpan domyślasz jakąś mi zrobił przysługę odbierając mi życie. Zanieśli go, położyli na łóżku żydowskiem, a wkrótce wszystko znikło przed nim, nawet uczucie własnego jestestwa.

XXI.

Wyznanie.

Ledwo ujrzeli starostę na pościeli, pan Wazgird z panem chorążym, nietracąc czasu, śpiesznie wrócili do domu, i pokładli się w łóżkach dla nich przygotowanych, jakby o niczém nie wiedzieli; ale arendarz, widząc że starosta jeszcze nie zupełnie zabity, pojechał co tchu, oświecić komisarza niewodowskiego, żeby dał jaki ratunek rannemu. Jednak pamiętny na groźby Wazgirda, czyniąc relacyę, naprędce ułożył bajkę, że kiedy starosta przybył do jego karczmy, już tam zastał dwóch jakichś panów nieznajomych, którzy od godziny na niego czekali, że nawet koni nie kazali wyprządz. Że jeden z nich strzelił do starosty za karczmą, ale po kawalersku, a powaliwszy go, natychmiast z towarzyszem podróży zniknął. A tę relacyę poźniéj i Korendowicz potwierdził. Pan Buńczukiewicz wezwał ojca Kleofasa, i

jego zabrał z sobą do karczmy. Ojciec Kleofas nieźle obeznany z chirurgiją, naprędce choremu obandażował rany, wprzód je obmywszy, i na drągach derhami pokrytych zaniesiono go do dworu, i ulokowano nie na dawnéj kwaterze, ale w samym dworze, w bokówce obok bawialnego pokoju. Natychmiast sprowadzono z mińska regiment-felczera półku Massalskich tam konsystującego.

Felczer, człowiek w rzemiośle swoim doświadczony, rozstawionemi końmi przybywszy pochwalił ratunek Bernardyna, i skonkludował, że jeżeli dwie doby przeżyje, to wyjdzie z niebezpieczeństwa, bo pokaże się że kula prześliznęła się po kiszkach bez ich naruszenia; że potém cała usilność na to ma być łożoną, ażeby zmniejszyć gorączkę. Nakoniec zostawił lekarstwa, obiecując przyjechać nazajutrz, a chorego do jutra poruczył staraniom ojca Kleofasa, zalecając mu szczególnie, żeby na wypadek odzyskania przytomności, niedopuszczał choremu mówić, gdyż tylko największa spokojność, może zdrowie wrócić w podobnych przypadkach. Generał z nadzwyczajném wzruszeniem przyjął tę wiadomość, zaraz umyślnego posłał żeby zawrócić pana wojskiego, gdzie go znajdzie, a dowiedziawszy się że pan Wazgird i pan chorąży Sztyrmer, odprowadzali pana starostę, wziął ich na examin. Ale pana Wazgirda takie było tłómaczenie:— Chcieliśmy odwieść pana starostę na jego kwaterę, i siedliśmy z nim razem na sanie, lecz za wrotami oświadczył on że koniecznie chce iść piechotą, myśmy go odprowadzali, pomimo jego nalegań by go samego zostawić; wszakże jak zaczął nas zbywać, odrzucając naszą grzeczność, radzi nie radzi musieliśmy go odstąpić, nie chcąc okazać się natrętnemi.— Generał trochę się gniewał na siostrzana, że w tém go usłuchał. Ale pan Waz-

gird dodał:— Już ci trudno było kochany wujaszku jemu się nabijać, kiedy naszego towarzystwa nie chciał. A czart by się spodziewał, że zamiast do swojéj kwatery, pójdzie do karczmy za wsią, żeby się w niéj strzelać. I tém go przekonał, ile że pan chorąży, któremu we wszystkiém wierzył, kubek w kubek takie same dawał tłómaczenie. Poczém pożegnawszy wuja i Zosię pan Wazgird z chorążym wrócili do Nieświeża, zkąd byli przyjechali.

Starosta blizko dwóch dób leżał bez przytomności, nakoniec zdało mu się, że z twardego snu się przebudził. Otworzył oczy: niewiedział gdzie się znajduje, a wszystkie wypadki, które by go mogły przekonać o jego jestestwie, tak były pomieszane w jego umyśle, że ich wątku wynaleźć nie umiał. Otworzył oczy jeszcze więcéj, skupia ile możności myśli swoje, czuje wrażenie światła migającéj lampy, zastanawia się nieco rozważniéj nad sobą. Cóż spostrzega? oto dwie niewiasty. Jedna z nich, siedząca naprzeciw niego, ma głowę opartą o stół, i zdaje się drzemać; druga, stojąc przy łóżku, zdaje się śledzić każde jego poruszenie. Wpatruje się w ten przedmiot, natęża osłabione siły umysłu, by sobie wytłómaczyć to widziadło; zdaje mu się, że anioł zbłądził ku niemu. Przeciera oczy, przebóg! poznaje Zosię. Siostro, odezwał się przytłumionym głosem, tyż to jesteś przy mojem łożu boleści, czyż zasłużyłem na tę pociechę!

A ona, palec położywszy na ustach, rzekła:— nie wolno tobie mówić. Ja tu z ciocią przybyłam ciebie pilnować; myślałam że o tém nigdy wiedzieć nie będziesz. Ach cóżem zrobiła, cóż o mnie pomyślisz.

— Będę myślał to, co zawsze myślałem, żeś cudowną, żeś anielską istotą.

— Ludwiku, cożeś uczynił! mógłżeś tak obojętnie życie swoje narażać, i miecz utapiać w łonie tylu osób przywiązanych do ciebie. Przyznaj się żeś ranę odniósł z rąk mojego brata Wazgirda.

— Zkąd-że powzięłaś takowe mniemanie!

— Nikt się tu tego nie domyśla, ale przenikliwość przyjaźni omyloną być nie może. Wreszcie ten okrutnik, żegnając się ze mną, sam dał mi to do poznania. Proszę cię, wyznaj przedemną, jaki był powód waszéj nienawiści?

— Zofio! czemu mnie o to pytasz? Twój krewny jest najgodniejszy, najmężniejszy z ludzi, zginąć z podobnéj ręki jest zaszczytem. On zdołał wyczytać w mojem sercu, to co przed sobą samym rad byłem ukryć. Jeżeli mam żal do niego, to za to, że lepiéj jeszcze we mnie nie ugodził. Żeby mi był życie od razu odebrał, ile by nieszczęść mi oszczędził!

— I ty możesz mnie to mówić!

— Tak jest, on przeniknął niecne moje uczucia. Zofio! już dłużéj przed tobą tajemnicy mojego serca ukrywać nie mogę: wiem, że mówię do narzeczonéj mojego brata i dobroczyńcy; wiem, że mną pogardzać będziesz jak nikczemnikiem, ale już na wszystko jestem obojętny. On przeniknął prawdę: kocham cię nad życie, nad sławę, nad powinność.

— Uspokój się Ludwiku, czy zapomniałeś do kogo mówisz!

— Zofio! o wszystkiem zapomniałem. Już przeszła pora, kiedy kłamanym pozorem, mogłem zasłaniać prawdę; blizkim będąc skonu, pokażę się tobie takim, jakim jestem w istocie. Kocham cię, aż do szaleństwa, ale cieszę się, że to wyznawszy, już nie będę przeszkodą

do szczęścia mojego brata. Poprzysięgam ci na honor rycerski, że czuję, iż po tém mojém wyznaniu, już mi żyć nie wolno. Twoja wzajemność tylko zdołałaby z życiem mnie pogodzić; ale znam ciebie, znam twoje przywiązanie do ojca, twój szacunek dla mojego brata, twoją cześć dla cnoty; winienem siebie poświęcić waszéj spokojności. Ostatni raz mnie widzisz, za godzin kilka skończę żywot skołatany; odrzucę te wszystkie środki użyte dla wrócenia mi tego zdrowia, którém pogardzam. Mam nadzieję, że litościwa twoja pamięć, będzie ci niekiedy przypominać nieszczęśliwego brata, a ta myśl osłodzi ostatnie chwile mojego tchnienia.

—Okrutny, i ty byś sobie życie śmiał odbierać!

—Czy mnie na to żyć każesz, bym zawistném okiem spoglądał na szczęście mojego brata, żebym z uczuciem szatańskiem patrzał jak będziesz jemu szafowała te wdzięki, których samo wyobrażenie w obłąkanie mię wprowadza. Żebyś komu innemu przynajmniéj, a nie bratu wiarę przysięgała, odważyłbym się żyć, na to tylko żeby mu życie z piersi wydobyć; ale brat, brat, Zofio! Oddal się, nieprzeszkadzaj mnie umierać, żyć niechcę, żyć nie mogę, żegnam cię nazawsze, bądź szczęśliwą.

—Ludwiku, ja cię kocham, kocham cię nad wszystko! Żyj, ratuj swoje zdrowie, tego żądam od ciebie; a potém opuść nazawsze te strony. Jakiekolwiek są skłonności serc naszych, między niemi stoi przepaść nieprzebyta. Okażmy się jednak godnemi siebie. Z twojém przybyciem szczęście moje znikło, pozwól bym przynajmniéj sumienie nieskażone do grobu zaniosła. Ty o mnie kiedyś zapomnisz, dla was mężczyzn, sława, znaczenie, łaski królów, zdolne są zatrzeć chociażby najdroższe pamiątki; dla nas kobiet całkowite jestestwo jest w uczu-

ciach; ty nigdy niezunikniesz z pamięci mojéj. Jednak losowi mojemu opierać się nie będę. Twój brat zostanie moim mężem, a tę wiarę, którą w mojem imieniu mój ojciec mu przyrzekł, którą mu przyobiecałam w przytomności waszego ojca, już konającego, nieskazitelnie dochowam. Jeszcze cię błagam, zaklinam cię na tę miłość, o któréj ostatni raz mówię: żyj, i opuść nas; każda chwila twojego u nas pobytu, jest zabójczą, nie powiem dla szczęścia mojego, bo już to szczęście nazawsze zniszczone, ale dla mojéj sławy, dla spokojności twojego brata, którego, nieszczęśliwą żoną być muszę. Kocham cię, jeszcze raz tobie to powtarzam, bo wiem, że szlachetność twoich uczuć nie dozwoli tobie nadużywać mojéj szczerości. Żegnam cię, i rozkazuję ci żyć; twoje posłuszeństwo przekona mnie, żeś mię prawdziwie kochał: już mi się niegodzi po tém wyznaniu dłużéj z tobą pozostać; żegnam cię i zaklinam byś udawał sennego.— To wyrzekłszy, lekkiem poruszeniem za ramie obudziła łowczankę, i obie na palcach wychodząc, znikły z przed oczów Ludwika.

Starostą pozostał jakby w zachwyceniu. Umysł boleścią ciała osłabiony, a dopiero wystawiony na takie poruszenia, długi czas nie mógł się upewnić, czy to zjawisko było rzeczywiste, czy tylko marzone. Ale ten głos srebrzysty, króry wyrzekł *kocham, kocham ciebie nad wszystko*, ciągle tętniał w jego uszach, całkowite jego jestestwo było wplecione w te wyrazy. Był kochanym, i cóż więcéj go obchodzić mogło. Resztę nocy oka nie mógł zmrużyć, ale wycieńczony wrażeniami, wpadł w ten stan nieczułości, co go lekarze atonią zowią: dusza, wszelkie działanie w nim zawiesiła. Czuł cóś jakby boleść, cóś jakby pragnienie, ale już nie miał samopoznania własnych uczuć; wszystkie jego zmysły były w sta-

nie drażliwym, niemi kierować się nie mógł, bo nie był już w możności sądu o nich wydać.

Przed samym porankiem odzyskał zupełną przytomność, gorączka była silna, wszakże nieco się zmniejszyła. Machinalnie wyciągnął rękę do stołu przy łóżku będącego, dotknął się szklannego naczynia, z jakimś chłodzącym napojem, co go felczer był przepisał, i wypróżnił do dna, czem się uczuł znacznie orzeźwionym. Zaczął rozbierać rozważnie wrażenia w nocy doświadczone: namiętność i sumienie straszną walkę rozpoczęły z sobą w jego umyśle, ale sumienie zwyciężone zostało.— Cóżem ja winien, pomyślał sobie, jestem pod wpływem przeznaczenia, jakiejś konieczności, a te spełnione być muszą, bo moja wola naprożno im się opierała. Chciałem odjechać, chciałem przestrzenią całego kraju, przegrodzić siebie od tej, której mi niewolno kochać. Trzeba właśnie żeby jej krewny, obstając za jej sławą, za jej spokojnością, stał się przyczyną mojego tu powrotu, a tem samem wszystkich następstw, jakie z niego los wyprowadzi. Byłże tu wpływ mojej woli? Czyż we wszystkiem niechciałem być posłusznym głosowi sumienia? Czyż największą ofiarę, nie byłem gotów dla niego zrobić? Jednak najświętsze moje przedsięwzięcia wywrócone w jednej chwili zostały! Czyż nie mam najsłuszniejszych powodów do wierzenia, że to wszystko jest zrządzeniem jakiejś władzy wyższej, której zmuszony jestem uledz!

Wśród takich marzeń, usypiających sumienie, sen zaległ jego powieki; wszakże ten sen nie był spokojny, ale naprowadzający jakieś widziadła dręczące, jakieś groźby, jakieś zabójstwa, cóś tak poplątanego, że kiedy się przebudził, tym snem więcej był zmęczony, niż bezsennością.

Było około jedenastéj przed południem. Gdy oczy otworzył, ujrzał mieszkańców niewodowskich otaczających jego łóżko; był generał, był brat jego wojski, byli xiężą, był i Buńczukiewicz, kobiet tylko nie było. Wojski za rękę prowadził felczera, który znalazł, że wszystko idzie dobrze, tylko że gorączka jeszcze silna. Ci zacni ludzie ledwo mu spoczywać dawali, tak go zajmowali staraniem i uprzejmością. Lecz starosta był na to wszystko obojętnym, i bez trudności ulegał zaleceniom lekarza, żeby nic nie mówił; bo Zosi tam nie widział. Oczekiwał ją w dniu, w nocy myślał że to zjawisko, które mu już raz dało poznać roskosze niebieskie, jeszcze raz się powtórzy. Wszakże ta nadzieja, jakkolwiek zawiedziona, uspakajała jego cierpienia; czasem zasypiał o niéj myśląc, bo już o niczém inném nie myślał, a sny łagodniejsze pieściły duszę jéj obrazem.

Tak upłynęło dni kilka, w których znacznie zdrowie starosty poprawiać się zaczęło. Już mógł o swojéj sile siedzieć w łóżku, mógł nawet pisać, i oczekiwał z niecierpliwością chwili, w któréj lekarz, przynajmniéj po pokoju, przechadzać się pozwoli; kiedy gość pożądany od generała przybył do jego domu.

XXII.

Przybycie Pani Kasztelanowéj.

Była to pani Wejherowa, siostrzenica rodzona generała, kobiéta wyższego wychowania, a któréj piękność słynną była w całéj Warszawie. Starosta i kasztelanowa inflancka byli w najściślejszéj z sobą przyjaźni. Król przez czas niejaki w niéj się kochał, ale pomimo swych wdzięków, dowcipu i przebiegłości, nie mogła ona jego serca zatrzymać; zdradził ją Król dla krajczyny koronnéj. Był to istotny traktat: Król krajczynie poświęcił kasztelanowę, a krajczyna Królowi starostę, i tém wspólnictwem niedoli, zawiązała się przyjaźń zdradzonych kochanków. Jednakże Król nie zerwał wszelkich stosunków z panią Wejherową, wielce szacował i obawiał się nawet jéj rozumu, zaszczycał ją największą ufnością, i pomimo swojéj niewierności, jedynie dla niej, męża jéj osadził w wysokiém krześle; chociaż to dostojeństwo

nie wiele musiało go uprzyjemnić, kiedy z nim rozpoczęła była sprawę rozwodową, i z tego powodu obrała sobie *locum standi* u wuja, aż do skończenia sprawy. Generał, człowiek *de moribus antiquis*, nie był rad w duchu téj sprawie, będąc kasztelana przyjacielem; ale kasztelanija siostrzenicy jemu imponowała, i coby komu innemu nie odpuścił, dla niéj był wyrozumiałym. Pod pozorem interesu wyjeżdżając do Litwy, miała od Króla różne polecenia dyplomatyczne i list do starosty; bo, jak wiadomo, intrygi były żywiołem całkowitego jego panowania. Na piérwszy rzut oka rozstanie się kasztelanowéj z jéj mężem mogło zadziwiać; bo chociaż pan kasztelan był uważanym u dworu na którym rzadko się pokazywał, za nudziarza, trudno jéj było znaleźć wygodniejszego męża: ale miłość ją tłómaczyła. Od roku szalała za panem Gintowtem, szambelanem jego królewskiéj mości, a ten niekontentując się faworami nadobnéj kasztelanowéj, rad był z ręką bogatéj kobiéty, utwierdzić sobie świetną posadę towarzyską, do czego mu dawał zachętę i wsparcie Król protektor wszystkich spraw rozwodowych.

Po pierwszych przywitaniach z uradowanym wujem, i z jego domownikami, bo umiała wszystkich obowiązywać, chciała koniecznie widzieć starostę, i nieczekając zezwolenia wuja, ze zwykłą swoją żywością, weszła do jego pokoju; a położywszy pulchną rączkę na jego ustach:— Co to mój starosto! odezwała się, nigdy, jak widzę, nie zaprzestaniesz swojego gladiatorstwa, kiedy aż w naszéj zapadłéj Litwie, gdzie nie miałeś nawet czasu znajomości robić, znalazłeś sposób potykania się w pojedynczym boju. Ktoś z dalekich stron musiał cię tu szukać, bo nie pojmuję z kim-byś tu mógł mieć zajście.

Pewnie jakiś amant nieszczęśliwy, jakiś małżonek zazdrośny zemścił się na tobie; gdyż w każdym ważniejszym wypadku twojego życia koniecznie kobiéta główną wygrywa rolę; a obracając się do generała:— Wiesz wujaszku, że starosta zadał kłamstwo przysłowiu »wielkim panom aby z oczu, to i z głowy.« Król tak za nim tęskni jakby za kochanką, a jednak był jego rywalem; i pani krajczynie teraźniejszéj Sułtance panującéj, ile razy kto wspomni starostę, łzy w oczach stają. Widzę Ludwiku żeś prawdziwie chory, kiedy mnie nie zapytujesz o Paryżu, gdzie cztéry miesiące mnie przeszły jakby cztéry godziny, a który dopiero szósty tydzień opuściłam. Poznałam twojego brata Bertranda, on w największéj modzie, bo ciebie cokolwiek przypomina; żeni się nieborak, i podobno już ożeniony, z hrabiną de Vermont, bogatą kreolką.

— Moja siostrzanko droga, co to się znaczy kreolka?

— Wujaszku kochany tak nazywają w Paryżu Amerykanki.

— Jak to? brat przyrodni pana starosty i naszego wojskiego, z czarną kobiétą miałby się żenić?

— Ale nie wujaszku, to są Francuzki, które się rodziły na amerykańskich wyspach, i są białe, jak bielszemi być nie można, a szczególnie bratowa panów Strawińskich, któréj piękność głoszą po towarzystwach paryzkich pierwszego rzędu. Zapewne że już musiał o tém donieść dawno bratu swojemu, ale wujaszkowi opowiem szczegóły ich zaręczyn, bo te były świetne, i na nim tak niespodzianie wymożone, że rad, nierad, trzeba było zezwolić, cofnąć się nie było sposobu. On, od dwóch lat prawie, był z nią w romansie, i pomimo niewierności

swoich, szczerze się do niéj był przywiązał; ona chciała zostać jego żoną i on nie był od tego, ale jakże kawalerowi będącemu w modzie, roztrzepanemu, od jednéj do drugiéj ciągle przenoszącemu swoje affekta, obrać raz nazawsze stan poważny. Co się skłoni ku temu, to zaraz żarciki, a to xiężnéj Villeroy, a to hrabiny Boufflers, a to panny Dufé, czy Armal, czy jakiéj innéj aktorki, tak go zbiją z kontenansu, że chłopiec choćby rad się ożenić, nie śmie. Otoż w Wersalu był wielki bal na którym się znajdowałem, i nawet figurowałam, bo należałam do jednego sławnego kadryla, o którym zapewne dotąd jeszcze mówią. Była to niespodzianka przygotowana dla Króla, a stary Gardel cały tydzień, do tego kadryla nas przygotowywał, Król francuzki lubi nad wszystkie inne kolor błękitny, wszystkie też ośm par naszego kadryla były ubrane w błękitny jedwab: mężczyźni w sukniach haftowanych blaszkami srebrnemi, a my kobiety w ozdobionych perłami i brylantami; hrabina de Vermont promieniała wdziękami i brylantami, a tańcowała z gracyą Paryżanki, oraz z żywością kreolki. Kiedy Król przybliżył się do naszego koła, z takim zapałem zaczęłyśmy skakać, że to było prawdziwe czarodziejstwo; musiało się nam udać, bo Król przybliżywszy się, do skończenia naszego tańca już z miejsca nie ruszył. Gdy muzyka ucichła, Król do mnie przystąpił, i powiedział mi kilka grzeczności, na które odpowiedziałam jak umiałam; a potém zbliżywszy się do hrabiny Vermont, która wyglądała jak nimfa, jéj piękności głośny hołd zaczął oddawać, ale aż do pobudzenia zazdrości w Bertrandzie, cofniętym o kilka kroków przez uszanowanie, a który do téj zazdrości tém większe mógł mieć powody, że od śmierci margrabiny de Pompadour, królewskie serce wa-

kowało. W tém Król okiem zmierzywszy hrabiego Mycielskiego, łaskawém skinieniem, kazał mu zbliżyć się do siebie, i powiedział mu:— słyszałem mości hrabio, że żenisz się z piękną hrabiną, któréj byłeś partnerem, czy można wiedzieć, na który dzień wasz szlub naznaczony?— Najjaśniejszy panie, odpowiedział Bertrand, wszystko to zależy od woli hrabiny, któréj jestem najwierniejszym sługą. Król do niéj więc obracając mowę, rzekł,— nie myśl hrabino, żebym przez płonną tylko ciekawość, zapytywał hrabiego Mycielskiego o dniu waszego ślubu; on jest krewnym nieboszczki Królowéj, los jego mnie obchodzi; kiedyż się dasz skłonić upragnieniom jego stałego przywiązania; hrabina pomieszana odpowiedziała:— Wtedy kiedy rozkaże wasza Królewska mość, a Król na to— nie daję sobie prawa rozkazywać wpani, ale cieszyłbym się, żeby to nastąpiło od dnia dzisiejszego za tydzień.— Ledwo chwil kilka upłynęło, a już wszyscy dworzanie i damy dworu, z kolei powinszowania swoje obudwom roznosili. Tak węzeł gordyjski ich romansu przez potężnego Króla rozwiązanym został; już nikt się nie odważył żartować z Bertranda, że świat sobie zawiązał, bo Król tego żądał. Nieuwierzysz kochany starosto, jak wasz brat mnie męczył, żebym na jego szlub została; ale tak śpieszyłam do Warszawy, że trzeciego dnia po tym balu, już byłam na wielkim trakcie. Co bo to za nieoszacowany chłopiec Bertrand Mycielski, nie można jego nielubić, naprzód tak wesoły, że już samém przybyciem swoim rozwesela; powtóre tak zabawnie mówi po polsku, że aż pękać trzeba ze śmiechu; potrzecie, że kocha wszystkich swoich. Nic dziwnego że kocha Ludwika, który był dla niego drugim ojcem, ale wszystkich krewnych swoich, których nawet

nie zna. Jak się ożeni, jego dom będzie opatrznością dla każdego z naszych w Paryżu. Z tém wszystkiém dzięki Bogu, że cokolwiek czasu przepędzę w domu wujaszka: z panem starostą, nagadamy się o Warszawie. Potém siadłszy na kolanach generała, i pieszcząc go dodała:— Wujaszku, moja rzecz porządek wprowadzić w zabawach niewodowskich. W twoich zatrudnieniach kochany wujaszku żadnéj przeszkody nie zrobię; ale salon już odtąd do mnie należy, a ja go przenoszę do pokoju starosty; on przychodzi do zdrowia, trzeba go bawić, otaczając jego łóżko ostatki słabości wypłoszym. Sąmi mężczyzni niewiele mu pociechy przyniosą; proszę wujaszka, żeby ciocia łowczanka i siostrzyczka Zosia mnie pomagały do uzdrowienia starosty, wszak ci on wkrótce będzie jéj bratem, więc ceremonije miejsca mieć nie powinny: zatém tak stanęło, że pokąd doktor mu nieda absolucyi, póty u niego nasz bawialny pokój, nie prawda wujaszku?

Generał miał dla niéj wiele słabości:— Siostrzanko kasztelanowo, odpowiedział, rozporządzaj się w domu moim, i z domem moim, jak ci się podoba, i póki się tobie podoba, a tylko o to proszę, byś jak najdłużéj w nim siedziała; wiem że lepiéj odemnie zdołasz bawić starostę, bo ja sobie zwyczajnie prosty człowiek. Dziś po obiadku wszyscy się zbierzemy. jak każesz, u pana starosty, a pozwolicie bym jutro pojechał na polowanie. Pomożesz mi siostrzanko przeprosić szanownego gościa: od jego nieszczęśliwego przypadku, za który całe życie sromać się będę, że się na moim gruncie wydarzył, o krok z domu nie odstąpiłem; ale teraz kiedy już wyszedł z niebezpieczeństwa, to mnie o źwierzynie pomyśleć pozwoli.

Starosta jak umiał wynurzał wdzięczność swoją, najusilniej prosząc gospodarza, by siebie oddał zwykłym zabawom.

W istocie po obiedzie wszyscy się zebrali w komnacie leżącego starosty; była z niemi i Zosia; Zosia, którą Ludwik oglądał pierwszy raz od téj chwili, w któréj się ona mu niepowiem pokazała, ale objawiła, bo w poglądzie co na nią rzucił nic nie było cielesnego. Ona w ten czas była tak powietrzną, tak duchowną, że to było snem więcéj niż jawą, ale snem jaki Bóg zsyła tylko swoim wybranym. Teraz pokazała mu się z zatrważającą bladością, ale tak piękną, tak wrażliwą; spójrzenia jéj ciemnych źrenic były nieco przygaszone; wszystko to się działo na jawie, jednak w jéj poruszeniach, w jéj spojrzeniu było cóś takiego, co już do tego świata nie zdawało się należeć. Kiedy się zbliżyła do starosty, i zrobiła jakieś paplące zapytanie o stanie jego zdrowia, lekki rumieniec zaległ mat alabastrowy jéj lica; starosta cóś nie wyraźnie odpowiedział, serce zaczęło w nim bić gwałtownie, oczy pomimowolnie zawrzeć musiał; stracił z uwagi wszystko co się obok niego działo; czas niejaki zostawał w jakimś dręczącém zachwyceniu, a kiedy wrócił do świata rzeczywistego, zastał już rozpoczętą żwawą rozprawę między osobami co jego otaczały.

Kasztelanowa. Chociaż wujaszek, dobrocią serca powodowany, tego nie pokazuje, uważam wszakże, że niechętném okiem patrzy na moją sprawę rozwodową; bo nasi Sarmaci, tak jak Turcy ich sąsiedzi, myślą że kobiety są stworzone do niewoli, i że ojciec może szafować córką jakby jakim sprzętem. Dobrze to nasz Król raz powiedział, że dziwna jest rzecz, że ci sami, co

dla siebie dość przestronnych swobód obmyśleć nie mogą, tak powstają naprzeciw kobietom, chcącym jak najmniejszego udziału tychże swobód dla siebie. Że jako Chrześcijanie, potępiają Czerkiesów przedających własne córki do haremów carogrodzkich, a sami to robią, gdyż bez pytania córek swoich o ich zezwolenie, stanowią o ich za mąż pójściu. Czyż te słowa królewskie niewartoby złotem na marmurze zapisać? Panie wojski, urzędowy pocieszycielu i opiekunie 1) kobiet, powiedz, ale szczerze, czy w osobie twojej mam obrońcę, czy przeciwnika.

Wojski. Pozwól Jaśnie wielmożna kasztelanowo bym pozostał w milczeniu, bo przewiduję, że moje zdanie jéj się nie podoba.

Kasztelanowa. I owszem, proszę być szczerym, ja niczemu ślepo wierzyć nie chcę, a przekonaniu nie opieram się nigdy. Zanadto wielką cenę przywiązuję do szacunku mojego wuja, bym w jego przytomności, niechciała bronić siebie od wszelkich zarzutów; proszę więc pana wojskiego, kiedy takie przekonanie, stawać tu od pana Wejhera, a ja sama za sobą przemawiać będę.

Wojski. Bóg świadek, że od pana kasztelana, nigdy przeciwko niéj stawać nie będę, chociażbym jeszcze należał do palestry, a tém mniej dziś, kiedy jestem tylko rolnikiem i urzędnikiem; ale że szczerze pragnę by państwo się pogodzili z sobą, z tém się nie taję. Pani wymierzając na nas Sarmatów pociski, masz na względzie

---

1) Wojski z urzędu był opiekunem wszystkich szlachcianek swojego powiatu. Dla tego jedynym był urzędnikiem, który nie wyjeżdżał na pospolite ruszenie.

swoją sprawę rozwodową, która ich przyzwolenia nie pozyskała; któż we własnym interesie zdoła być bezstronnym, jest to rzecz prawie nadludzka: pozwól sobie pani tylko to powiedzieć, że jeżeli usiłujemy zabezpieczać sobie te, jak pani nazywasz, przesadzone swobody, między temi swobodami nie mieścimy możności osłabienia wagi przysięgi, dla tego jedynie, że ona przestaje być dogodną.

Kasztelanowa. To pan wojski do mnie to stosuje?

Wojski. Nie inaczéj, bo jużci pani tego nie zaprzeczysz, żeś publicznie panu kasztelanowi miłość i wiarę zaprzysięgła.

Kasztelanowa. Otoż to wasze jurystowskie wybiegi! Każą dziecku przysięgać, wtedy kiedy jeszcze nie rozumie co to jest przysięga, i na téj wyłudzonéj, wystraszonéj przysiędze, opierają prawo dręczenia czułéj i niewinnéj istoty; wszakże i w waszych prawach, przysięga pod nożem wykonana, niema siły obowiązującéj. Odwołuję się do xiędza wuja, chociaż powszechnie uchodzi za rygorystę; czy przysięga wymuszona może mieć wagę w obliczu sumienia?

X. Prosper. Bez wątpienia że nie; ale straszną jest rzeczą dla sumienia, roztrzygać ile w téj przysiędze było musu, a ile przyzwolenia; tu najmniejsza wątpliwość przez wzgląd na majestat Boski, na stronę czci dla majestatu rozwiązaną być powinna. Wszakże gdzie był mus niezaprzeczony, widoczny, udowodniony, tam Kościół dozwala od obowiązków zaprzysiężonych siebie uchylić; gdyż takowa przysięga była w uściech tylko, ale nie w sercu; ale biada temu, który chytrością gmatwając prawdę, powolności Kościoła śmie nadużywać.

Kasztelanowa. O co do tego, jestem spokojną na sumieniu, zapewna że mnie ani zabójstwem grożono, ani nawet rózgami straszono; ale czyż tylko takie gwałtowne środki stanowią mus; matkę jeszcze w niemowlęctwie straciłam, ojciec sprowadził dla mnie guwernantkę francuzkę, i jéj ślepo wierzył; jemu w głowie były sejmiki, łowy, gospodarstwo, a nie wglądanie w moje wychowanie. Moja guwernantka ciągle mnie się sprzeciwiała, gdyrała, głowę suszyła, a nie było komu się skarżyć, bo matki nie miałam, a ojca jak ognia się obawiałam. Jeszcze to póki byłam dzieckiem, na tém nie umiałam się poznać; ale gdy zaczęłam dorastać, prawdziwie już to było nie do wytrzymania: ja bywało chcę czytać, a ona mi xiążkę odbiera, ja chcę przejść się po ogrodzie, a ona mi każe czytać, ja chcę się ubrać tak, a ona inaczéj, żeby mi nie było do twarzy. Ojciec był bogaty, a ja jedynaczka. Przyjeżdża pan Wejher, dygnitarza syn, bogaty także i mający zachowanie u szlachty, więc od ojca mojego dobrze był przyjęty. Ja go cierpieć nie mogłam; ale z jednéj strony ojciec powtarza, że życzyłby sobie mieć takiego zięcia, jakim jest pan Wejher, a z drugiéj moja guwernantka co raz więcéj mi się naprzykrza; potém nasadzono na mnie sąsiadkę i krewnę, panią podstolinę Kostrowicką, a ona jak zaczęła mnie bechtać w obie uszy: Olesiu, jak pójdziesz za pana Wejhera, będziesz panią, ubierać się będziesz wedle swojego upodobania, o niczém innćm myśleć nie będziesz, tylko o zabawach; tam pojedziesz gdzie ci się podoba, a żadna guwernantka nie będzie na twoim karku; pan Wejher ciebie kocha nad życie, jak zostaniesz panią Wejherową, obaczysz jak wszystkie kobiéty będą zazdrościć twojemu szczęściu. A tu wszyscy mi się sprzeciwiają,

ojciec się krzywi, znowu moje służące mówią o pięknéj wyprawie, którą mi ojciec sporządzi; a mnie było lat szesnaście. Możecie państwo łatwo się domyśleć, jaki był wówczas mój rozsądek. Dość że sama nie wiedziałam kiedy i jak przyrzekłam, tyle tylko pamiętam, że mi włożono na palec bogaty pierścień brylantowy, który mi się bardzo podobał, i że mnie winszowano, że jestem zaręczoną. Chciałam się późniéj z tego wszystkiego wycofnąć; znowu podstolina z perswazyami, że jaki to będzie srom dla domu naszego, jeżeli nie dotrzymam danego słowa; a jeszcze ojciec jak się odezwał niby nie do mnie: »Jak komu dam słowo, to go muszę dotrzymać, a kto by temu chciał przeszkodzić, ten by chciał mojéj krzywdy, a ja siebie skrzywdzić nie dam. Nie było sposobu powiedzieć nie chcę; a w kilka dni potém zaprowadzono mnie przed ołtarz.

Wojski. Ja pani kasztelanowéj ani śmiem, ani chcę potępiać; wszakże jeżeli mam ze szczerością mówić, jak mi to pani rozkazałaś, to powiem, że z jéj opowiadania nic innego wnosić nie mogę, tylko że w jéj przekonaniu przysięga panny, a tém więcéj jéj obietnica, na żadną niema zasługiwać uwagę. Ja lubo mężczyzna, na takowe zesromocenie płci pięknéj, pozwolić nie mogę; bo chociażby sami rodzice wybrali małżonka dla swego dziecka, jeżeli to dziecko przyjęło wychowanie chrześcijańskie, dla niego głos rodzicielski będzie głosem Bożym, a jeżeli jeszcze to rodziców postanowienie, potwierdza własną obietnicą i przysięgą, jakże mąż szlachetny ubiegający się o przyjaźń szlachetnéj panny, nie ma na tém polegać. Zresztą widzimy że w tych sprawach rozwodowych, które od wstąpienia na tron teraźniejszego

Króla, zagęściły się w narodzie, roztrząsania nieważności małżeństwa, powątpiewania o rzeczywistości przysięgi, dopiero wtedy występują, kiedy trzecia osoba się wmięsza; nigdy przed tém. Ja nadto szanuję nasze kobiety, bym je miał wyzuwać z zaszczytów szlachectwa; a między zaszczytami, i to stoi, że *verbum nobile debet esse stabile.* A więc nie tylko przysięga, ale nawet obietnica przy zaręczynach, wymówiona przez usta uczciwéj panny, starganą być nie może, bez nadwerężenia sumienia.

X. Prosper. Panie wojski, pomieszałeś dwie rzeczy, które lubo mają z sobą przyrodzoną styczność, są jednak odrębne: obowiązki chrześcijańskie i prawidła szlacheckie. Pierwsze będąc dziełem Boga, bezwzględnie spełniać się mają, drugie są utworem ludzkim, wielce szanownym, wielce pożytecznym, wielce pomocnym do spełnienia praw Boskich, ale który względnie i stosunkowo tylko, dopełnionym być może; bo zbyt byłoby uciążliwie, wymagać męczeństwa na świadectwo prawdzie, niedanéj nam wprost od Boga. Tu rada ma miejsce, ale nie rozkaz: rodzice mają wielką władzę nad dziećmi, wszakże nie mają prawa stanowienia o ich losie bez ich przyzwolenia. Gdyby się udał do mnie syn lub córka, z wyborem przeciwnym woli rodzicielskiéj, bez wątpienia skłaniałbym ich radą moją do posłuszeństwa; ale gdybym ich ujrzał niezachwianemi w przedsięwzięciu, a nad nimi piastował juryzdykcyę duchowną, nie mógłbym im odmówić błogosławieństwa związku, aczkolwiek przeciwnego woli rodziców; bo Kościół Boży szanuje wolność człowieka, tak jak sam Bóg, który znosi jego wykroczenia, nie odbierając mu wolnéj woli. Toż i zaręczyny, obrządek mający wielką powagę w Kościele, nie taką je-

dnak, jaką mu przyznają w obywatelstwie: mus w sumieniu rozpoznany, a prawnie udowodniony *in foro externo*, rozwiązuje sakrament małżeński jako nieprawy, a tém samém niebyły, a cóż dopiéro zaręczyny. Gdyby zaręczona osoba, przedemną oświadczyła, że swojéj obietnicy dotrzymać nie może; jak szlachcica, oburzyłoby mnie może to lekceważenie danego słowa; wszelako, jako kapłan, nie czułbym siebie być w prawie odmówić jéj pobłażania, a nawet wsparcia. Bo prawo Chrystusa jest prawem porządku, ale nie jest prawem niewoli.

Kasztelanowa. Widzisz mój wojski, że twoje sułtańskie maxymy, nie pozyskały potwierdzenia xiędza Chlebowicza, którego mam zaszczyt być krewną. Wiem, że to jest text nieustannie przytaczany od prześladowców płci słabéj, że szczęście męża jest wywrócone niestałością żony, i pan Wejher codziennie to powtarza, jak modlitwy poranne; mój Boże, jakiż z niego czuły człowiek! jakże ja jestem potrzebną do jego szczęścia! Pamiętasz starosto, kiedy bez niego więcéj dwóch lat mieszkałam w Warszawie, jak on się bezemnie umiał obchodzić; zwłaszcza kiedy listami nie naprzykrzyłam się o nadesłanie mi pieniędzy. Mówiono wszędzie, i jemu nawet, że Król zanadto mnie uważa, wszakże takowe gadania, męża czułego obchodzić by powinny; on to wszystko mimo siebie puszczał, ani wyruszył po mnie z domu, owszem co tylko słyszał, z budującą przyjmował cierpliwością; ale kiedy się rozpoczęła sprawa rozwodowa, kiedy wyrachował że trzeba mi wrócić dobra posagowe, i to bez najmniejszego ołamku dla siebie, bo chwała Bogu ani dzieci nie mamy, ani żadnych odemnie nie otrzymał zapisów, dopiero znalazły się, czułość, przywiązanie, do-

piero skargi że jam mu szczęście domowe zaburzyła, że bezemnie nie może być szczęśliwym. Moja Zosiu, nie wierz tym mężczyzniskom, co to z urzędowym afektem się popisują; ja przechodziłam przez różne doświadczenia, a najzabawniéj kiedy pan Wejher w manifeście swoim śmie mówić, że ja wdzięczność powinnabym czuć dla niego. Co to za bezczelny człowiek, ja mam mu być wdzięczną, za co! Cóż on mnie kiedy dobrego zrobił? Dla nas kobiét wdzięczność jest może najsilniejszém uczuciem, silniejszém od miłości, od próżności, od zazdrości; dla tego właśnie ten manifest tak mnie oburza, że z zimną krwią o nim myśleć nie mogę. Ja mu nigdy nie odpuszczę téj potwarzy; przed Bogiem poprzysięgam, że do żadnych obowiązków wdzięczności dla pana Wejhera nie poczuwam się; ale on tego o sobie powiedzieć nie może, biorę na świadka Ludwika; on dobrze wie, ile pan Wejher powinien być mnie obowiązanym.

Generał. Moja siostrzanko kasztelanowo, nikt ciebie potępiać nie może, bo mąsz rozum i sumienie, a czy one ciebie zawiodły, czy nie, to o tém nuncyatura postanowi. A nam zwłaszcza świeckim do tego się nie mieszać; ale na xiędzu bracie złapałem kondemnatę, wszak on powiedział, że niewahałby się dać szlubu dziecku, chociażby przeciwko wyraźnej woli jego rodziców.

X. Prosper. I jeszcze to powtórzę, bo Kościół tak postanowił.

Generał. Gdyby moje dziecko, pogardziwszy mojém błogosławieństwem, odważyło się zawrzeć szluby, przeciwne woli mojéj, jabym od podobnego niecnoty wyrok zrobił, na mocy naszego statutu.

X. Prosper. I może miałbyś słuszność za sobą: ale jeżeli by twoje dziecko więcej ceniło szczęście całkowite-

go żywota, niż spadek po tobie, cóż ma w takim razie czynić kapłan? wszak bez wyłączenia każda owieczka ma prawo do jego opieki.

O. Kleofas. A karność dzieci, a czwarte przykazanie, a to mniemanie wszystkich świątobliwych ludzi, że bez błogosławieństwa rodzicielskiego niema szczęścia dla dzieci.

X. Prosper. Zadziwia mię to, że kapłan, do tego zakonnik, odważa się wojować z Kościołem, i wyszukuje jakieś sprzeczności między jego prawami a Boskiemi przykazaniami. Czcij ojca i matkę, maż to znaczyć, bierz za męża lub żonę kogo ci oni przeznaczą, chociażbyś największy i nieprzezwyciężony czuł wstręt od jego osoby; a to jest wcale nowa teologija! Wybaczaj mnie ojcze Kleofasie, że ja naszéj staréj, wolę się trzymać, a w niéj stoi wyraźnie, że bez woli wolnéj i nieprzymuszonéj obu stron, niema sakramentu. Rodzice winni radzić dzieciom swoim, wpływać godziwemi sposoby na ich postanowienie, ale samowolnie rozrządzać ich losem, nie mają prawa; rodzicielska władza jest obszerna, ale nie bezwarunkowa, 'dziecię nie jest rzeczą, jest istotą na obraz Boga stworzoną; jakże ma być odepchniętą od tych godziwych swobód, które Zbawiciel nadał rodowi ludzkiemu. A wiesz panie Józefie, że wszystkie grzechy popełnione w małżeństwach przymuszonych, ciężą na rodzicach przywłaszczających sobie podobną władzę.

W czasie téj rozmowy Zosia miała ciągle oczy spuszczone; kasztelanowa przy jéj zakończeniu była promieniejącą, ale generałowi to się nie podobało. Wyszedł nieco zachmurzony do swojéj psiarni, zabrawszy z sobą wojskiego; za ich przykładem poszli i xięża, a

wkrótce i damy odeszły. Ludwik został sam jeden, skołatany myślami, krzyżującemi się w nieprzeliczone kąty; nakoniec sen zaległ jego powieki: sen słodki, jakiego od początku choroby niedoświadczał, sen kilkanaście godzin trwający. Obudziwszy się, czuł siebie znacznie pokrzepionym na ciele, ale dusza jego była bezsilną.

XXIII.

List Kasztelanowéj do Szambelana Gintowta.

Nie mogę być obojętną na twoją pamięć Albercie, że co trzeci dzień odbieram od ciebie list długi; bo tém dowodzisz, że lubisz o mnie myśleć, że choć listownie pragniesz ze mną rozmawiać, że mnie kochasz statecznie, a przynajmniéj usiłujesz mnie o tém przekonać, a i to przecie zasługuje na wdzięczność. W ostatnim liście twoim szeroko rozwodzisz się z bojaźnią, żebym o tobie nie zapomniała, niedowierzając poniekąd mojéj dla ciebie stałości. Rzecz pewna, że nie może być przywiązania bez odrobinki przynajmniéj zazdrości. Miejże ją sobie Albercie, ale pod miarą i wagą, to jest tyle, ile ci jéj mieć pozwolę; bo jeżeli cię kocham, niegodzi się mnie wymówkami udręczać, a jeżeli przestałam cię kochać, na cóż-by ci się twoja zazdrość przydała? Przyrzekłam tobie moją rękę, i jak tylko mój rozwod się

skończy, danego słowa dotrzymam. Wszakże do téj mojéj obietnicy, ani rodzice, ani krewni, ani przyjaciele nie wpływali; był to czyn własnéj mojéj woli, a więc na mojém słowie poprzestając, proszę ciebie, oszczędzaj mi wszelkich wymówek, bo nakoniec mógłbyś niemi mnie znudzić, a miłość niczém tak prędko się nie wypłasza jak nudami. Jestem szlachcianką, i ktoby się popisywał jakąkolwiek władzą nademną, bądź pewny że zbrzydziła-bym go sobie od razu; wszakże gdybym inaczéj myślała, wróciłabym do pana Wejhera, o którym nie mogę powiedzieć żeby był mężem bardzo niewygodnym. A tyle mam doświadczenia, że niemam powodu obawiania się losu żab Ezopa, które zbrzydziwszy sobie królowanie kloca, otrzymały bociana. Pokazuję ci się wedle mego zwyczaju zupełnie taką, jaką jestem, bez najmniejszéj obłudy. Kocham cię, i za nic-bym tego nie wyrzekła, czego-bym nie czuła, ale jeżeli chcesz długo się cieszyć mojem przywiązaniem, ostrzegam cię, żebyś w niczém nie sprzeciwiał się mojej woli.

«Mój rozwód Albercie idzie szybko, bo xiążę Biskup Massalski nie tylko że mi trudności nie robi, ale jest moim doradźcą, moim protektorem: dał mi adwokata konsystorskiego, który jest fenixem w swoim rodzaju. Za pięćdziesiąt czerwonych złotych, matce dziesięciorga dzieci dowiedzie że jest bezpłodną. A oprócz niego wynalazł xiążę Biskup na defensora matrimonialnego jakiegoś kanonika, który, wziąwszy dwadzieścia pięć czerwonych złotych, tyle tylko broni ważności małżeństwa, ile tego potrzeba dla mojego interesu. Musiałam się znajdować na gruncie, podczas zjazdu nakazanego przez konsystorz. Mus najlegalniéj udowodniony: piwniczy zeznał że słyszał jakem mówiła, że mój szlub z panem Wejherem do grobu

mnie wtrąci; Węgrzynek nieboszczyka ojca świadczył, że podsłuchał, jak mój ojciec przechadzając się po ogrodzie z panem Wejherem, mówił mu, że wolę by moja córka nie żyła, niż żeby miała pójść za kogo innego niż Wpana. Dwie kawiarki i kredensarz wyznali, że w czasie benedykcyi tak szlochałam, że ani słowa słyszeć nie można było. To wszystko moi poddani, ale najlepiej mi dopisał Francuz, niegdyś przy mnie metr muzyki, a któremu dożywotnią płacę pensyę: on zeznał, że kiedy przy ołtarzu xiądz mnie zapytał, maszli wolną i nieprzymuszoną wolę? ja odpowiedziałam *nie*, a że jednak pomimo tego, ręce nam związali stułą. Te zeznania były pod przysięgą. W dwóch dniach wszystko się odbyło na gruncie, a świadkowie i sta czerwonych złotych mnie nie kosztowali. W konsystorzu sprawa nie zależy, cała rzecz o to idzie, żeby z konsystorza wileńskiego sprawa postąpiła do sądów prymacyalnych, a nie do Nuncyatury; i tego dopilnuj Albercie, bo chociaż i w nuncyaturze niema podobieństwa żeby pan Wejher mógł zwalić dekret konsystorski, tak on będzie mocno napisany, ale na co nam te zwłoki, praktykujące się w Nuncyaturze. Spodziewam się, że chcąc jak najprędzéj zostać moim mężem, tego interesu nie zaśpisz.

Czekam końca mojéj sprawy, w domu mojego wuja, generała Kunickiego. Jest to człowiek staroświecki, trochę fanatyk, a jednak pomimo mojego rozwodu, wielce na mnie łaskaw. Ale moja kasztelanija wpływa na tę jego wyrozumiałość; jak zostanę panią szambelanową, to póki cię Król nie podniesie urzędem wyższym, ani mi się pokazywać w Niewodowie. Jeszcze żebyś przynajmniéj był cześnikiem, lub mostowniczym, to by było pół bie-

dy. Ale szambelanem, i to takiego Króla, który w kontuszu nie chciał się koronować....

»Żartują z nas kobiet, że my tak wielką ważność przywiązujemy do ubioru, a w to nie chcą wchodzić, że nasza zmyślność jest częstokroć niezawodniejszą, od najgłębszych rozumowań. Ubiór zawsze objawia stopień ukształcenia; my pierwsze tego się domyśliły, a najwięksi prawodawcy, spotykając się z naszém zdaniem, nie mieli powodu tego żałować; i dobrze wiedział Piotr Wielki co robił, kiedy wprowadził ubior zagraniczny do państwa swojego. Co do mnie nie pojmuję, jak można być człowiekiem cywilizowanym w kontuszu i w żółtych bótach; do tego stroju zaraz przywiązują się zabobony, intolerancya, gnusność, szorstkość. Powiedz Albercie, czy możesz sobie wyobrazić, żeby kobiéta w górném towarzystwie żyjąca, i z jakąś starannością wychowana, kochać mogła eleganta z goloną głową? Jakkolwiek kupidynek jest kapryśném dziecięciem, żaden malarz nigdy się nieodważy go umieścić na węzle pasa słuckiego. Mogę wystawić sobie kontusznika ojcem, synem, wreszcie małżonkiem, ale kochankiem kochanym, nigdy! Gracye i uciechy uciekają od téj długiéj sukni, od téj czupryny potem stłuszczonéj.

Wszakże mam tu przed oczyma amanta staréj daty, któremu mój wuj przyobiecał swoją jedynaczkę, dla tego tylko, żeby mieć zięcia z tego samego sklepu, skąd i on sam wyszedł; tylko że zięć jest mniej wesołym, a tém samém, najkompletniejszym nudziarzem. Ten człowiek między nami siedząc godzin trzy i cztéry, gęby nie otworzy, chyba że kto kichnie, bo wtedy powie »sto lat zdrowia« a potém znowu umilknie. Ale niech no otworzy Statut Litewski, nad pierwszym rozdziałem który napa-

dnie, ledwo nie tak się rozpływa jak ty nad listem Nowéj Heloizy. Do tego głowa ogolona jak u Bernardyna, wąsy dłuższe niż u twojego stangreta, a co najśmieszniéj, u stołu tak się obwiązuje serwetą jak dziecko, żeby żupana nie obryzgać.

»I kogoż jemu przeznaczają?— Dziewczynę tak piękną... co to piękną; nic podobnego w życiu nie widziałeś, jest to bóstwo; ja kobieta w niéj się kocham. A do tego tkliwa, romansowa, wychowana dla zupełnie innego świata. Ale pomimo tych zaręczyn, tych uroczystych obietnic, czy to przyjdzie do skutku, szeroko o tém mówi Król Dawid; mam w Bogu nadzieję, że z tego nic nie będzie. Ten oblubieniec, który za każdém zbliżeniem się do swojéj oblubienicy, cóś nakształt konwulsyow sprawuje, jest pan Michał Strawiński, wojski słonimski, brat rodzony, ktoby to powiedział, naszego starosty, pod którym pracujesz w gabinecie królewskim. Wszak wiesz jaki to bywalec z Ludwika, a cóż powiesz, on jest zakochany, ale jak piętnastoletni chłopiec, w narzeczonéj swojego brata. A ona— słuchaj Albercie, już ja zaręczam, że takiego uczucia, jakie on w niéj wzniecił, żaden romanso-pisarz wystawić nie umiał. Niech się twoja Nowa Heloiza schowa z listami. A wszyscy jakby zaślepieni, nikt tu tego nie widzi, co ja od pierwszego rzutu oka poznałam. Spadła na mnie przyrodzonym sposobem rola nieco drażliwa: jestem konfidentką, opatrznością dwojga serc, dla siebie stworzonych, i, bądź co bądź, opuścić ich nie mogę. Wszakże niewszyscy kontuszowi równie są ślepi. Jakiś pan Wazgird, siostrzan nieboszczki generałowéj, a jeden z tych burdów albeńskich, co to ich ten tatar Radziwiłł wysztyftował, domyślił się jakoś, że nie dla samego działu starosta prze-

siaduje w Niewodowie. Przyczepił się do niego, obstając jakoby za sławą swojéj siostry, bo takie słowa pompatyczne są zawsze w uściech tutejszéj szlachty. Ty wiesz jak uszy starosty są łaskotliwe na wszelki dźwięk mający jakieś podobieństwo do groźby; i cóż z tego wynikło, oto że bili się z sobą na ostre, i że ten rozbójnik Wazgird, na wskróś przestrzelił naszego starostę. Jednak ten Wazgird musi być niepospolitym człowiekiem kiedy się na takiego porwał, i jeszcze go powalił. Unikaj go Albercie, żebym wiedziała że z tobą się znajduje w jedném mieście, umierałabym od strachu. Zrozumiej-że szlachtę tutejszą! Bo żeby dla kochanki, dla siebie, narażać życie, nic by nie było dziwnego; ale dla przyjaciela, żeby panu wojskiemu nie odkochano narzeczonéj— prawdziwie to są barbarzyńcy.

Chociaż bym miała w tobie najgwałtowniejszą zazdrość obudzić, powiem ci otwarcie, że się bynajmniéj nie dziwuję, że moja kuzynka jest jakby oczarowana przez Ludwika, bo jemu nie ma sposobu się oprzeć. Widziałam go leżącym na pościeli, oczy czarne, których ognia choroba nie zdołała przygasić; błękit jego brody tak wdzięcznie odbijający alabastrową białość lica. Szlachetność całéj jego postawy, cóś tak zimnego, tak rycerskiego w jego męztwie, cóś tak skromnego w jego układzie, pomimo tylu wawrzynów zdobytych i na polu sławy, i w buduarach, a do tego tak ciężko ranny dla miłości. Szczęśliwa kobiéta która myśli jego owładała— okrutna, niegodziwa, jeżeli srogością jemu się odpłaci. Wiesz Albercie, że nic tak nie zniewala serca kobiéty jak męztwo, ale prawdziwe męztwo; nikczemna tylko kobiéta oddać może serce swoje tchórzowi. Męztwo kochanka nie tylko że usprawiedliwia, ale nawet uszlachetnia sła-

bość kochanki. Ty sam długo wzdychałeś do mnie; lubiłam twoje towarzystwo, bawił mnie twój dowcip, a jednak żadnéj tobie nadziei nie pozwoliłam. Ale kiedy ująłeś się za mnie, kiedy zmusiłeś do milczenia nędznika, który potwarczym językiem popisywał się moją łaską dla niego, kiedy nazajutrz orężem rycerskim przeszyłeś mu piersi, już nie mogłam tobie nie oddać siebie w nadgrodę: i nasz Ludwik powinien być wynagrodzonym; chyba że i rozum i zręczność już mnie odstąpiły. Zosia musi być żoną Ludwika, a jak ją poprowadzi na pokoje królewskie, zaręczam że krajczyna umrze z zawiści. Bo jeszcze ci to powtarzam, nie możesz wyobrazić sobie, co to jest za piękność; napróżno chciałbyś szukać skazy najmniejszéj w tym wysiłku natury: tu nawet mikroskopiczne oko zawiści olsnąć musi— Jakże ta para będzie dobrana!

»Nie są tobie tajne zalecenia z jakiemi od Krola pojechałam do Litwy, i tych nie wypuszczam z uwagi. Starosta przychodzi do zdrowia, już się przechadza po swojéj izbie, już się nawet zajmuje swoją fryzurą, nie domyślając się o niebezpieczeństwach, któremi jest okrążony. Niewie że lada dzień może być napadniętym od Albeńczyków; ale ja nad nim czuwam, i jeżeli jego nieprzyjaciele są straszni, straszniejsi nierównie są sprzymierzeńcy których jemu dostałam, a ci go z oka niespuszczają. O! ja o tém nie wątpię że Albeńczyki radzi by go dostać w swoje ręce, bo to zakładnik niepospolity; wiedzą oni dobrze ile Król go waży. Ale nie jest to dla was źwierzyna, mości panowie Albeńczycy, napróżno na niego ostrzycie zęby, wolelibyście czém innem się zająć.

Wystaw sobie Albercie że jadąc do mojego wuja i przejeżdżając przez Kojdanów, wstąpiłem do xięcia Waragina, któregośmy tak kochali w Warszawie, a który od kilku tygodni przybył z Moskwy do swojego półku w Kojdanowie konsystującego. Wręczyłam mu listy, domyślasz się od kogo. Xiąże przyjął mnie z gościnnym przepychem swojego narodu, i chociażbyś miał dostać powtórnego paroxyzmu zazdrości, powiem ci że jak w Warszawie, tak i tu, widziałem go u nóg moich. Przyjęłam jego obiad, ty wiesz że jego kuchmistrz z Tremo może emulować 1). Prawdziwie czarodziejską mocą, sporządził sobie takie mieszkanie w nędznym Kojdanowie: zewnątrz brudna żydowska karczmą, wewnątrz siedlisko choćby królewskiéj kochanki. Bogate kobierce zawieszone na ścianach, bronzy, klawikordy, lustra, a jakie przysmaczki, jakie wety, i to na srébrze i złocie; a sam gospodarz, jednoczący w osobie swojéj dziką odwagę tatara, z grzecznością i dowcipem francuzkiego dworaka. Gdybym ci nie była oddała mojego serca, byłby dla mnie bardzo niebezpiecznym, ale przynajmniéj kokietowałam go jak umiem. Nie gniewaj się Albercie, wy mężczyzni macie sławę, władzę, wszystko— zostawcie nam kobietom chęć panowania nad sercami waszemi, chęć zajmowania was choć chwil kilka, chęć doświadczania potęgi naszych wdzięków. Widzisz jak jestem szczerą, byłażbym taką, gdybym ciebie zdradzała? Nakoniec musiałam go zniewolić, żebym dosięgła rzeczywistego celu mojego wyjazdu do Litwy, żebym się jak najskuteczniéj wywiązała z obowiązków i wiernéj poddanki, i gorliwéj przyjaciółki.

---

1) Tremo, kuchmistrz Stanisława Augusta, najzawołańszy mistrz kulinarny owéj epoki.

Xiążę Waragin ledwo przybył, a już największy effekt robi w całej tutejszéj okolicy; przyjmuje obywatelów sąsiednich, i nie może ich nie zawojować. Jakże mu się oprzeć, żyje po pańsku, ma dwór liczny, i ruble rozsypuje bez rachunku. Wedle obyczaju Słowian bogatych, mnóstwo przy sobie trzyma pieczeniarzów; co raz nowe figury snuły się przed oczyma mojemi, a on mnie tłómaczył naturę ich obowiązków; jakiś Francuz, który czyta jego xiążki, a potém mu opowiada co w nich wyczytał; jakiś Niemiec, który go bawi sztukami z kubków i kart; jakiś Włoch, który mu stroi klawikord i pilnuje jego małpy; jakiś Ukrainiec, który mu gada bajki, i jego sny tłómaczy; jakiś przechrzta, który u niego jest błaznem nadwornym; jakiś Mołdawianin, który się rachunkiem jego expensy trudni, a kradnie go bez miłosierdzia. Xiążę wie o tém, i pierwszy z tego się śmieje. Powiadam ci Albercie, żem się bawiła doskonale, i że z xięciem śmieliśmy się nie raz do rozpuku.

Przypominasz sobie Albercie w jak ścisłéj przyjaźni xiąże Waragin żył z Ludwikiem, i tę przyjaźń wiernie mu dochowuje. Z czułością słuchał kiedy opowiadałam jego przygody ostatnie; ale kiedy z listów com mu wręczyła, również jak z mojéj relacyi dowiedział się o jego niebezpieczeństwie, że lada dzień może być napadniętym i porwanym, zaraz swoje rozporządzenia porobił. Porozsyłał swoje komendy, z zaleceniem żeby dwór niewodowski mieć na oku i żeby jak tylko pokaże się najazd, zaraz staroście przyjść na odsiecz, i jego z pojazdem wprost przywieść do Kojdanowa, do dalszego jego rozporządzenia. Niema jak u nich; u nas wszystko idzie na rady, na deliberacye, na głosy, gadulii wiele, bo każdy chce się popisywać swoim rozumem, czy go ma, czy

nie ma, a tym czasem okoliczność którą za łeb chwytać trzeba, ucieka bez powrotu. U nich ledwo plan jest powzięty, już wykonany. Niedaj Boże byśmy się doczekali z niemi walki, bo jéj rozwiązanie nie może być wątpliwe; my jesteśmy ludzie rozpraw, a oni są ludzie czynu. Cóż więc dobrego dla nas wyniknąć może z téj nienawiści narodowéj, którą przeciwko nim rozniecają nasi zagorzalce; czyżby nie lepiéj żyć z niemi w przyjaźni? Ale wracając do naszego Ludwika i Król, i ty, i wy wszyscy bądźcie spokojni o jego całość; ujrzycie go wkrótce w Warszawie, może da Bóg nie samego, ale z najpiękniejszą na świecie kobietą. Dodam ci jeszcze i to, za co się zapewne gniewać nie będziesz, że wedle wszelkiego podobieństwa, i ja im będę towarzyszyć do Warszawy.

XXIV.

Konwalescencya Starosty.

Starosta szybkim krokiem wracał do zdrowia, ale o ile siła fizyczna w nim się wzmagała, o tyle jego stan moralny coraz silniejsze mu przynosił udręczenia. Póki trwała jego niemoc, widok Zosi w gronie otaczających jego łóżko przyjaciół, dawał mu czuć błogość, przerywaną często przez zgryzoty, jakie oznaki przywiązania wojskiego w jego sumieniu wzniecały. Ale ta błogość była tak wielką, iż ze strachem przewidywał, że lada dzień wypadnie mu opuścić ten dom, do którego ścian sercem już był przykuty. Miłość, jakiej podobnej nigdy nie doświadczał, i wyrzuty sumienia, taką walkę w nim sobie wypowiedziały, że wszelki hart duszy już był utracił. Bez uczuć religijnych, które jedne, są zdolne ocalić czerstwość duszy w jéj walce z namiętnościami, przywykły żadnego oporu nie stawić pociągom których

doświadczał, w czynieniu zadość namiętnościom swoim widząc owszem największe szczęście jakie człowieka spotkać może, i uprawniony w tych zasadach przez rusztowanie sofizmatów składających *corpus juris* téj zabójczéj filozofii która już była owładała wyższe części społeczności europejskiéj w ośmnastym wieku, dziwić się trzeba nad dobrocią jego natury, że jeszcze mógł doświadczać wyrzutów sumienia, że jeszcze czuł jakiś poniewolny, jakkolwiek jałowy smak do cnoty. Gdyby roztropny i prawdziwie cnotliwy przyjaciel, wyczytawszy w sercu jego, był mu podał rękę, kto wie? może szlachetna jego dusza, gorzkim ale zbawczym napojem podanym ręką przyjaźni pokrzepiona, byłaby zdolną wykonać wielkie ofiary. Ale na nieszczęście, głos przyjaźni, tak niezbędny, tak pożądany w utrapieniu, wychodził dla niego z ust najniebezpieczniejszych. Kasztelanowa, kobieta pełna dowcipu, téj łatwości w pożyciu, która, prócz tęgości, nosi wszystkie cechy cnoty, a tém samém tak do siebie przywiązuje, była osobą jak najmniéj zdolną do wzbudzenia w sercu przyjaciela w niéj ufnego, przedsięwzięć rozsądnie obmyślanych, a energicznie dokonanych. Miała serce najlepsze, była zdolną największe ofiary zrobić dla przyjaźni wedle swego sposobu myślenia; zresztą najlekkomyślniejsza osoba w zasadach, niepojmowała nawet cnoty, która ofiarę robi ze skłonności serca. Naiwna w łatwości obyczajów, bez oporu, bez wyrzutu, oddawała siebie wszystkim pociągóm, w żadnym wypadku nie zadając woli swojéj gwałtu: miłość i przyjaźń były to dwie osie, na których rydwan jéj żywota postępował. Niestała w miłości, wierna w przyjaźni, szczerze przekonaną była, że silne przywiązanie wszystko usprawiedliwia, że nawet nie wolno jemu się opierać. Przyjaciół-

ka Ludwika, szczerze przywiązana do Zosi, widziała w ich połączeniu jakąś harmoniję która ją czarowała, i wierzyła, że ma świętą powinność, to połączenie zawiązać; w niém albowiem upatrywała szczęście dwóch osób, jéj drogich, a wszystko temu przekonaniu ustąpić musiało.

Jeszcze Ludwik zupełnego zwycięztwa nie był odniósł nad boleścią, która go do łóżka przykuła, jeszcze nie mógł przechadzać się nawet po izbie, kiedy po długim śnie, obudziwszy się, ujrzał siedzącą na łóżku swojém kasztelanowę, która śledziła jego poruszenia. Kasztelanowa wziąwszy go za rękę rzekła— Ludwiku, jak widzę czas już zatarł moją pamięć w sercu twojém. Już zapomniałeś jaka przyjaźń, przyjaźń czysta, prawdziwa, nas wiązała; zapomniałeś jak my sobie pomagaliśmy wzajemnie, kiedy moja wola była prawem dla Króla, kiedy on tylekrotnie nam powtarzał, że my dwoje jesteśmy niezbędni dla jego szczęścia; zapomniałeś już o tém wszystkiem; i muszę się teraz wpraszać do twojéj przyjaźni, do twojéj ufności....

— Jabym miał zapomnieć!

— Na co mamy siebie łudzić, ja wszystko przeniknęłam, ja wiem o wszystkiem. Ty kochasz Zosię, kochasz ją, jakeś nigdy w całém życiu twojém nie kochał nikogo. Ta miłość już jest przeznaczeniem twojego żywota.

— Ach! czemuż mówisz mnie o tém, co bym chciał przed sobą samym ukryć!

— Dla czegoż?

— A wszakże ona jest zaręczoną z bratem moim, ona jest jego najdroższym skarbem, i ja miałżebym myśleć o niéj, miałżebym dopuścić się téj zbrodni!

— Ludwiku, piękne i szlachetne uczucie kładzie w usta twoje, to coś wyrzekł, ale uwodzisz siebie, bo są ofiary nad możność ludzką. Jeszcze gdyby ofiara na tobie jednym się kończyła, uwielbiając twoje poświęcenie, możebym ciebie zachęcała do tak szlachetnego, do tak godnego ciebie przedsięwzięcia; ale los Zosi już jest nieodłączny od twojego losu: ona ciebie kocha nad życie, nad wszystko. Mój Boże, jakże ci mężczyzni są pozbawieni zmyślności serca. Jéj ojciec, brat twój, xiężа, codziennie patrząc na nią, nie widzą że ona umiera z miłości. Patrz na jéj bładość, na te jéj lica jakkolwiek prześliczne, poryte jednak jakąś, że tak powiem, ognistą boleścią. Jakem ją obaczyła, przestraszyłam się. Łowczanka, prosta sobie kobiéta, w całkowitym żywocie swoim była obcą namiętnościom naszym, a jednak wrodzoną przenikliwością płci naszéj, wszystko poznała. Długie miałam rozmowy z Zosią o tobie. Wierz mi Ludwiku, kilkakrotnie łzami się zalałam, na widok jéj niedoli, cierpień; ona płakać nie może.

— Ach cóżeś wyrzekła; świadczę się honorem, świadczę się wszystkiemi tu znajdującemi się, że chciałem opuścić te strony. A tobie wyznaję, że chciałem nawet nazawsze oddalić się z ojczyzny, chciałem gdzieś na krańcach świata pędzić dni napełnione goryczą, kiedy może dwie godzin przed chwilą w któréj miałem rozpocząć podróż moję, broń piekłem nabita przykuła mnie do tego niebezpiecznego siedliska. Wszak już wyczytałaś wszystkie tajemnice mojéj duszy, tajemnice którebym rad przed sobą samym ukryć; kocham Zosię ze wszystkich sił méj duszy, kochać ją będę póki tchu we mnie stanie. Ta miłość jest mojém życiem, mojém jestestwem, ale ona pogrąża mię w przepaść niezgłębioną; ona moją być nie

może, a nie pozostaje mi nawet ta pociecha, że bezemnie może być szczęśliwą.

— Ludwiku, jeżeli się oddalisz z tych stron, cóż się wtedy zrobi z Zosią? Ona rękę odda wojskiemu, zaprzysięże jemu wiarę, myślę nawet że mu ją dochowa, bo walka długo nie potrwa; ona umrze. Jeszcze gdyby przed tobą nie była odkryła swojego przywiązania, może-by jakaś zabłysła nadzieja jéj ocalenia; ale teraz i miłość, i wstyd, i wstręt co go czuje od Michała, wszystko to razem, taką walkę miota w jéj duszy tkliwéj, niewinnéj, bojaźliwéj, że to jest nad jéj siły: ona téj walki długo nie wytrzyma.

— I cóż mnie pozostaje czynić! Naucz mnie godna przyjaciółko.

— Nie rozpaczaj, a przeniknij się chęcią jéj ratunku. Ludwiku, niesłusznie wyrzucasz sobie twój pobyt w domu jéj ojca; wprzód niż ciebie poznała, już ona kochała się w tobie; twój obraz, coś go przesłał swojemu bratu, już dał wyrok o jéj przeznaczeniu. Ty jesteś jéj ideałem: ona szacowała Michała, wszystko co ją otaczało wdrożyło ją do tego, ale oprócz szacunku, cóż jemu oddać mogła! I czy może dusza tak tkliwa jak Zosi, poprzestać na tak zimném uczuciu dla tego, z którym nieodstępnie żyć musi? Wszakże, gdyby była obojętną i dla ciebie i dla wszystkich, czy jéj związek z twoim bratem, związek nierozerwany, nie byłby igrzyskiem zawistnego losu? Czy jest jakikolwiek stosunek w wychowaniu, w uczuciach, w wyobrażeniach tych dwóch istot! Ja niepojmuję Michała, że jéj tak gorąco pragnie dla siebie. Czyż to jest dla niego żona? On sam siebie uwodzi, on jéj kochać nie może. Jest w nim chęć za-

dośćuczynienia woli zmarłego ojca, jest przywiązanie dla generała, posunięte aż do chęci skoligacenia się z nim; ale żeby była miłość dla osoby, z którą zkąd inąd żadnéj styczności niema, temu nigdy nie uwierzę. O czém-że on z nią mówić będzie? Michał jest sobie bardzo poczciwy szlachcic, ale cały pokarm jego umysłowości redukuje się do katechizmu i statutu litewskiego. Wierz mi Ludwiku, że biorąc Zosię dla siebie, nie tylko że nie zrobisz bratu krzywdy, ale nawet ochronisz go od największego nieszczęścia, od wszelkich następstw niedobranego małżeństwa. Ile razy pan Michał przybliża się do Zosi, trzeba być zaślepionym by nie widzieć co się wówczas z nią robi, jak wyraźnie na jéj obliczu maluje się rozpacz i trwoga. Ludwiku, bądź posłusznym głosowi przyjaźni, wszak większéj odemnie niemasz przyjaciółki, ja ci to mówię, ratuj Zosię, ratuj brata twojego. On sobie dobierze szlachciankę, która się oborą i przędziwem zatrudniać będzie, która z nim modlić się będzie z rubrycelli, i rok w rok, prawie bez bolu, będzie mu rodzić dzieci: bo w podobne kobiety nasza Litwa obfituje. A ty, jako człowiek uczciwy, myśl o wyratowaniu Zosi, miłość i honor nałożyły na ciebie ten obowiązek. Jeszcze ci to powtarzam: jeżeli ją opuścisz, jeżeli dozwolisz żeby została ofiarą obietnicy na niéj wymożonéj, ona umrze, a ty całe życie mieć to sobie będziesz do wyrzucenia.

— Ach droga pani, rozpaczać mi się nie godzi, kiedy twoja przyjaźń mnie wspiera, ale zastanów się, czy usilności twoje mogą otrzymać skutek pomyślny? Jakże odmienię to, co już zostało postanowione od ludzi niezachwianych w przedsięwzięciach raz powziętych? Mniej-

sza z tym wyrokiem, co go nim generał zagroził dziecię któreby jego postanowieniem wzgardziło: dostatki Zosi są dla mnie obojętne, jéj wdzięki, jéj serce, są dla mnie wszystkiém; ale czy ona się skłoni do tego, by mi siebie oddać przeciwko woli rodzica? czy jéj dusza ma dość siły, żeby się dla mnie narazić na niesławę, jaka w jéj mniemaniu spada na dziewczynę, która nie dotrzymuje uroczyście danego słowa? Czy się narazi na przekłęctwo ojca?

— Ludwiku, nie rozpaczaj tylko, a ufaj w przyjaźń moją! Jeżeli jesteś stałym, jeżeli umiesz wywzajemnić się téj która tylko dla ciebie żyje, bądź pewnym że niema takiéj zapory, co by ją ręka zręcznéj kobiéty pokruszyć nie zdołała. Będziesz mężem Zosi, wasze połączenie na niebie jest zapisane.

Ludwik w uniesieniu chciał wyskoczyć z łóżka by się rzucić do nóg téj nieoszacowanéj przyjaciółki. Ledwo że kasztelanowa zdołała wstrzymać jego zapęd; opuściła go na chwilę; Ludwik został sam jeden, a jakkolwiek sprzeczne uczucia nim miotały, już siebie nie mógł mianować nieszczęśliwym, kiedy taka przyjaźń brała go w opiekę.

Jakkolwiek kasztelanowa jedna, i dla Ludwika i dla Zosi, nie tracąc odwagi, ciągle promieniami nadziei usiłowała rozpędzać gęste i ponure tumany ich przeznaczenia; jakkolwiek ta nadzieja wstęp otrzymywała do serca Ludwika, póki była przy nim kasztelanowa, póki balsam słów leczących rozlewała na jego rany, póty czuł siebie szczęśliwszym, ale gdy sam sobie zostawał oddany, niepewność, bojaźń, i te wszystkie uczucia służące za orszak nieprawéj miłości, tak zażartą wojnę mu wy-

powiadały, że zmęczony wpadał w rozpacz, i nie raz przemyśliwał życie sobie odebrać, tylko że przezorna przyjaźń kasztelanowéj wszelkie do tego środki już była usunęła.

Zosia nie zdawała się być spokojniejszą. Tymczasem starosta wracał do zdrowia. O gdyby rany serca tak łatwe były do zagojenia jak ta, co mu ją zadał zawzięty Albeńczyk! Parę dni po téj jego rozmowie z kasztelanową, piérwszy raz wyszedł o swojéj sile do bawialnego pokoju; wszyscy mu tego winszowali z wylaniem, które-by najzimniejsze serce skruszyło; wszyscy starali się go bawić, bo widzieli smutek na jego twarzy, co przypisywali jedynie chorobie. Nakoniec wedle zwyczaju, który w owych czasach zabawy zawsze jakiemś zatrudnieniem przeplatał, wszyscy wyszli; został tylko Ludwik, a przy nim kasztelanowa i Zosia.

Kasztelanowa po krótkiem milczeniu tak zaczęła— Zosiu, czas przecie między sobą otwarcie pomówić w przytomności Ludwika. Na co masz przykładać wszystkie usilności swojego rozumu, żeby i siebie i Ludwika dręczyć; kochasz go, widzisz jak od niego jesteś kochaną, umiejże być śmiałą, dla waszego wspólnego szczęścia. Nie raz powtarzałaś przedemną, że Michał jest najcnotliwszym, najszlachetniejszym z ludzi; czemuż więc nie udajesz się do tych jego cnot tak zachwalonych, a których nie zaprzeczam? Powiedz mu: Michale! posiadasz mój szacunek, moją przyjąźń, ale innego uczucia dać ci nie mogę, bo już mi ono nie jest podwładne. Z woli ojca mojego otrzymałeś obietnicę mojéj ręki, ale czy to będzie godném ciebie, jeżeli poprowadzisz do ołtarza konającą ofiarę uczucia, którego podzielić nie może. Ko-

cham twojego brata, téj miłości przezwyciężyć nie mogę. Bądź wspaniałym Michale, wróć ojcu mojemu dane ci przez niego słowo, zostań naszym opiekunem, naszym obrońcą przed nim, a możesz-że otrzymać większą nagrodę. nad patrzanie na szczęście dwóch istot do ciebie przywiązanych, a które tobie przez całkowity żywot będą poświęcone.

Zosia. Nie siostro, na to się nigdy nie odważę. Znam dobrze mojego ojca, danego słowa za nic nie cofnie, on by mnie przeklął; i czy myślisz że do Michała można tym językiem przemawiać? Jeżeli on nie poznaje mojego wstrętu, to ztąd, że jest zaślepiony przywiązaniem. Myślisz siostro że on jest zimnym, nieznasz go. On niestety zanadto mnie kocha, a do téj miłości wiążą się jeszcze inne uczucia, niemniéj dla niego święte: a ta przyjaźń która go łączy z moim ojcem, a ta ostatnia wola jego ojca, który konając, włożył moją rękę w jego dłonie. Ja sama wtedy w największym będąc rozrzewnieniu, przyrzekłam umierającemu starcowi iż zostanę żoną Michała; to moje przyrzeczenie było ostatniém słowem, którém świat widomy go pożegnał. Wierz mi siostro, że gdyby Michał był zdolnym wyczytać to co jest zapisane w głębi mojéj duszy, ta jego pozorna cisza, w gwałtowną burzę by się przeistoczyła. Przywiązanie do brata, zamieniło-by się we wściekłość. Ach siostro, niech już na mnie biednéj wszystko się kończy.

Starosta. Zofio, i ty byś mogła mojemu bratu zaprzysiądz miłość, kiedy serce twoje zadawało by kłamstwo twoim ustom; i ty, szlachetna istoto, miała-byś go uwodzić?

Zosia. Nie Ludwiku, uwodzić go nie będę, dopeł-

pełnię woli ojcowskiej, a potém wszystko Michałowi objawię. Powiem mu jaką ofiarę i ty, i ja uczyniliśmy dla niego; potém może da Bóg że umrę. Mój ojciec najściślejszemu swojemu przyjacielowi, już konającemu, przyrzekł moją rękę dla ulubionego jego syna: możnaż przypuścić, żeby złamał przysięgę, żeby zezwolił by kto inny został moim mężem. Nie Ludwiku, to być nie może, nie uwodźmy siebie płonną nadzieją; ja długo cierpieć nie będę, obyś ty mógł być szczęśliwym!

Kasztelanowa. Prawdziwie Zosiu, z tobą oszaleć trzeba. Sama słyszałaś jak xiądz Prosper pięknie dowodził, że nie wolno rodzicom zniewalać dzieci do małżeństw przeciwnych ich skłonności, że obietnica przy zaręczynach dana, nie wiąże w obliczu Boga. Udajmy się do tego uczonego i świątobliwego kapłana, wszak jemu ufasz; on tobie opieki swojéj nie może odmówić, on się wstawi za tobą i do wujaszka i do samego Michała; nakoniec ja sama ciebie ztąd wywiozę do Warszawy, bądź odważną Zosiu. Chociaż-by ojciec od ciebie i wyrok w gniewie zrobił, Ludwik twojego posagu nie potrzebuje. A co się tyczy gniewu ojcowskiego, wszakże wiara nas naucza, że ojca i matkę dla męża opuścić trzeba.

Zosia. Siostro, do jakiegoż kroku śmiesz mnie nakłaniać!

Kasztelanowa. Ale opamiętaj się Zosiu; czy to się godzi chcieć umierać przed czasem, przeciwko wyraźnéj woli Boga; czyż nie widzisz jego woli w tém, że kiedy Ludwik już się zabierał do wyjazdu, Bóg na niego dopuścił nadzwyczajny wypadek, jedynie dla tego żeby go tu zatrzymać. Nie bądź dzieckiem Zosiu. nie igraj z lo-

sem twoim, i twojego Ludwika; pozwól niech ciebie wywiozę, a jak się Ludwik z tobą ożeni, to choć stary srodze się rozgniewa, choć nareszcie i wyrok zrobi od ciebie urzędowy, potém, jak Król do tego się wmiesza, (a wiedz o tém że Król żadnego z swoich braci tak nie lubi jak Ludwika), zaręczam że wujaszek da się przeprosić. Już ja w tém.

Zosia. Jak możesz podobną myśl przypuścić, bym mogła z domu rodzicielskiego uchodzić potajemnie, żebym mogła hańbą okryć siwe włosy mojego cnotliwego ojca! Nie Ludwiku, do tego nigdy mnie nie skłonicie, żebym się zaparła waszego szacunku. Kocham ciebie, przed tobą tego taić nie umiem, ty mnie kochasz, bądźmyż więc siebie godni. Umrę, pewną jestem tego, ale umrę niewinną, ale duszę moją z ufnością wyzionę w łono Boga; jeżeli ciebie kocham Ludwiku, tego Boga biorę na świadka, że to uczucie jest poniewolne, że wszystko robiłam by je przezwyciężyć. Wstydziłam się siebie saméj, nocy bezsenne trawiłam we łzach i modlitwach błagając Boga żeby moje serce przeinaczył, żebym ciebie tylko jak brata, jak przyjaciela miłowała. Czasem pochlebiałam sobie że Bóg wysłuchał modłów moich. Ale cóż! Każda usilność jeszcze więcéj wgłębiała mię w przepaść. Jedno słowo przez ciebie wyrzeczone, jedno twoje spojrzenie, wszystko com zrobiła, wywracało w jednéj chwili. Patrz Ludwiku jak silne musi być moje przywiązanie, kiedy wstyd nie zdoła mi ust zawiązać, kiedy śmiem tobie mówić to, co wprzód tysiąc śmierci wolałabym ponieść, niż pomyśleć. Ale nie domagaj się Ludwiku mojéj hańby, zrzeczenia się twojego szacunku; owszem weź moją sławę w opiekę swo-

ją. Kiedym już nazawsze straciła szczęście, nie odbieraj mi téj jednéj pocieszającéj myśli, że jeszcze mam prawo powiedzieć przed sobą, że jesteś kochanym od dziewczyny prawdziwie cnotliwéj. Odjedź Ludwiku tam, gdzie obowiązki ciebie powołują; wierz mi, że przeczucia serca gorejącego miłością nigdy nie zawodzą; odjeżdżaj najśpieszniéj, bo coś mnie ostrzega że jesteś zagrożony jakiemś wielkiem niebezpieczeństwem.

Ludwik. Ja miałbym siebie oszczędzać, kiedy z tobą żyć nie mogę, kiedy mnie sama mówisz, że z innym żyć będziesz? Wszystkoś mnie odjęła razem, a żyć mi rozkazujesz; niebezpieczeństwo jest ostatnią pociechą moją, przed niem się chronić, byłoby dla mnie istném szaleństwem.

Zosia. Jeżeli ono ciebie dosięże, jeszcze coś przydasz do mojéj niedoli. Bądź zdrów Ludwiku, dłużéj zostać przechodzi siły moje, nadto z tobą mówiłam. Żegnam cię.

Ludwik nie miał siły ją zatrzymać; był jak obłąkany, strumień łez puścił się mu z oczu. Chodził po pokoju bez celu, bez myśli, rzucił się nakoniec ku drzwiom i chciał pobiedz za nią. Kasztelanowa go wstrzymała— Ludwiku opamiętaj się, co robisz, czyż chcesz i siebie i Zosię zgubić— Ach droga przyjaciółko, widzisz jakie szlachetne serce mi jest oddane, a ja, jak bajeczny Tantal, widzę go, posiadam go, a dosięgnąć go nie mogę; ach czemuż mi odjęłaś wszelką broń, by tylko przedłużać moje męki.

— Ludwiku zaklinam cię na przyjaźń moją dla ciebie, na szczęście i twoje i Zosi, nie rozpaczaj; Zosia

będzie twoją, poprzysięgam że będzie twoją. Jakim sposobem, tego ci nie powiem, bo byś tylko niszczył moje układy; ty nie jesteś w możności nic działać, nic przedsiębrać; zostaw mnie czuwanie nad losem waszym. Uspokój się Ludwiku, ja ci to każę, a pamiętaj, że dla spokojności Zosi, cała przytomność twojego umysłu jest niezbędną.

XXV.

Urywki z Dziennika Starosty.

»....Namiętność która całą duszę moję ogarnęła, a o której wprzód wyobrażenia nie miałem, już stała się przeznaczeniem mojego jestestwa. Napróżno usiłowałem ją stłumić, jéj się opierać. Zmieniła się postać rzeczy... już wola moja ani może, ani chce jéj się sprzeciwiać. Wszystko co się zemną dzieje jest tak dziwne, tak pobratane z mojem uczuciem, tak niezawisłe od chęci mojéj, od zabiegów, jakiemi usiłowałem wesprzeć te chęci, że to wszystko musi być sprawą wyższéj woli, która koniecznie spełnioną być powinna. Wola moja w téj walce nieustannéj a tak nie równéj, wycieńczyła się, wyzuła się ze wszelkiéj tęgości; był to opór robaka, przeciw nodze go depcącéj. Cóż sumienie może mi wyrzucać? robiłem moję powinność, więcéj niż powinność; zwyciężony zostałem.

....Co to jest za stan dręczący cierpieć bez pociechy własnego szacunku.... Miłuję szczerze brata mojego, czuję dla niego niewygasłą wdzięczność, mam go za najcnotliwszego na ziemi człowieka— a jednak wyrządzam mu najokropniejszą krzywdę. Ten to człowiek, którego niezachwiane zasady uzbrajają jakby paiżem przeciw wszystkiemu co nie jest godziwém, który osypał mię swemi dobrodziejstwy, którego przywiązanie do mnie nieustannie się objawiając, jak zlodowaciałém żelazem przeszywa serce moje, znajduje we mnie drugiego Kaina. Czémże jemu odpłaciłem, przebóg! Nie śmiem spotkać jego wzroku, czuję siebie zhańbionym, spodlonym, przeklinam tę kulę Wązgirda, która o ćwierć cala zboczyła— a jednak jestem niewinny....

Kocham narzeczoną mojego brata wszystkiemi siłami duszy mojéj, kocham ją, a nie drżę ze zgrozy. Nie jestem bigotem, ale, mój Boże, czyż już niema środka między exaltacyą chrześciańską, a sromotną zbrodnią? czyż świat nie jest tak szerokim, żeby w nim nie znaleźć na pastwę swoich namiętności, tylko ten właśnie przedmiot, od którego sam honor, sama uczciwość odstręczyć-by powinny. Sam siebie odurzam, powtarzam sobie, że bratu krzywdy rzeczywistéj nie robię, bo on jest namiętnościom serca, bo on dla ostrości zasad, którym się poddał, nie jest w możności kochania się szczerze.... Zwichnięty mój rozum staje się wspólnikiem zbrodni serca. Nie prawda! on właśnie dla téj surowości obyczajów, nie dopuszczającéj mu tych pseudo-miłostek, musi mieć serce ogniste, dla niego prawa miłość koniecznie musi być bez granic. Dla ludzi wielkiego świata, powszechnie miłość jest to wpraszanie się zmysłów, igraszka próżności, chęć zaj-

mowania sobą publiczności choć dni kilka; ale dla ludzi podobnego hartu jak Michał, jest to uczucie z którém się kojarzą wszystkie wyobrażenia religijne i obywatelskie, jest to przeznaczenie całkowitego żywota. On miłuje Zosię skromnie i poważnie, ale niemniéj przeto wszystkiemi siłami duszy czerstwéj i wytrwałéj: to wszystko sumienie mi mówi, a jednak ja go zdradzam....

Ale nie— miłość moja nie jest z rzędu tych, jakich się na wielkim świecie doświadcza; jest to cóś nadzwyczajnego, cóś niepożytego. Jak ja siebie nie poznaję.... nie jestem tém czém byłem dotąd; jestem odrodzony w tém uczuciu nowém, może potępiony, kto wie? To pewna że honor, cnota, wdzięczność, powinność, wszystko jest niczém dla mnie, bo nie są nią. Rozmaite myśli nasuwają się w umyśle, a żadna go nie zatrzyma; jeden jest tylko obraz do którego zawsze się zwraca.... Nie, to wszystko napróżno; ja i Zosia jesteśmy zjednoczeni w jestestwie naszém; nic nas rozerwać nie może. Ona mię kocha, sama to wyznała, ale nawet gdyby tego nie wyrzekła, nie wątpiłbym o tém. Jest jakiś język tajemniczy, który ani słów, ani znaków żadnych nie potrzebuje, ale aż nadto jest zrozumiałym dla tego, do kogo przemawia; wreszcie tak kochając jak ja kocham, nie można nie otrzymać wzajemności.

Spoczywając na łożu boleści co ją czuć przestałem, bo tylko w tém zachowuję czucie, co ma jakiś stosunek z przedmiotem mojéj miłości, przypominam sobie nie raz te drogie chwile, któreśmy z sobą razem pędzili przy klawikorcie, kiedy dusze nasze wylewały się w śpiewie. Muzyka, jest to jedyny znak zmysłowy, którym prawdziwa miłość wynurzyć się może; kto muzyki nie

czuje, tego serce dla miłości będzie zawsze zamknięte. Jest to szczególny język, ale i mistrz w sztuce go nie zrozumie, jeżeli w chwili, kiedy go usłyszy, nie będzie miotany gwałtowną namiętnością: a kiedy dwoje kochanków dusze swoje skojarzą w śpiewie, ten śpiew stanie się istotną rozmową dwójga serc; one siebie pojmą, siebie przenikną, a jednak słowami nic tego nie wyrażą. Jest to kunszt czarodziejski, tajemniczy, niedziw że on jest jedyny z pomiędzy wszystkich co go chrześcijaństwo w swoich niebiesiech umieściło. Hrabina de Jarnac, jedna z piérwszych dam wersalskich zakochała się była w śpiewaku Geliot i tylu szaleństw gorszących dla niego się dopuściła, że aż familija ją w klasztorze osadziła, wyrobiwszy u ministra *une léttre de cachet* 1). Jedna jéj przyjaciółka okazywała jéj swoje zadziwienie, że tak się zapomnieć mogła, dla człowieka urodzeniem tak jéj nieodpowiedniego, a który zdawał się być ograniczonym, nawet nieumiejącym się jaśnie tłómaczyć. »Ach, moja kochana, odpowiedziała jéj Hrabina, nie uwierzysz ile on ma rozumu, kiedy w śpiewie swoim wyznaje miłość którą jego serce jest przepełnione«.... Ach jak ja to pojmuję.

....Jestem najnieszczęśliwszym z ludzi, kocham i jestem zbrodniarzem, a jednak niewinnym. Ale nie, jakiekolwiek będzie moje przeznaczenie, na jakiekolwiek drogi popchnie mnie niczém niewstrzymane uczucie, nie

---

1) Lettre de cachet, *list pieczętny,* w dawnéj monarchii francuzkiéj. List taki, wyrobiony u ministra bez sądu, bez tłómaczenia, każdego mógł zamknąć w więzieniu. Jednak trzeba oddać sprawiedliwość, że w tym nie było tyle nadużyć, ile by się spodziewać można.

godzi mi się nazywać siebie nieszczęśliwym, kiedy jestem kochany....

Dziwny to jest stan duszy mojéj; często wyrzucam sobie występne, kazirodne zapały któremi goreję dla przyszłéj mojéj bratowéj; takie brzemie wstydu podźwigam, że radbym gdyby ziemia podemną się rozwarła. Przeklinam siebie, jako wiarołomcę, rozpustnika, niewdzięcznego, depcącego świętą wolę konającego ojca, który z łaski mojego brata, umierając zostawił mi swoje błogosławieństwo; a znowu wyrzucam sobie, że kochając i będąc kochanym, nic obcego temu kochaniu nie jest zdolne mojéj uwagi ku sobie zwracać... Kocham i jestem kochany; i cóż innego obchodzić mnie może!

Nie, nie, nie jestem winnym czuję się być czystym na sumieniu, jest tu przeznaczenie, jakaś konieczność, która dopełnioną być musi. Wszakże chciałem odjechać; wszakże chciałem, przestrzenią całego kraju, przegrodzić siebie od téj któréj mi kochać niewolno; trzeba właśnie, żeby jéj krewny, obstając za jéj spokojnością, za jéj sławą, stał się przyczyną mojego tu powrotu, i wszystkich następstw tego powrotu. Był-że tu wpływ mojéj woli! Nie mam-że słusznych pobudek do wierzenia, że to wszystko jest skutkiem zrządzenia jakiejś władzy wyższéj, któréj ulegać potrzeba.

Gdym obaczył kasztelanowę, jakkolwiek stosunki najściślejszéj przyjaźni wiązały nas w Warszawie, wyznaję, że na wstępie obawiałem się jéj przenikliwego wzroku; ale to przeczucie błogo mnie zawiodło. Znalazłem albowiem w kasztelanowéj przyjaciółkę, doradczynię, najczynniejszą pomoc. Wręczyła mi długi list od Króla do mnie; zawsze on żyje w swoim żywiole, w wiecznych

intrygach. Dziękuje mnie za podniesienie mojém staraniem konfederacyi dyssydentskiéj w Litwie; żem ja jemu chwiejącą się koronę nasunął na czoło, te wyrazy są dosłownie z jego listu wzięte; każe mi podzielać swoję radość; mój Boże, trzeba chyba było nigdy nie widzieć Zosi, żeby myśleć o dyssydentach, o Królu, o ojczyznie. Jedna jéj łza, jeden jéj uśmiech więcéj u mnie waży, niż to wszystko; już w mojém sercu nie ma miejsca próżnego, żeby obok niéj jeszcze cóś się w niém mieściło. Sam na sam z kasztelanową rozmawiałem, ale pewnie nie o politycznych stosunkach kraju; w czémże one mnie obchodzić mogą!...

Gdybym jakąkolwiek miał wątpliwość o wzajemności Zosi, możebym z siebie zrobił ofiarę; ale ona mnie kocha a wstyd dziewiczy zwalczony został widokiem moich cierpień, sama to wyznała przedemną. Poświęcając siebie, tym jéj szczęścia nie zapewnię, ale pogrążę ją owszem w przepaść, narzucę na nią brzemię niedoli, którego ona podźwignąć nie zdoła; a myśl ta snuje się bez przestanku w mojéj duszy. Powinność, cześć dla popiołów ojca, obowiązki wdzięczności dla brata, zgoła wszystko co nie jest nią, znikło z przed oczu mojéj duszy. Nie jestem zbrodniarzem, jestem tylko igrzyskiem przeznaczenia, do którego w niczém nie wpływałem; chciałem mu się opierać, i w cóż by się obróciły moje usilności! Czyżto samo za mną nie przemawia, że kochając, i będąc kochanym, czuję się jednak być nieszczęśliwym. Gdybym wiedział, że Zosia może o mnie zapomnieć, że moja bytność jest jedyną przeszkodą do jéj szczęścia, nie wahałbym się życia sobie odebrać; z radością wróciłbym przyrodzeniu ten nędzny dar, dla

którego zawsze czułem pogardę, wtedy nawet kiedy mnie głoszono pierwszym ulubieńcem fortuny...

Stanu, w którym pozostaję, znieść nie mogę; nie umiem żyć, nie mogę umierać; przeklinam mój rozum, zazdroszczę tym bigotom, co we wszystkiém widząc wolę Boga, w zjednoczeniu się z tą wolą, wśród najdotkliwszych cierpień, umieją znaleźć jakąś pociechę. Często nagabany jestem najsprzeczniejszemi, najdziwaczniejszemi myślami: raz chcę sobie życie odebrać, potém przyczepia się do mnie ochota opuścić świat, zamknąć się w jakim odludnym klasztorze, gdzie od wszystkich zapomniany, mógłbym żywot płużyć z mojemi myślami! Znowu przystępują do mnie jakieś wyniosłe żądze sławy, potęgi, znaczenia; i właśnie dla ludzi żądnych chwały, odkrywa się pole, bo jak pisze do mnie Król, lada chwila wojna domowa wybuchnie; ale cóż mnie to ma obchodzić? czy mam siłę? czy mam wolę? niczego nie chcę, nic nie umiem...

Jednak los tych, którzy piastują cnotę, jest tak nieszczęśliwy, że aż wątpić przychodzi o Opatrzności. Gdyby mój brat był cnót miernych, byłby szczęśliwym: na co mu było nakłaniać ojca do zniszczenia swojego ostatecznego rozporządzenia; wszak ojciec miał prawo dorobkowym swoim majątkiem obdarzać tego co mu się więcéj podobał; wszak Michał sam swoją pracą przyczyniał się do jego wzrostu. W czém by się ominął z prawidłami honoru, gdyby dar ojcowski przyjął? wszakże mógł myśleć, że nie jestem potrzebny; wreszcie cóżby go to obchodzić miało, żadnychby nie miał ze mną stosunków, był by się ożenił z Zosią, onaby się wdrożyła do pożycia z nim, nie myśląc o kim innym. Po-

tem napłynęłyby dzieci; wezwyczajenie się utworzyłoby przywiązanie, zwłaszcza przy takim szacunku, jaki ona ma dla niego, byłoby to stadło, jak wszystkie stadła polskich prowincyj, gdzie żona ma prawie zawsze wyższy stopień ukształcenia niż mąż, a gdzie niemniéj przeto małżeństwa są szczęśliwe. Chciał być zanadto cnotliwym, i tym całkowite rusztowanie jego szczęścia wywrócone z gruntu zostało....

Od kilku dni doświadczam jakiejś tęsknoty, jakiejś bojaźni, których przezwyciężyć nie mogę; robię się zabobonnym, z każdéj rzeczy choćby najpotoczniejszéj, wyszukuję jakiejś wróżby. Co nocy sen niespokojny nasuwa mnie rozmaite mary; a ja przebudziwszy się rozbieram sny moje i usiłuję niemi przyszłość wybadać. Mało skłonny do uczuć religijnych, do snów przykładam wiarę; nie umiem tego objaśnić przed sobą, ale jestem przekonany, że sny są hieroglifem przyszłości: jest to język tajemniczy, my go nie rozumiemy, ale on istnieje bez najmniejszéj wątpliwości. Kazałem Korendowiczowi dowiadywać się czy nie ma gdzie w okolicy baby znachorki, któraby sny tłómaczyła; już siebie nie poznaję; nie tylko rozum, ale nawet moja stara odwaga mnie opuściła; każde stuknięcie, lada hałas niespodziewany, psa skowyczenie, wywabia na mnie dreszcz, i sprawuje jakieś wrażenie, dla mnie zupełnie nowe; nic nie brakowało jak zostać tchórzem! Ale mniejsza o to, na wszystko co mnie samego dotyka, jestem obojętny: dobrze to mówią, że tylko raz w życiu człowiek może się prawdziwie kochać....

Co jest najnieznośniejszego w cierpieniach duszy, to to, że one nieskończenie podnoszą pojętność umysłu, a odejmują woli wszelką tęgość; człowiek taki więcéj umie,

a mniéj może. Jeżeli to co mówią o duszach potępionych jest prawda, ja teraz pojmuję naturę ich mąk, bo to co cierpię jest w tym rodzaju. Żartuję z mądrości tych filozofów, co w błogim żywocie zasuszywszy sobie serce, nie będąc już zdolnemi do wielkich i gwałtownych namiętności usiłują tłómaczyć tajemnice, niedostępne oczóm zmysłowym. Jeden dzień cierpień duszy, więcéj światła rzuci do rozwiązania podobnych zadań, niż lata ślęczone nad naukami; wszystkie xiążki są mniéj więcéj głupstwa oprawne, utrwalone zabójczym wynalazkiem; jedna jest tylko mądra xięga, oto xięga natury, ale biada temu, który w niéj choć jedną kartkę umiał wyczytać, bo musiał przechodzić przez wielkie cierpienia....

Czasem skłonny jestem udawać się do ratunków religijnych; i xiądz Prosper, i ojciec Kleofas nie mało się nameczyli by mnie do spowiedzi namówić; oparłem się im, bo pewny byłem że umrę. Ale dziś... i dziś do tego mnie nie skłonią, bo nic innego nie umiałbym powiedzieć, tylko że Bóg na mnie zesłał cierpienia, które przechodzą siły moje. Udręczenia duszy są nawet ogołocone z pociech, któreby litość im przynieść mogła: bo tylko cierpiący umie oszacować swoje cierpienia; inny ich nie rozumie. Nad żebrakiem szukającym strawy dziennéj każdy się zlituje, bo tylko strapienia ciała uderzają te cielesne i nikczemne istoty, co ich ludźmi nazywamy; żebrak jest rzeczywiście szczęśliwym człowiekiem, bo żądze jego są w harmonii z jego potrzebami, a te zawsze opatrzone być muszą. Chleb go nie ominie; może się spowić w swoich łachmanach, jak dworak w galowéj sukni; nie zbywa mu nawet na gorzałce, co nią zalewa umysł niewycieńczony myśleniem. Ale

cierpienia duszy, żaden mężczyzna nie przyniesie im ulgi, szalony ktoby jéj od nich oczekiwał; kobiéta tylko je pojmie, i jeżeli się godzi tu otrzymać jakąś pociechę, to tylko od tych istot anielskich.... Taka to istota wzięła mnie w opiekę swoją; postępuj szlachetna, czuła przyjaciółko, ty jedną jakąś nadzieją przeciwważysz rozpacz moję; postępuj, tobie się poddaję z ufnością; skołatane serce od ciebie tylko jakieś leki przyjmuje; nie przewiduję przyszłości mojéj, bo wszystkie sprężyny duszy już są we mnie zniszczone: wszakże nademną przyjaźń jeszcze czuwa, nie, nie godzi mi się rozpaczać....

XXVI.

List Szambelana Gintowta do Kasztelanowéj Inflanckiéj.

Chociażbym miał uchodzić za natręta, piszę i pisać będę do pani mojego serca; bo kiedym bez niéj, kiedy smutny wzdycham za jéj powrótem, a doczekać się jego nie mogę, cóż mi pozostaje jak myśleć o niéj, i te myśli moje bezprzestannie wynurzać. Moje szczęście tak ściśle jest zjednoczone z jéj wzajemnością, że nie umiem być spokojnym. Będąc u nóg twoich pani, nieśmiałym wzrokiem przeszywając jéj bozkie oblicze, słysząc jak jéj koralowe usta zaręczają mnie stateczną miłość, zostaję w ciągłéj obawie, bym nie utracił jéj serca, a cóż dopiero kiedy takie przestrzenie są między nami! Pani zawsze wyrzucasz mi zazdrość, i tém usiłujesz mnie uspokoić, że nie umiesz być obłudną; ach pani, znam dobrze twoją szczerość, wiem jak twoje szlachetne ser-

ce wzdryga się na samo wspomnienie obłudy; wiem że jeżeli to serce odemnie się odwróci, powiesz mi bez wahania: Albercie, już przestałem ciebie kochać. Ale właśnie téj morderczéj szczerości się lękam; trwoga moja nie pochodzi z niedowierzania w jéj stateczność, ile z nieufności w sobie samym; czémże mogłem ciebie zniewolić? jakim urokiem najpiękniejsza, najrozumniejsza z kobiet mogła mi oddać to serce, o którego bicie mocarze świata się dobijali? Nie mogę się wezwyczaić do nadspodzianego, do niezasłużonego szczęścia, nie mamże się nie lękać jego utraty? Jeżeli to ma się nazywać zazdrością, wyznaję że jestem najzazdrośniejszym z ludzi; ale jeżeli zazdrość jest właśnie to uczucie, które ośmiela człowieka zniewalać przemocą serca dla niego zziębłe, które go ośmiela wznieceniem obawy zastąpić możność zajęcia osobistemi ponęty, strzeż mnie Boże od podobnéj podłości. Posiadanie kobiety samo przez się, jest użyciem poniżającém i złudném; kobieta rzeczywiście o tyle tylko się posiada, o ile jéj serce i wola ku temu się skłaniają; bez tego czémże jest jéj posiadanie? oto gwałtem zadanym naturze, na co szlachetny umysł się wzdryga. Nie pani! W podobném znaczeniu, nie będę małżonkiem zazdrośnym; i chociażbyś odmieniając swoją przyrodę, nie miała odwagi być szczerą, bez siebie, bez miłości twojéj, nigdy moją nie będziesz. Gdybym widział niestety, że będąc moją żoną, twe serce ku innemu się skłoniło, pewnie nie poniżę się do tego stopnia, bym aż prawa i obowiązki stawiał za przeszkodę twoim skłonnościom; bo wiem dobrze że serce żadnym ustawom nie podlega. Starałbym się być twoim powiernikiem, twoim doradzcą, a utraciwszy miłość twoją, uchroniłbym przynajmniéj z twoją przyjaźnią jakieś szczątki straconego szczęścia.

Wiem że przysięga małżonki u stóp ołtarza jest tylko obrzędem, ustawą społeczeńską, że równać się nie może do lada obietnicy, co ją serce tkliwéj kobiety wynurza w objęciach kochanka 1). Ta obietnica jest dla mnie nad wszystko droższa, i w moich stosunkach z tobą, do niéj tylko chcę się odwoływać; nie jestem zarozumiałym, być może że mnie odbierzesz miłość coś mi ją dała; ale bądź pewną, i to ci poprzysięgam, że czy stała, czy niewierna, przezemnie nieszczęśliwą nie będziesz.

Król z niecierpliwością wygląda przybycia i pani, i starosty wieluńskiego; my wszyscy członkowie gabinetu czujemy jego nieobecność; a Król tak jest wezwyczajony do jego pracy, do czarownéj łatwości jego pióra, do trafności jego spostrzeżeń, że żaden z nas jemu dogodzić nie umie. Starosta i to ma nad nami, że Król będący jeszcze w stanie równości, już był z nim związany najściślejszą przyjaźnią: ileż to razy słyszałem Króla powtarzającego, że bez starosty obejść się nie może; a państwo oboje tak jesteście skojarzeni w jego myśli, że obok niego i panią zawsze wspomina, unosząc się nad jéj rozumem i zręcznością. Żebyś pani mogła widzieć z jaką radością odbiera z rąk moich, bileciki które jemu posyłasz, jak sam lubi do niéj pisywać, przekonałabyś się ile twoja przyjaźń jest dla niego drogą: i w jakimże czasie jest bez was!

Przecie, po odebraniu ostatniego listu pani, który komunikowałem Królowi, wiemy czego się mamy trzy-

1) Prosimy zważyć, kto i do kogo tym sposobem mówi. W tym i podobnych ustępach chodziło autorowi o ustanowienie charakterystyki filozofii XVIII wieku która w téj epoce wkraczała do naszego kraju.

mać; bo tu była się rozeszła wieść, że starosta, zakochał się w narzeczonéj swojego brata, który ma być zawadyaką, ten nie umiał tego przyjąć filozoficznie, ale po prostu brata śmiertelnie ranił. Relacya pani w tém się różni, że nie brat, ale jakiś inny Radziwiłłowski hajdamaka jego skaleczył. Jakkolwiek bądź, ten pan Wazgird musi być, jak mawia pospólstwo na Rusi, charakternikiem, kiedy z rąk starosty wieluńskiego wyszedł bez szwanku; niech że za to hekatombę poświęci temu bóstwu, które panewkę zamoczyło przeciwnikowi. Żeby nie to, banda albeńska nie cieszyła by się teraz swoim bohaterem; nie męczyłby się jak nasz starosta, ale od razu zakończył by swój interes. Odwaga starosty jest głośną w całéj Europie, a co do zręczności, byłem świadkiem, jak w przeciągu pary godzin, wygrał więcéj tysiąca czerwonych złotych u margrabi Wielopolskiego, strzelając o zakład. Niesłychane cele mu dobierano, a to latające jaskółki, a to jaja rzucone w górę, a to brzeszczot od szabli, a to dwie nitki krzyżujące się na obręczu. Ani razu z pistoletów swoich nie chybił; żeby z podobnémi popisami wystąpił na prowincyi, żywcem by go spalono jako czarnoxiężnika; a jednak swojego znalazł, i pewny jestem, że pistolet który go powalił, musiał być nieszczególny. Z tém wszystkiém można staroście szczęścia pozazdrościć: ach, gdybym wiedział że przy łożu mojém będziesz przesiadywała, że będziesz wylewała wszystkie skarby swojego dowcipu żeby mnie rozerwać, że balsam pieszczot przyjaźni będziesz przykładała do rany mojéj, stolicę, dwór, zawód mój tak świetnie rozpoczęty, wszystkobym opuścił, a pojechałbym na Litwę szukać tego utrapionego Albeńczyka. Niepojmuję, jakim

cudem starosta patrząc na moją drogą panię, prawie ciągle widząc ją przy sobie, może o kim innym myśleć. Chyba że się urodziłem pod nadzwyczajnie szczęsnym planetą, że ten właśnie, co był dla mnie najniebezpieczniejszym rywalem, ma smak skażony; bo jakkolwiek pani się unosisz nad wdziękami swojéj krewnéj, ja lubo jéj nie znam, twierdzę że ona z tobą się równać nie może. Wszakże poznaję twoje serce, w pomocy którą niesiesz dwojgu kochankom, sarmatyzmem i przemocą rodziców od siebie oddzielonym.

Król, jakkolwiek czuje przygodę przyjaciela, nie bez tego, żeby się nie cieszył jego miłością dla téj sławnéj Zosi, bo jak wróci do Warszawy, nie będzie mu bruzdził u krajczyny, która opanowała niepowiem jego umysł, bo on sam poznaje jéj nicestwo w tym względzie, ale jego zmysły. Ona niema dość rozumu, żeby pokryć przed drugiemi, że przekłada starostę nad Króla. Kiedym czytał jéj tę część listu pani do mnie pisanego, gdzie tak żywemi kolorami malujesz jego gwałtowną miłość dla swojéj przyszłéj bratowéj, krajczyna rozpłakała się ze złości, i w największém uniesieniu odezwała się: »Niespodziewałem się tak prędko zostać zapomnianą.« I to wyrzekła nie oglądając się ani na naszą, ani na Króla przytomność; ona by ich rada mieć obydwóch razem, jednego dla dumy, drugiego dla przyjemności. A czyż tak nie było? i Król może by nie był od tego, ale starosta, który pomimo ciągłego życia na wielkim świecie, zachował wiele dziewictwa w sercu, nie chciał się dzielić kochanką. Przypomnij-no sobie pani jakie to były sceny, póki jéj nie odstąpił, i nie odjechał na Litwę.

Zdawało się że tylko rozumna kobieta byłaby zdolną przywiązać Króla. Wszakże przed kilku laty zjawiła się była na naszym horyzoncie karykatura angielska, którą splin pędząc z kraju w kraje, zapędził nakoniec do Warszawy, i czego zadna stolica nie dokazała, nasza więcej półtora roku go zatrzymała. Lord Morningpudding, jak pani sobie przypominasz, był wielce uczony, wielce nudny, i wielce brzydki, a jego żona była nadzwyczajnie piękna, i nadzwyczajnie głupia, a jednak dość miała rozumu żeby go oszukiwać. Bo nielicząc naszego starostę, znam w Warszawie trzech takich co byli z nią w poufałości: nasz Król z początku był dla niej bardzo grzeczny, i probował z nią w rozmowę się wdawać w języku angielskim, ale chociaż z rozmaitych beczek rozmowy wydobywał, nigdy żadnej do końca nie mógł doprowadzić, tak mało u niej znajdując wątku. Ona Króla dość widocznie kokietowała, a jednak Król tak ostygł, iż my się nie mogli oddziwić, że rad rozmawia ze szkaradnym milordem, a prześliczną Milady zaniechał. Otoż kiedy raz na balu dworskim, roztaczała swoje wdzięki, podwojone jeszcze gustownym strojem, Król kilka słów z nią wymieniwszy, obrócił się do nas, i powiedział: »Jest to dziwnie piękna kobieta, ale cóż z taką robić w antraktach?« Krajczyna w zdolnościach umysłowych, mało co wyżej stoi od Milady Morningpudding, jednak Król się do niej przywiązał: ale ja to tak tłómaczę: Król już od tej pory jest trzema latу starszy, zżyty, jak Francuzi mówią *blasé*, a do tego nałogowy kobieciarz. Jemu potrzeba intrygi wygodnej, kochanki na zawołanie, a jednak mającej wysoką posadę towarzyską; bo chociaż jest królem wyborowym tylko, konie-

cznie chce się stosować do tego pierwotworu królewskiego, który się przechowuje w podaniach Wersalu. A tam, jak pani wiadomo, w opinii dworu, urząd przyjaciółki królewskiéj, jest to jak komandorya maltańska, dla któréj herby potrzebne. On był naocznym świadkiem hałasu, jaki powstał w Wersalu, kiedy Ludwik XV ogłosił panią de Pompadour sułtanką panującą; a jak moja kochana pani sama dowcipnie zauważałaś, jedną ze słabości naszego Króla, jest naśladować ile tylko może Ludwika XIV. Zdaje się jemu, że z nim ma wiele podobieństwa: i kiedy mu ten awanturnik Casanova powiedział że we wszystkiém tego Monarchę przypomina, pani nie uwierzysz z jaką radością to bezczelne połknął pochlebstwo. Ztém wszystkiém wypowiedzieć się nie da, ile on tęskni za ognistą rozmową pani, za jéj czarującym dowcipem, jak twojéj przyjaźni czuje potrzebę, tego wszystkiego miłość przeciwważyć nie zdoła. Chociaż on niby zakochany w krajczynie, choć prawie codziennie nawiedza ją marytalnie, ztém wszystkiém wiem że ona mu przypomina Milady i że bardzo go nudzi w antraktach.

Żart na stronę, Król jest tak znękany, okoliczności tak niestosowne z jego charakterem słabym i łagodnym zlały się na niego, że niema czasu się nudzić. W obecnéj chwili najwięcéj się naradza z jedną wysoką damą, z którą miłość kiedyś go łączyła, a która przeniosłszy tę miłość do jednego potężnego xięcia, bawiącego teraz w Warszawie, Królowi jednak najżyczliwszą przyjaźń dochowuje i te nowe związki, ile może, obraca jemu w przysługi. Ledwo konfederacya słucko-toruńska, do któréj zawiązania nasz starosta tyle wpływał, zażądała dla Dyssydentów porównania przywilejów z Katolikami,

a to jéj żądanie posłowie zagraniczni osobnemi notami poparli, fanatyki i krótkowidze, za któremi większość sejmowa, takiego gwaru narobili, że aż trzeba było z sali uciekać. Dwóch Biskupów, Hetman i syn jego poseł, którzy réj wodzą między temi fanatykami, nielada projekt byli obmyślili: oto nie mniéj, nie więcéj, tylko podnieść krucyatę. Biskupi z krzyżem w ręku, Hetman z szablą, chcieli powołać prawowiernych do obrony wiary katolickiéj, którą jakoby Król zaprzedał z duszą swoją Dyssydentom. Takowa krucyata zaczęta w stolicy, po wszystkich województwach odgłos by otrzymała. Ale szczęściem że Król, mistrz do zawiązywania potajemnych intryg, już od niejakiego czasu śledził wszystkie nici tego spisku: zrobił sobie stosunki z powiernikiem hetmańskim, jego niegdyś koniuszym, a teraz posłem na sejmie, i to takim, który burzliwością i fanatyzmem najwięcéj się na nim odznaczał. Jedném starostwem go nabył, że bez wahania się, donosił mu o każdém słowie, które u Hetmana się wyrzekło. Kiedy jemu całkowitą tajemnicę spisku odkrył, wyobrazić sobie trudno, jaka była trwoga Króla po odebraniu téj wiadomości; co chwila spodziewał się być porwanym, nawet marzyła mu się potajemna ucieczka, jak niegdyś Henryka Walezyusza. Ledwo go uspokoiła dawna przyjaciółka i zdołała namówić na jedno *coup d'état* niesłychane w Polsce.

Strach tak zlodowacił wszystkich, że żadnemu przez myśl nie przeszło zastanowić się, czy rzeczywiście było czego się lękać. Inicyatywa odwagi ledwo niezawsze przeciwnika zwycięży; taka jest natura ludzka. Kto by myślał że Król po dokonanym zamiarze już był spokojniejszy, gdzie tam! utaić nie mógł trwogi, która go

dręczyła, przekonałem się że to człowiek miękiego serca, belletrysta, wymówny gadacz, i nic więcéj.

Ale jak się opatrzono, sądny dzień był w Warszawie, to przerażające groźby, to nierównie straszniejsze ponure milczenie. Akta są pozarzucane manifestami, bo ten rodzaj oporu, będąc rozwleczeniem skargi, gadulią, musi u nas popłacać. Już sejmujące stany zaczynają się rozjeżdżać, wszystko się zanosi na straszną wojnę domową. Król to przewiduje, i ubolewa że xięcia *Panie Kochanku* nie było w Warszawie, a że gdzie indziéj niema sposobu go uchwycić; więc kiedy wszyscy narzekają manifestują i rozjeżdżają się, wszystkie władze skupiają się tym czasem w ręku Króla.

Wszystko niech sobie idzie, jak się Nemezie podoba, ale na miłość bogów powracaj pani do nas: im bliżéj jestem szczęścia, im postęp twojego rozwodu więcéj rozżarza moje nadzieje, tym mniej jestem spokojny. Kiedyś to, wędrując po Francyi, zajechałem do jednéj austeryi, i nimem się udał do spoczynku, zabawiałem się czytaniem po ścianach różnych napisów, między niemi na taki natrafiłem— *Och! jakże nadzieja jest rzeczą desperującą, spać mi nie daje, a umieram ze snu.* Szczerze się śmiałem z tego wyskoku niecierpliwości francuzkiéj, wszakże teraz czuję rzetelność tego napisu, i mógłbym go śmiało powtórzyć. I tak Król jakkolwiek tęskni za starostą wieluńskim, zdaje się być o niego spokojnym, i z tém przedemną się wymówił, że na ciebie pani zdawszy jego ratunek, a w instrukcyi jéj danéj, wykazawszy do tego niemylne środki, nie wątpi że lada dzień będzie was obu oglą-

dał. To wszystko chociaż mówi do przekonania rozumu, nie wiele umniejsza niespokojności mojego serca; jeżeli nasz starosta, broń Boże, wpadnie w ręce hajdamaków Radziwiłłowskich, będzie wisiał, to najmniejszéj wątpliwości nie podlega; ale gdyby on był tam sam jeden, czyżbym się tam troszczył? co mnie nieraz włosy na głowie jeży, to ta myśl, że pani mojego serca, podzielając jego przygody, żeby i jéj czasem cóś się nie dostało. Klęcząc przed Królem, błagałem go, żeby mnie pozwolił za wami polecieć do Litwy, a tego pozwolenia otrzymać nie mogłem. Przyśpieszaj twój powrót, o pani duszy i wszystkich myśli moich, jeżeli chcesz żywym zastać twojego Alberta.«

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Treść Tomu Piérwszego.